

IAN DOUGLAS

STAR CARRIER

TOM VII

MRO CZNY UMY SŁ



Ian Douglas

Star Carrier

Tom VII

Mroczny Umysł

Przekład Paweł Dembowski



Warszawa 2017

W serii **Star Carrier** dotychczas ukazały się:

**TOM I
PIERWSZE UDERZENIE**

**TOM II
ŚRODEK CIĘŻKOŚCI**

**TOM III
OSOBLIWOŚĆ**

**TOM IV
OTCHŁAŃ**

**TOM V
CIEMNA MATERIA**

**TOM VI
GŁĘBIA CZASU**

Tytuł oryginału: *Star Carrier: Dark Mind*

Copyright © 2017 by William H. Keith, Jr.
All rights reserved.

Projekt okładki: Tomasz Maroński

Redakcja: Rafał Dębski

Korekta: Agnieszka Pawlikowska

Skład i łamanie: Ewa Jurecka

Opracowanie wersji elektronicznej: **mobi**sfera

Wydawca:

Drageus Publishing House Sp. z o.o.

ul. Kopernika 5/L6

00-367 Warszawa

e-mail: drageus@drageus.com

www.drageus.com

ISBN ePub: 978-83-65661-46-3

ISBN mobi: 978-83-65661-47-0

*Dla Deb i Brei, jasnych światel rozjaśniających mój mroczny
umysł...*

PROLOG

Nazywali siebie Świadomością i byli bardzo, bardzo starzy.

Jak starzy? Nie umieliby nawet odpowiedzieć na to pytanie. Na pewno miliardy lat, jeśli mierzyć czas jednostką używaną przez pewną organiczną formę życia... a być może i więcej – całe biliony, czyli znacznie więcej niż cykl życia jednego wszechświata. Świadomość dopiero niedawno znalazła się w tej nowej, pełnej życia przestrzeni, podążając za grawitacyjnym przyciąganiem i przekraczając ściany multiwersum w poszukiwaniu syreniej pieśni Umysłu. Czują liczne ślady zaawansowanej inteligencji. Pragnęła ją odnaleźć i połączyć się z nią. Zasymilować ją, nagiąć do własnej woli.

Świadomość wkroczyła tu poprzez sztuczne wrota, przez krążącą z zawrotną prędkością rozetę z czarnych dziur, która rozdzierała samą tkankę czasoprzestrzeni. Samo to urządzenie było oczywistym dowodem na istnienie w tym wszechświecie zaawansowanej inteligencji i technologii. Tak zwana Czarna Rozeta znajdowała się w samym centrum czegoś, co wyglądało na gromadę kulistą dziesięciu milionów gwiazd, a co w rzeczywistości było resztkami dawnego centrum karłowatej galaktyki, której pozostałą część pożarła dużo większa struktura, zwana przez niektórych jej mieszkańców Drogą Mleczną.

Miliard lat wcześniej karłowatą galaktykę zamieszkiwała zbieranina niezwykle różnorodnych biologicznie inteligentnych gatunków. Większość z nich... przekroczyła granicę. Nie istniało na to lepsze określenie. Gatunki osiągnęły fazę technologicznej osobliwości, która sprawiła, że przestał interesować je już zwyczajny, złożony ze zwykłej materii kosmos. Została tylko

garstka istot. Pozostawieni przez osobliwość stworzyli wspólnie nową cywilizację, którą nazwali Sh'daar.

Gwiazda Kapteyna była jednym ze słońc tej karłowatej galaktyki, ojczyzną rasy, która zdecydowała się w całości przyjąć cyfrową formę i przeniosła świadomość bilionów istot do obwodów elektronicznych. Ich sieć oplatała całą planetę. Egzystowali tam przez całe eony w zwolnionym tempie, doświadczając sekundy lub dwóch przez każde mijające na zewnątrz tysiąc lat, podróżując w ten sposób praktycznie do swej odległej przyszłości. We własnym zdigitalizowanym wszechświecie doświadczali niemal nieograniczonych możliwości, światów bogatszych, pełniejszych i ciekawszych niż cokolwiek, co miał do zaoferowania naturalny kosmos.

Przynajmniej do teraz.

Bo w tej chwili ich kosmos otaczała Świadomość. Spowolniła część siebie, by łatwiej połączyć się ze zmienionymi w bity tubylcami, i rozpoczęła proces ich wchłaniania.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

12 października 2425

Kurs na Heimdalla na orbicie Gwiazdy Kapteyna

Godzina 8.40 GMT

Pięć smukłych myśliwców paneuropejskich KRG-17 przeleciało obok Bifrostu, posępnego gazowego olbrzyma z pierścieniem lodowych księżyców, zawdzięczającego swoją nazwę tęczowemu mostowi z mitologii nordyckiej. Kapitänleutnant Martin Schmidt próbował zwiększyć moc sensorów, ale ustawienia już były maksymalne. W głowie słyszał jedynie szum. Skutek promieniowania z planety? Być może. Tamtejsze burze magnetyczne potrafiły być naprawdę srogie.

Schmidt był jednak przekonany, że źródło zakłóceń jest inne. Nie przypadkowy szum naładowanych cząstek przyspieszonych przez pole magnetyczne Bifrostu, ale coś celowego...

– Adler Eins zu „Himmelschloss” – odezwał się. – Adler Eins zu „Himmelschloss”.

Odpowiadał mu jedynie szum. Spróbował ponownie.

– Orzeł Jeden do „Niebiańskiego Zamku”. Powtarzam, Orzeł Jeden do „Niebiańskiego Zamku”, odpowiedzcie. Jaka jest sytuacja taktyczna na Heimdallu? Jesteśmy tu całkowicie ślepi. Odbiór.

Nadal nic.

– Co tam się dzieje, Kapitänleutnant? – spytała Leutnant Andrea Weidman z Orła Pięć. – Duchy?

Duchami nazywali niezidentyfikowane jednostki, które pojawiały się w tym układzie w ciągu ostatniego miesiąca – na początku pojedynczo, potem w coraz większych grupach. Niewątpliwie były to jakiegoś rodzaju statki kosmiczne, niezwykle zaawansowane technologicznie. Wszelkie próby kontaktu spełzły jednak na niczym.

– Być może – odparł Schmidt. – Właśnie tego musimy się dowiedzieć. Eskadra Orłów, uruchomić systemy maskowania i załadować broń.

Czarne powierzchnie myśliwców falowały i przesuwały się. Po schowaniu skrzydeł przybrały kształt kropli wody. Choć nie były całkiem niewidoczne, ich nanokamuflaż pochłaniał każdy impuls radarowy, każdy promień światła. Systemy kontroli środowiska zaczęły też przechowywać ciepło wewnątrz kadłuba, zamiast wypuszczać je na zewnątrz, widoczne w podczerwieni.

Pięć paneuropejskich myśliwców przeleciało pod szerokie, lśniące pierścienie Bifrostu, których kręgi przypominały antyczne dwudziestowieczne płyty gramofonowe. Gwiazda Kapteyna, tutejszy czerwony karzeł, była odległym punkcikiem, prześwitującym przez pierścienie. Znajdowała się trzy i pół jednostki astronomicznej od Bifrostu, przez co dawała mu niewiele światła i jeszcze mniej ciepła.

– „Himmelschloss” – znów odezwał się Schmidt – słyszycie mnie?

Jego słowa przesłane zostały z użyciem osłoniętej wiązki kierunkowej, ale Schmidt wiedział, że niedługo będzie musiał zachować pełną ciszę radiową.

Nadal bez odpowiedzi. „Himmelschloss”, czyli „Niebiański Zamek”, był paneuropejskim ciężkim monitorem, który sprowadził ich do tego układu. Leciał kilkaset tysięcy kilometrów za nimi, od Heimdalla oddzielał go pokryty burzami Bifrost.

– Jeśli to duchy, nie będziemy w stanie z nimi walczyć, Marty – stwierdził Leutnant Herko Dobrindt na prywatnym kanale. –

Nie w tych antykach.

Schmidt właśnie pomyślał to samo. Myśliwce produkcji francusko-niemieckiej KRG-17 Raschadler były od dwudziestu lat przestarzałe. Wciąż jednak potrafiły wykazać się skutecznością – może nie były tak zwrotne jak nowe jednostki północnoamerykańskie, ale wyposażono je w najnowszą broń. Schmidt wątpił jednak, czy nawet KRG-40 Raumsturm, prosto z fabryki, miałyby szanse w walce z...

...czymkolwiek były te obiekty.

Za szeroką płaszczyzną pierścieni olbrzyma już widniał pomarańczowy półksiężyc. Był to Heimdall, satelita wielkości Ziemi, ogrzewany przez siły pływowe Bifrostu. Temperatura na powierzchni wynosiła kilka stopni poniżej zera Celsjusza. Naukowcy twierdzili, że dawno temu, przed miliardem lat, Heimdall był ciepły i podobny do Ziemi.

Heimdall, podobnie jak jego słońce, był bardzo stary.

– Widzę tu duchy – oznajmił nagle Leutnant Gerd Heller. – O Boże, ile ich jest!

– Nagrywajcie wszystko – rozkazał Schmidt. – Wszystko!

Bifrost wydawał się okryty cienką warstwą zwiewnego światła. W pierwszej chwili Schmidt uznał, że widzi tutejszą zorzę polarną – silne pole magnetyczne Heimdalla mocno wpływało na burze naładowanych cząstek wirujące nad Bifrostem. Przy bliższym przyjrzeniu się stwierdził jednak, że blask powodują otaczające planetę chmury, wyglądające z tej odległości jak mgiełka, ale najwyraźniej składające się z bilionów obiektów o wielkości od paru milimetrów po kilka metrów.

I... było coś więcej. Dużo więcej. Ogromne kształty, większe niż Heimdall, a nawet niż olbrzymi Bifrost, były ledwie widoczne i Schmidt początkowo myślał, że to tylko złudzenie. Z jego punktu widzenia, spod pierścieni Bifrostu, wyglądało to, jakby Heimdall zawieszony został w gigantycznej, lecz cieniutkiej jak pajęczyna sieci, tak ulotnej, że trudno było w ogóle zauważyć jej istnienie.

A mimo to wypełniała całą widoczną przestrzeń...

– Stacja orbitalna Kapteyn zniknęła! – oznajmił Dobrindt.

– Wiemy o tym – odparł Schmidt.

– Ale nie ma ani śladu wraku, żadnych szczątków. Coś tak wielkiego nie mogło po prostu się rozpuścić!

Zgadza się, nie mogło – pomyślał Schmidt.

Stacja była torusem Stanforda, mieszczącym ponad dwanaście tysięcy ludzi. Stanowiła główną bazę kolonii naukowej Konfederacji, zbudowaną w celu badania tajemniczych ruin na księżycu, wokół którego orbitowała. Wkrótce po przybyciu Obcych z Rozety, sześć miesięcy wcześniej, baza uległa zniszczeniu.

A przynajmniej zniknęła bez śladu. Niektórzy mieli nadzieję, że została w jakiś sposób przeniesiona w inne miejsce.

Tak jednak nie było, a to oznaczało, że szanse na znalezienie dwunastu tysięcy ludzi Konfederacji żywych spadły do zera. Ciężki monitor „Himmelschloss” wyruszył do układu Kapteyna, by zbadać sprawę.

Myśliwiec Schmidta zatrzęsł się. Jego instrumenty pokazywały coś, co wyglądało na zaburzenia czasoprzestrzeni, dochodzące od strony Bifrostu. Wzrósł też poziom szumu radiowego, a wszystkie pięć myśliwców ogarnęło światło, przypominające dziwną zorzę polarną.

– Eskadra Orłów, tu się rozstajemy. Utrzymajcie ciszę radiową. Do zobaczenia... po drugiej stronie.

– Powodzenia, Marty – odpowiedział Dobrindt. – Cisza za...

Pozostałe cztery jednostki, niemal niewidoczne z tej odległości, zwolniły, znalazły się za rufą. Myśliwiec Schmidta dryfował naprzód z wyłączonymi wszystkimi systemami, poza pasywnymi skanerami i układem podtrzymywania życia, który walczył teraz z rosnącymi temperaturami. Nikt nie wiedział, czy obce duchy będą w stanie namierzyć myśliwiec, czy nie... Ani czy w ogóle będą próbowały. Wydawały się zupełnie nie przejmować jakimiś tam ludźmi. Lepiej jednak się zabezpieczyć.

Schmidt zgłosił się na ochotnika, jeszcze na pokładzie „Himmelschlossu” podczas podróży z Ziemi. Lecz w tej chwili, gdy leciał w stronę rozświetlonego księżyca, w dużo mniejszym stopniu wierzył w powodzenie misji. Wyłonił się z cienia pierścieni, mając teraz przed sobą blade, czerwonawe światło słońca. Jego sensory nie wykrywały już pozostałych myśliwców, zagubionych wśród promieniowania i pól magnetycznych gazowego olbrzyma.

Schmidt czuł się samotny i zdezorientowany. Nigdy do tej pory nie doświadczył czegoś podobnego, nawet dekadę wcześniej, gdy zostawił go partner, z którym spędził dwadzieścia kilka lat. Nie przeżyję tego – pomyślał. Ale zaraz doszedł do wniosku, że nie ma co się zadręczać. Szybko kliknął w myślach serię ikon, widocznych na mentalnym obrazie, kompresując wszystkie dane, zebrał je w nanosekundową wiązkę i wysłał w kierunku pozostałych myśliwców. Mogła nigdy do nich nie dotrzeć albo zostać przechwycona przez obcych. Tak, ale właściwie kto miał jakieś pojęcie, do czego byli zdolni?

Czas mijał. Schmidt co minutę wysyłał kolejną wiązkę kierunkową. Tymczasem sieć migających świateł, dziwne struktury i kształty rozszerzały się, aż wypełniły całe niebo z pierścieniem w samym sercu dziwnego zjawiska. Martin powiększył obrazy, przyglądając się aktywności zarówno na powierzchni, jak i na orbicie. Stacja orbitalna Kapteyn rzeczywiście zniknęła. Nie został po niej nawet pył.

Podczas gdy ciemna, milcząca kropla przemierzała niebo nad Heimdallem, duchy najwyraźniej ją zauważyły. Schmidt zobaczył strumień świateł unoszący się z powierzchni księżyca. Przypominały mu świetliki.

Coś jeszcze unosiło się znad okrytego światłem globu. Coś ogromnego.

– Mein Gott...

Usłyszał, jak chmury przeszywają zewnętrzny kadłub jego myśliwca. Poczul szok, gdy nanomacierz zaczęła się rozpadać.

Krzyczał, podczas gdy Orzeł Jeden przestawał istnieć.

26 października 2425

Centrum konferencyjne Watergate
Waszyngton
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Godzina 20.15 EST

Przyjęcie dyplomatyczne szło pełną parą, z ponad tysiącem fizycznie obecnych uczestników i mnóstwem takich, którzy brali w nim udział jedynie wirtualnie. Ich hologramy były lekko przezroczyste, lecz nie z powodu ograniczeń technologicznych, ale po to, by na pierwszy rzut oka dało się stwierdzić, kto z rozmówców jest tylko projekcją osoby znajdującej się na drugim końcu Ziemi lub nawet poza nią.

Alexander Koenig, obecny prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, stał w Wielkiej Galerii Watergate, której zakrzywione, przezroczyste ściany obracały się powoli, ukazując nocną panoramę Waszyngtonu. Wielka Galeria, położona pod kopułą wielkości stadionu o średnicy niemal dwustu metrów, na szczycie czterdziestopiętrowej wieży, pełna była dygnitarzy – polityków, wojskowych i znanych osobistości z całego świata. Wszyscy zebrali się tam, by uczcić równoczesne otwarcie paneuropejskiej ambasady w Waszyngtonie i ambasady USNA w Genewie.

Oraz, przy okazji, chcieli nareszcie uczcić pokój.

Widać było całą gamę strojów, od mundurów galowych po modną w tym sezonie nagość. Prezydent Koenig miał na sobie dość prosty, uroczysty kombinezon z prezydencką pieczęcią tuż nad holograficznym obrazem jego odznaczeń wojskowych. Wokół krążyli jego osobiści ochroniarze, w czarnych mundurach i nieprzejrzystych hełmach. Koenig uśmiechnął się, widząc, jak hełmy zwróciły się w stronę Generalleutnanta

Reinhardta Kurza, gdy ten podszedł bliżej. Najwyraźniej pomyślnie przeszedł inspekcję, bo ochroniarze go przepuścili.

Zaczyna się – pomyślał Koenig.

– Panie prezydencie? – odezwał się cicho generał. Mówił po angielsku, nie korzystając z tłumacza. – Mam... wieści.

W pobliżu unosiło się kilka dronów prasowych, przypominających Koenigowi, że musi uważać na słowa. Choć w zasadzie i tak zawsze musiał. To jedna z wad prominentnej pozycji w polityce. W tonie Kurza coś jednak wskazywało na to, że muszą porozmawiać na osobności.

Koenig spojrział na drony, po czym kliknął w myślach ikonę polecenia w menu bezpieczeństwa, które pojawiło się w jego głowie. Dał w ten sposób znać ochroniarzom, że ta rozmowa jest prywatna i należy zablokować do niej dostęp maszynom.

Prezydent Koenig wiedział już większość tego, co miał powiedzieć mu paneuropejski generał, ale w międzynarodowej polityce zawsze opłacało się ostrożnie podchodzić do zdradzania się z poziomem wiedzy i skutecznością wywiadu.

W głowie Koeniga pojawiło się zielone potwierdzenie. Skinął głową na Kurza.

– Proszę mówić, panie generale. Możemy rozmawiać swobodnie.

Drony już odlatywały w różne strony, szukając innych smakowitych kąsków. Koenig wiedział jednak, że kilka z nich pewnie będzie się kręcić w okolicy, czekając na kolejną szansę, by go nagrywać.

Kurz wziął głęboki oddech.

– Sir, stacja orbitalna Kapteyn uległa zniszczeniu. Mamy potwierdzenie. Nic nie zostało.

– Kurwa mać – odparł Alexander Koenig, mając nadzieję, że brzmi przekonująco.

– Było na niej przynajmniej dziesięciu Amerykanów, gdy... znikła – dodał Kurz. – Ich nazwiska przekazano pańskiemu Departamentowi Stanu.

– Dziękuję, generale.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Choć tyle mogliśmy zrobić, panie prezydencie.

Przez chwilę stali obok siebie, naprzeciwko przeźroczyściej ściany galerii, z której widać było teraz Potomak i Wyspę Roosevelta na zachodzie. Dalej zaś mrok rozświetlało kilka świateł. Sporą część Wirginii Północnej wciąż pokrywały mangrowe bagna i błotniste równiny. Do niedawna cały obszar Waszyngtonu był częścią Peryferii, utraconych przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, w większości zalanych przez rosnący poziom wód kilka wieków wcześniej. Wkrótce jednak złączą tam pracować nanofabryki, tworzące nowe arkologie z kamieni, gleby i gruzu.

Stary kompleks budynków Watergate na wschodnim brzegu rzeki dawno temu zawalił się, obmywany przez pływy, które zalały większość dawnego Waszyngtonu. Jednakże od czasu objęcia urzędu przez Koeniga udało się odzyskać wiele z porzuconych regionów. Mangrowe bagna Waszyngtonu osuszono, a system wałów i tam chronił miasto przed kolejnym zatopieniem. Budynki odbudowywała armia nanobotów, odpowiednio zaprogramowanych i wpuszczonych w błoto i gruz. Gdzie tylko się dało, odnawiano lub odbudowywano dawne pomniki i gmachy, ale większość budynków była całkiem nowa, tak samo jak i ogólny plan miasta. Podczas gdy dawne miasto zaprojektował Pierre Charles L'Enfant, nowe plany były dziełem Franka Lloyd Wrighta, sztucznej inteligencji, która nieźle sprawdziła się już w Columbus i w Ruinach Manhattanu.

W miarę jak kopuła się obracała, Koenig i Kurz patrzyli na kolejne miejsca. Na południu i wschodzie nowe miasto lśniło mrowiem świateł. Wciąż mieszkało tam dość mało ludzi, mniej niż pięćdziesiąt tysięcy, ale Koenig był pewien, że populacja Waszyngtonu niedługo wzrośnie.

Nigdy nie brak w końcu tych, którzy chcą być jak najbliżej władzy. Pokręcił głową na tę cyniczną myśl. Nie, to czas na optymizm. Nowy start po tym, jak Konfederacja zniszczyła

Columbus. Dosłownie tworzymy dla siebie nowy świat. Spojrzał na człowieka, który powinien być jego wrogiem. Chciał, żeby jego nadzieje nie były bezpodstawne.

Po dłuższej ciszy Kurz spojrział na prezydenta z wyraźnym zakłopotaniem.

– Herr Koenig, nie wiem, jak to powiedzieć, ale...

Koenig wiedział, o co chce prosić Konfederacja. Od czasu wielkiego cyberataku na genewski komputer centralny kilka miesięcy wcześniej niewiele było paneuropejskich sekretów, do których nie miał dostępu wywiad USNA.

– Zwykle uważam, że najlepsze jest podejście bezpośrednie. Cokolwiek to jest, na pewno nie będzie dla mnie aż tak szokujące.

– Zamierzamy – powiedział Kurz ostrożnie – jak najszybciej wysłać ekspedycję do Gwiazdy Kapteyna. Chcemy sprawdzić, czy ktokolwiek przeżył. Mamy powody, by podejrzewać, że na jednej z planet wewnętrznych tego układu są ludzie.

– Rozumiem...

– Chcemy także, jeśli to możliwe, nawiązać kontakt z istotą z Rozety.

Koenig uśmiechnął się. Jego doradcy powiedzieli, że gdy Paneuropejczycy w końcu formalnie złożą prośbę, powinien ich zbyć, powiedzieć, że musi skonsultować się ze swoimi ludźmi.

– Oczywiście, Herr Generalleutnant – odparł zamiast tego. – Z chęcią weźmiemy udział w waszej ekspedycji.

Kurz zmarszczył brwi.

– Zaskoczył mnie pan, panie prezydencie. Pozytywnie, ale zaskoczył! Nie musi pan najpierw przedyskutować tego z doradcami?

– Nieszczególnie. Wiedziałem już o większości tego, co mi pan powiedział. Zapewne pan także wiedział, że wiem.

– No... tak...

– Teraz niech pan zapamięta, że nie lubię gier, ani politycznych, ani innych.

– Doceniam to, panie prezydencie.

Koenig rozejrzał się, po czym uruchomił wewnątrz swojej głowy wyszukiwanie. Musiał być gdzieś tutaj... A, jest!

Gene? – odezwał się w myślach Koenig, otwierając bezpośrednie połączenie między implantami. Chodź no tutaj.

Już idę, panie prezydencie.

Admirał Gene Armitage odłączył się od grupy osób po drugiej stronie wielkiej sali i ruszył w stronę Koeniga i paneuropejskiego generała. Armitage był przewodniczącym Kolegium Połączonych Szefów Sztabów i głównym doradcą wojskowym prezydenta. Człowiekiem, który przewodził planowaniu każdej nowej operacji wojskowej.

– Herr Generalleutnant Kurz... Przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, admirał Armitage.

– Poznaliśmy się już chyba, admirale? Dobrze pana widzieć.

– W zeszłym miesiącu w Genewie. – Armitage skinął głową. – Cała przyjemność po mojej stronie.

– Gene, wyślemy wspólną z Konfederacją ekspedycję do Gwiazdy Kapteyna – oznajmił Koenig. – Omów, proszę, szczegóły z generałem i dopilnuj ich wykonania.

– Tak jest, panie prezydencie – odparł Armitage z pokerową twarzą. Co było godne pochwały, zważywszy, że to on nalegał, aby Koenig na razie nie udzielał Paneuropejczykom odpowiedzi.

Największym problemem – pomyślał Koenig, zostawiając obu wojskowych samych – jest to, że na razie mało kto w siłach zbrojnych USNA ufa Konfederacji.

Brytyjczycy byli w porządku. Ich zmiana stron podczas wojny przyspieszyła rozpad sił wroga. Rosjanie, Hindusi... USNA jakoś z nimi współpracowały. Ale zniszczenie miasta Columbus przez Paneuropejczyków w zeszłym roku nie ułatwiało sprawy. To, że za atak rzekomo odpowiadali renegaci w rządzie genewskim, wcale nie pomagało. W dawnych Stanach Zjednoczonych wciąż było wielu takich, którzy chcieli oskarżyć Paneuropejczyków o zbrodnie przeciwko ludzkości.

To się nie zdarzy – pomyślał Koenig. Zakulisowe umowy

zawarte przez jego administrację przed publicznymi negocjacjami zagwarantowały Konfederacji brak oskarżeń o zbrodnie wojenne, jeśli zgodzą się na rozmowy pokojowe. Na tę strategię naciskał Konstantin, potężna sztuczna inteligencja, znajdująca się na Księżycu. USNA może i wygrywały wojnę z Konfederacją, ale potrzebowały pokoju. Były w niemal tak kiepskim stanie, jak Paneuropejczycy – być może nawet gorszym po atakach na amerykańskie miasta – a w obliczu zagrożenia ze strony Obcych z Rozety ludzkość musiała się zjednoczyć za wszelką cenę.

Koenig nie zawsze rozumiał logikę Konstantina, ale tym razem wydawała się dość oczywista. Wciąż nie było jasne, czy kosmici mają wrogie zamiary wobec samej Ziemi, ale zniszczyli już ludzkie okręty i bazy, więc ludzkość musiała zapomnieć o małostkowych sporach geopolitycznych.

Szczególnie zważywszy na to, że Sh'daar, podróżujący w czasie kosmici z dalekiej przeszłości, chcąc powstrzymać ludzi przed osiągnięciem osobliwości technologicznej, zawsze czyhali gdzieś w tle. Zgodzili się na zawieszenie broni, ale jak długo to potrwa? Ich dalekosiężne motywy wciąż nie były jasne.

W cieniu czterech ochroniarzy Koenigowi udało się dotrzeć do jednego z kilku barów w powoli obracającym się pomieszczeniu. Jego obstawa poruszała się z płynnością zdradzającą istotny fakt: obecnie ochronianiem prezydenta zajmowały się roboty, szybsze i silniejsze niż cokolwiek z krwi i kości. Mogły ledwie uchodzić za ludzi, choć ich celowo androginiczne cechy sprawiały, że wyglądały nieco niesamowicie. Widać było, że nieustannie obserwują wszystkich w pomieszczeniu, poza osobą, którą chronią.

Koenig zamówił jovian sunspot u robota obsługującego bar. Spojrzał na jednego ze swoich elektronicznych ochroniarzy i uniósł brew.

– Spokojnie, to jeden z waszych.

– Oczywiście, panie prezydencie – odparł android, ale i tak dokończył skan. Procedury bezpieczeństwa były dużo

dokładniejsze i bardziej zautomatyzowane od czasu konfederacyjnego ataku na Columbus.

Nie żeby na to narzekał.

– Panie prezydencie – usłyszał za plecami kobiecy głos. – Nie miałam okazji powitać pana w Waszyngtonie.

Koenig obrócił się i stanął twarzą w twarz z Shay Ashton – teraz gubernator Shay Ashton. Dawniej była świetną pilotką myśliwców USNA, zaś na wojskowej emeryturze wróciła w swoje rodzinne okolice i dowodziła obroną ruin, gdy Konfederacja próbowała zagarnąć część rzekomo porzuconych amerykańskich Peryferii. W czasie reintegracji Waszyngtonu z resztą kraju pełniła obowiązki gubernatora, a obecnie została formalnie wybrana na to stanowisko. Chodziły plotki, że planuje zostać reprezentantką dawnego Dystryktu Columbia w Kongresie w przyszłorocznych wyborach, chociaż nie ogłosiła jeszcze formalnie kandydatury.

Koenig uśmiechnął się.

– Pani gubernator! Miło panią znów widzieć.

Dwa z chroniących go androidów przeskanowały ją bardzo dokładnie, sprawdzając, czy nie ma przy sobie broni, ładunków wybuchowych lub czegokolwiek, co mogłoby zagrażać głowie państwa. Trudno by jednak było jej cokolwiek schować, zważywszy, że miała na sobie jedynie otoczkę z falującego, zielononiebieskiego światła i lśniący na piersi obraz wstęgi Gwiazdy Wolności. Na prawym policzku Ashton łopotał skrzydłami animowany tatuaz jaskrawozielonego motyla.

Uśmiechnęła się słodko do jednego z robotów.

– Czyżby coś ci się podobało?

– Starczy tego – Koenig odezwał się do ochroniarzy. – Znam panią Ashton od dawna i jeśli jest zagrożeniem, to raczej dla naszych wrogów.

– Oczywiście, panie prezydencie – odparł jeden ze strażników, ale i tak dokończył skan, podobnie jak w przypadku robota barowego.

– Maszyny – westchnęła Shay. – Wciąż nie mogę się do nich

przyzwyczać.

– W pełni panią rozumiem – odparł Koenig, choć pomyślał, że w zasadzie to nie rozumie. Nie mógłby zrozumieć. Shay dorastała poza zaawansowanym technologicznie bąbelkiem USNA, w miejscu, gdzie ludzie musieli uprawiać rolę i łowić ryby, żeby przeżyć. Oczywiście zdobyła doświadczenie z nowoczesnym sprzętem – z robotami, protezami genetycznymi, sztucznymi inteligencjami i nanotechnologicznymi implantami mózgowymi – podczas służby w Marynarce, ale żeby się do tego naprawdę przyzwyczać, trzeba było dorastać z tą technologią. Nawet teraz miliony ludzi w całym kraju były prymami – wychowanymi na Peryferiach prymitywami, którzy nie mieli dostępu do nowoczesnej technologii albo uzyskali go dopiero w dorosłym życiu.

Jej wyraz twarzy zdradzał, że go przejrzała.

– Przepraszam. – Wzruszył ramionami.

– W porządku, panie prezydencie. – Prawym palcem wskazującym dotknęła czoła, a lewym klatki piersiowej. – Niewiele panu brakuje. Trzydziestu centymetrów.

Uśmiechnął się i skinął głową. Trzydzieści centymetrów – odległość między mózgiem a sercem. Wiedzieć a czuć to dwie różne rzeczy.

Koenig lekko ścisnął swój jovian sunspot, tak że wieczko rozsunęło się, wypuszczając małą, gęstą chmurę zielonkawego gazu. Wciągnął ją nosem, delektując się mrowieniem idącym aż do mózgu. Uśmiechnął się do Ashton.

– Może też chce pani jednego? Są niezłe...

– Nie, dziękuję. Prymowie miewają problemy ze stymulantami mózgowymi. Źle na mnie działają.

Zielona chmura składała się z mikroskopijnych nanobotów, zaprogramowanych do wysyłania przyjemnych doznań bezpośrednio do mózgu za pośrednictwem opuszki węchowej. Zmysł węchu był jedynym połączonym bezpośrednio z mózgiem. Zamiast iść przez długi łańcuch nerwów,

stymulanty mózgowie dawały przyjemne uczucie euforycznego rauszu bez przytępienia czy kaca. Ludzie, którym wszczepiono implanty mózgowie jako dorosłym, a nie dzieciom, mieli jednak problem z tą burzą doznań. Mogli stracić równowagę, a nawet przytomność.

– Oczywiście.

– Czyli to się dzieje, panie prezydencie? Ten nowy sojusz?

– Wygląda na to, że to najlepsze, co możemy zrobić dla Ziemi.

– O ile będziemy mogli im zaufać. – Skinęła głową w stronę generała Kurza, dyskutującego z Armitage'em.

– Cóż... tak.

– Niektórzy z nich chcieli sprzedać nas Sh'daarom.

– Zdaję sobie z tego sprawę, pani Ashton. I w pewnym stopniu się z panią zgadzam. Ale Konstantin twierdzi, że nie przetrwamy kolejnego spotkania ze Sh'daar bez współpracy z Konfederacją... Nie mówiąc już o Obcych z Rozety. Zjednoczymy się lub zginiemy. Nie ma innego wyjścia.

– Konstantin – skrzywiła się. – Kolejna maszyna.

– Maszyna tysiące razy inteligentniejsza i miliony razy szybsza niż jakikolwiek organiczny mózg, jaki znamy.

– No tak. Inteligentniejsza... Na tyle, że nie mamy pojęcia, co tak naprawdę myśli. Ani co planuje.

Uśmiechnął się.

– Może chciałaby pani wziąć udział w najbliższym zebraniu mojego gabinetu.

Wyraźnie była w szoku.

– Och, przepraszam! Nie chciałam sugerować...

Machnął ręką.

– Nie, nie. W porządku. Po prostu wyobrażam sobie, jak kłóci się pani z Sarą Taylor, sekretarzem spraw obcych. Albo z Philem Caldwellem. To byłoby ciekawe doświadczenie.

Podszedł do nich admirał USNA w mundurze galowym.

– Czy potrzebuje pan ratunku, panie prezydencie?

– Skądże, Vince. Pani gubernator jedynie kwestionowała pewne państwowe decyzje.

Admirał Vincent Lodge uśmiechnął się do Ashton.

– Może to panią trzeba ratować?

– Daję sobie radę, panie admirale.

– To dobrze. – Lodge spojrział na Koeniga już bez uśmiechu. –

Panie prezydencie, czy mogę na słówko?

– Muszę panią przeprosić, pani Ashton.

– Oczywiście.

Odeszli na bok.

– Co się dzieje?

– Panie prezydencie, dostaliśmy wiadomość przechwyconą przez Konstantina.

Konstantin dysponował łączami na całej Ziemi, a nawet daleko poza nią. Admirał Lodge był szefem wywiadu Marynarki... a przynajmniej ludzkim szefem, jako że w pewnym sensie to Konstantin w rzeczywistości kierował cyberwywiadem. Skoro Lodge przerywał mu w tej sprawie, oznaczało to, że sztuczna inteligencja zarejestrowała jakąś zapewne tajną, a na pewno ważną transmisję.

– Tak?

– W normalnej przestrzeni zaraz za orbitą Neptuna pojawił się właśnie kurier i zaczął nadawać. To z Gwiazdy Kapteyna, od ekspedycji, którą tam wysłali.

– Mów dalej.

Okręty kurierskie były szybkimi jednostkami międzygwiazdowymi, które z użyciem napędu Alcubierre'a potrafiły podróżować między układami słonecznymi dużo szybciej niż większe okręty.

– Wiemy, co Obcy z Rozety robią na Heimdallu. Budzą Baondyeddich. Być może ich asymilują.

– Baondyeddich!

– Tak, sir. I chyba po raz pierwszy udało się zobaczyć, co kombinują ci obcy.

– Ma pan moją pełną uwagę – odparł Koenig.

ROZDZIAŁ DRUGI

29 października 2425

TC/USNA CVS „Ameryka”

Kajuta admiralska

Godzina 4.25 TFT

Admirał Trevor „Piachu” Gray obudził się w ciemnym, pustym pomieszczeniu. Wciąż niewyspany, wyciągnął rękę w bok, lecz znalazł jedynie pustkę. Gdzie była? Zabrało mu kilka chwil stwierdzenie, gdzie był on sam... W swojej kajucie na pokładzie gwiazdowego lotniskowca „Ameryka”.

Cholera, to wydawało się takie prawdziwe.

Jak zawsze.

Jego partnerka w symulacji erotycznej miała na imię Marie. Przynajmniej tym razem nie była Angelą, jego byłą żoną, ani jego ostatnią rzeczywistą partnerką, Laurie Taggart, która niedawno dostała przeniesienie na „Lexingtona”. Marie była czystą fikcją, stworzoną przez jedną ze sztucznych inteligencji „Ameryki” i luźno opartą na nazywającej się tak samo aktorce z popularnego seks-serialu. Produkcje przesyłane bezpośrednio do implantów mózgowych były powszechną formą rozrywki i edukacji. Gray wolał zaspokajać potrzeby seksualne z elektronicznymi awatarami niż z seksbotami. Doznania i skutki były te same, ale wszystko miało miejsce w jego głowie, a nie w łóżku. Czuł się dokładnie tak, jakby obudził się ze snu, pusty w środku i nieco samotny.

– Admirale Gray – odezwał się głos w jego głowie. – Admirale,

przepraszam, że pana budzę, ale powoli się zbliżamy.

– Dobrze – odparł Gray. Głos należał do Erica Conrada, jego nowego szefa sztabu. Trevor usiadł, rozciągnął się i kliknął w myślach włącznik światła.

Pamięć o spotkaniu z Marie nie zniknęła po obudzeniu.

Wspomnienia zapisane zostały w jego pamięci długotrwałej. Ludzki mózg nie potrafił odróżnić tego, co działo się w jego sieci neuronów, od tego, co działo się w prawdziwym świecie.

W jakiś sposób pogłębiało to jego samotność.

Ale przynajmniej dzięki temu jego życie seksualne było mniej skomplikowane.

– Jak blisko jesteśmy? – spytał na otwartym kanale. Wziął z dyspensera małą kapsułkę i przyłożył ją do nagiej piersi. Nanomateriał stał się półpłynny i rozlał się po całym ciele, szybko przybierając formę obcisłego kombinezonu, łącznie z oznakami stopnia przy szyi.

– Dwanaście tysięcy kilometrów, sir – odparł Conrad. – Drony wysyłają niezłej jakości obrazy.

– Na ekran.

Ściany kajuty Graya przyciemniły się, a następnie rozjaśniły, pokazując projekcję otaczającej ich przestrzeni. Wśród aksamitnej czerni wisiały gwiazdy. Bezpośrednio przed nimi widoczny był obraz AGTR – Anomalii Grawitacyjnej Texaghu Resch. Z tej perspektywy wyglądała jak idealne koło o szarym obwodzie, otoczone chmurą pyłu i szczątków.

Znane jako węzeł Sh'daar albo AGTR koło było w rzeczywistości pustym w środku cylindrem z niesamowicie gęstej materii o długości dwunastu kilometrów i szerokości jednego kilometra, obracającym się wokół swojej długiej osi z prędkością bliską świetlnej. AGTR, położona ponad dwieście lat świetlnych od Układu Słonecznego, była wyraźnie sztucznym produktem niesamowicie zaawansowanej cywilizacji. Istniało ich więcej – być może dziesiątki tysięcy, rozsianych po całej Galaktyce jako jakiś rodzaj sieci transportu czasoprzestrzennego. Kiedyś ziemski wywiad wojskowy był

przekonany, że stworzyli je Sh'daar. Na pewno ich używali, tak jak i ziemscy podróżnicy gwiazdni. Nikt jednak nie był pewien, kto właściwie je zbudował, nawet handlarze informacjami znani ludziom jako Agletsch. Większości zresztą wystarczyło to, że działały.

Ta konkretna AGTR była pierwszą odkrytą przez Ziemiaków dzięki informacjom pozyskanym od Agletsch. Niedawno dostała nazwę kodową Tipler, po dwudziestowiecznym fizyku Franku Tiplerze, który opracował hipotetyczny model cylindrów Tiplera – ogromnych obszarów gęstej materii, pozwalających na podróż między odległymi miejscami w kosmosie, a nawet na podróże w czasie. AGTR okazały się czymś podobnym, choć zamiast litych cylindrów były wydrążonymi w środku przewodami. Ich sposób działania był jednak taki sam.

Obecnie znano kilkanaście takich obiektów i wszystkie nosiły nazwiska znanych fizyków i kosmologów z ostatnich kilkuset lat. Gray czasami zastanawiał się, czy zdziwiliby się, widząc, że ich teorie się ziściły.

Okrąg rósł w miarę, jak „Ameryka” i jednostki wspierające się zbliżały. Gray wiedział, że cylinder stanowi masę podobną do słonecznej, skompresowaną do czegoś w rodzaju budulca gwiazdy neutronowej. Wewnątrz obracały się masy wielkości Jowisza, rozciągając lokalną czasoprzestrzeń. Mgiełka wokół częściowo składała się z pyłu, a częściowo z zakłóceń grawitacyjnych w przestrzeni otaczającej obiekt.

Przez którą mieli zaraz przelecieć.

– Co z myśliwcami? – spytał Gray.

– VFA-96 jest gotowa do startu, admirale – odparł oficer. – Czeka na rozkaz.

– Wystrzelić myśliwce – rozkazał Gray. – Zająć stanowiska bojowe.

Gdy na okręcie rozległ się alarm, był już w drodze na mostek „Ameryki”.

Porucznik Donald Gregory

VFA-96 „Black Demons”

Godzina 4.40 TFT

– Za wcześnie, kurwa... – jęknął Don Gregory.

– W kosmosie nie ma dnia ani nocy, młody – odparł komandor Luther Mackey, dowódca eskadry. – Nie ma czegoś takiego jak wcześnie albo późno. Przyzwyczaj się.

– To środek nocy – odparł Gregory. – A ja nie zdążyłem nawet wypić kawy.

– Wstałeś dziś lewą nogą, co? – spytał ze śmiechem porucznik Gerald Ruxton na kanale komunikacyjnym. Gregory stwierdził, że Ruxton brzmi, jakby był obrzydliwie rozbudzony. I do tego wesoły. I pomyśleć, że pięć godzin temu obaj pili w okrętowej kantynie, więc powinien być tak samo niewyspany...

– Przejdźmy do rzeczy – zaproponował Mackey. – Kurs sto siedemdziesiąt pięć na minus trzydzieści jeden. Mamy rozkaz startu. „Ameryka” wyłączyła silniki napędowe i dryfuje. Tysiąc pięćset kilometrów na sekundę...

Myśliwiec Gregory’ego, SG-420 Starblade, rejestrował dane przekazywane przez dowódcę. Don czuł, jak spływają również do jego mózgu.

– Start za trzy... – powiedział Mackey – dwie... jedną... teraz!

Umieszczone na poszyciu zewnętrznym drugiego obrotowego modułu mieszkalnego myśliwce z eskadry VFA-96 „Black Demons” zaczęły przesuwać się w dół swoich wyrzutni, napędzane siłą odśrodkową, dającą im przyspieszenie około połowy g. Gregory był trzeci w kolejce. Razem ze starblade’em porucznika Bruce’a Caswella ruszył w ciemność, powoli oddalając się od masywnej osłony dziobowej „Ameryki”, a następnie obrócił myśliwiec tak, by lecieć równolegle z dużo większym lotniskowcem. Okręt miał kształt ponadkilometrowej

długości grzyba. Jego kopuła ochronna była półkulistym zbiornikiem wodnym o średnicy pięciuset metrów. Przed sobą Gregory widział, częściowo zasłonięty przez kopułę ochronną, idealny okrąg AGTR. Wydawał się nieco nieostry przez to, że wciąż się obracał, nie mówiąc o tym, że zakrzywił czasoprzestrzeń.

Pozostałe myśliwce eskadry VFA-96 również opuściły powierzchnię modułu mieszkalnego i uformowały szyk razem z resztą. Dwanaście starblade'ów już przybrało kształt kropli, lepiej przystosowany do wysokich prędkości. Nawet w próżni kosmicznej kształt miał znaczenie w przypadku jednostek osiągających prędkości zbliżone do światła.

– BCI „Ameryka”, tu Demon Jeden – powiedział komandor Mackey. – Wychodzimy spod KL. Wszystkie Demony poza lotniskowcem i w formacji.

– Przyjąłem, Demon Jeden – odparł głos z bojowego centrum informacyjnego „Ameryki”. – Kontrola lotów potwierdza przekazanie prowadzenia do BCI. Możecie manewrować.

– Dobrze, chłopcy i dziewczęta – odezwał się komandor Mackey do reszty eskadry. – Czas nawlec nitki na igłę. Wykonać program.

Przed każdym z myśliwców pojawiły się wąskie osobliwości grawitacyjne, ciągnąc je naprzód, pojawiając się i znikając tysiące razy na sekundę. Przyspieszenie gwałtownie rosło. „Ameryka” najpierw wyprzedziła myśliwce, a następnie zniknęła za ich rufami.

Eskadra VFA-96 wyciągnęła tym razem najkrótszą słomkę. Mieli przeprowadzić „Amerykę” i jej grupę bojową przez wielki, szybko obracający się cylinder. Gregory nie był do końca pewien, czy jest na to gotów. Trzy miesiące temu – albo dwanaście milionów lat później, zależy, jak na to patrzeć – jego myśliwiec uległ uszkodzeniu, a on rozbił się na powierzchni Invictusa, zimnej samotnej planety, dryfującej pośród mroku za krawędzią Galaktyki. Stracił nogi... oraz Meg Connor, kobietę, którą kochał. Nowe kończyny już mu wyhodowano i nauczył się

znów chodzić.

Inne rany były jednak trudniejsze do zaleczenia. Musiał zmusić się, by nie myśleć o Meg. Czarne Demony straciły wtedy wielu pilotów, w tym niemalże jego.

Pomyślał, że może lepiej by było, gdyby on też wtedy zginął.

– Admirał na mostku!

– Spocznij. – Zawołanie i odpowiedź były głównie kwestią tradycji, bo stawanie na baczność w nieważkości nie miało sensu. W każdym razie przerywanie załodze pracującej przy konsolach nie było dobrym pomysłem.

Gray wkroczył na mostek flagowy, korzystając z lin, którymi opleciony był kompleks dowodzenia. Niektóre pomieszczenia „Ameryki”, znajdujące się w obrotowych modułach mieszkalnych – głównie kajuty załogi i wyrzutnie myśliwców – miały przyciąganie dzięki sile odśrodkowej, ale stanowiska dowódcze znajdowały się w wieży wyrastającej z osi okrętu przed sekcjami mieszkalnymi, więc panowała w nich nieważkość.

Gray zasiadł w fotelu dowódcy, który zacisnął się na jego biodrach. Umieścił dłonie na płytach kontaktowych, pozwalając na ich połączenie z osobistym interfejsem neuronowym. Strumienie danych zaczynały przepływać do jego mózgu, otwierać okna w głowie i łączyć go z AI zarządzającą zarówno okrętem, jak i całą flotą.

Oczywiście w nieważkości nie było góry i dołu, ale ze swojego punktu widzenia Gray spoglądał w dół na dziób okrętu. Mostek flagowy stanowił pewnego rodzaju galerię nad centrum dowodzenia, gdzie widział kilkunastu oficerów i załogantów przy konsolach pod czujnym elektronicznym wzrokiem kapitan Sary Gutierrez. Na dużej zakrzywionej ścianie nad wejściem wyświetlała się projekcja otaczającej ich przestrzeni, której centrum zajmował idealny okrąg AGTR. Malejące cyfry podawały odległość i prędkość lotu.

– Demony przelatują – usłyszał w głowie głos kapitan Connie Fletcher. Była CAG „Ameryki”, oficerem dowodzącym myśliwcami i jednostkami pomocniczymi.

– Przekazać im... – Gray zawahał się. Prawie powiedział „z Bogiem”, ale to nie byłoby odpowiednie w tej sytuacji. Byli tacy, którzy uważali, że AGTR rzeczywiście zbudowali eony temu podobni bogom kosmici, zaś Biała Konwencja nie pozwalała na wypowiedzi powiązane z religią. – Że życzę im powodzenia – powiedział w końcu. Może było to dość sztampowe, ale przynajmniej nikogo nie urazi.

– Aye, aye, admirale.

Na ekranie pojawiły się ikony oznaczające dwanaście myśliwców z eskadry „Black Demons”, nałożone na paszczę AGTR. A wtedy...

Zniknęły.

Pokaż układ floty – pomyślał Gray. Ukazał się widok spoza „Ameryki”, otoczonej przez inne ikony. Zaraz za nią leciał krążownik artyleryjski „Leland”, dalej zaś obcy „Bezimienny”. Glothr nie nadawali nazw swoim okrętom, więc biorący udział w ekspedycji ludzie wymyślili własną.

Może nie najmądrzejszą, ale przynajmniej jakąś.

Myśliwce przeleciały przez anomalie. Zaczęli otrzymywać transmisję danych, ale uszkodzonych i pełnych szumów. Komunikacja za pośrednictwem AGTR była zwykle dość zawodna i wymagała precyzyjnie rozmieszczonych nadajników i odbiorników, a także znacznej mocy. Otrzymali jednak dość informacji, by stwierdzić, że myśliwce przeleciały przez anomalie i znalazły się w tej epoce, co trzeba.

Piloci myśliwców nazywali to nawlekaniem nitki na igłę. Była to dość adekwatna analogia. Przestrzeń wewnątrz AGTR miała mniej więcej tyle szerokości, co „Ameryka” długości. W środku anomalii minimalne różnice pozycji i prędkości otwierały jednak znacząco różne ścieżki czasoprzestrzenne. Okręty grupy bojowej „Ameryki” wykonywały starannie zaprogramowaną, precyzyjną serię manewrów w samą paszczę anomalii.

– Tryb automatyczny wszystkich systemów nawigacyjnych – powiedział Gray. – Niech AI nas przeprowadzi.

Ostrzeżenie nie było konieczne – stanowiło bardziej wsparcie duchowe niż cokolwiek innego. Wszystkie dwanaście okrętów z grupy bojowej „Ameryki” prowadziły potężne sztuczne inteligencje. Zapewne okrętem Glothrów też kierował układ nieorganiczny. Biologiczne mózgi, nawet wspomagane implantami, po prostu nie były dostatecznie precyzyjne ani szybkie, by wziąć pod uwagę wszystkie zmienne.

Przez moment, który wydawał się wiecznością, gwiazdny lotniskowiec „Ameryka” był zawieszony na krawędzi między przestrzeniami...

Po czym niewyobrażalne energie chwyciły okręt i przeciągnęły go na drugą stronę.

Porucznik Donald Gregory
VFA-96 „Black Demons”
Godzina 4.58 TFT

Coś dziwnego działo się z czasem.

AGTR miała tylko dwanaście kilometrów długości. Przemierzając się z prędkością dwudziestu kilometrów na sekundę względem obcego portalu, Gregory powinien znaleźć się po drugiej stronie w ciągu dwóch trzecich sekundy. Czuł się jednak, jakby minęło kilkanaście sekund w czasie, gdy niewyraźne, szare ściany anomalii przelatowały przerażająco blisko jego okrętu. W przypadku najmniejszego błędu w obliczeniach myśliwiec zostałby zmiażdżony przez ścianę obracającą się z prędkością bliską światła. Nawet gdyby nie uderzył w rozmazaną powierzchnię, dryf o dziesięć metrów w którąkolwiek stronę oznaczałby inną trajektorię czasoprzestrzenną, a wtedy tylko bogowie wiedzieliby, gdzie się znajdzie. Albo kiedy.

Ściany AGTR nagle znikły, gdy myśliwiec Gregory'ego ponownie wleciał w otwartą przestrzeń pełną gwiazd.

– Mój Boże... – wydusił z siebie, oszołomiony widokiem. Mniejsza o Białą Konwencję, bo właśnie to wyrażało jego uczucia.

Myśliwce „Black Demons” znajdowały się w centrum Chmury N'gai, karłowatej galaktyki, położonej nieco ponad wielką spiralą Drogi Mlecznej. AGTR przeniosła ich też w czasie. Cofnęła mianowicie o jakieś osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat. W tej epoce życie na Ziemi ograniczało się do mórz i dopiero odkrywało, że zróżnicowanie płciowe i różnorodność genetyczna to dobry pomysł.

– Satelita komunikacyjny wypuszczony – oznajmił Mackey. Satelita miał dryfować przy AGTR i nagrywać wszelkie

transmisje od eskadry. Gdyby coś stało się z myśliwcami...

Gregory wolał o tym nie myśleć.

– Mamy towarzystwo, skipper – stwierdził. – Kurs zero-zero-pięć, minus dwa-jeden, odległość dwadzieścia tysięcy.

– Przyjąłem, Greg. Wszystkie Demony, wektor zero-zero-pięć, minus dwa-jeden. Nie rozpoczynać działań bojowych, powtarzam, nie rozpoczynać...

– Chyba że oni zaczną pierwsi – wtrącił Kemper.

Gregory widział już nadlatujące jednostki obcych wewnątrz swojej głowy. Był to powiększony obraz ze skanerów optycznych dalekiego zasięgu, przesłany przez AI myśliwca prosto do mózgu. Obiekty były małe, o szerokości około metra lub dwóch. Miały dziwne kształty, każdy inny. Co ważniejsze, były ich tysiące w nadchodzącej chmurze. Nie wyglądało to na gorące powitanie.

Coś się działo wewnątrz tej chmury. Indywidualne jednostki zmieniały pozycję, jakby formowały jakąś większą strukturę. Na mentalnym obrazie Gregory widział serię idealnie rozmieszczonych pierścieni, z których każdy miał sto metrów średnicy.

Co, do diabła?

– Trzydzieści tysięcy kilometrów – powiedział Mackey. – Musimy...

– Nadchodzą pociski! – krzyknęła porucznik Cynthia DeHaviland przez łącze taktyczne. – Strzelają w nas!

Koherentna wiązka energii uderzyła w Demona Sześć – myśliwiec porucznika Voigta. Starblade zniknął w chmurze białego gazu.

– Rozproszyc się i przyspieszyć! – rozkazał Mackey. – Pięćset g!

Jedenaście pozostałych starblade'ów ruszyło naprzód, zwiększając z każdą sekundą prędkość o pięć kilometrów. Przed nimi chmura srebrzystych obiektów nadal organizowała się w wielką strukturę nieznanego przeznaczenia. Wiazka energii nadeszła przez te starannie umieszczone pierścienie,

a skanery dalekiego zasięgu Gregory'ego odbierały ślady rosnącego ładunku magnetycznego...

– To działa cząsteczkowe! – krzyknął Gregory. – Pierdolone pięciokilometrowe działa cząsteczkowe!

Zastanowiło go, jak im się to udało. Najwyraźniej poszczególne jednostki wroga nie stykały się ze sobą, ale były połączone polami magnetycznymi. Gregory nie rozmyślał jednak zbyt długo, jako że kolejny impuls energetyczny wyleciał spośród pierścieni i niemal trafił w porucznika Caswella, któremu udało się w ostatniej chwili wykonać manewr unikowy.

– Rozproszyć się, do cholery! – wrzeszczał Mackey. – Uzbroić kraity! Celować w gęste części tej chmury!

Każdy starblade miał na pokładzie trzydzieści dwie rakiety V-92 Krait oraz sześć większych i potężniejszych VG-120 Boomslang. Łącznie dysponowali czterystu osiemnastoma raketami o różnej sile. Gregory stwierdził, że nie pomoże to szczególnie w walce z szeroką chmurą miniaturowych obcych jednostek.

Liczył się teraz każdy strzał, musiały być bardzo precyzyjne. Celując w najgęstszy obszar chmury, mogliby zadać obcym największe możliwe straty.

Przynajmniej taką mam nadzieję – pomyślał.

– Ognia!

Gregory miał już wyświetlone ikony sterowania dla pierwszych dwóch kraitów w swoim magazynku. Uzbroił je i ustawił ładunek na sto megaton każdy. W oknie wyświetlonym w jego głowie dominował rój obcych. Pilot powiększył obraz i skoncentrował się na skupisku jednostek – części otwartej architektury ogromnego działa cząsteczkowego wroga.

– Demon Cztery, Fox Jeden! – krzyknął na kanale taktycznym.
– Dwa razy!

Setki lat wcześniej „Fox Jeden” oznaczało wystrzelenie rakiety naprowadzanej termicznie, a obecnie inteligentnej

rakiety jak VG-92 Krait Shipkiller czy starszych kraitów, jak VG-10, obecnie przestarzałych, bo wyposażonych w słabszą AI. Wystrzeliwszy pierwsze dwa pociski, Gregory zmienił cel, załadował dwa kolejne kraity i je wypuścił. Jego główny obraz taktyczny przedstawiał chaotyczną masę myśliwców, celów i powolnych smug rakiet. Pociski wykonywały manewry unikowe, by trudniej było je zestrzelić. Nawet jeśli jemu ledwo przychodziło rozszyfrowanie tego, co widział, AI radziła sobie z tym dużo lepiej. Dzięki temu Gregory mógł skupić się na manewrowaniu starblade'em, starając się nie znajdować tam, gdzie wróg celował z działa cząsteczkowego...

...które znów wystrzeliło chwilę przed tym, jak wybuchły pierwsze kraity. Jeden rozbłysk po drugim, odpowiednik stu milionów ton dynamitu.

Obce jednostki znikwały całymi setkami, schwytane przez rozszerzające się fale uderzeniowe z plazmy i rozbłyski promieniowania elektromagnetycznego. Eksplozje atomowe nie były aż tak skuteczne w próżni, jak w atmosferze, ale temperatura w sercu każdego wybuchu dochodziła do stu milionów stopni. Gdy kule ognia rozproszyły się, w srebrzystym kręgu widać były wielkie dziury. Wyglądało na to, że udało się zakłócić pracę działa cząsteczkowego, a pozostałe fragmenty obcej struktury znów rozproszyły się jako mniejsze jednostki.

Eskadra „Black Demons” przelatowała przez chmurę obcych okrętów. Wszędzie pełno było czerwonych ikon, oznaczających wrogie myśliwce. Gregory precyzyjnie namierzył jeden z obcych pojazdów i wystrzelił z własnej broni cząsteczkowej.

– Uwaga, Demon Cztery! – odezwał się do niego Caswell. – Masz dwa na ogonie!

– Widzę.

Dwie obce jednostki leciały na jego szóstą. Gwałtownie obrócił swojego starblade'a o sto osiemdziesiąt stopni i wystrzelił jeden strumień energii... i drugi... aż w końcu trzeci, gdy jednemu z celów udało się uniknąć trafienia.

Myśliwce Sh'daarów miały pazury. Strumień cząsteczek

rozdarł na strzępy Demona Osiem, pilotowanego przez rekrutkę o nazwisku Romero. Gregory zawrócił i przyłączył się do DeHaviland. Razem zmienili kolejny myśliwiec wroga w parę.

– Ile mamy czasu, zanim przybędzie flota? – spytała DeHaviland.

– Nie wiem, Cyn – odparł Gregory. – Mogą tu być w każdej chwili!

Nie było to tylko pobożne życzenie. Ich misja nie obejmowała dłuższej samotnej walki. Mieli wyprzedzić grupę bojową, dowiedzieć się, czy po drugiej stronie czeka wróg, i w razie potrzeby związać go walką do czasu, aż przybędzie reszta.

Przynajmniej taki był plan. Gdyby pozostałe okręty jednak nie przeszły z jakiegoś powodu przez AGTR, dziesiątka myśliwców znalazłaby się w dość kiepskiej sytuacji.

W jeszcze gorszym scenariuszu bitwa mogłaby okazać się zbyt wyczerpująca dla całej grupy bojowej. „Ameryka” i eskortujące ją jednostki mogłyby ulec zniszczeniu po tej stronie anomalii. Oznaczałoby to pewną śmierć dla eskadry Demonów.

Broń cząsteczkowa nagle drasnęła myśliwiec Gregory’ego i mocno nim potrząsnęła. Z przekleństwem skręcił ostro w lewo, celując we wrogą jednostkę znajdującą się w pobliżu – zbyt blisko – i strzelając. Kolejny wstrząs poczuł, gdy doszła do niego fala uderzeniowa.

Cholera, za dużo myślę – zły, że dał się rozproszyć, skupił całą uwagę na danych przyplływających przez łącze z komputerem myśliwca.

Gdzie jest Cyn? Stracił ją z oczu po ostatniej rozmowie. Na tle stłoczonych gwiazd migiała ikona.

Tutaj...

Czerwone ikony zbliżały się zaś coraz bardziej do siebie.

Co oni planują, do cholery?

TC/USNA CVS „Ameryka”

Mostek flagowy

Chmura N'gai, T-0,876gy

Godzina 5.03 TFT

Gray pochylił się do przodu w swoim fotelu, patrząc na ogrom stłoczonych słońc, centrum miniaturowej galaktyki niemal dziewięćset milionów lat w dalekiej przeszłości. A przynajmniej taki był plan.

– „Ameryka” – odezwał się do głównej AI okrętu – czy masz już dane czasoprzestrzenne?

– Tak, admirale – odparł umysł okrętu, bardziej w formie ogólnych myśli niż słów. – Przesyłam do stanowiska nawigacyjnego.

– Mam je, admirale – oznajmił komandor Victor Blakeslee. – Wygląda na to, że wszystko idzie zgodnie z planem. Jesteśmy w tym samym miejscu, co ekspedycja Koeniga, plus dwadzieścia lat.

– Wygląda na to, że przybyliśmy po zawieszeniu broni – zauważył komandor Dean Mallory, główny oficer taktyczny.

– To dobrze – stwierdził Gray. – Zatem czas płynie chyba w tym samym tempie po obu stronach anomalii. Nie uśmiechało mi się znowu walczyć z tymi sukinsynami.

– Nie, sir.

Wokół „Ameryki” gromadziły się kolejne okręty, przeniesione z teraźniejszości do odległej przeszłości.

– Taktyczny, czy mamy zamiar na zwiadowców?

– Tak, panie admirale! – odparł Mallory. – Kurs zero-zero-pięć na minus dwa-jeden, odległość dwadzieścia sześć tysięcy. Wykrywamy wybuchy atomowe i promieniowanie cząsteczkowe.

– Kapitan Gutierrez...

– Wprowadzam nowy kurs, admirale – powiedziała Gutierrez. – Zero-zero-pięć, minus dwa-jeden.

– Wykonać.

„Ameryka” ruszyła naprzód, przyspieszając w bąblu grawitacyjnej osobliwości. Pozostałe jedenaście ludzkich okrętów i obcy „Bezimienny” również podążyły za nią. W idealnej sytuacji przodem poleciałby niszczyciel, „Diaz” lub „Mattson”, torując drogę wspólnie z paroma fregatami, ale Gray nie miał czasu na zmienianie szyku swojej małej floty, podczas gdy jedna z jego eskadr myśliwców brała udział w ciężkim starciu ledwie dwadzieścia sześć tysięcy kilometrów dalej. Sądząc po roju obcych jednostek w oddali, standardowe taktyki i tak na niewiele by się zdały.

– CAG – odezwał się Gray – może pani wypuścić resztę ogarów.

– Aye, aye, sir. Wypuszczam maszyny – odparła Connie Fletcher.

– Do wszystkich okrętów – kontynuował Gray. – Strzelajcie bez rozkazu.

ROZDZIAŁ TRZECI

29 października 2425

TC/USNA CVS „Ameryka”

Mostek flagowy/BCI

Godzina 5.07 TFT

Admirał Gray przeniósł się do bojowego centrum informacyjnego „Ameryki”, położonego w wieży dowodzenia lotniskowca, poniżej mostka flagowego i mostka okrętu. Jego fizyczne ciało wciąż było w fotelu na mostku flagowym, ale strumień danych przesyłanych do implantu mózgowego stwarzał perfekcyjną iluzję bycia pokład niżej, w BCI. Projektory holograficzne dawały mu realistyczne, nawet jeśli nie materialne ciało.

Mallory oderwał wzrok od holograficznego wyświetlacza na środku pomieszczenia.

– Wirtualny admirał na pokładzie – oznajmił. Gray skinął do niego głową.

– Co mamy, Dean?

– Sporo myśliwców Sh'daar, admirale. Czekają, aż przejdzie nasz zwiad, i zaatakowały.

– Myśliwców Sh'daar?

– Tak przypuszczamy. Są małe, mają najwyżej parę metrów długości. Nie jesteśmy pewni, ale myślimy, że nie są pilotowane przez organiczne istoty.

– Czyli AI?

– Albo są zdalnie sterowane z okrętu matki, którego jeszcze

nie wykryliśmy.

– To mało prawdopodobne. Niszcząc okręt dowódczy, unieszkodliwilibyśmy wszystkie myśliwce.

– Tak, sir. Bardziej prawdopodobne jest, że działają jako wielka rozproszona sieć komputerowa.

– Czyli cały rój jest jedną inteligencją?

– Być może, admirale.

– Czy jest jakaś szansa na to, że to część automatycznego systemu obronnego strzegącego AGTR?

– Rozważamy tę możliwość, admirale – powiedziała kobieta, unosząca się z jego perspektywy do góry nogami. Gdy na nią spojrział, przed oczami wyświetliły się jej dane. Komandor porucznik Tonia Evans, świeżo przeniesiona na „Amerykę”. – Działają jak taki system.

Uśmiechnął się.

– A jak działałby automatyczny system obronny kosmitów? – spytał. – Chcę wiedzieć, dlaczego nie zaatakowały nas, gdy pierwszy raz przeszliśmy przez anomalię.

Zmarszczyła brwi.

– Nie wiadomo, sir.

– Sh'daar mają z czego się tłumaczyć. Zawieszenie broni nie obejmowało atakowania nas bez powodu.

Nie żeby Sh'daarowie koniecznie rozumieli ten traktat tak samo jak ludzie. Każda taka umowa między fundamentalnie różnymi umysłami zostawiała spore pole do nieporozumień czy błędnych interpretacji.

Mimo wszystko „nie atakujcie nas” powinno być dość jasne – pomyślał Gray.

– Na pewno jesteśmy w dobrym czasie? – spytał.

– Dwa razy sprawdziliśmy pozycje gwiazd, admirale – odparł Mallory. – Na pewno jesteśmy jakieś osiemnaście do dwudziestu trzech lat po tym, jak znaleźliśmy się tu po raz pierwszy.

Dobrze. Trafiliśmy w cel temporalny. Więc co się dzieje, do cholery? – zastanawiał się Gray.

Być może atak na grupę bojową był skutkiem tego, jak Sh'daarowie rozumieli warunki traktatu: jeśli ludzie wścibią nos w Chmurę N'gai osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat w swojej przeszłości, dostaną w mordę. Jeśli tak właśnie było – jeśli nie chcieli, żeby ludzie wtrącali się w ich epokę – musieli pokochać to, co tym razem Ziemiańskie mieli im do zaoferowania.

Co oznaczało, że zawieszenie broni było dość krótkotrwałe.

– Cel w zasięgu – oznajmił Mallory. – Ognia...

Z głównych baterii „Ameryki” wystrzeliły promienie, do których dołączyły lasery i rakiety z reszty okrętów. Rój wrogich jednostek zaczął się gromadzić i ruszać w stronę grupy bojowej, podczas gdy stumegatonowe wybuchy rakiet „Black Demons” rozrywały na strzępy ich największe skupiska. Inne eskadry myśliwców także zaczynały włączać się do walki: VF-31 „Impactors” i VFA-215 „Black Knights”.

Czwarta eskadra, która dopiero niedawno dołączyła do pozostałych – VFA-190 „Ghost Riders” – trzymała się na tyłach, zapewniając ochronę grupie bojowej.

Gray słyszał rozmowy między pilotami, które mieściły się między chłodnym profesjonalizmem a gorącą ekscytacją.

– Impactor Jeden, zmieniam kurs...

– Cel namierzony... Fox Jeden!

– Knight Trzy! Knight Trzy! Masz dwóch na szóstej!

– Nie mogę ich...

„Ameryka” zatrzęsała się. Coś uderzyło w lotniskowiec.

– Trafienie w osłony – stwierdził Mallory. – Krwawimy...

Według raportu o uszkodzeniach straty były niewielkie. Kilkaset tysięcy litrów wody wylało się w próżnię i zamarzło w lśniące bryły lodu. Nanoboty naprawcze już łątały dziurę.

– Tu „Mitchell”! – odezwał się inny głos. – Jesteśmy pod ciężkim ostrzałem... uszkodzenie głównego napędu... tracimy zasilanie... Cholera! Mayday! Mayday!

Długi strumień myśliwców Sh'daar kierował się na rufę fregaty „Mitchell”. Na ekranach i w swojej głowie Gray widział, jak okręt zaczął się zapadać, gdy zasilające go sztuczne czarne

dziury wymknęły się spod kontroli. Trevor sprawdził na holowyświetlaczu, które ludzkie jednostki są najbliżej.

– „Diaz”, „Young”! – rozkazał. – Lećcie do „Mitchella”! Spróbujcie pomóc mu odeprzeć atak!

Było już jednak za późno. „Mitchell” zginął szybko, zapadając się we własnej osobliwości.

– Zbyt wielu drani się przebiło, Dean – stwierdził Gray. – Wycofać myśliwce.

– Nie możemy przejść do defensywy, admirale. Musimy przywalić im mocno, z dala od floty!

Taka była konwencjonalna doktryna walki z użyciem lotniskowców i myśliwców.

Ale to nie była konwencjonalna walka.

– To nam nie pomoże, jeśli zmiotą naszą flotę, do cholery. Wycofać myśliwce!

– Aye, aye, sir.

Coraz trudniej było uzyskać użyteczne dane z bitewnego chaosu. Tysiące obcych jednostek wciąż nacierały na ludzkie okręty, odpierane jedynie przez jakieś czterdzieści myśliwców.

AI „Ameryki” udało się wyekstrahować z tego wszystkiego najważniejsze informacje i przekazać je ludziom do analizy, ale walka była w coraz większym stopniu w elektronicznych rękach sztucznych inteligencji.

Nagle BCI rozjaśnił błysk światła.

– Co to było? – spytał Gray.

– Już sprawdzam... – Mallory wyświetlił na ekranie „Bezimiennego”. – To Glothrowie, admirale. Pokazali pazury.

– Czego oni użyli, do cholery?

– Nie jestem pewien... ale chyba właśnie zakrzywili czas tak, że przerobili promień lasera na promieniowanie gamma.

Gray nie do końca pojmował, co to znaczy, ale nie zaskakiwało go to. Technologia Glothków opierała się w dużej mierze na koncepcjach, których ludzie jeszcze nie rozumieli. Jedną z najbardziej zdumiewających było właśnie zakrzywianie czasu. To, jak im się to udawało, było wciąż tajemnicą, ale

ziemscy ksenotechnologowie uważali, że Glothr mogą robić to za pomocą intensywnych osobliwości grawitacyjnych o małym zasięgu, skupionych wokół kadłubów ich okrętów. Rozciągając czas – sprawiając, że ułamek sekundy trwał znacznie dłużej – mogli rozproszyć energię eksplozji termonuklearnej. Była to niezła sztuczka, jeśli chciało się uniknąć usmażenia przez atomówkę. Najwyraźniej byli też w stanie wykorzystywać to do ofensywy. Zmieniając sekundę w jej ułamek, mogli znacznie zwiększyć elektromagnetyczną częstotliwość lasera, nadając mu dużo bardziej niszczyielskie właściwości.

Gray zmarszczył brwi. Ta dodatkowa energia musiała skądś pochodzić, ale nie miał pojęcia skąd. W myślach wzruszył ramionami. Kilkadziesiąt myśliwców Sh'daarów właśnie wyparowało dzięki temu promieniowi. Nie zamierzał zaglądać darowanemu koniowi w zęby. Może był to odpowiednik strzelania z lasera przez godzinę, ale skompresowany do jednego impulsu.

W tym momencie obchodziło go jednak tylko to, że gdy okręt Glothrów wystrzelił ponownie, kolejne wrogie jednostki zmieniły się w plazmę. Nadal jednak było ich zbyt wiele. Każdy z okrętów otaczała chmura myśliwców. Pojedynczo małe jednostki, wyposażone w gigawatowe lasery, nie były szczególnie silne, ale gdy strzelało ich naraz pięćdziesiąt do tego samego celu... albo sto czy pięćset... Krążownik „Leland” miał kłopoty. Największy z ziemskich okrętów bojowych, poza „Ameryką”, mierzący osiemset metrów i ważący ćwierć miliarda ton, zbudowany został wokół akceleratora magnetycznego niemal tak długiego, jak sam okręt. Było to działo przeznaczone do bombardowań planetarnych lub walki z wielkimi okrętami wroga, ale bezużyteczne przeciwko rojom myśliwców. Baterie obrony punktowej nie dawały sobie rady z całymi chmarami jednostek Sh'daar.

– „Verdun”! – zawołał Gray. – „Deutschland”! Lećcie do „Lelanda” i go wesprzyjcie!

Oba okręty były paneuropejskimi ciężkimi krążownikami.

Dawni wrogowie byli teraz częścią grupy bojowej USNA w ramach gestu dobrej woli. Gray miał nadzieję, że ich obrona punktowa pomoże ocalić „Lelanda”. Europejskie okręty zmagaly się jednak z własnymi problemami. Obcy atakujący samą „Amerykę” zaczęli przebijać się przez baterie punktowe. Okrętem znów zatrzęsło, przechyliło go na sterburtę.

– Straciliśmy piątą wieżyczkę – oznajmił Mallory. Wyglądało na to, że jedno z dużych dział cząsteczkowych zamontowanych na centralnej osi lotniskowca zostało zniszczone. Przez chwilę ze zdekompresowanych pomieszczeń ulatniało się powietrze wraz z chmurami odłamków i, co najgorsze, wyglądającymi w tej skali jak mrówki ludźmi. Następnie jednak otwór uszczelniono. Powietrze, uleciawszy z okrętu, zamarzło i dryfowało w przestrzeni.

Gray wiedział, że zapamięta do końca życia te ludzkie sylwetki, tak małe na tle kosmicznej otchłani. Kilka myśliwców nieprzyjaciela uderzyło w długi, smukły kadłub francuskiego krążownika „Verdun”. Wydawały się przegryzać przez poszycie, po czym wszystkie wybuchły w serii oślepiających rozbłysków, które pochłonęły centralną oś okrętu. Nastąpiły kolejne eksplozje, po których wrak zapadł się w sobie wśród chmury promieniowania, energii cieplnej i światła.

Przegrywamy – pomyślał Gray. Zginiemy tu.

– Do wszystkich okrętów – rozkazał. – Wycofujemy się do AGTR.

Nie mieli wyboru. Wsadzili nosy w ten czas i to miejsce, i zostały im one odgryzione. Musieli się wycofać, jeśli mieli ocalić choć część okrętów.

Porucznik Donald Gregory

VFA-96 „Black Demons”

Godzina 5.16 TFT

– Wycofać się i osłaniać „Amerykę” – rozkazał Mackey. – Działają jak pierdoleni kamikaze! Musimy ich powstrzymać!

Gregory usłyszał rozkaz z BCI lotniskowca i był świadkiem unicestwienia „Verdun”, jak i zniszczeń dokonanych na samej „Ameryce”. To była beznadziejna walka. Wykorzystał już około połowy rakiet, którymi dysponował, ale w miarę jak rój wrogich jednostek coraz ciasniej otaczał lotniskowiec, musiał przełączyć się na działo Gatlinga, wystrzeliwujące pociski kinetyczne ze zubożonego uranu. Wybuchy atomowe były dość ryzykowne w pobliżu przyjaznych jednostek, więc piloci USNA musieli korzystać z bardziej chirurgicznych metod.

Zajmowały one więcej czasu. Nie mógł po prostu krzyknąć: „Fox Jeden!” i wysadzić kilkunastu wrogich jednostek, używając jednej rakiety.

Jeden obcy myśliwiec o nieregularnym kształcie leciał od rufy „Ameryki” wzdłuż jej osi, ścigany przez Gregory’ego. Donald wystrzelił nieco pocisków kinetycznych, ale pod złym kątem, przez co odbiły się od pędzącego myśliwca, powodując nieznaczne uszkodzenia. Te, które spudłowały, trafiły w spód kopuły ochronnej lotniskowca, choć na szczęście też nie wyrządziły większych szkód. Osłony „Ameryki” wciąż pochłaniały lub odbijały większość ciosów.

Przez przerażającą chwilę Gregory myślał, że wrogi myśliwiec kieruje się do jednego z trzech lądowisk „Ameryki” w obracającej się sekcji mieszkalnej. Wróg precyzyjnie skierował się jednak między nimi i ruszył w stronę wieży, położonej między modułem mieszkalnym a osłoną dziobową.

Cholera! Kierował się w stronę mostka i BCI!

Obcy myśliwiec uderzył w podstawę wieży, nieco powyżej głównego kadłuba osi lotniskowca. Starblade Gregory'ego przeleciał obok chwilę później, obracając swoją osobliwość grawitacyjną i odlatując od okrętu. Szybko hamując, odwrócił kurs i znów ruszył w stronę osi „Ameryki”, prześlizgując się obok wieży mostka. Jego AI namierzyła obcą jednostkę, która właśnie wtapiała się w poszycie okrętu. Za chwilę miała detonować, przez co okręt mógł stracić zarówno mostek, jak i bojowe centrum informacyjne.

Gregory uruchomił swojego gatlinga, wysyłając strumień szybkich pocisków. Promień cząsteczek mógłby spowodować zbyt wielkie uszkodzenia, choć w tym wypadku nie miał nawet czasu szczególnie tego przemyśleć. Po prostu wystrzelił, patrząc, jak z częściowo wtopionego w kadłub obcego myśliwca ulatnia się ciepło i strumień stopionego metalu.

W ostatniej chwili odleciał, używając osobliwości do nadania swojemu Demonowi ogromnego przyspieszenia, aby nie stać się kolejnym pociskiem kinetycznym.

Wstrzymał oddech w oczekiwaniu, aż obca jednostka eksploduje.

Nie zrobiła tego.

– BCI „Ameryki”, tu Demon Cztery! Jeden z drani wtopił wam się w wieżę mostka!

– Przyjąłem, Demon Cztery.

– Lepiej przyślijcie tam marines, na wypadek jakby coś tam żyło.

I gdyby była tam niestabilna czarna dziura... – dodał w myślach, ale nie powiedział tego na głos. Zapewne wiedzieli, co robić.

– Przyjąłem, Demon Cztery. Dziękujemy za pomoc.

– „Black Demons” zawsze do usług – odparł z nonszalancją, której w rzeczywistości nie czuł. Niewiele brakowało!

A mówią, że definicja szaleństwa to wykonywanie ciągle tych samych czynności i oczekiwanie innych wyników. Czas znowu na to samo...

Zbliżała się grupa ośmiu obcych myśliwców, obecnie w odległości jakiegoś tysiąca kilometrów. Wycelował i wystrzelił jeden z ostatnich kraitów. Wybuch, który chwilę później nastąpił, zmiotł siedem z ośmiu. Ostatniemu Gregory dowalił serią z gatlinga, patrząc, jak wrak zapada się w sobie coraz bardziej, aż w końcu znikł wśród promieniowania rentgenowskiego.

To dowodziło, że Sh'daar korzystali z podobnego źródła mocy co ludzie – miniaturowych czarnych dziur, zmieniających spienioną energię wirtualną u samych podstaw wszechświata w coś rzeczywistego. Gdy okręt ulegał zniszczeniu, czarna dziura często pochłaniała sporą część wraku, po czym znikła. Czasami utrzymywała się dość długo, by zakłócać grawitację, ale na szczęście tym razem nie miało to miejsca.

Niestety, były szanse, że jednak do tego dojdzie, bo śladem ośmiu myśliwców leciało dziesięć kolejnych.

– Cholera – warknął Gregory. – Ile jest tych cholerstw?

AI myśliwca dała mu odpowiedź, choć bardziej w formie wrażenia niż słów. Ponad sześć tysięcy spośród początkowych dziewięciu.

Zbyt wiele. Zniszczyli ich już tysiące, ale groziły im tysiące kolejnych.

– Do wszystkich okrętów, tu BCI „Ameryki” – odezwał się głos.

– Lecą do nas kolejne jednostki, powtarzam, kolejne jednostki. Tym razem większe okręty.

Zajebicie – pomyślał Gregory. Po prostu zajebicie.

Admirał Gray wpatrywał się w masę obcych okrętów lecących w stronę jego grupy bojowej. Taktyczne AI „Ameryki” naliczyły ich ponad trzysta, w tym kilka monstrów, które musiały pierwotnie być planetoidami o wielokilometrowych średnicach.

Nie było ucieczki przed tak potężnymi siłami wroga...

Widział jedynie trzy opcje taktyczne: kapitulację, walkę na śmierć i życie lub rozkaz, by flota rozproszyła się, dzięki czemu być może chociaż kilka okrętów wróci do domu przez AGTR. Żaden z tych wyborów szczególnie mu się nie podobał... aż pojawiła się czwarta opcja.

– Otworzyć kanał komunikacyjny z tą flotą – rozkazał oficerowi komunikacyjnemu na mostku „Ameryki”. – Użyć protokołów Agletsch. Zobaczmy, czy będą skłonni z nami rozmawiać.

– Już są skłonni rozmawiać, admirale – głos należał do Konstantina, a raczej do klona tej potężnej AI. – Właśnie się z nimi komunikuję.

Klon Konstantina znajdował się w cylindrze przyłączonym do osi „Ameryki” za obrotową sekcją mieszkalną. Był połączony przez sieć elektroniczną lotniskowca z AI samego okrętu. Wcześniej się nie odzywał i Gray w zasadzie zapomniał, że w ogóle tu jest. Teraz jednak cieszył się, że słyszy jego głos.

– Co mówią, Konstantin?

Zapadła krótka, ale pełna napięcia cisza.

– Zbliżające się siły są po naszej stronie – odezwała się w końcu AI. – Małe myśliwce Sh’daarów wydają się... nazywają je anty-Outsiderami, co jest nieco mylące, ale chyba dobrą

aproxymacją będzie słowo „rebelianci”.

– Kontrrewolucjoniści? – zaproponował Gray. Kiedyś przeczytał to słowo w tekście o dwudziestowiecznej historii politycznej.

– Można tak powiedzieć. Należy pamiętać, że Sh’daarowie zaczęli jako tak zwani Outsiderzy, odrzucający Schjaa Hok ur-Sh’daarów.

– Transcendencję – wtrącił Gray, przypominając sobie najbliższy odpowiednik obcego terminu. – Pamiętam.

Poznali tę historię dwadzieścia lat temu, podczas ekspedycji Koeniga do tej części czasoprzestrzeni. Początkowo karłowatą galaktykę N’gai zamieszkiwały setki obcych cywilizacji, które ludzie znali obecnie jako ur-Sh’daar... pierwotni Sh’daar. Gdy ich kultura wkroczyła w swoją wersję osobliwości technologicznej, niemal miliard lat temu z punktu widzenia ludzkości, niektórzy z nich z różnych powodów odrzucili transformację lub w jakiś inny sposób jej uniknęli. Stali się wtedy Outsiderami.

– Czy to znaczy, że te roje myślicieli to Sh’daarowie, którzy popierają transcendencję ur-Sh’daarów?

– Nie mam wystarczających danych na temat ideologii czy interakcji politycznych Sh’daarów, by stwierdzić to z całą pewnością, ale jest to możliwe.

– To po cholere nas atakują?

– Nie mam wystarczających danych, aby sensownie na to odpowiedzieć – odparł Konstantin. – Wygląda jednak na to, że ta grupa rebeliantów poczuła się zagrożona naszym przybyciem. Być może chcą dołączyć do pierwotnych ur-Sh’daarów i boją się, że zaszkodzimy ich planom.

– Jeśli chcą to zrobić, proszę bardzo – stwierdził Gray. – Atakowanie nas bez prowokacji nie jest racjonalne.

– Znów, admirale, zaznaczam, że nie mamy twardych danych, jeśli chodzi o ich motywy, potrzeby i aspiracje. Zbyt wcześnie, aby spekulować na temat ich działań.

Cholerna maszyna.

– A tymczasem co z naszymi kumplami?

Nadlatujące okręty Sh'daar rozproszyły się. Sensory dalekiego zasięgu „Ameryki” wykryły promieniowanie gamma, czyli ślad anihilacji pozytronowej. Obcy używali antymaterii jako broni.

– Wygląda na to, że atakują rebeliantów, admirale.

– Czy to znaczy, że nas ratują?

– Na to wygląda.

– Do wszystkich okrętów – Gray odezwał się na kanale taktycznym floty. – Przerwać działania bojowe i wycofać się. Kawaleria właśnie przybyła. Nie wchodźcie im w drogę.

Myśliwce Sh'daarów wciąż nacierały na grupę bojową „Ameryki”, próbując przełamać obronę ludzi. Nowo przybyła flota wkroczyła jednak do akcji i za pomocą precyzyjnych strumieni antymaterii dezintegrowała miniaturowe jednostki.

Wtedy resztki obcych myśliwców zaczęły uciekać, rozpraszając się w stronę pobliskich słońc.

– Admirale, Adjugredudhra dowodzący okrętem flagowym Sh'daarów „Prastara Nadzieja” przesyła pozdrowienia – oznajmił Konstantin. – Ma nadzieję, że nasze siły nie poniosły wielkich strat, i żałuje, że miał miejsce atak anty-Outsiderów na nasze okręty. Sugeruje, abyśmy polecieeli za flotą Sh'daarów do centrum galaktyki, w okolice Sześciu Słońc.

Gray wypuścił z siebie powietrze. Czuł się słaby... Na tyle, że nie wiedział, czy zdołałby ustać przy pełnej grawitacji.

Mało brakowało...

– Podziękuj proszę Ad... podziękuj dowódcy Sh'daarów – odparł. – I powiedz, że tak zrobimy.

– No cóż – powiedział głośno Mallory. Oczywiście słuchał jego rozmowy z Konstantinem. – Czas na dyplomatyczną grę.

– Lepsze słowa niż działo cząsteczkowe. – Gray wzruszył ramionami. – Chyba dobrze, że wzięliśmy ze sobą Konstantina Dwa.

– Byłoby miło, gdybyśmy mieli tu bardziej przyjazne powitanie – stwierdził Mallory. – Nie ufam im.

– Ja też nie, Dean. Ale zobaczymy, co mają do powiedzenia.

Grupa bojowa – a przynajmniej te dziesięć okrętów, które im pozostały, plus jednostka Glothrów – ruszyła za dużo liczniejszymi miejscowymi.

Admirał Gray spoglądał na najbliższy z okrętów Sh'daar – monstrum o długości pięciu kilometrów. Jego kadłub przelatywał kilka kilometrów obok jak ogromny czarny klif, rozświetlony niczym ziemskie miasto.

Gray czuł się bardzo, bardzo mały.

ROZDZIAŁ CZWARTY

29 października 2425

Nowy Biały Dom

Waszyngton

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 8.40 EST

– Jakie są plany na dziś? – spytał prezydent Koenig.

Marcus Whitney, szef sztabu Koeniga, położył na biurku przed prezydentem zabezpieczony tablet z danymi.

– Miał pan spotkanie o dziewiątej z paneuropejskim ambasadorem, o jedenastej z Radą Odzyskania Peryferii z Północnej Wirginii...

– Miałem?

– Tak, sir. Zmodyfikowałem pański plan dnia. Konstantin chce się z panem spotkać.

– Konstantin? Spotkać ze mną? – Zwykle było odwrotnie. – W jakiej sprawie?

– Nie przekazał tej informacji, panie prezydencie.

Potężna AI rzadko wtrącała się w ludzkie sprawy. Mimo wszystko jej wpływ na ziemską kulturę, technologię i politykę był ogromny. Dzięki Konstantinowi udało się zakończyć konflikt między USNA a Konfederacją przy użyciu broni memetycznej, która zmieniła nastawienie ludności cywilnej do wojny. Ciągłe monitorował wiadomości i inne transmisje z Ziemi. Dzięki jego sugestiom wielokrotnie udało się uniknąć głodu, zapobiec zarazie, powstrzymać wojnę. Wspomagał

prezydentów zarówno w kwestiach wojskowych, jak i politycznych. Nie tylko w kontaktach z innymi ludzkimi państwami, ale i z kosmitami.

Odkąd Koenig objął urząd prezydenta, Konstantin był nieoficjalnym i ściśle tajnym specjalnym doradcą. Najdziwniejsze było, że to właśnie sztuczna inteligencja – a nie któraś ludzka agencja – wpadła na ten pomysł.

Koenig nie wiedział, jakie są jej prawdziwe motywacje.

– Chyba trzeba dowiedzieć się, o co mu chodzi. Dopilnuj, aby mi nie przeszkadzano, Marcus.

– Tak, sir.

Gdy asystent opuścił biuro, Koenig rozsiadł się wygodnie w fotelu, który dopasował kształt do jego ciała. Położył lewą dłoń na gładkiej, szklistej powierzchni na poręczy. Wtedy tablet na jego biurku rozbłysnął...

...i Koenig otworzył oczy w małej, słabo oświetlonej chatce w Kałudze. Starszy mężczyzna z siwymi włosami, kozią bródką, drucianymi binoklami i sennym wyrazem twarzy spojrział na niego znad staroświeckiej książki.

– Dzień dobry, Konstantin – odezwał się Koenig. – Chciałeś ze mną rozmawiać?

Jak zawsze, Koenig miał poczucie, że postać, którą widzi przed sobą, przygląda mu się uważnie, z nadludzką intensywnością kłócącą się z sennym wyrazem ludzkiej twarzy. Wszystko oczywiście było iluzją, stworzoną przez AI i przesłaną do mózgu Koeniga przez oprogramowanie VR jego implantów mózgowych. Dowodem tego były otaczające ich anachronizmy – prawdziwy Konstantin Ciołkowski nigdy nie miał na ścianach domu monitorów HD. Rosyjski pionier teorii kosmonautyki nie mówił też po angielsku.

– Tak, panie prezydencie. Czas, żebyśmy sobie pogadali. Mam informacje, które mogą pana zainteresować.

– Chyba nie od swojego klona na „Ameryce”?

– Nie. Jeśli nasze obliczenia są poprawne, „Ameryka” dopiero dotarła do Chmury N’gai... o ile w ogóle czas w obu obszarach

płynie tak samo. Mamy jednak kontakt z Agletsch. Udostępniły nam pewne informacje. Gratis.

– Dały je nam? – Koenig był pod wrażeniem. – To oznacza, że albo są bezwartościowe... albo bezcenne.

– Owszem.

Agletsch wymieniały informacje z całej Galaktyki na inne informacje, a także na rzadkie pierwiastki, takie jak izotopy neptunu i kalifornu. Nigdy nie dzieliły się wiedzą za darmo.

Chyba że wiązało się to z korzyścią dla nich.

– Co to za informacje?

Koenig odczekał chwilę, którą zajęło przesłanie jego słów na drugą stronę Księżyca i odpowiedzi Konstantina z powrotem. Każda rozmowa miała przez to dwuipółsekundowe pauzy.

– Sugerują, abyśmy sprawdzili Gwiazdę Tabby.

– Nie słyszałem o niej – odparł Koenig. – Przynajmniej nie pod tą nazwą.

– Oto dane.

Koenig otrzymał informacje do implantów mózgowych i przez nie do świadomości.

W jego głowie otworzyło się okno z przewijającym się tekstem.

Obiekt: KIC 8462852

Alternatywne nazwy: Gwiazda WTF, Gwiazda Boyajian, Gwiazda Tabby

Typ: gwiazda ciągu głównego

Typ widmowy: F3 V/IV

Współrzędne: α : 20h06m15,457s δ : + 44°27'24,61"

Gwiazdozbiór: Łabędź

Masa: 1,43 M_{\odot}

Promień: 1,58 R_{\odot}

Okres obrotu: 0,8797 dni

Temperatura: 6750 K

Jasność: 5 L_{\odot}

Wielkość obserwowana: 11,7

Wielkość absolutna: 3,08

Odległość: 1480 lat świetlnych

Wiek: ~4 miliardy lat

Inne informacje: W latach 2009–2015 w danych zaobserwowanych przez teleskop kosmiczny Keplera wykryto nietypowe wahania jasności, które trudno było wyjaśnić jako naturalny fenomen. Pojawiła się wtedy po raz pierwszy hipoteza, że spadki jasności gwiazdy są wynikiem tego, że okrążają ją wytworzone przez istoty rozumne megastruktury.

KIC 8462852 otrzymała wtedy nieoficjalną nazwę „Gwiazda Tabby”, od imienia Tabethy S. Boyajian, przewodzącej grupie naukowców, która po raz pierwszy zwróciła uwagę na ten obiekt. Nazwaną ją także „Gwiazdą WTF”, od tytułu artykułu Boyajian „Where’s the Flux?”. Wówczas „WTF” było też slangowym skrótem na wyrażenie „what the fuck?”, które oznaczało zaskoczenie lub niedowierzanie. Anomalie Gwiazdy Tabby wyjaśniono ostatecznie jako połączenie dysku akrecyjnego i nietypowej geometrii gwiazdnej spowodowanej przez jej wysoką prędkość rotacji i wynikające z tego zaciemnienie grawitacyjne...

Było tam o wiele więcej informacji, które Koenig przejrzał tylko pobieżnie. Większość z nich była mu nieznana. Na początku dwudziestego pierwszego wieku teleskop Keplera monitorował światło przychodzące z ponad stu pięćdziesięciu tysięcy gwiazd w małym obszarze gwiazdozbioru Łabędzia. Planety orbitujące wokół niektórych gwiazd czasami powodowały nieznaczne spadki jasności.

Okres ten, od 2009 do 2015 roku, był czasem, gdy znaleziono tysiące światów poza Układem Słonecznym. Ludzkość uświadomiła sobie, że sama Droga Mleczna może zawierać nawet czterdzieści miliardów podobnych do Ziemi planet. Spośród wszystkich gwiazd tylko jedna miała aż tak duże wahania jasności: KIC 8462852. Spadki były częste, ostre i nieregularne – jak gdyby wokół gwiazdy orbitowała duża liczba ogromnych obiektów, poruszających się w ścisłym szyku, jak to określił pewien astronom. Jeden konkretny obiekt

wydawał się jednak mieć regularny okres obrotu. Gdy wykryto go po raz pierwszy, zasłonił piętnaście procent światła gwiazdy. Po raz drugi – siedemset pięćdziesiąt dni później – dwadzieścia dwa procent.

Dwadzieścia dwa procent? SuperJowisz, największy możliwy typ planety, zwykle zasłaniał około jednego procenta gwiazdy, gdy przelatywał na tle jej dysku. Aby spowodować tak wielki spadek jasności, obiekt musiałby być tak ogromny, że zasłaniałby niemal jedną czwartą dysku. To nie mogła być planeta, więc co, do cholery?

Pojawiły się dziesiątki hipotez – możliwe naturalne przyczyny, w tym wielkie obłoki pyłu, roje komet, zderzające się planety. Żadna nie pasowała do danych z obserwacji. Układ był zbyt stary, by mieć chmury pyłu czy dyski akrecyjne, prawdopodobieństwo, że zaobserwowano akurat moment zderzenia planet, było nikłe, a ilość wykrywalnego promieniowania podczerwonego słabo pasowała do wszystkich tych hipotez.

Astronomowie coraz częściej zaczęli rozważać to, co do tej pory było nie do pomyślenia – że dziwne zachowanie KIC 8462852 było skutkiem istnienia jakiegoś rodzaju obcej megastruktury, obiektu lub serii obiektów zbudowanych przez inteligentne istoty, takiego jak sfera Dysona, będąca wciąż w budowie, albo, co bardziej prawdopodobne, rój Dysona – tysiące obiektów pochłaniających energię z gwiazdy. Dane wskazywały na istnienie stałych struktur o nieregularnym kształcie, z wyraźnymi granicami, a nie na rozproszone chmury pyłu.

Obca megastruktura musiała jednak być ostatnią możliwością, którą rozważano. Nie dlatego, że astronomowie nie chcieli myśleć o kosmitach, ale dlatego, że nie była ona naukowo weryfikowalna, można więc ją wziąć pod uwagę dopiero po wykluczeniu pozostałych opcji.

Ostatecznie jednak znaleziono naturalne wyjaśnienie. W przypadku szybko obracających się gwiazd w wyniku

spłaszczenia kuli do podłużnej sferoidy mógł występować efekt zwany zaciemnieniem grawitacyjnym. Kilka dużych planet przesłaniających różne obszary powierzchni gwiazdy oraz składający się z pyłu dysk akrecyjny mogły spowodować większe lub mniejsze spadki jasności.

Były jednak pewne problemy z tą hipotezą. Gwiazda rzeczywiście szybko się obracała – na równiku okres obrotu wynosił dwadzieścia jeden godzin i kilka minut, w porównaniu z dwudziestoma pięcioma dniami ziemskiego Słońca. Nie była to jednak prędkość wystarczająca, by zmienić jej kształt. I znów, gwiazda nie była dość młoda, by orbitowała wokół niej chmura pyłu czy dysk akrecyjny.

W tym czasie jednak dwudziesty pierwszy wiek pogrążał się już w chaosie. Wszechobecna korupcja, rosnące poziomy wód, zapaść ekonomiczna, globalna wojna z islamem, pierwsza wojna Chin z Zachodem... Dziwne doprawdy, że ludzkość to przetrwała. Zawieszenie pierwszej windy kosmicznej w dwudziestym drugim wieku pomogło odwrócić kryzys, dając Ziemi surowce, tanią energię i lepszą technologię, która ostatecznie przeobraziła planetę.

Ale w czasie gdy ludzkość zaczęła coraz śmielej poczynać sobie w Układzie Słonecznym, o ekscytacji KIC 8462852 w zasadzie zapomniano. Gwiazda stała się interesującą anomalią, szybko wyjaśnioną i równie szybko zignorowaną.

– Dobra – powiedział Koenig po kilku minutach przeglądania materiałów. – To ciekawa obserwacja, ale tu jest napisane, że problem wyjaśniono. Dlaczego Agletsch się tym interesują? A może raczej... dlaczego chcą, żebyśmy to my się zainteresowali?

– Tego nie powiedziały – stwierdził Konstantin. – Wydawały się jednak uważać, że nasze wyjaśnienie było błędne. Że Gwiazda Tabby rzeczywiście jest domem zaawansowanej cywilizacji.

– Ale nie sojusznika Sh'daarów, jak mniemam.

– Owszem.

Ludzkość rozumiała teraz, że Sh'daarowie byli intruzami z dalekiej przeszłości, oznaczanej jako T-0,876gy, co często skracano do „t-sub-minus”, albo innymi słowy z przeszłości odległej o osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat. Wyglądało na to, że udało im się zwerbować również inne cywilizacje w T-prime (czyli w terażniejszości, w dwudziestym piątym wieku): Turuschów, H'rulka, Nungiirtoków, Slanów i kilka innych. Ten sojusz, zwany Społecznością Sh'daar, wysłany został przeciwko ludzkości, by zmusić ją do porzucenia technologii mogącej doprowadzić do osobliwości technologicznej. Społeczność działała także w przyszłości. Glothrowie, pochodzący z wędrownego samotnej planety, za miliony lat mogli współdziałać ze Sh'daarami, choć natura ich relacji pozostawała niepewna.

Ludzkości udało się przetrwać tak długo tylko dlatego, że poszczególni członkowie Społeczności mieli takie same problemy z komunikacją między sobą, jak i z ludźmi. Organizacja wspólnych działań wojskowych na przestrzeni milionów lat i z udziałem kilkudziesięciu różnych gatunków istot z bardzo różnym sposobem myślenia okazała się niemal niemożliwa.

– Hmm – zastanowił się Koenig. – Jeśli obcy z Gwiazdy Tabby nie są pod wpływem Sh'daarów, mogą być dla nas przydatnym sojusznikiem.

– Właśnie. Oczywiście jeśli w ogóle będą chcieli mieszać się w sprawy ludzi.

– Co? Mogą nie chcieć, bo jesteśmy prymitywni? Albo odrzuca ich nasz zapach?

– Cokolwiek zaobserwowali ziemscy astronomowie wokół Gwiazdy Tabby w roku dwa tysiące piętnastym – przypomniał Konstantin – zdarzyło się prawie tysiąc pięćset lat wcześniej, w roku pięćset trzydziestym piątym. Jeśli rzeczywiście budowali sferę Dysona w czasie, kiedy w Europie dopiero zaczynało się średniowiecze, to gdzie są i co budują teraz? Takie istoty mogą być dla ludzi niczym bogowie.

– Gwiazdni Bogowie... – Była to stara koncepcja, sugerowana jako źródło niewyjaśnionych artefaktów technologicznych, takich jak AGTR rozsiane po Galaktyce czy Czarna Rozeta w sercu Omega Centauri. Laurie Taggart, członkini Kościoła Kreacjonistycznego Antycznych Obcych, była zwolenniczką tej idei.

– Ludzie zakochani w Gwiazdnych Bogach zapominają, że takie istoty zapewne nie mają z nami nic wspólnego – powiedział Konstantin. – Czy pan zniżyłby się do komunikacji z mrowiskiem?

– Nie wiem. – Koenig wzruszył wirtualnymi ramionami. – To zależy, czy byłbym w stanie zrozumieć, co mówią mrówki. A istnieją entomologowie, którzy chętnie poznaliby wspólny język, jeśli taki istnieje.

– Może nieco za bardzo naciąga pan tę metaforę, panie prezydencie. Chodzi mi o to, że obcy z Gwiazdy Tabby mogą nie mieć nic wspólnego z ludźmi i nie być zainteresowani komunikacją z nimi... ani pomaganiem im w walce ze Sh'daarami.

– Wyobrażam sobie, że osiągnęli własną osobliwość technologiczną – stwierdził Koenig. – Może zbudowali to coś, cokolwiek to było... i odeszli. Może ich już tam nie ma.

– To prawda. Ale fakt, że Agletsch zasugerowały, aby ziemski okręt odwiedził Gwiazdę Tabby, nieco równoważy małe prawdopodobieństwo znalezienia tam sojuszników.

– Jeśli ktoś w Galaktyce wie o potencjalnych sojusznikach, to właśnie one. Wolałbym jednak znać ich motywy. Co z tego mają?

– Musi pan potraktować ten... podarunek ostrożnie – powiedział Konstantin. – Agletsch są agentami Sh'daarów, członkami Społeczności Sh'daar. Musimy założyć, że mają własne motywy i powody do podzielenia się tą informacją. Jest mało prawdopodobne, aby pomagały nam wbrew Społeczności.

– Może mają dość i chcą się zbuntować?

Wcześniej rozważano już tę możliwość. Pewna część Agletsch

wydawała się działać poza wpływem Sh'daarów. Inne osobniki zdecydowanie działały w ramach Społeczności. Były pewne poszlaki, że wolałyby się od nich uwolnić. Informacje, które sprzedawały ludziom na temat innych podległych Sh'daarom gatunków, okazały się do tej pory bezcenne.

Co teraz kombinują? I czy możemy zaryzykować zignorowanie ich rady?

– Chcę wysłać tam najlepszych – powiedział Koenig, podjąwszy decyzję.

– Lotniskowiec gwiazdny „Ameryka” – domyślił się Konstantin. – Admirala Graya.

– Wiesz, Konstantin, mamy też inne lotniskowce. Może nie tyle, ile byśmy chcieli, ale mamy.

– Większość obecnie przechodzi naprawy.

– Są „Declaration” i „Lexington”.

– Oba jeszcze niesprawdzone. „Declaration” wciąż przechodzi testy. Sugeruję użyć „Ameryki”, gdy tylko wróci z Chmury N'gai.

– Ale mieliśmy wysłać ją do Czarnej Rozety. Operacja Omega.

– Do zbadania czegoś, co może być prawdziwą sferą Dysona, najlepiej mieć kilka eskadr myśliwców – powiedział Konstantin pouczającym tonem. – Lotniskowce gwiazdne mają pewne zalety, których brak krążownikom, a nawet lekkim lotniskowcom.

– Masz rację – przyznał z niechęcią Koenig. – Ale ponieśliśmy ciężkie straty. Możemy nie mieć luksusu skorzystania z naszego pierwszego wyboru.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Mostek flagowy/BCI

Chmura N'gai

Godzina 16.40 TFT

Admirał Gray unosił się w BCI, spoglądając na splątana dżunglę słońc przed nimi, na której tle nawet największe okręty bojowe Sh'daar wyglądały jak zabaweczki. Pamiętał ten widok z czasów ostatniej wizyty, gdy jeszcze był pilotem myśliwca pod dowództwem admirała Koeniga.

Teraz to on był admirałem...

Lokalna przestrzeń była pełna stłoczonych gwiazd, z których setki świeciły jaśniej niż Wenus na ziemskim niebie. Sześć Słońc przyćmiewało wszystkie inne – idealny heksagram olśniewająco błękitnych ciał niebieskich bezpośrednio przed nimi. Było to centrum cywilizacyjne istot zamieszkujących Chmurę N'gai. Każdy ze składników struktury miał masę czterdziestu Słońc. Wszystkie orbitowały wokół centralnego punktu grawitacyjnej równowagi w idealnej rozecie Klemperera. Był to sztuczny układ, być może nawet same słońca zostały stworzone za pomocą bardzo zaawansowanej nauki. Ich układ sugerował niesamowity poziom rozwoju.

Ponad osiemset milionów lat w przyszłości, w czasach, które dla Graya były teraźniejszością, te słońca dawno zmieniły się w supernowe, po czym zapadły się w siebie jako czarne dziury, tworząc tak zwaną Czarną Rozetę w sercu Omega Centauri. Karłowata galaktyka Chmury N'gai została pożarta przez dużo większą Drogę Mleczną. Sama Omega Centauri była właśnie resztką Chmury N'gai, osiemset siedemdziesiąt dwa miliony lat później.

Gray wpatrywał się w lśnienie Sześciu Słońc i rozmyślał, czym byli Obcy z Rozety.

Wiedział tylko, że to enigmatyczne, wysoce zaawansowane istoty o nieznanym możliwościach i niejasnym pochodzeniu, które zjawiały się w okolicy Czarnej Rozety i zaczęły budować... coś. Ogromną, tajemniczą strukturę.

Czy Obcy z Rozety byli jakoś powiązani ze Sh'daarami? Może w końcu się dowiemy – pomyślał Gray.

Na tle gromady gwiazd dało się dostrzec również wiele innych artefaktów – wszystkie będące wyraźnie dziełem cywilizacji dużo bardziej zaawansowanej i starożytnej niż ludzkość – takich jak cylindry AGTR czy sztuczne planety, nie mówiąc o dziwacznych, tajemniczych strukturach. Były to ogromne, cylindryczne habitaty długości setek kilometrów, obracające się, by zapewnić sztuczne ciężenie. Ich zakrzywione wewnętrzne powierzchnie były jak mapy. Czarne dziury otoczone przez sztuczne konstrukcje stanowiły oczywiste źródło wysokiej energii. Między stłoczonymi gwiazdami przelatywały rozległe okręty kosmiczne wielkości miast.

Kilka statków Sh'daarów, z których część była dużo większa od „Ameryki”, zebrało się wokół ludzkiej floty, na chwilę zakrzywiając przestrzeń, by przenieść grupę bojową o kilka lat świetlnych, do serca karłowatej galaktyki. Prowadziły teraz lotniskowiec i pozostałe okręty do ostatecznego celu, planety nieco większej od Ziemi, w całości pokrytej czarnym metalem i splątanymi świetlistymi węzłami czegoś, co zapewne było miastami i wielkimi zakładami przemysłowymi. Większa część planety wydawała się pokryta sztucznym, pochłaniającym światło materiałem.

Całe miasto wielkości planety.

Wyglądało na to, że metalowy świat nie miał słońca. Zamiast tego wędrował pośród gęstwiny gwiazd w centrum galaktyki, skąpany w ich świetle.

– Adjugredudhra dowodzący okrętem flagowym Sh'daarów przekazuje, że to ich stolica – oznajmił Konstantin-2. – Daar N'gah.

– Dobrze, dziękuję – odparł Gray. – Czy mamy ich pozwolenie

na udanie się do konsulatu?

Po dłuższej pauzie Konstantin znów się odezwał:

– Tak, admirale. Głębia Czasu jest obecnie na dalekiej orbicie, jakieś pół miliona kilometrów dalej. Proszę, abyśmy ominęli Daar N’gah szerokim łukiem ze względu na duży lokalny ruch.

Gray stwierdził, że może to być prawda, a może też zdradzać obawy Sh’daarów, że zjawi się więcej rebeliantów, którzy mogliby zaszkodzić planecie. W każdym razie miało to sens z taktycznego punktu widzenia.

– Przekaż, że tak zrobimy.

„Ameryka”, teraz już z własnym napędem, oddaliła się od pokrytego czarnym metalem świata i udała na wskazaną orbitę. Służąca za konsulat stacja, znana nieoficjalnie jako Głębia Czasu, lśniła przed nimi w ostrym świetle Sześciu Słońc. Miała kształt srebrzystego torusa, obracającego się w celu zapewnienia mieszkańcom ciężenia.

Głębia Czasu była początkowo, osiem miesięcy wcześniej, małą stacją wojskową USNA, zbudowaną w Chmurze N’gai po to, by mieć Sh’daarów na oku. Pozwolono na to pod warunkiem jej niemal całkowitego zdemilitaryzowania. Żadnych laserów ani dział cząsteczkowych, żadnej broni kinetycznej o wysokiej szybkości, nic, co mogłoby zaburzyć upływ czasu. Jej załozę pozwolono na posiadanie broni osobistej, ale na stacji służyli jedynie ochotnicy. Ręczne lasery i miotacze nie miały szans z pięciokilometrowymi latającymi górami.

Kilka miesięcy wcześniej, kiedy „Amerykę” wysłano w daleką przyszłość, stacja Głębia Czasu w odległej przeszłości została półoficjalnym konsulem, przyczółkiem dyplomatycznym ludzkości w Chmurze N’gai... choć znów nikt nie wiedział, co myślą o tym sami Sh’daarowie. Personel konsulatu, w tym ponad stu ksenosofontologów, badał Sh’daarów i ich cywilizację, przynajmniej w formie, w jakiej istniała w dalekiej przeszłości, w epoce znanej jako T-sub-minus.

Ludzie wiedzieli teraz, że starożytni Sh’daar przenieśli się w czasie do Drogi Mlecznej w dwudziestym szóstym wieku,

w epoce zwanej T-sub-prime, i nawiązali kontakt z różnymi cywilizacjami, które toczyły wojnę z Ziemią. Nie było jasne, czy współcześni ludziom obcy byli pod kontrolą starożytnej cywilizacji z N'gai. Próby dowiedzenia się tego od starożytnych Sh'daar na razie były frustrujące i nie dostarczały konkretnych danych.

Teraz, gdy wreszcie skończyła się ziemska wojna domowa, nadszedł czas dowiedzieć się prawdy... i ostrzec starożytnych Sh'daarów przed tym, co odkryto w jeszcze dalszej przyszłości. Grupa bojowa „Ameryki” była eskortą dla emisariusza Glothrów – stanowiło to okazję, by pomachać flagą i w razie potrzeby wesprzeć Glothrów siłą ognia. Gray miał nadzieję, że nie będzie to potrzebne. Sh'daarowie tak bardzo przewyższali Ziemię możliwościami technologicznymi, że trudno było nawet ich porównywać. Ludzcy taktycy wciąż nie mieli pewności, czego Sh'daarowie przestraszyli się w „Ameryce” i jej eskorcie dwadzieścia lat temu ani dlaczego tak łatwo poszli na ustępstwa.

O ile rzeczywiście to zrobili – pomyślał Gray.

– Odległość od Głębi Czasu Jeden: cztery tysiące kilometrów – oznajmił Mallory. – Wyhamowujemy.

– Dostaliśmy telemetrię od stacji – dodała Pam Wilson, oficer komunikacyjna. – Wygląda na to, że wszystko jest w normie.

– To dobrze.

Przynajmniej na razie...

Atak po wyjściu z AGTR wstrząsnął Grayem bardziej, niż byłby skłonny przyznać.

Nie potrzebował już powiększania obrazu, by zobaczyć Głębnię Czasu Jeden. Była teraz widoczna z BCI, kilometr od okrętu.

– Konstantin? – spytał Gray. – Jesteś gotów?

– Oczywiście, admirale. Może mnie pan wystrzelić w dowolnym momencie.

– Kapitan Gutierrez, proszę wykonać.

– Aye, aye, admirale. Wypuszczam za trzy... dwie... jedną...

start.

Orbitalny Zespół Obliczeniowy Ciołkowskiego – w skrócie OZOC – był dziesięciometrowym cylindrem, który przyleciał z Ziemi przymocowany do osi „Ameryki”. Zawierał sprzęt komputerowy, w którym sklonowano oryginalną AI zwącą się Konstantinem.

Gray nie był pewien, czy Sh'daarowie rozumieją pojęcie „ambasadora”, ale wydali pozwolenie na sprowadzenie cylindra OZOC i podłączenie go – oraz Konstantina-2 – do stacji Głębia Czasu. To, że AI była już w kontakcie z dowódcą okrętu Sh'daarów, oznaczało, że przynajmniej akceptowali Konstantina jako kogoś, z kim mogą rozmawiać.

Gray pomyślał, że coś zdecydowanie zmieniło się w nastawieniu obcych. Dwadzieścia lat wcześniej byli przerażeni, że ziemską flotą przybyła do ich czasu i przestrzeni. Sh'daarowie byli skłonni zrobić wszystko – choćby skończyć wojnę – by skłonić ludzi do odejścia. Spekulowano, że obawiali się, iż ludzka obecność w ich czasie zmieni przyszłość, którą byli żywo zainteresowani.

Teraz wydawali się jednak chętni do kontaktów.

Gray podejrzewał, że bali się czegoś innego bardziej niż ludzi... nawet ludzi na swoim temporalnym podwórku.

Cylinder zawierający klon Konstantina minął osłonę dziobową „Ameryki” i ruszył w stronę lśniącego torusa. Gray nie mógł jednak przestać rozmyślać o tym, czy nawet super-AI uda się rozgryźć motywy Sh'daarów.

ROZDZIAŁ PIĄTY

2 listopada 2425

Stacja orbitalna Głębia Czasu

Chmura N'gai

Godzina 10.20 TFT

Gray siedział w czymś, co wyglądało na wielką salę wykładową. Koncentryczne kręgi wygodnych ławek górowały nad centralną przestrzenią o średnicy kilkunastu metrów. Przez kopułę nad głową admirała widać było serce Chmury N'gai, pełne gwiazd i sztucznych światów. McKennon, główna ksenosofontolog stacji, siedziała obok niego... a przynajmniej tak się wydawało. W rzeczywistości Gray był w swoim biurze na pokładzie „Ameryki”, podczas gdy McKennon przebywała w pomieszczeniu komunikacyjnym stacji. AI tworzyła wirtualną rzeczywistość dającą iluzję przebywania obok rozmówcy, przesyłaną im obojgu przez implanty mózgowie.

Inni uczestnicy konferencji – jak na razie sami ludzie – byli rozproszeni po pomieszczeniu i oczekiwali rozpoczęcia czegoś, co zapowiadało się na bardzo interesujące spotkanie.

– Tak – mówił Gray. – Ale nie byliśmy tego pewni. Wiedzieliśmy tylko, że jeśli choć o włos zmienimy kurs podczas przelotu przez AGTR, możemy wyłonić się w innym miejscu i czasie... potencjalnie bardzo innym. Nie ma pani pojęcia, jak bardzo obawiałem się, że przybędziemy, zanim dwadzieścia lat temu trafił tu Koenig. Mielibyśmy niezłą zagwozdkę przyczynowo-skutkową!

– Dwadzieścia lat w skali ośmiuset siedemdziesięciu sześciu milionów? – skinęła głową McKennon. – Potrzebowałyby pan nieprawdopodobnej precyzji. Na szczęście jednak AGTR pozwala na pewien margines błędu.

– Tak też stwierdziliśmy, gdy odczytaliśmy położenie temporalne – odparł Gray. – Dobrze jednak usłyszeć to od kogoś, kto wie, co robi.

– Kto, ja? – roześmiała się. – Wszystko, co robię, odkąd tu przybyłam, to czcze spekulacje!

Gray spojrział na wirtualną kopułę nad salą. Daleko nad nimi lśniło sześć błękitnych słońc, ułożonych sztucznie w sposób, który kłócił się z ziemską fizyką, matematyką i technologią. Była to inżynieria gwiazdowa, całkowicie przyćmiewająca to, co ludzie dotąd uważali za możliwe... Oraz sprzeczna z ludzkim rozsądkiem i poczuciem skali.

– Myślę, że jak na razie nieźle wam idzie – stwierdził Gray – zważywszy na to, że pracujecie nad rzeczami, których nie możemy nawet zacząć pojmować.

Podążyła za jego wzrokiem ku blaskowi sześciu ustawionych równo słońc.

– Za każdym razem, gdy widzę to... coś – przyznała – zastanawiam się, jak to możliwe, że przetrwaliśmy tak długo. Sh'daar mogliby nas łatwo zniszczyć, odkąd tylko ich spotkaliśmy. Zamiast tego walczyliśmy z ich wasalami. To nie ma sensu.

– Czy oni to zbudowali? Chyba nie było to do końca pewne?

– Jeśli nie oni, to ur-Sh'daar. Zanim osiągnęli transcendencję. W zasadzie na jedno wychodzi. Sh'daar to... resztki ur-Sh'daar.

– Może – odparł Gray. – Ale może była jeszcze jakaś wcześniejsza cywilizacja.

– Panie admirale, proszę. – Uniosła błagalnie dłonie. – Nie komplikujmy spraw jeszcze bardziej, wymyślając całe panteony mistycznych, starożytnych Gwiezdnych Bogów.

Gray roześmiał się.

– Oczywiście. Ale i tak... wszechświat zaczął się trzynaście

przecinek osiem miliarda lat temu...

– Trzynaste przecinek osiemdziesiąt dwa – poprawiła go.

– Przecinek osiemdziesiąt dwa miliarda lat temu – powtórzył.

– Odejmijmy od tego cztery i pół miliarda, które zajęła ewolucja korzystających z narzędzi, budujących statki kosmiczne istot na Ziemi. To nam daje jakieś dziewięć miliardów. Ile gatunków może wyewoluować, osiągnąć podróże kosmiczne, komputery i nanotechnologię i dotrzeć do momentu, kiedy... – wskazał gestem na obce niebo – kiedy mogli przenosić gwiazdy tylko po to, by tworzyć sztukę na skalę kosmiczną?

– Sześć Słońc to prawdopodobnie środek transportu, podobnie jak AGTR – powiedziała McKennon. – Te obracające się masy gwiazdne zakrzywiają czasoprzestrzeń i otwierają wrota do... gdzie indziej. Może do kiedy indziej. Nie mamy pojęcia. Rozumiem jednak, co chce pan powiedzieć. Ktokolwiek to zbudował, zrobił to... od niechcienia. Jakby umieszczenie sześciu gwiazd na orbicie wokół wspólnego środka grawitacyjnego było dla nich drobnostką.

– Oho – zmienił temat Gray. – Wygląda na to, że Glothrowie się połączyli.

Obraz jednego z Glothrów, zapewne ich odpowiednika ambasadora, pojawił się po prawej stronie wirtualnego pomieszczenia. Miał trzy metry i przypominał lądową meduzę, stojącą na wijącej się masie macek, połączonych z czymś przypominającym parasol. Spora część istoty była przezroczysta. Widać było mózg, okrążony przez dwadzieścioro czworo czarnych oczu. Ciało kosmity – kolumna, którą czasami dawało się dostrzec zza macek – było przejrzyste i mieściło organy wewnętrzne.

Gray cieszył się, że macki zwykle zasłaniały wnętrze istoty. Grubsze z nich służyły do poruszania się, a cieńsze do manipulacji przedmiotami. Były przezroczyste u podstawy, ale bliżej końców przechodziły w brązy i szarości. Przejrzyste części lśniły wielokolorową tęczą. Z wnętrza ciała błyszcząły gromady niebieskich i zielonych światła. Glothrowie

komunikowali się, zmieniając kolor. Nie było łatwo przełożyć to na mowę, ale jeden z języków handlowych Agletsch zaprojektowano dla istot porozumiewających się wizualnie. Trzeba było tylko komputera, który zajmował się samą translacją.

– To jest Glothr? – spytała McKennon. Była zaintrygowana, ale to nie mogło dziwić, zważywszy na jej specjalność.

– Tak. Taką nazwę nadali im przynajmniej Agletsch. Spotkaliśmy ich dwanaście milionów lat w przyszłości.

– To znaczy dwanaście milionów po roku dwa tysiące czterysta dwudziestym piątym?

– Tak.

– Potrzebujemy specjalnej gramatyki do rozmów o podróżach w czasie.

– Na pewno.

Roześmiała się.

– Pobrałam jeden wstępny raport, ale nie miałam czasu się z nim zapoznać. Jacy są?

Dwanaście milionów lat w przyszłości – licząc od macierzystej epoki Graya – na pewnej wędrownej planecie powstała spektakularnie zaawansowana cywilizacja techniczna. Dryfujący w próżni bez własnego słońca świat został nazwany przez ludzi Invictusem. Był straszliwie zimny, przynajmniej na powierzchni, i zawsze ciemny. Miał masę pięć razy większą od ziemskiej. Chemicznie przypominał składem Tytana. Na powierzchni znaleźć można było płynny metan i etan. Radioaktywny rdzeń planety sprawiał, że ogromny, pozbawiony światła ocean miał formę płynną, choć znajdował się pod wieloma kilometrami lodu twardego jak skała.

Mniej więcej tyle wiedzieli. Glothrowie wciąż stanowili dla Graya zagadkę. Najwyraźniej byli w jakiś niezrozumiały jeszcze sposób powiązani ze Sh'daar z czasu T-prime, mimo że pochodzili z dalekiej przyszłości. Gdy Grayowi udało się nawiązać z nimi pokojowy kontakt, pojawiła się nadzieja, że może Glothrowie mogliby porozumieć się ze Sh'daarami

z przeszłości, aby zakończyć ich próby poskromienia i asymilacji ludzkości. Okręt o dziwacznym kształcie, którym Glothr przybył do stolicy Sh'daar, potrafił zakrzywić czas i właśnie po to sprowadzono go z odległej o eony przyszłości. Gray nie wiedział tego, ale miał w zasadzie pewność, że to był pomysł Konstantina.

– Trudno ich zrozumieć – tyle mógł powiedzieć Gray. – Nie są tacy, jak my. To organizmy kolonijne, niczym żeglarz portugalski z ziemskich tropików. Wiele osobników działających razem. No i to, co u nich robi za emocje... szczególnie przechodzi przez translatory.

– Według raportu są ze Steppenwolfa.

Świat Steppenwolfa był slangowym określeniem na samotny glob bez gwiazdy, wędrujący po Galaktyce jak wilk stepowy.

– Owszem. Nazwaliśmy go Invictus. Musiał opuścić swój pierwotny układ gwiazdny miliardy lat temu i od tej pory wędruje samotnie wśród gwiazd.

– Daar N'gah to także samotna planeta.

– Widziałem, gdy weszliśmy na orbitę. Jak rozumiem, Sh'daarowie ją terraformowali, a właściwie stworzyli. Uczynili ją zdatną do zamieszkania za pomocą energii kwantowej czy czegoś takiego.

– Tak, ale nie widzę tu bezpośredniego połączenia. Daar N'gah była martwą planetą, zanim Sh'daarowie, a może nawet ur-Sh'daarowie ją przeobrazili.

– Mieli sporo miejsc do wyboru. Szacuje się, że po Galaktyce lata więcej Steppenwolfów, niż jest w niej gwiazd.

– Owszem. Jakieś czterysta miliardów. Wygląda na to, że z każdego układu słonecznego u jego początków odrywają się jakieś samotne planety, kiedy orbity jeszcze nie są stabilne. Większość z nich oczywiście jest zamarzniętych i martwych...

– Ale przy odpowiednich warunkach – dokończył Gray – przy wystarczającym ciepłe wewnętrznym dla płynnych oceanów i związków węgla, na niektórych powstaje życie, jak na Invictusie.

– Przynajmniej możliwa jest ich kolonizacja, jak w przypadku Daar N'gah.

Rozmowa przeniosła się na inne tematy w miarę, jak kolejni uczestnicy spotkania, ludzie i nieludzie, zaczęli pojawiać się w symulacji. Nowo przybyli ludzie zasiadali się na ławkach, zaś inni na powierzchniach między ławkami... Albo też obraz zmieniał się tak, by całkiem wyeliminować ławki w danych miejscach.

Gray i McKennon zaczęli rozmawiać o tym, jak Sh'daarowie z T-prime mają się do tych z T-0,876gy... czyli, jak nazwał to prezydent Koenig, jak późni Sh'daarowie mają się do wczesnych. Po pięćdziesięciu ośmiu latach wojen ludzie wciąż nie byli pewni, czy wrogie im gatunki – Turuschowie, H'rulka, Slanowie i reszta – byli Sh'daarami, czy zostali jedynie zmanipulowani. Może nie była to wielka różnica, ale dość ważna. Jak bardzo Turuschom zależało na tym, by pozbawić Ziemię zaawansowanej technologii? Czy możliwe było przekonanie ich, aby zwrócili się przeciwko swoim władcom z głębin czasu?

Gray przyglądał się kobiecie z coraz większym zainteresowaniem i poczuł ukłucie... czego? Samotności? Tęsknoty? Być może winy?

Przez ostatnie kilka lat Gray był blisko związany z Laurie Taggart, szefem służby uzbrojenia „Ameryki”, ale zaoferowano jej awans, stanowisko pierwszej oficer na nowym lotniskowcu „Lexington”. Była to dla niej wielka szansa, za parę lat mogła dostać własny okręt.

Sprawiło to jednak, że Gray tęsknił za nią – i za Angelą – bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Cholera, cholera, cholera...

Rozważał pytanie McKennon, czy nie chciałaby zjeść z nim kolacji na pokładzie „Ameryki”, ale się powstrzymał. Niedługo czekał go powrót do T-prime, podczas gdy ona zostanie tutaj, osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat w przeszłości. To dopiero byłaby relacja długodystansowa.

W pomieszczeniu kilka metrów od miejsca, gdzie siedzieli

Gray i McKennon, zmaterializowała się przedstawicielka Agletsch i przerwała coraz bardziej nieszczęśliwe myśli admirała. Jej identyfikator, który pojawił się w umyśle Graya obok obrazu, informował, że to Aar'mithdisch, jedna z pająkowatych, czterookich łączniczek, które przybyły na okręcie Glothrów. Admirał wiedział, że to przedstawicielka płci żeńskiej, bo samce Agletsch były małymi, podobnymi do pijawek stworzeniami, przyczepionymi do ciała samicy, jak to miało miejsce w przypadku ziemskich ryb głębinowych. Z czasem stawały się częścią ciała wybranki i były całkiem wchłaniane.

Pomyślał, że przynajmniej nie muszą zawracać sobie głowy uwodzeniem i randkami.

– Admirale Gray! – odezwał się przetłumaczony głos istoty, gdy wysunęła szypułkę oka w jego stronę. – Nadeszła wielka chwila, tak-nie?

Agletsch byli pierwszą obcą cywilizacją napotkaną przez ludzi. Pierwszy kontakt miał miejsce w roku 2312 w układzie Zeta Doradus, tylko trzydzieści osiem lat świetlnych od Ziemi. Nie była to ich ojczysta planeta. Żaden człowiek nie wiedział, skąd pochodzą. Cena, jakiej kosmici zażądali za tę informację, była dosłownie astronomiczna. Ich owalne ciała z szesnastoma kończynami przypominały ziemskie stawonogi... no, przy złym oświetleniu i po paru głębszych, przez co wielu zwało ich Robalami czy Pająkami.

Niewielu ludzi im ufało. Częściowo dlatego, że ich wygląd przyprawiał o fobie, ale też ze względu na to, że wiele z nich miało w sobie wszczepione przez Sh'daarów nanourządzenia rejestracyjno-komunikacyjne, zwane ziarnami, przez co były czymś w rodzaju szpiegów. Gray wielokrotnie pracował z nimi i nie uważał, że dobrowolnie zdradziłyby swoich ludzkich klientów, ale wiedział też, że niełatwo jest odgadnąć motywy nieludzi. Przez jakiś czas ludzkie okręty przestały nawet przewozić doradców z tego gatunku, mimo ich oczywistej przydatności jako tłumaczy i źródła informacji o Sh'daar

i astrografii.

Gray nalegał jednak, by na tę misję zabrać Agletsch, żeby pomogły tłumaczyć komunikację ze Sh'daarami. Szefowie sztabów i prezydent Koenig zgodzili się, ale tylko jeśli ograniczą się do okrętu Glothrów. Gray nie miał nic przeciwko. Chciał mieć tam kogoś, komu mógł zaufać, jeśli szło o tłumaczenia między ludźmi i Glothrami.

– To rzeczywiście wielka chwila, Aar'mithdisch – odparł Gray.

– Chciałbym podkreślić, że bardzo istotne jest, abyśmy mieli dokładne tłumaczenie dla obu stron. To mogą być najważniejsze negocjacje dyplomatyczne w historii mojej planety. – Uśmiechnął się. – Zero ciśnienia.

– Nie rozumiemy ostatniego stwierdzenia – odparła kosmitka.

– Wypełnione gazem części okrętu Glothrów mają wysokie ciśnienie, wynoszące...

– Nieważne – uciał Gray. – To było tylko humorystyczne wyrażenie.

Czworo oczu na szypułkach drżało w skomplikowanym rytmie, jak jakiś rodzaj semafora. Gray wciąż nie potrafił odczytać emocji, które ruch oczu przekazywał innym Agletsch. Bez wątplenia im tak samo trudno było odczytać ludzką mimikę, jak chociażby jego uśmiech, gdy powiedział „zero ciśnienia”. Agletsch budowały świetne translatory elektroniczne, ale żaden system tłumaczeniowy ani sztuczny język nie mógł wziąć pod uwagę wszystkich subtelnych różnic kulturowych, biologicznych i światopoglądowych.

Zważywszy na to, jak bardzo poszczególne rozumne gatunki różniły się od siebie, i tak cudem było, że w ogóle dało się cokolwiek zrozumieć.

– Tłumaczymy, admirale Gray. Dokładnie... Choć zauważamy, że ludzie mają czasami problemy ze zrozumieniem nawet innych ludzi mówiących w tym samym języku.

– Niepokojąco dobrze nas rozumiecie.

Istota odpowiedziała, pochylając dwie ze swoich szypulek. Gray uznał, że to gest zgody czy choćby przyjęcia jego

stwierdzenia do wiadomości. Obok pojawiły się dwie kolejne Agletsch i wyglądało na to, że wszystkie trzy zajęły się rozmową między sobą.

– Proszę zobaczyć, co właśnie się zjawilo – odezwała się McKennon, wskazując przed siebie. Zmaterializował się obraz kolejnej istoty. Wyglądała jak trzymetrowy stos rozgwiad, mniejszych na górze, a większych – o średnicy prawie metra – na dole. Kilka chudych, rozgałęzionych ramion wysunęło się z ciała kosmity, zaś na mrowiu ruchliwych wici lśniły oczy.

– No, no – powiedział Gray, szeroko otwierając oczy. – Według mojego implantu to Ghresthrepni... jeden z Adjugredudhrów.

– Jeden z najwyżej postawionych Sh'daarów – potwierdziła McKennon. – I dowódca „Prastarej Nadziei”.

– Ach, okrętu, który nas tu przetransportował. Niezła sztuka.

Podobnie jak w przypadku wielu innych rzeczy podczas tej misji, o Adjugredudhrach nie było wiadomo zbyt wiele. Stanowili prominentny gatunek wśród ur-Sh'daar jeszcze przed transcendencją. Zagłębiali się w zaawansowaną nanotechnologię. Z tego, co Gray dowiedział się podczas pierwszej wizyty „Ameryki” w Chmurze N'gai dwadzieścia lat wcześniej, pierwotni Adjugredudhra rozwinęli ją w niesamowitym stopniu, tworząc coraz mniejsze maszyny o coraz większej mocy. Maszyny, które pozwalały im przeobrażać własne ciała cząsteczka po cząsteczce, dosłownie zmieniać je wedle uznania.

Niewiele jednak kultur galaktycznych było całkowicie jednorodnych. Niektóre gatunki, zorganizowane jak mrowiska czy kolonie pszczół, być może dawały radę utrzymać jednolitość, ale większość rozumnych istot była różnorodna, zmienna, pełna subkultur i frakcji, a nawet wyrzutków i renegatów, którzy nie zgadzali się z kierunkiem, w jakim kroczy ich kultura. Gdy nadeszła transcendencja, czyli Schjaa Hok, Czas Zmian, miliony z nich pozostawiono. Ich cywilizacja rozpadła się, utraciono mnóstwo technologii, a wojny między

tymi, którzy przeżyli, o ruiny galaktycznego imperium zniszczyły to, co zostało.

Przez kolejne tysiące lat ci, którzy pozostali, zjednoczyli się jednak i odbudowali wiele, a w tym światopoglądy, tradycje, imperialne ambicje... Aż cywilizacja Sh'daar powstała z ruin, pozostawionych przez ur-Sh'daar.

Obok pierwszej istoty pojawiła się kolejna, wyglądająca jak ogromna kałamarnica stojąca na głowie. Jej macki wiły się po podłodze i łączyły z dwuipółmetrowej wysokości tułowiem. Miała jedno, przypominające spodek oko oraz inne organy sensoryczne, wyzierające spośród macek, które mieniały się wieloma kolorami. Podobnie jak Glothr, ten gatunek również porozumiewał się za pomocą barw.

Baza danych Graya wyświetliła nazwę, pod jaką Agletsch znali ten gatunek: Groth Hoj. Zgodnie z tym, czego dowiedziała się ludzkość podczas ekspedycji Koeniga, Groth Hoj byli mistrzami robotyki, tworzącymi dla siebie ogromne mechaniczne ciała, pierwotnie stanowiące imitacje ich własnych, a potem coraz bardziej od nich odbiegające.

Nie wszyscy jednak wybrali tę drogę, niektórzy uznali ją za ślepą uliczkę. Ci właśnie pozostali i zapewne teraz wyglądali jak osobnik, którego widział Gray.

W przypadku następnej istoty baza danych Graya nie posiadała żadnych informacji. Nie widział niczego do niej podobnego w żadnym znanym mu raporcie.

Na pierwszy rzut oka kosmita wyglądał jak dinozaur. Przypomniał zauropoda o długiej szyi, ale stał na sześciu nogach. Nie miał też ogona, a dodatkowe kończyny były nietypowe – jedna z przodu, druga z tyłu. Gray uznał, że chód istoty musiał wyglądać co najmniej dziwnie.

Skóra stworzenia wyglądała jak spękana skała, jego boki jak klify, a szyja przypominała żuraw budowlany. Co najważniejsze, istota wyglądała na absolutnie gigantyczną, długości kilkuset metrów, ważącą miliony ton. Wielką szyję wieńczyła szeroka, spłaszczona głowa, niby u rekina-młota.

Oczy – to chyba były oczy – lśniły u spodu głowy. Las czegoś, co mogło być włosami, zwisał tam jak rodzaj brody. Widząc jednak, jak te włosy się wiją, Gray uznał, że muszą to być chwytne kończyny. Zakrywały częściowo pulsujący otwór w kształcie litery V, który mógł być paszczą...

Nie, nie paszczą. Może otworem oddechowym? Tej wielkości stworzenie musiało wciąż jeść, żeby zapewnić energię tak masywnemu ciału, a tak mała paszcza nie nadawałaby się do tego. Jak więc jadł ten stwór? I co?

Z jakiegoś powodu admirał nie miał ochoty się tego dowiadywać.

– Co to jest? – odezwał się.

– Agletsch nazywają go Drerdem – usłyszał głos w swojej głowie i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że mówi nie McKennon, a Konstantin.

Dzień dobry, Konstantinie – pomyślał. Rozgościłeś się w swoim nowym domu?

– Wszystko jest jak należy, admirał – odparła AI swoim niezwykle spokojnym głosem. – Udało mi się połączyć z systemami przechowywania danych Sh'daar i zacząłem pobierać informacje o ich cywilizacji. Jest tam mowa o wielu gatunkach, których jeszcze nie napotkaliśmy.

– Można się tego spodziewać – stwierdził Gray. – Gdy „Ameryka” była tu ostatnio, nie mieliśmy czasu zbyt dobrze się rozejrzeć.

– Nie. Są setki obcych gatunków, które wyewoluowały w Chmurze N'gai w ciągu miliardów lat. Znamy tylko niektóre.

Gray spojrział na zbiorowisko kosmitów w wirtualnej przestrzeni i zastanawiał się, dlaczego wybrano właśnie ich, a nie na przykład pary symbiontów F'heen-F'haav czy ślimakowatych Sjhluurr.

Najważniejsze pytanie brzmiało: kto rządzi Sh'daar?

Nagle zorientował się, że Drerd zaczął mówić.

– Uroczycie witamy przybyszy z przyszłości...

Głos brzmiał jak ludzki niski baryton, a przynajmniej jak

ludzki awatar AI. Według danych pojawiających się w świadomości Graya w bocznych oknach wielka istota ryczała na niesłyszalnych przez ludzi częstotliwościach od ośmiu do dziesięciu herców.

Ghresthrepni, adjugredudhrański kapitan okrętu, odpowiedział serią mlaśnieć, świergotów i brzęknięć.

– Witamy też – Gray usłyszał tłumaczenie – sojuszników z przyszłości naszej Społeczności, których Agletsch zważy Glothrami. Chcemy znać powód ich przybycia.

Wewnątrz Glothra falowało i pulsowało światło.

– Przynosimy ostrzeżenie z przyszłości – przetłumaczył translator.

– Wysłuchamy teraz ludzi – powiedział Drerd. – To oni wnioskowali o to zebranie.

– Pańska kolej – powiedziała McKennon.

– Na to wygląda. – Gray powstał.

Wirtualny obraz wokół niego zmienił się. Zamiast na sali wykładowej stał teraz na niekończącej się równinie. Niebo pozostało to samo – wielkie skupiska gwiazd, mgławice i sztuczne światy. Teraz jednak wokół, twarzami do siebie, stała grupa istot. Drerd był jeszcze większy, niż Gray sobie wyobrażał – ruchoma góra, czy nawet łańcuch górski. Nie było wokół innych ludzi – każdy gatunek posiadał tylko jednego przedstawiciela. Glothr stał parę metrów po prawej admirała, Agletsch po lewej, a Drerd górował nad nim jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie kręgu.

Stali tam również Adjugredudhra, Groth Hoj i może trzydzieści czy czterdzieści innych istot. Dostrzegł kilka gatunków, które znał, ale których nie było w poprzedniej symulacji: Baondyedich, wyglądających jak wielkie, wielonożne naleśniki otoczone pierścieniem oczu, potwornych, lecz pięknych Sjhluurr – ośmiometrowej długości, mieniących się na złoto i czerwono, rój srebrzystych sfer unoszących się w powietrzu, czyli inteligentną część symbiontów F'heen-F'haav.

Są tutaj. Ciekawe – pomyślał.

Większość – nie wszystkie, ale większość – zgromadzonych istot górowała nad Grayem. Groth Hoj o jakiś metr, Drerd o setki. Pojedynczy F'heen mieli po kilka centymetrów, ale ta błyszcząca, pulsująca sfera setek osobników liczyła jakieś dziesięć metrów średnicy. Agletsch byli o połowę niżsi od ludzi, a po jego prawej było coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak długa na kilka metrów i wysoka na pół metra kupa organów wewnętrznych. Nie zmieniało to jednak poczucia, że stoi wśród gigantów. Gray czuł się przytłoczony, nieistotny. Nie pomagała też świadomość, że każda z tych istot należy do dojrzszej, bardziej zaawansowanej technicznie cywilizacji niż ziemską. Czuł się jak dziecko w pokoju pełnym bardzo wysokich, bardzo starych dorosłych.

Jakże mogłoby być inaczej? Ludzkość wydobyla się z przedtechnologicznego mroku bardzo niedawno. Minęło dopiero dziesięć tysiącleci od wynalezienia pługa, ledwie sześćset lat od wynalezienia radia i połowa tego od pierwszej podróży międzygwiazdnej. Szanse na to, że jacyś napotkani przez ludzi obcy będą młodszy, były niewielkie.

W myślach nazwał to zgromadzenie Radą Sh'daar, choć nie miał pojęcia, czy to określenie odpowiada rzeczywistości.

– Mam informacje dla tej Rady – powiedział Gray poprzez swój implant mózgowy. – Informacje uzyskane z dalekiej przyszłości, z czasów odległych o dwanaście milionów lat od mojej epoki i około ośmiuset osiemdziesięciu ośmiu milionów lat od waszej. Dowiedzieliśmy się tego od Glothrów na pozbawionym słońca świecie, który nazwaliśmy Invictusem. Myślę, że wszyscy w Radzie Sh'daar muszą to usłyszeć...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

2 listopada 2425

Rzeczywistość wirtualna

Chmura N'gai

Godzina 12.12 TFT

Konstantin-2 przekazał nagranie Radzie Sh'daar, podczas gdy Gray mówił dalej. Potężne AI na pokładzie „Ameryki” dwanaście milionów lat w przyszłości czasu ludzi połączyły się z rozległą siecią informacyjną Glothrów. Informacje i obrazy tam znalezione przekazane zostały do Konstantina w roku 2425, przeanalizowane i przetłumaczone. Te zapisy, przechowywane w pamięci Konstantina-2, stanowiły teraz tło dla przemówienia Graya.

– To jest moja Galaktyka, którą zwiemy Drogą Mleczną. Tak wygląda w czasach współczesnych dla mnie.

Równina i krąg olbrzymów zniknęły.

Zamiast nich pojawiła się w całej swojej okazałości Droga Mleczna, rozświetlająca absolutny mrok kosmosu. Jej centrum miało czerwone zabarwienie, podczas gdy spiralne ramiona świeciły niebieskim blaskiem. Widać było wyraźnie z tej perspektywy, że Galaktyka jest spiralą, okrążającą supermasywną czarną dziurę.

Czterysta miliardów gwiazd... czterdzieści miliardów planet podobnych do Ziemi... miliony rozumnych gatunków, z czego wiele było kosmicznymi cywilizacjami.

– Pewien mądry człowiek nazwiskiem Sun Tzu rzekł kiedyś:

„Poznaj swojego wroga” – powiedział Gray. – My, ludzie, staraliśmy się więc dowiedzieć jak najwięcej o Społeczności Sh'daar. Wiemy, że wyewoluowaliście w galaktyce karłowatej, którą nazywacie Chmurą N'gai. Że waszą cywilizację zniszczyła transcendencia i że odbudowaliście ją z popiołów. Wiemy, że gdy Chmura N'gai została pochłonięta przez Drogę Mleczną, stworzyliście nowe imperium, obejmujące nie tylko przestrzeń, lecz i czas. I że byliście zdeterminowani, by transcendencia nigdy więcej nie zagroziła waszej kulturze czy kulturze innych cywilizacji, z którymi macie kontakty. Wiemy, że znaleźliście sposób na podróż do naszej epoki, gdzie zwerbowaliście do swej sprawy wiele innych gatunków: Turuschów, H'rulka, Slanów i innych. A gdy my, ludzie, odmówiliśmy przyjęcia waszej propozycji, nakazaliście im nas zaatakować. Albo po to, by zmusić nas do posłuszeństwa, albo by nas zniszczyć.

Przerwało mu niskie pomrukiwanie Drerda.

– Wy, ludzie, stoicie nad przepaścią – przekazał translator. – Jesteście bliżej Schjaa Hok, niż wam się wydaje. Jeśli upadniecie, zagroziecie nam wszystkim.

– Nigdy nie rozumieliśmy waszych obaw w tej kwestii – powiedział Gray. – Jeśli jeden gatunek w tej wielkiej Galaktyce wymrze albo wkroczy we własną transcencję i zniknie, jak wam to zagraża?

– Obracające się wrota dają dostęp nie tylko do innych obszarów przestrzeni, ale i czasu – przypomniał Sjhluurr. – Może to zagrozić przyczynowości. Całe wszechświaty twórczości i stworzenia, doświadczenia, cierpienia i ekstazy, wszechświaty Umysłu można zniszczyć w jednej chwili. Jaka istota by się tego nie obawiała?

„Obracające się wrota” – zapewne tak Sh'daar nazywali cylindry AGTR. Dane Agletsch w jego implancie potwierdziły to przypuszczenie.

– Mogą być większe obawy – odrzekł Gray. – Niedawno udaliśmy się dwanaście milionów lat do przyszłości i napotkaliśmy Glothrów. Wiele się od nich dowiedzieliśmy.

W tym o końcu cywilizacji galaktycznej... a przynajmniej tej jej części, która zawiera ludzkość i Sh'daarów.

Wirtualny obraz Drogi Mlecznej zmienił się. Wielki wir setek miliardów słońc, młodych, jasnych i żywych, z ramionami pełnymi gorących gwiazd, rozplynął się, zastąpiony przez... coś innego, przez bladą imitację dawnego piękna. Matematyczna perfekcja spiralnych ramion już nie istniała, mgławice zostały pożarte, miriady gwiazd zniknęły lub przygasły – widać ich było zaledwie garstkę. Galaktyka stała się ponurym cieniem dawnej świetności.

Zaś w jej centrum widać było coś dziwnego pośród pozostałych słońc. Coś ciemnego, z lekką nutą złocistego światła. Było to trudno wychwycić i jeszcze trudniej zinterpretować, ale wyglądało jak wielka, przezroczysta sfera o średnicy dziesięciu tysięcy lat świetlnych, stworzona być może z chmury słońc, której miejsce zajmowała.

Zgodnie z danymi Glothrów jedynie garstka gatunków, w tym sami Glothrowie, uciekała ze spustoszonej Galaktyki do innych poprzez kosmiczne przestworza. Cała flota, stado planetarnych Steppenwolfów, uchodziła w mrok.

– Uważamy – powiedział Gray – że widzimy w środku Drogi Mlecznej cywilizację trzeciego stopnia według skali Kardaszewa. Galaktyczną sferę Dysona.

Gdy to mówił, Konstantin-2 przekazał Radzie informacje o użytych przez Graya nieprzetłumaczalnych terminach. W połowie dwudziestego wieku radziecki astrofizyk Nikołaj Siemionowicz Kardaszew zaproponował metodę pomiaru stopnia zaawansowania cywilizacji. Cywilizacja K-I wykorzystywałaby całą dostępną energię swojej planety. K-II używałaby energii swojej gwiazdy, a fizyk Freeman Dyson zaproponował sposób, w jaki byłoby to możliwe: pusta w środku sfera lub chmura orbitujących satelitów, która pochłaniałaby całą emitowaną przez gwiazdę energię.

Oznaczało to, że cywilizacja K-III używałaby całej energii zgromadzonej w galaktyce.

Gdy Gray zasugerował możliwość istnienia sfery Dysona na galaktyczną skalę, wyczuł zaniepokojenie wśród słuchaczy.

– Dlaczego mielibyśmy się tego obawiać? – spytał Groth Hoj. – To... wydarzenie ma miejsce w przyszłości odległej o niemal miliard lat. Być może nawet odpowiadają za nie nasi dalecy potomkowie.

– Efemeryda ma rację – odezwał się Adjugredudhra, gestykułując mocno ramionami. – Ledwie cztery obroty galaktyki to krótki czas dla naprawdę dojrzałej cywilizacji.

Użycie terminu „efemeryda” sprawiło, że Gray prawie ocknął się z symulacji. Jak długo żyli Adjugredudhra?

To pytanie prowadziło do kolejnego. Zapewne żyli bardzo długo, może nawet byli praktycznie nieśmiertelni dzięki manipulacji własnym genomem. Lecz modyfikacje genetyczne były jedną z zakazanych technologii, mogących prowadzić do osobliwości technologicznej. Adjugredudhra zaś, podobnie jak reszta Sh'daar, zapewne robili, co mogli, żeby temu zapobiec.

Czy wszyscy członkowie Społeczności Sh'daar byli hipokrytami na astronomiczną skalę? Niepokoiło to Graya, gdy odpowiadał na ich pytanie.

– Osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat to bardziej jak trzy obroty galaktyki, nie cztery – stwierdził. – Mgnienie oka!

Miał to być żart, ale czuł poruszenie pośród słuchaczy. Może rzeczywiście na co dzień postrzegali czas w takiej skali.

– Możliwe, że w mojej epoce zaobserwowaliśmy właśnie przybycie twórców galaktycznej sfery Dysona. Uważamy, że to Obcy z Rozety.

Na mentalny sygnał Graya Konstantin-2 przekazał Społeczności kolejny zestaw danych – obrazy, które przybyły na Ziemię z serca gromady gwiazd Omega Centauri.

– Wiele efemerycznych istot straciło życie, by zdobyć te informacje.

Konstantin pokazywał im obrazy zebrane przez „Amerykę”, okręty zwiadowcze i sondy wysłane do serca gromady. Kosmologowie byli pewni, że sześć czarnych dziur, które

widziała Rada, stanowi pozostałości po Sześciu Słońcach.

Istoty spoglądały na dziwaczny obraz za pomocą bardzo różnych organów zmysłów. Nie wszystkie z nich miały oczy, ale uzyskały te dane w wielu formatach.

Na Sześć Słońc składały się gorące, młode gwiazdy, każda o masie około czterdziestu ziemskich słońc. Tak wielkie ciała niebieskie żyły krótko. Wypalały się w ciągu dziesiątek milionów lat, po czym wybuchały jako supernowe typu drugiego i zapadały się w siebie jako czarne dziury. Zebrane wokół istoty musiały wiedzieć, co sugerują dane, ale Gray i tak to powiedział.

– Taki będzie ostateczny los waszych Sześciu Słońc. Sześć czarnych dziur, obracających się wokół w formie rozety. Te krążące szybko masy zakrzywiają czasoprzestrzeń podobnie jak AGTR, które zwiacie obracającymi się wrotami.

Gray wiedział, że najbardziej intrygującą częścią obrazu nie są jednak czarne dziury, ale to, co widać było w samym sercu Rozety: gwiazdy. Różne gwiazdy.

Zmieniały się wraz ze zmianą kąta widzenia, w miarę jak nagrywające sensory przelatywały obok. Gray pomyślał znów o tym, że niewielka zmiana kąta lotu w cylindrze AGTR również mogła zmienić to, gdzie w czasie i przestrzeni znajdzie się okręt. Tutaj na przemian widział zarówno z rzadka rozświetlone gwiazdne pustynie, jak i miriady słońc w centrum galaktyki, a następnie skłębione mgławice... pustkę przestrzeni międzygalaktycznej... bliski obraz podwójnego układu gwiazdowego... obraz spiralnej galaktyki, być może Drogi Mlecznej, widzianej z zewnątrz w całej okazałości.

Niektóre z tych widoków, tych rzeczywistości były całkowicie obce. Jedna wyglądała jak skupisko białej, gorącej energii, być może jądro słońca albo chwila po Wielkim Wybuchu... albo nawet kosmos, w którym panują zupełnie inne prawa fizyki.

Kosmologowie badający zmieniające się sceny doszli do wniosku, że każda z nich to wgląd do innego wszechświata – alternatywnej, równoległej rzeczywistości. Niektóre były

podobne do naszej, inne zupełnie odmienne.

– Uważamy, że Obcy z Rozety przeszli przez tę bramę. Mogą być z dalekiej przyszłości. Bardziej prawdopodobne jednak, że są z alternatywnego wszechświata, z innej rzeczywistości. Niektórzy z naszych kosmologów uważają, że pochodzą z umierającego uniwersum, znajdującego się w ostatnich eonach zimnego, entropicznego rozkładu. Jeśli tak jest, to Obcy z Rozety mogą szukać młodszego, zdrowszego wszechświata. Mogą migrować tu, by uciec ze swojego, schyłkowego kosmosu. Nie wiemy tego jednak. Nie byliśmy w stanie nawiązać z nimi komunikacji. Nie wiemy, czym są, co myślą, skąd pochodzą. Mogą być tak zaawansowani, że dosłownie nas nie widzą. Niektórzy ludzcy ksenosofontologowie zaczęli spekulować na temat galaktycznej sfery Dysona, którą widzieliśmy w przyszłości, osiemset osiemdziesiąt osiem milionów lat po epoce, którą zamieszkujecie. Statystycznie mało prawdopodobne jest, że mamy do czynienia z dwoma gatunkami trzeciego poziomu na skali Kardaszewa – pierwszym, który wkroczył do mojego wszechświata jako Obcy z Rozety, i drugim, który buduje galaktycznej wielkości sferę Dysona dwanaście milionów lat później. Jeśli te dwie manifestacje obcej obecności to rzeczywiście ten sam gatunek, musimy skonfrontować się z nimi, zanim zaczną pożerać całą Galaktykę. To wykracza poza zakres możliwości samych ludzi, ale może jednak da się zawrzeć sojusz między ludźmi a Sh'daar.

Gray czuł się paskudnie, musząc to powiedzieć. Przez większość dorosłego życia walczył ze Sh'daarami. Początkowo jako pilot myśliwca na „Ameryce”, potem w dowództwie Marynarki. Następnie był CAG na „Republice”, kapitanem „Nassau”, po czym wrócił na „Amerykę” jako pierwszy oficer, aż w końcu jej nowy dowódca.

Teraz był admirałem floty, dowodzącym grupą bojową „Ameryki” i miał rozkazy od prezydenta, by zawrzeć sojusz z obcymi kulturami, które zwalczał od dwudziestu... nie, dwudziestu czterech lat.

Zdecydowanie mu się to nie podobało.

Całym powodem tej wojny było utrzymanie suwerenności Ziemi względem koalicji istot, które chciały ją sobie podporządkować. Czy można zaufać Sh'daarom? Zrozumieć ich?

Czy ludzie mieli jednak stracić niepodległość po niemal sześćdziesięciu latach krwawych walk?

Gray czuł się rozdarty, wiedząc, że tak wielu jego żołnierzy – tak wielu jego przyjaciół – zginęło przez te istoty, które teraz w praktyce błagał o pomoc.

Zamilkł. Zdał sobie sprawę, że wszyscy zgromadzeni kosmici żywo dyskutują nad jego przemową. Gray stwierdził, że nie jest w stanie ogarnąć nawet ułamka tego, co mówią. To było jak udział w rozmowie, kiedy wszyscy mówią równocześnie. Udało mu się wychwycić jedynie pojedyncze słowa.

Znalazł kanał Agletsch.

– Aar'mithdisch? Nie nadążam za tłumaczeniem.

– Twój mózg posiada ograniczenia – odparła. – Nie jest w stanie śledzić wielu wątków jednocześnie.

– Mówisz, że te istoty potrafią?

– W pewnym stopniu. Wszystkie są w jakiś sposób zmodyfikowane. Być może później będziesz mógł użyć oprogramowania tłumaczącego, by odsłuchać poszczególne wątki.

Nie pomagało mu to zrozumieć, co dzieje się teraz.

– Nie wiemy, czy te obrazy pokazują manipulację galaktyki nieprzeprowadzoną przez Sh'daar...

– Nie wiemy w ogóle, czy te obrazy pokazują prawdę...

– Jeśli Glothrowie uciekną...

– Efemerydy przeinaczają prawdę...

– ...nie ma nic wspólnego z nami...

– ...efemerydy nie...

– ...miliard lat...

– ...strach...

– Co mówią? – odezwała się McKennon na prywatnym

kanale. Po raz pierwszy Gray zdał sobie sprawę, że kobieta również doświadcza tej rzeczywistości wirtualnej, mimo że nie widział jej awatara.

– Nie wiem. Nasz ekspert od tłumaczeń mówi, że ludzkie mózgi do tego nie wystarczają.

– Mózgi i układy nerwowe niektórych Sh'daarów są sztucznie wspomagane – odparła. – Adjugredudhra... Zhallegowie...

– Myślałem, że to wszystko Outsiderzy – odparł Gray z przekąsem w mentalnym głosie. – Żadnej genetyki, robotyki...

– Z tego, co udało nam się ustalić, nie było to dla nich nigdy coś absolutnego. Gdyby ludzie zrezygnowali z całej technologii, to do nadmiernego postępu zaliczałyby się także ogień, zaostrzone kamienie i siekiery. Nawet najbardziej fanatyczni luddyci by się tego nie domagali.

– Zapewne nie. Po prostu trąci mi to hipokryzją. Żądają, abyśmy zrezygnowali z technologii, których oni używają.

– Są obcy, admirał. Z samej definicji to oznacza, że nie widzą świata tak, jak my.

– Słyszałem to już – roześmiał się. – Wciąż myślę, że to słaba wymówka, która nic nie tłumaczy.

– Cóż, przepraszam...

– Nie mam pretensji do pani. Prezentują inny światopogląd, inaczej myślą, rozumiem to. Ale gdyby to był wirtualny dramat, gdyby czarny charakter zrobił coś dziwnego tylko dlatego, że jest obcy, widzowie by tego nie kupili.

– Może problem w tym, że to nie wirtualny dramat – odparła.

– Prawdziwe życie nigdy nie jest tak uporządkowane ani takie łatwe do wyjaśnienia jak fikcja.

– ...Sześć Słońc w przyszłości...

– ...obracające się wrota...

– ...jeśli efemerydy zaburzą równowagę...

– ...nie możemy...

– ...nie mogą...

– Nagrywa pani to wszystko? – spytał Gray.

– Oczywiście. Pan nie?

– Tak. Dobrze jednak mieć kopię zapasową. Może odbiera pani fragmenty, które przegapi moje oprogramowanie.

– Słusznie.

– Konstantin powinien być to później w stanie rozszyfrować, ale chciałbym wiedzieć już teraz, o co się kłóca.

– Proszę spytać Agletsch.

– Cholera. Oczywiście. – Zmienił kanał. – Aar'mithdisch? O co spierają się Sh'daar? Wyjaśnij proszę to mojemu biednemu, nierozwiniętemu mózgowi.

– Nie spierają się... nie do końca. Wystąpiły wątpliwości co do tego, czy obrazy przywiezione z dalekiej przyszłości rzeczywiście przedstawiają faktyczne zdarzenia. Adjugredudhra i Baondyeddi uważają, że galaktyczna sfera Dysona może być dziełem przyszłych potomków Społeczności Sh'daar. Jeśli tak jest w istocie, nie mają czego się obawiać... tak nie?

– Dane Glothrów wskazują, że gatunki Sh'daar uciekają z Galaktyki.

– Termin „Sh'daar” może nie mieć żadnego znaczenia za kolejne cztery obroty Galaktyki. Poza tym inni twierdzą, że miliard lat to zbyt długi czas, by się przejmować, co wtedy się stanie. Zamieszkane światy uciekające w międzygalaktyczną przestrzeń mogą być przyszłym odpowiednikiem Outsiderów, pokonaną frakcją... albo czymkolwiek innym. Niemal miliard lat to naprawdę długi czas, przez który cywilizacje mogą zmienić się nie do poznania.

– Jak... efemeryczne.

– Niektóre z gatunków Sh'daar są niezwykle długowieczne – kontynuowała Agletsch. – Patrzą na wszystko z dłuższej perspektywy... nie bez powodu. Większość jednak czuje, że to dzisiejsze problemy dostatecznie zaprzatają im uwagę... tak nie?

– Podróże w czasie zmieniają jednak perspektywę, nieprawdaż? – zwrócił uwagę Gray. – To, co Sh'daarowie robią tu, w Chmurze N'gai, ma skutki w moim czasie.

– Oczywiście. Ale co ważniejsze, technicznie zaawansowane gatunki z dalekiej przyszłości mogą przenieść się w przeszłość i mieć wpływ na to, co dzieje się teraz. Glothrowie wyraźnie to potrafią. Wy, ludzie, zrobiliście to za pomocą cylindrów AGTR. Społeczność przeraża możliwość, że ktoś... wy, Glothrowie, Obcy z Rozety... cofnie się do tego czasu lub wcześniejszego i zniszczy to, co tu zbudowali.

– Dlaczego? Co takiego istotnego budują?

Miał to być rodzaj żartu, tłumaczka jednak odpowiedziała.

– Chcą cofnąć osobliwość technologiczną, która zniszczyła ich dawną totschi.

Słowo nie było łatwo przetłumaczalne. Według bazy danych Konstantina-2 zawierało elementy „chwały”, „reputacji”, „skuteczności”. Gray uznał, że dobrym odpowiednikiem będzie „twarz”.

Czy taka była odpowiedź? Sh'daar wyruszyli na antyosobliwościową krucjatę, bo zostali zawstydzeni? Bo stracili twarz?

Nie brzmiało to rozsądnie. A jednak, biorąc pod uwagę przyczyny tak wielu wydarzeń w historii ludzkości, nie powinno go to aż tak dziwić.

– Sama wojna może być fenomenem emergentnym – szepnął mu w myślach Konstantin-2, niemal jakby je czytał.

– Co masz na myśli?

– Społeczność składa się z kilku różnych gatunków, z których każdy ma własne cele. Każdy członek tych gatunków też posiada własne dążenia i żądze, które kolidują ze sobą w nieprzewidywalny sposób. Świadczą o tym Sh'daarowie popierający osobliwość, którzy nas zaatakowali.

– Tak?

– Zachowania emergentne to większy wzorzec zachowań, wynikający z interakcji między mniejszymi lub prostszymi elementami, które same go nie wykazują. Umysł powstający spośród bilionów połączeń nerwowych to jeden z nich. Samo życie, powstające z połączenia komórek w organizmie, także.

– Dobra, dobra. Rozumiem. Ale wojna?

– Ewidentnie żaden z gatunków Sh'daar nie rządzi ani nie dominuje nad pozostałymi. Wszystkie boją się powtórki z ostatniej osobliwości i chcą ją powstrzymać. Ich wzajemne interakcje mogą jednak prowadzić do społecznej akceptacji wojny jako środka do celu, a nastawienie pozostałych gatunków wspiera powstającą grupową etykę.

– Jak rozwścieczony, żądny linczu tłum.

– Właśnie. Jeden człowiek może nie chcieć zabić drugiego, ale większa grupa, której członkowie nawzajem się motywują, nie będzie się wahać. Ludzie zademonstrowali tę zasadę wielokrotnie. W nazistowskich Niemczech, w Związku Radzieckim, w Hegemonii Chińskiej...

– Co więc możemy z tym zrobić?

– Nie wiadomo. Na pewno byłaby pomocna lepsza komunikacja.

– Oczywiście. Problem w tym, że teraz nawet ich nie rozumiemy.

– Efemerydy próbują nas zwodzić...

– Efemerydy nie są istotne...

– Musimy zbadać inteligencję z Rozety...

Kto to powiedział? Gray sprawdził strumień danych i kazał Konstantinowi dopasować wypowiedź do gatunku. Był to przedstawiciel Sjhluurrr.

Sjhluurrr byli ciekawym problemem dla badaczy gatunków Społeczności Sh'daar. Zgodnie z uzyskanymi dwadzieścia lat wcześniej danymi czerwono-złote ślimaki wydawały się mniej przywiązane do konkretnego obrazu ciała niż ludzie. Najwyraźniej modyfikowały własną formę za pomocą inżynierii genetycznej, przenosząc swoje wielkie intelekty do mniejszych, bardziej mobilnych ciał o różnych kształtach i rozmiarach.

– Ciekawe – powiedziała McKennon – czy to ich prawdziwy kształt.

Wydawała się czytać mu w myślach.

– Myślałem, że Outsiderzy z zasady odrzucali manipulacje genetyczne.

– Niektórzy tak, ale tak jak nie wszyscy ur-Sh'daarowie byli entuzjastami technologii, które doprowadziły do ich osobliwości, również nie wszyscy członkowie gatunku kupili tę samą ideologię. Proszę pomyśleć o tym, jak różni są ludzie.

– No tak. Łatwo widzieć obcych jako jednorodnych.

– Niektórzy rzeczywiście tacy są. Wszyscy F'heen są mniej więcej identyczni z pozostałymi w roju, zarówno genetycznie, jak i światopoglądowo. Tworzą telepatyczne umysły zbiorowe, więc muszą patrzeć na świat w ten sam sposób, nie tylko w ramach jednego roju, ale wszystkich. Ale inne gatunki? Nie, są tak samo różne, jak ludzie.

Gray zastanowił się nad tym przez chwilę i choć w teorii się zgadzał, to nie był do końca przekonany. Przez dłuższy czas ludzie myśleli, że niemal mityczni Sh'daar byli pojedynczym gatunkiem, monolityczną potęgą, stojącą za sojuszem gatunków w epoce T-prime, którym nakazali zaatakować ludzi. Gdy grupa bojowa „Ameryki” pierwszy raz przeniosła się w czasie do Chmury N'gai, ludzkość odkryła, że Sh'daarowie są zgromadzeniem kilkadziesiątu gatunków działających razem i tworzących czasoprzestrzenne imperium zjednoczone w misji powstrzymania innych gatunków przed osiągnięciem osobliwości technologicznej.

Coś w tej idei nie miało sensu. Gray czuł, jakby był o krok od odkrycia tajemnicy, motywu kierującego decyzjami i działaniami Sh'daar, czegoś, czego na razie ludzie nie pojęli. Miało to coś wspólnego z tym, co McKennon powiedziała o zróżnicowaniu wewnątrz gatunków, ale nie wiedział dokładnie co.

Wzruszywszy w myślach ramionami, postanowił zająć się tym później. Może Konstantin-2 będzie w stanie pomóc mu dojść do sedna.

Tymczasem wyglądało na to, że Sjhluurrr apelował o konsensus pośród Sh'daarów w kwestii wysłania większej

ekspedycji do przyszłości i skonfrontowania się z tajemniczymi istotami z Czarnej Rozety.

– Niektórzy z nas już udali się do dalekiej przyszłości, by tam współdziałać z rozumnymi gatunkami i przeprowadzić ostatnią wojnę z ludźmi, więc nie jest to kwestia braku środków. Musimy wysłać znaczną flotę, która nawiąże kontakt z tymi Obcymi z Rozety, których opisują ludzie. Potrzebujemy informacji, kim są te istoty i jakie mają intencje, zanim podejmiemy kolejne decyzje w kwestii Ziemi i roli ludzi w Społeczności Sh'daar...

Roli ludzi w Społeczności. Gray pokręcił wirtualną głową. Nie, zdecydowanie mu się to nie podobało.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

2 listopada 2425

TC/USNA CVS „Ameryka”

Kwatera admirała

Godzina 21.25 TFT

– To tutaj – powiedział Gray, wskazując drzwi. – Witam w moich skromnych progach.

Harriet McKennon weszła do pomieszczenia, które rozświetliło się, wykrywszy ruch i ciepło.

– Niesamowite! – powiedziała, rozglądając się z zaskoczeniem. – Nie wiedziałam, że oficerowie Marynarki żyją tak dobrze!

– Młodszy oficerowie muszą dzielić kajuty we dwóch, czasami trzech lub czterech, szczególnie na mniejszych okrętach. Ale gwiazdnym lotniskowcom nie brakuje przestrzeni.

– Ha, ha, bardzo śmieszne – odparła kpiąco i trąciła go lekko w ramię.

Gdy światła się zapaliły, na suficie zagościł widok przestrzeni kosmicznej – gęstych skupisk gwiazd, jasnego blasku Sześciu Słońc, mnogości stacji orbitalnych, sztucznych światów, habitatów kosmicznych oraz pobliskiego globu Daar N’gah, którego miasta rozświetlały powierzchnię.

– Niezły widok – stwierdziła.

Gray był zaskoczony, gdy McKennon zaakceptowała jego zaproszenie na kolację na pokładzie „Ameryki”, a jeszcze bardziej, gdy przyszła do jego kajuty. Niewiele brakowało, żeby

jej nie zaprosił... Czuł się jak nieśmiały pierwszorzecznik na randce.

– Co myślisz o motywacjach Sh'daarów? – spytał, starając się przełamać napięcie. – Jesteś tu... jak długo?

– Osiem miesięcy. Głębia Czasu Jeden rozpoczęła działanie w kwietniu. Byłam wśród pierwotnej załogi.

– Czy poważnie myślą o pokoju z ludźmi?

– Tak mi się wydaje – powiedziała z akcentem na „mi”.

– Ale nie jesteś pewna.

– No cóż... Trudno być absolutnie pewnym tego, co myślą, prawda? Nie podzielają ludzkich wartości ani nie myślą jak my.

– Rozumiem.

Ludzkie kultury potrafiły znacznie się różnić światopoglądami, wyznaniem, strukturą społeczną i ideologią. Te różnice nieraz doprowadzały do wojen.

Jak bardzo gorzej mogło być, gdy dwie kultury były sobie dosłownie obce jako produkty całkowicie różnych ścieżek ewolucyjnych?

– Może drink? Albo inhalant?

– Z chęcią.

– Czego sobie życzysz?

– Możesz zrobić jovian sunspot?

– Chyba bar da sobie z tym radę.

Stał przy minibarze w rogu pomieszczenia. Nie przepadał za nanostymulantami, ale jego bar był dostatecznie zaawansowany i wyposażony w replikator, który mógł szybko zsyntetyzować przyzwoity koktajl. Sam wybrał nada coladę. Nie lubił fałszywego poczucia pewności dawanego przez alkohol. Poza tym nie widział sensu w picciu tylko po to, żeby potem zażyć nanotechnologiczne środki wytrzeźwiający.

– Mogę się rozebrać? – spytała.

– Uch... jasne, jak ci wygodnie.

Dotknęła punktu kontaktowego na ramieniu swojego cywilnego kombinezonu i jej ubranie znikło. Nagość w sytuacjach społecznych była normą w zachodnim

społeczeństwie, ale Gray wciąż miał wdrukowane tabu z czasów dorastania wśród Ruin Manhattanu. Zawahał się chwilę, po czym rozpuścił także swój mundur. Przebywanie w ubraniu, podczas gdy ona była naga, zdawało się mniej komfortowe niż taka alternatywa.

Kliknięciem w myślach sprawił, że z podłogi wyrosła kanapa. Oboje rozsiedli się, spoglądając w dziwne niebo.

– Myślałam, że ta część statku się obraca – powiedziała.

– Owszem. To najlepsza grawitacja, jaką można kupić za pieniądze.

– Więc jak?

– Obraz pochodzi z zestawu kamer zamontowanego na naszej przedniej osłonie. Przesyła go tu AI. Mogłaby równie dobrze pokazać symulację, ale lubię wiedzieć, że patrzę na prawdziwe otoczenie.

– Oczywiście. Głupio, że pytam.

– Wcale nie. Technologia jest tak powszechna w naszym życiu, że trudno ogarnąć ją w całości. Zwykle akceptujemy jej istnienie bez zastanowienia.

– Po prostu nie pomyślałam. Spodziewałam się, że obraz będzie wciąż się obracał, jak na stacji.

– To też możliwe, jeśli wolisz. – Kolejne kliknięcie i gwiazdy zaczęły się poruszać zgodnie z prędkością obrotów modułów mieszkalnych „Ameryki”.

– W zasadzie wolałam tak, jak wcześniej.

– Twoje życzenie jest rozkazem dla AI. – Obrót zatrzymał się.

– Kręciło mi się od tego w głowie.

– Admirał dowodzący grupą bojową „Ameryki” nie może dostać choroby kosmicznej, co?

– To by nie wyglądało najlepiej. Szczególnie w tak czarującym towarzystwie.

Było to jednak ciekawe. Symulacje i wirtualne rzeczywistości stanowiły tak podstawową część współczesnego życia, że dziwne wydawało się, iż nie odgadła od razu iluzji nad własną głową. Przez chwilę Gray zastanawiał się, czy McKennon,

podobnie jak on, nie była prymem. Prymitywi z Peryferii wokół granic Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej nie dorastali z wirtualną rzeczywistością, implantami mózgowymi i holografia, które były standardem dla innych, i mogli coś takiego przeoczyć.

Nie miało to jednak wielkiego znaczenia. Może po prostu chciała jakoś zagaic rozmowę? Może chciała wyglądać na słabszą? Położył rękę na oparciu kanapy za jej głową, a ona przysunęła się bliżej.

Wzięła wdech ze srebrnej kulki, którą trzymała w ręce.

– Mmm. Dobrze. – Spojrzała na niego. – Nie wydawałeś się zbyt szczęśliwy, słysząc o ekspedycji Sh'daar do T-prime.

– Nie? – spytał. – W końcu to ja ich zaprosiłem...

– Wiem, ale wiem też, że wykonywałeś rozkazy. Chyba niekoniecznie ci się podobały.

Westchnął.

– Nie bardzo. Ale chyba to jedyny sposób na nawiązanie kontaktu z Obcymi z Rozety. Na pewno nie zamierzają słuchać tylko nas.

Skinęła głową.

– Wiem. Ja... miałam kiedyś kochankę. Sheri Hodgkins...

Zmarszczył brwi.

– Brzmi znajomo. – Przeszukał szybko bazę danych swojego implantu. – Kapitan Sheri Hodgkins?

– Z RSV „Endeavor”. Tak.

– Cholera... Przykro mi...

„Endeavor” i dwa eskortujące go okręty, „Miller” i „Herrera”, zaginęły nieco ponad rok wcześniej podczas eksploracji Czarnej Rozety w sercu gromady Omega Centauri. Dane, które zebrały – obrazy czegoś niezwykłego wyłaniającego się z wrót pomiędzy wirującymi czarnymi dziurami – na początku uznano za przybycie Sh'daarów z dalekiej przeszłości do Mlecznej Drogi.

„Endeavor” i eskorta, jak teraz uważano, zostały przypadkiem zniszczone przez istotę, która przeszła przez Czarną Rozetę, a która nie miała pojęcia, że okręt się tam

znajduje.

Pierwsze spotkanie ludzkości z Obcymi z Rozety.

A Sheri Hodgkins była kapitanem „Endeavor”.

– Zapewne wiesz więc o tym, że Obcy z Rozety nas nie słuchają...

– Tak, wiem. – Wzięła kolejny wdech swojego stymulanta. – Zabawne, sama prawie trafiłam na „Endeavor”. Wybrano mnie do działu ksenosofontologicznego i wczytywałam się mocno w protokoły pierwszego kontaktu, wiesz?

– Co się stało?

– Sheri i ja wzięłyśmy ślub.

– Więc...

– Monogamiczny.

Wreszcie zrozumiał.

– Ach.

– Właśnie. Zawaliłam badanie psychologiczne.

W zachodniej kulturze przygodne relacje seksualne były bez problemu akceptowane, podobnie jak większość relacji niemonogamicznych – poliamoria, małżeństwa grupowe i tak dalej. Małżeństwa monogamiczne, choć ich nie zakazywano, postrzegano jako coś dziwnego. Monogamistami byli głównie mieszkańcy Peryferii, gdzie dwoje ludzi łączyło się po to, by uważać na siebie nawzajem. Gray wiedział, bo sam był monogamistą. Mieszkał z żoną w Ruinach Manhattanu, aż choroba Angeli zmusiła go do wstąpienia do Marynarki USNA. Musiał zdobyć środki na jej leczenie.

Kuracja sprawiła, że Angela zostawiła go i ostatecznie dołączyła do małżeństwa liniowego w Nowym Jorku. A Gray wstąpił do Marynarki po to, by za to zapłacić...

To wspomnienie – odmawiał usunięcia go – wciąż bolało jak cholera, ale jakoś dawał sobie z nim radę... zazwyczaj.

W USNA było jednak dość uprzedzeń wobec monogów, żeby nieco utrudniać im życie. Polityka Heksagonu nie miała na celu dyskryminacji – w końcu przyjęto Graya do Marynarki mimo monogamicznej perwersji – ale czasami uprzedzenia dawały

o sobie znać. Zawalenie testu psychologicznego oznaczało zapewne, że ktoś uznał małżeństwo na pokładzie okrętu za zły pomysł, szczególnie jeśli jedna z małżonek była dowódcą. Łatwiej zastąpić naukowca niż kapitana, szczególnie na ostatnią chwilę.

– Jesteś prymem? – spytał.

– Skąd. Urodziłam się i wychowałam w Harlan w Kentucky. Łaziłam sporo po Appalachach jako dziecko.

– Przepraszam, Harriet. Nie chciałem...

– Nie szkodzi. Żaden problem. Ale są monogamiści, którzy nie są z Peryferii, wiesz?

– Teraz tak.

– Jesteś z Peryferii, co?

Skinął głową.

– Tak, ale to było dawno temu.

– Chyba widziałam coś o tym w twoim biogramie.

Chciał zmienić temat. I to bardzo.

– Myślisz, że Sh'daarom uda się tam, gdzie my zawiedliśmy? – spytał. McKennon westchnęła.

– Nie mam pojęcia. Kto wie?... Oni niemal z definicji są przed osobliwością. Obcy z Rozety... cóż, nie rozumiemy ich, ale zapewne dlatego, że są po niej.

– Nie pomyślałem o tym.

Wzruszyła znów ramionami, co ładnie podkreśliło jej odkrytą anatomię.

– Coś w tym jest. Sporo się mówiło o tym, że Obcy z Rozety mogą być tak naprawdę pierwotnymi ur-Sh'daarami, tymi, którzy przeszli transcendencję i przenieśli się do naszych czasów.

– Słyszałem o tym. To wyjaśniałoby, dlaczego Sh'daar się ich boją.

– Tak. Ale łączy ich – Sh'daar i Obcych z Rozety – tylko sama Rozeta. Większość ekspertów odrzuca obecnie tę hipotezę.

– Co? Dlaczego?

– Na początek, sami Sh'daarowie temu zaprzeczają.

– Mogą kłamać.

– Może. Ale Agletsch i Slanowie są dość stanowczy. Obcy z Rozety to dla pierwszych g'rev'netchjak, ale twierdzą, że nie wiedzą, co to za jedni. Slanowie nazywają ich określeniem, które można przetłumaczyć jako „grzech”, coś, co łamie zasady, coś nienaturalnego. Ale oni też nie wiedzą, czym są obcy z czarnych dziur.

Gray wiedział, że słowo g'rev'netchjak oznaczało w języku Agletsch coś tak okropnego, że nie dało się tego opisać.

– Zwykle gdy Sh'daarowie się czymś martwią – powiedział Gray – to dlatego, że boją się podróży w czasie. Dlatego poszli na ustępstwa, gdy „Ameryka” przybyła do tej epoki dwadzieścia lat temu.

– Owszem.

– Wciąż jednak nie rozumiem dlaczego. Boją się paradoksów czasowych? Ale gdyby coś takiego się zdarzyło, chyba nie byłoby tego świadomi?

– Trudno powiedzieć – stwierdziła McKennon. Zacisnęła usta w zamyśleniu. – Użycie cylindrów AGTR oznacza podróż zarówno w przestrzeni, jak i w czasie. Tak wróciliśmy do Chmury N'gai... i tak Sh'daarowie infiltrowali nasz czas. To część fizyki.

– Więc powinni wiedzieć, jak to działa – odparł Gray. – Nie ma paradoksu dziadka, bo czas się rozgałęzia.

Długo podróże w czasie – przynajmniej do przeszłości – uznawano za niemożliwe ze względu na to, że doprowadzałyby do paradoksów. Jeśli cofniesz się w czasie i zabijesz własnego dziadka, to jak możesz się urodzić, żeby tego dokonać?

Wyglądało na to, że odpowiedzią jest multiwersum – suma wielu równoległych wszechświatów obok siebie. Tego rodzaju paradoksom zapobiegało po prostu to, że tworzyła się wtedy nowa linia czasowa w nowym uniwersum. Jeśli zabijesz własnego dziadka, to gdy wrócisz do przyszłości, znajdziesz się w nieco innym wszechświecie niż ten, z którego wyruszałeś, bo lata temu jakiś nieznajomy pojawił się znikąd i zabił twojego

dziadka. Zaś dla rodziny, którą pozostawiłeś w swoim czasie, po prostu wyruszyłeś w przeszłość i zniknąłeś na zawsze.

– Chyba po prostu boją się samej idei wojny temporalnej. Tego, że możemy cofnąć się do czasów, zanim ich spotkaliśmy, i sprawić, że nigdy nie zaistnieją.

– To nie jest szczególnie prawdopodobne – odparł Gray. – Ur-Sh'daar znacznie nas przewyższali...

– Kilkaset tysięcy lat temu – przerwała mu – ur-Sh'daarowie zniknęli, a rasy, które stały się Sh'daarami, nie dysponowały nawet technologią podróży kosmicznych. Gdy ich cywilizacja załamała się, niektóre cofnęły się do epoki kamienia.

– Nie wiedziałem, że było z nimi aż tak źle.

– Możesz sobie wyobrazić, jak bezbronni się czuli i jak bezbronni czują się teraz. Gdybyśmy trafili na czas w ciągu tysiąca lat po upadku ich cywilizacji, moglibyśmy wszystkich eksterminować.

Pokręcił głową.

– Wciąż tego nie kupuję. Nie wydaje mi się, aby podróże przez AGTR mogły być tak precyzyjne. Nie mamy problemu z wybraniem pojedynczej ścieżki czasoprzestrzennej, ale nie bardzo mogę sobie wyobrazić, jak mielibyśmy otworzyć wrota do czasów sto tysięcy lat wcześniejszych. A jeśli to możliwe, czemu nie polecą do czasów parę tysięcy lat przed naszymi? Nie zbombardują nas z orbity? Albo nie podbiją nas, zanim polecimy w kosmos?

– Jak powiedziałeś, to nie takie proste. Poza tym nic by nie zmienili. Oryginalny wszechświat, w którym sięgamy gwiazd, wciąż by istniał. Tylko poza ich zasięgiem.

– Co sugeruje, że mogą mieć z nas jakiś pożytek, nawet jeśli sprawiamy kłopoty. – Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl. – Cholera...

– Co?

– Właśnie zdałem sobie sprawę... Nie możemy użyć podróży w czasie, żeby ich zniszczyć, ani nawet zmienić ich historię. Bo jest zbyt związana z naszą, przynajmniej od dwa tysiące trzysta

sześćdziesiątego siódmego!

– Nawet o tym nie pomyślałam. Ale masz rację.

– Jeśli zrobimy coś tutaj Sh'daarom, nie wrócimy do domu... Na pewno nie do tego, który znamy. Znajdziemy się w uniwersum, gdzie nie było wojny. Głowa mnie boli od tego...

– Ale to znaczy... – Szeroko otworzyła oczy. – Boże...

Skinął głową, rozumiejąc, co ma na myśli.

– Tak. Nawet wracając tutaj i zawierając pakt o nieagresji czy rozpoczynając wymianę handlową, ryzykujemy zniszczenie własnej przyszłości. Nie wiem jak ty, ale mam nadzieję, że wrócę do domu. Do naszego domu.

– Nie... zaczekaj – powiedziała. – To nie powinno zrobić różnicy. Wojna wciąż miała miejsce. Admirał Koenig zakończył ją dwadzieścia lat temu, w naszym i ich czasie, a jednak historia toczyła się dalej. Problemem byłoby, gdybyśmy cofnęli się o dwadzieścia jeden lat i coś zmienili, prawda?

– Hmm... chyba tak. Cholera, rozumiem już, dlaczego Sh'daar nie podoba się myśl o podróżujących w czasie ludziach. Moglibyśmy naprawdę namieszać. Również sobie!

– Ciekawe, czy będziemy w stanie przekonać ich, że dotrzymamy umów. Że nie jesteśmy zagrożeniem.

Gray roześmiał się.

– Ciekawe, czy to prawda!

– Jak to?

– Ludzie nie są najlepsi w dotrzymywaniu obietnic. Spytaj rdzennych Amerykanów.

– Cóż, tych lepiej dotrzymajmy. Sh'daar zamierzają zostawić stację – bojową stację – w naszej czasoprzestrzeni. Jeśli zrobimy coś głupiego...

– Uczynią z nami to, co asteroida z dinozaurami. Może nawet za pomocą asteroidy właśnie. Wiem.

– Zakładaliśmy przez dłuższy czas, że starożytni Sh'daar mają jakiś przyczółek w naszych czasach – stwierdziła.

– Oczywiście. Zapewne mają swoich wysłanników pośród gatunków, z którymi zawarli przymierze. Może zamierzają

zbudować coś podobnego do naszej bazy Głębia Czasu.

– Może Agletsch?

– Być może. Nie są jednak szczególnie mocne militarnie. To raczej Turuschowie albo Slanowie. Nie są łatwi w kontaktach.

– Nie chcesz Sh'daarów w naszych czasach.

– Czy to takie oczywiste?

– W zasadzie tak.

Wzruszył ramionami.

– Nie ufam im. Wolałbym, żeby trzymali się swojej epoki.

– Dlaczego?

– Nie kryją, że chcieliby przyłączyć nas do swojego imperium. Mają taki plan, odkąd ich spotkaliśmy prawie sześćdziesiąt lat temu.

– Może. A może po prostu nie rozumiemy ich motywacji.

Zamyślił się przez chwilę.

– Nie. Nie kupuję tego. Zaatakowali nas pierwsi, pamiętasz? Przesłali ultimatum, rozkazali nam dołączyć do siebie i porzucić zaawansowane technologie. Gdy odrzuciliśmy ich żądania, zaatakowali.

– Bo bali się...

– Nie wtedy! Nie odkryliśmy cylindrów AGTR przez następne czterdzieści lat! Nie zagrażaliśmy im w żaden sposób!

– Może przestraszyło ich, że jesteśmy tacy... agresywni. Kłótniwi. Waleczni. Łatwo się obrażamy. – Znow wzruszyła ramionami. – Musieli dowiedzieć się czegoś o nas od Agletsch. Nawiązaliśmy z nimi pierwszy kontakt... kiedy?

– W dwa tysiące trzysta dwunastym. W układzie Zeta Doradus.

– Dobrze. To było ponad pięćdziesiąt lat przed ultimatum.

– Pięćdziesiąt pięć.

– Dobrze, pięćdziesiąt pięć lat. – Uśmiechnęła się. – Widzisz? Kłótniwi.

Gray przewrócił oczami, ale też się uśmiechnął. McKennon kontynuowała:

– Mieli sporo czasu, żeby się trochę o nas dowiedzieć,

o naszym charakterze. Może uznali, że nie można nam zaufać, jeśli chodzi o niebezpieczne technologie.

– Wyprzedzają nas o tysiące lat! Czego niby się boją? – Gray teraz krzyczał.

– Spytaj ludzi z Columbus.

No tak, Columbus.

Gray zamyślił się. Trzysta lat wcześniej okręt Hegemonii Chińskiej zrzucił małą asteroidę do północnego Atlantyku, powodując ogromne spustoszenie, gdy fale tsunami uderzyły we Wschodnie Wybrzeże USNA i zachodnie Paneuropy. W historii ludzkości było mnóstwo podobnych przykładów, kiedy ofiary w ludziach i spustoszenie ograniczała tylko dostępna technologia. I być może tego najbardziej obawiali się Sh'daar – podróżującego pośród gwiazd gatunku z frakcjami i grupami politycznymi, dość szalonego, by skorzystać z takiej broni.

Ale było w tym coś więcej. Nie chodziło tylko o zaawansowaną technicznie broń, ale o skłonność ludzi do rzezi, często na ogromną skalę. Jak wiele ludobójstw zdarzyło się w ziemskiej historii? Eksterminacja katarów przez katolików, rdzennych Amerykanów przez Europejczyków, Ormian przez Turków, europejskich Żydów przez Niemców, muzułmanów przez bośniackich Serbów, Izraelczyków przez Persów...

Lista była dość długa.

Może to właśnie najbardziej przerażało Sh'daar w ludziach. Skłonność do zabijania milionów przedstawicieli własnego gatunku z powodu drobnych różnic ideologicznych, religijnych czy kulturowych. Po raz pierwszy w życiu Gray zobaczył ludzi tak, jak widzieli ich zapewne różni kosmici... Nie było to przyjemne uczucie.

– Przepraszam, Harriet – powiedział. – Nie chciałem podnosić głosu. Nie krzyczałem na ciebie. Walczyłem ze Sh'daarami od dawna. Chyba po prostu nie jestem jeszcze w stanie im zaufać.

McKennon na chwilę zamilkła, po czym westchnęła.

– W porządku. Nie zgadzam się z tobą, ale rozumiem, co czujesz.

– Nie powinienem jednak tracić panowania nad sobą.

– Może miałeś swoje powody. Zapewne rozkazano ci dostarczyć ten komunikat Sh'daarom? Zaprosić ich do T-prime, żeby pomogli nam z Obcymi z Rozety?

– Owszem.

– Jeśli to jakieś pocieszenie, Sh'daar też nam nie ufają.

– Zdaję sobie sprawę. Nie ufamy temu, czego nie rozumiemy. Ale... może te obce sukinsyny rozumieją nas aż za dobrze. A to oznacza, że mają powody, by nam nie ufać. Cholera...

McKennon obróciła się tak, że częściowo leżała na nim. Jej ręce gładziły jego ciało.

Przytulili się.

Pocałowali się.

Potem Gray zastanawiał się dlaczego. Nie pokazał się z najlepszej strony. Jasne, flirtowali, ale czuł się dość niezręcznie. Seks sprawił, że poczuł się zdecydowanie lepiej. Był zrelaksowany i bardziej pewny siebie.

Wiedział jednak, że rozmowa z McKennon trafiła w czuły punkt.

Gray musiał coś z tym zrobić, jeśli miał współpracować ze Społecznością Sh'daar w przyszłości.

ROZDZIAŁ ÓSMY

30 listopada 2425

TC/USNA CVS „Ameryka”

Biuro admirała

Godzina 15.12 TFT

„Ameryka” i jej grupa bojowa były już niemal w domu – pięć dni przed powrotem do Układu Słonecznego. Gray źle się czuł.

Zaczął się dzień wcześniej od objawów przeziębienia – bólu stawów i głowy, kataru. Połączył się z ambulatorium ze swojej kajuty i zaktualizował biologiczną osłonę antywirusową. Program medyczny zalecił spożywanie większej ilości płynów i czekanie, aż aktualizacja zacznie działać.

Dwadzieścia cztery godziny później nie tylko nie czuł się lepiej, ale zdecydowanie mu się pogorszyło. Miał trzydzieści osiem stopni gorączki, a ból stawów był coraz bardziej dolegliwy. Podobnie jak ból głowy, katar i ból gardła.

Położył dłoń na płytce komputerowej i uruchomił skan medyczny. Cholera, nie powinien się tak czuć.

Jedną z rzeczy, które przyniosła tak zwana rewolucja nanotechnologiczna w dwudziestym drugim wieku, było stworzenie mikroskopijnych urządzeń medycznych, mogących poruszać się w ludzkim krwiobiegu lub pośród komórek ciała. Monitorowały zdrowie, łączyły się z zewnętrznymi AI medycznymi i pobierały oprogramowanie, które pozwalało im wspomagać leczenie, a nawet wykonywać nanooperacje. Nanomedycyna spowodowała eliminację masy chorób,

a terapie zapobiegające starzeniu znacznie zwiększyły średnią długość życia. Nikt nie wiedział, jak długo dało się przeciągać egzystencję, ale były na Ziemi miliony ludzi w wieku trzystu lat i miliardy w wieku dwustu, na dodatek bez śladów starzenia się.

Gray czuł, że ma gripę, co nie powinno być możliwe – medyczne nanity w jego organizmie powinny wykryć wirusa i wyeliminować go na długo przed tym, zanim cokolwiek by poczuł.

– Połącz mnie z medyczną AI okrętu – powiedział.

– Główna AI medyczna – usłyszał głos w swojej głowie. – Wykrywam oznaki infekcji. Proszę czekać na kompletny skan.

Na pokładzie „Ameryki” byli ludzcy lekarze, ale w zasadzie tylko jako wsparcie dla niezwykle zaawansowanych AI medycznych. Główny komputer medyczny był niemal tak potężny jak Konstantin. Zaliczał test Turinga i zawierał bazę medyczną dużo obszerniejszą niż jakakolwiek AI ogólnego zastosowania. Podobnie jak Konstantin, potrafił komunikować się za pomocą mowy, a także przekazywania samych wrażeń.

Tak jak w przypadku Konstantina, wychowywany jako prymityw Gray czasami zastanawiał się, czy ludzie mogą zaufać maszynie. Działała dużo szybciej i sprawniej niż ludzkie mózgi... Na tyle, że jej sposób myślenia był nie do pojęcia. Przeszło mu przez myśl, by poprosić o jednego z ludzkich lekarzy, ale nie zdecydował się na to. Uznał, że zaufanie to coś, co buduje się, okazując je w trudnych sytuacjach.

Poczuł nagle ukłucie u podstawy kciuka. Automat właśnie pobrał próbkę jego krwi.

– Auć. Następnym razem ostrzegaj.

– Zwykle używam nanobotów już krążących w układzie krwionośnym do identyfikacji infekcji. Teraz jednak potrzebuję bezpośredniej próbki.

– Jak to „infekcji”? Jestem przeziębiony.

– Ma pan objawy bardzo podobne do przeziębienia. Zwykle przeziębienie zostałoby automatycznie wyleczone. To może być

coś poważniejszego. Chwileczkę...

Gray czekał. Milczenie przeciągało się. Poważniejszego? Co chciała powiedzieć AI?

Cholera, nienawidził czekać na wyniki badań. Nie znosił niepewności.

– Został pan zarażony obcym mikroorganizmem – odpowiedziała AI po chwili. Gray wyczuł nutę zaskoczenia w jej głosie. Coś zdumiało sztuczną inteligencję.

– Jak? Nie byłem na żadnej obcej planecie. Nie byłem nawet poza okrętem, nie licząc wirtualnej rzeczywistości.

– Owszem. Osiem innych osób na pokładzie „Ameryki” jest również zakażonych.

– Zaraz... Powiedziałaś „obcym”?

– Tak. I wiem, jak niezwykle to stwierdzenie.

Niezwykłe? Cóż, tak. Można to tak określić.

– Czy był wcześniej przypadek zakażenia człowieka przez obcy mikroorganizm?

– Nie, admirale. Do tej pory działała BTB.

Gdy pierwsi astronauta, którzy wylądowali na Księżycu, wrócili na Ziemię, przeszli trzymiesięczną kwarantannę. Szanse na to, że złapali tam jakiś patogen, były dość nikłe, ale zagrożenie dla gatunku ludzkiego, gdyby przywieźli na Ziemię coś, na co Ziemia nie byli odporni, uznano za dostatecznie poważne, by przedsięwziąć środki ostrożności. Kwarantanną objęto załogi Apolla 11, 12 i 14. Przy Apollu 15 naukowcy z NASA uznali, że na Księżycu na pewno nie ma życia, i zrezygnowano z tej procedury.

W ciągu następnego stulecia starano się zachować ostrożność zarówno po to, by nie zarazić czymś obcego środowiska, jak i by nie sprowadzić żadnych zarazków na Ziemię. W okolicach połowy dwudziestego pierwszego wieku egzobiologowie wymyślili koncepcję bariery transbiosferycznej – BTB. Mikroorganizmy były wyspecjalizowanymi stworzeniami. Bakterie i wirusy przez miliardy lat ewoluowały tak, by zarażać konkretne formy życia. Zwykle coś, co powodowało chorobę u

jednego gatunku, nie szkodziło drugiemu. Zwykle...

W ramach pojedynczej biosfery – na przykład ziemskiej – nie było to takie proste. Niektóre patogeny potrafiły zmutować i zmienić gospodarza – wirus HIV był tu przykładem. Nie zdarzało się to jednak często.

Infekcje międzygatunkowe były mimo to niemal niemożliwe w przypadku form życia, które wyewoluowały na różnych planetach. Organizmy, które mogły zmutować wystarczająco, by zmienić gatunek żywiciela na jednej planecie, nie radziły sobie z gatunkami składającymi się z zupełnie różnych białek, cukrów i tłuszczów.

Oznaczało to, że szanse na zarażenie się mikroblem z obcej biosfery były niemal zerowe.

Medyczne AI i lekarze oczywiście mieli się na baczności, ale w ciągu trzystu lat podróży kosmicznych i spotkań z dziesiątkami obcych gatunków nie znaleziono wirusów ani bakterii zdolnych zarazić człowieka. Człowiek miał większe szanse złapać przeziębienie od mikroba znalezione pod korą sekwoi niż od czegokolwiek pozaziemskiego.

– Szanse na spotkanie rzeczywiście obcej mikroskopijnej formy życia, która może zarażać ludzi, są rzędu biliona do jednego – powiedziała AI, jakby czytała mu w myślach. – Prędzej spodziewałbym się, że to ziemskie zarazki zmutowały w obcym środowisku. Nie znajduję jednak genetycznych korelacji między tym organizmem a ziemską biosferą. Podobieństwa tak, ale żadnych bezpośrednich korelacji. Ten mykoplazmid nie wydaje się nawet mieć DNA.

Zignorował na chwilę, co to może oznaczać.

– Ośmioro innych członków załogi?

– Oto lista, admirale.

Nazwiska, stopnie, stanowiska pracy sześciu mężczyzn i dwóch kobiet przewijały się w otwartym oknie w głowie Graya.

– Znalazłeś jakieś podobieństwa?

– Tak. Wszyscy mieli kontakt z członkami załogi Głębi Czasu

Jeden. Niektórzy zaprosili członków załogi na „Amerykę” podczas dokowania, podczas gdy inni spędzili czas na stacji. Prawdopodobnie we wszystkich przypadkach doszło do kontaktów intymnych.

Gray poczuł ukłucie w sercu.

– Boże drogi! Choroba weneryczna?

– To możliwe, admirale.

Możliwe i dość nieprzyjemne. Choć procedury nie pozwalały na swobodne zapraszanie kosmitów na pokład, nie było zakazu kontaktów z ludźmi ze stacji. Każdy gość musiał oczywiście przejść skan medyczny. Jeśli którykolwiek z nich byłby zakażony czymś dziwnym, skan by to wykrył.

– Dobrze, więc mówisz, że członkowie załogi stacji byli zarażeni. Odwiedziliśmy ich i ci z nas, którzy mieli z nimi kontakty fizyczne, złapali to... cokolwiek to jest. – Przyszła mu do głowy kolejna myśl. – Ilu członków załogi „Ameryki” zeszło na pokład stacji? Chyba sporo więcej niż ośmioro...

– Ponad stu członków załogi odwiedziło stację. Większość z nich przeładowywała zaopatrzenie albo instalowała nową elektronikę. Pięcioro złapało infekcję tam, podczas czasu wolnego. Troje innych, w tym pan, admirale, sprowadziło gości ze stacji na pokład okrętu.

Odczytał nazwiska na liście: starszy bosman Roger Drummond z zespołu elektroniki i komandor Dean Mallory, oficer taktyczny. Bosman Drummond sprowadził cywilnego elektronika o nazwisku Paul Bremerton, rzekomo po to, by ten spojrzął na część wyposażenia „Ameryki”. Mallory zaprosił major Sarę Taylor z ochraniającego stację oddziału marines.

I oczywiście Gray zaprosił Harriet McKennon.

Czy wszystkie osoby na liście miały kontakt seksualny z załogą stacji? To była ważna kwestia, którą należało zbadać. Mikroorganizm, który rozprzestrzeniał się przez dotyk albo kropelkowo, byłoby dużo trudniej powstrzymać niż przenoszony drogą płciową.

– Musisz przepyttać ich o stosunki seksualne z ludźmi ze stacji

– stwierdził Gray.

– Wiem. Zacząłem śledzić ruch choroby, gdy tylko pierwsze osoby zgłosiły objawy. Już przepytuję pozostałych. Próbuje zbudować pełną historię medyczną. Dwoje jeszcze się do mnie nie odezwało, ale powinienem mieć wstępny raport za parę godzin.

– Potrzebujemy odpowiedzi teraz. Nie pozwolą nam dokować przy SupraQuito, jeśli zgłosimy nieznaną chorobę.

– Owszem.

Coś przyszło Grayowi do głowy.

– Pozostałe okręty w grupie bojowej. Niektórzy z ich ludzi również spędzali czas na stacji.

– Tak jest. Trzy z nich, to znaczy „Bunker Hill”, „Deutschland” i „Burke” lecą z nami na Ziemię. Są jeszcze „Leland”, „Verdun” i „Ceres”, które pozostały przy Głębi Czasu Jeden. Łącznie szacuję, że czterdzieści dwie osoby poza naszą załogą są zagrożone. Oczywiście nie dowiemy się tego do czasu, aż dotrzemy na miejsce.

– Jak źle to wygląda?

– Trudno ocenić. Ale przynajmniej na razie, cztery tygodnie po prawdopodobnym momencie zakażenia, wygląda na to, że symptomy wykazują tylko pierwotnie zakażeni. To oznacza niską zaraźliwość. Objawy są podobne do grypy.

– Czy możesz to wyleczyć?

– Gdy uda mi się określić dokładnie strukturę organizmu, zaprogramowanie roju nanobiotycznego do jego eliminacji powinno być dość proste. Nie wydaje się to poważnym problemem. Szacuję, że do czasu powrotu na Ziemię powinniśmy w pełni opanować sytuację.

Gray skinął głową.

– Informuj mnie na bieżąco.

Jako się rzekło, Marynarka USNA miała dość swobodne podejście do seksu. Wieki temu był to temat tabu: nawet w marynarce morskiej pod koniec dwudziestego wieku unikano go albo mówiono o nim w szczeniackich żartach. Także w NASA

ignorowano pogłoski, że astronautom zdarzało się eksperymentować z orbitalnym seksem. Nigdy nie wysyłano też małżeństw na tę samą misję. Ta zasada została jednak zawieszona podczas pierwszych misji na Marsa, kiedy do załogi przydzielono pary małżeńskie z nadzieją, że pomoże to zachować równowagę psychiczną w czasie miesięcy potrzebnych na lot międzyplanetarny.

Obecnie jednak zakładano, że członkowie załogi są ludźmi i że zamknięci przez dłuższy czas w metalowych puszkach w mieszanych załogach, w warunkach nieustannego stresu, będą zachowywać się jak ludzie. Drugie założenie szło w parze z pierwszym: załoga zachowywać się będzie odpowiedzialnie i nie pozwoli ludzkiej naturze wziąć góry i przeszkadzać w misji.

Zazwyczaj oba założenia sprawdzały się całkiem nieźle. Zdarzali się jednak i tacy, którzy chcieli dorównać reputacji dawnej morskiej marynarki, folgując sobie zawsze, gdy tylko okręt zawitał do portu, oraz próbując znaleźć czas na relacje intymne na pokładzie swojej jednostki, zwłaszcza podczas dłuższych misji. Szczególnie piloci myśliwców, a przynajmniej ci płci męskiej, zawsze chcieli dowieść swojej sprawności seksualnej, tak jakby na zdolności pilotowania wpływał poziom testosteronu. Było to typowe jeszcze od czasów dwupłatowców.

Wydawano sporadycznie dyrektywy ostrzegające załogę przed nadmiernym spoufalaniem się albo przed zachowaniem, które może narazić misję. Główna kwatera Marynarki i Heksagon niezbyt przychylnie patrzyły na relacje seksualne starszych oficerów z podwładnymi, głównie z powodu nierównowagi wpływów i możliwości nadużyć. Zazwyczaj jednak przymykano oko również na takie przypadki. Dwie kwestie, które dawniej szkodziły efektywności mieszanych płciowo sił zbrojnych – choroby weneryczne i ciąża – nie stanowiły już problemu. Roje medycznych nanobotów można było zaprogramować tak, by eliminowały przenoszone drogą płciową choroby niemal w momencie infekcji, a skuteczna

antykoncepcja dla obu płci dawno sprawiła, że ciąża była kwestią wyboru, nie przypadku. Dopóki seks w jednostkach bojowych nie rzucał się w oczy i nie naruszał porządku i dyscypliny, dopóty ludzie mogli robić, co chcieli.

Ale coś takiego – zakaźna choroba pochodzenia pozaziemskiego przenoszona drogą płciową – mogło zmienić wszystko. Dawne zasady i regulaminy z czasów, kiedy swobodne obyczaje uważano za przestępstwo, mogły powrócić. Morale by ucierpiało, dyscyplina by ucierpiała, a załogi może musiałyby być znów segregowane płciowo i inwazyjnie monitorowane. Nawet teraz AI pokładowe już monitorowały wszystko, co działo się na pokładach okrętów. Prywatność nie była problemem, bo trzymały te informacje dla siebie.

Nie byłoby tak trudno całkowicie wyeliminować prywatność.

Ale oczywiście jeszcze gorzej – nieskończenie gorzej – byłoby, gdyby załoga „Ameryki” wróciła na Ziemię z pozaziemską chorobą i spowodowała katastrofę biologiczną.

Gray był świadom ironii tej sytuacji – były prym, a do tego monog, wkurzony z powodu możliwości, że coś tak podstawowego jak niemonogamiczny przygodny seks mogłoby trafić do annałów przez ten incydent.

Pomyślał, że może zasymilował się z kulturą północnoamerykańską bardziej, niż mu się wydawało.

Nowy Biały Dom
Waszyngton
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Godzina 17.05 EST

– Panie prezydencie, mamy za mało sił, by zająć się wszystkim, czym powinniśmy – powiedział Lawrence Vandenberg.

Prezydent Koenig skrzywił się i pokręcił głową.

– To nie wystarczy, Larry. Wiem, że musisz się mocno nagimnastykować, ale to priorytet.

Koenig siedział w podziemnej sali odpraw razem z kilkoma najbliższymi doradcami. Holograficzna mapa unosiła się w powietrzu nad stołem konferencyjnym, pokazując gwiazdy i jasnozielone ikony oznaczające okręty, ekspedycje i grupy bojowe. Widać było na niej najbliższe układy słoneczne, te w promieniu kilkuset lat świetlnych od Ziemi, choć okno skierowane w stronę centrum Galaktyki pokazywało rój gwiazd Omega Centauri. W kolejnym oknie widać było tajemniczy pomarańczowy punkt znany jako Gwiazda Tabby, leżący ponad tysiąc czterysta lat świetlnych od Słońca, w konstelacji Łabędzia.

Spośród wszystkich gwiazd lśniących nad stołem niewiele miało planety dostatecznie podobne do Ziemi, by dało się tam żyć bez znacznego wspomaganie: Kora, Cerridwen, Ozyrys, Nowa Ziemia, Chiron... Łącznie osiemnaście światów, po których ludzie mogli chodzić bez skafandrów. Być może dziesięć razy tyle miało szczelne moduły mieszkalne, jak te na Księżycu czy Marsie, albo stacje orbitalne, jak paneuropejska baza przy Heimdallu. Ludzkość była teraz gatunkiem międzygwiazdym, ale miała jedynie niewielkie przyczółki w kosmosie. Zdarzało się, że jedna z ras Społeczności Sh'daar

odbierała im te światy i groziła zniszczeniem ludzkiej obecności w kolejnym skrawku Drogi Mlecznej.

Koenig pomyślał, że kiedyś ludzcy filozofowie podkreślali potrzebę rozsiania ludzkości po różnych układach gwiazdnych, aby zapewnić gatunkowi przetrwanie. Twierdzili, że głupio jest pokładać nadzieje w jednej planecie.

Założenie kolonii pozaziemskich nie poprawiło jednak sytuacji. Gatunek przetrwałby kataklizm dość mocny, by wyeliminować życie na rodzimej planecie, ale wśród gwiazd istniały zagrożenia także dla całej ludzkości.

Nawet Sh'daar bali się jednego z nich.

– Wojna nam zaszkodziła, panie prezydencie – przypomniał mu Vandenberg. – Po utracie „Intrepida” przy 40 Eridani zostało nam tylko siedem grup bojowych lotniskowców. A „Saratoga”, „Independence” i „Constellation” wciąż przechodzą naprawy albo ulepszenia w doku SupraQuito.

– To prawda – odezwała się Eva Morgottini. Była obecnym sekretarzem rozwoju kolonii. – Z drugiej strony, naprawy „Constitution” już się zakończyły, „Declaration” kończy testy, a „Lexington” w końcu jest gotowy do służby, więc mamy choć tyle.

Każda grupa bojowa widoczna była na ekranie jako jasnozielona ikona. „Constitution” i „Lexington” w Układzie Słonecznym, a dokładniej w SupraQuito, zaś „Declaration” niedaleko, na orbicie Chirona w układzie Alfa Centauri.

– „Ameryka” ma wrócić za tydzień lub dwa – dodał admirał Armitage. Grupa bojowa „Ameryki” nie znajdowała się jednak na mapie. Jeśli trzymała się wytycznych, powinna już znaleźć się w czasie T-prime, ale wciąż znajdować się gdzieś między Układem Słonecznym a AGTR.

Oczywiście jeśli przetrwali wyprawę do odległej przeszłości, co nadal nie było pewne. Koenig miał nadzieję, że przybędą na Ziemię w ciągu najbliższych kilku dni, ale nie miał pojęcia, czy tak będzie. Przynajmniej do czasu, aż rzeczywiście wynurzą się z metaprzestrzeni Alcubierre’a gdzieś na obrzeżach Układu

Słonecznego.

– Potrzebujemy grupy do obserwacji Gwiazdy Kapteyna – odezwał się Koenig, próbując połączyć wątki – i kolejnej, aby zorganizować nową wyprawę do Gwiazdy Tabby. Potrzebna nam też grupa, która dołączy do Sh'daar, jeśli przyślą jakieś okręty. Operacja Omega...

Taki był kryptonim proponowanej próby dowiedzenia się, co dzieje się w centrum Omega Centauri. Ludzie z marsjańskiego dowództwa, odpowiadający za jej zaplanowanie, zakładali, że weźmie w niej udział „Ameryka”, choćby dlatego, że jej grupa bojowa zapewne już współpracowała ze Sh'daar.

– Brzmi prosto – stwierdził Phillip Caldwell, dyrektor Rady Bezpieczeństwa Narodowego. – Mamy cztery dostępne grupy bojowe i trzy misje...

– Ale potrzebujemy też nowej floty, a najlepiej grupy bojowej gwiazdnego lotniskowca, która będzie pilnować obrzeży Układu Słonecznego, panie prezydencie – powiedział Armitage. – Oraz dobrze byłoby mieć jakąś, która patrolowałaby przestrzeń wokół Ziemi, na wypadek gdyby Konfederacja próbowała wykorzystać sytuację.

Koenig spojrzał z ukosa na przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.

– A mamy powody, żeby przypuszczać, że tak może się stać, Phil?

– Zawieszenie broni jest w mocy, panie prezydencie – stwierdził Caldwell. – Na tym froncie powinno być spokojnie.

– Zgadza się – dodał doktor Horace Lee. Był specjalnym doradcą prezydenta w dziedzinie memetyki rekombinacyjnej i częścią zespołu, który pomógł zakończyć wojnę USNA z Konfederacją. – Paneuropejczycy mają zdecydowanie dość wojny. Dzięki naszemu atakowi memetycznemu na sieć genewską czują znaczne wyrzuty sumienia za to, co zdarzyło się w Columbus. Zawsze jest możliwość renegackich działań, ale na razie się na to nie zapowiada.

– Chciałbym podzielać pański optymizm, doktorze Lee –

odparł Armitage.

– Największe zagrożenie ze strony Konfederacji – uzupełnił Lee – jest takie, że mają na tyle dość wojny, że zgodzą się na wszystkie ustępstwa wobec Społeczności Sh'daar. Może się okazać, że wygraliśmy wojnę z Konfederacją, ale... poddaliśmy się obcym.

– Nie dowiemy się tego, póki nie usłyszymy wieści od „Ameryki” – powiedział Koenig. – Lepiej ufajmy w to, co mówi Konstantin. Rosjanie, Chińczycy i Hindusi wciąż są z nami, Pamela?

– Zgadza się, panie prezydencie – odparła Pamela Sharpe, sekretarz stanu.

– Dobrze. Grupy bojowe. Czego nam potrzeba... i gdzie? – Koenig spojrział na Armitage'a. – Nie: co dobrze byłoby mieć, ale czego nam trzeba?

– Przynajmniej dwóch grup bojowych do Operacji Omega – odparł Vandenberg. – Trzy byłyby lepsze. To będzie spora misja. Planowaliśmy wysłać „Amerykę”, bo pracowała ze Sh'daarami w T-sub-minus, plus „Declaration” i „Constitution”... – Zobaczył wyraz twarzy Koeniga i uniósł dłoń. – Wiem, panie prezydencie. Po prostu tego nam trzeba.

– Paneuropejczycy domagają się pomocy przy Gwieździe Kapteyna – dodał Armitage. – Heimdall, a przynajmniej tamtejsza stacja orbitalna została pochłonięta przez coś tajemniczego, zapewne przez Obcych z Rozety. Wysłanie tam lotniskowca jest absolutnie niezbędne, choćby dlatego, że pomoc Paneuropejczykowi wzmocni nasz nowy sojusz, a zwłaszcza dlatego, że Heimdall jest dwanaście lat świetlnych od Ziemi, czyli praktycznie na naszym podwórku.

– Genewa twierdzi, że utrata lotniskowców w wojnie domowej ich osłabiła i że my musimy się tym zająć – powiedziała Sharpe.

– I co właściwie mamy tam zrobić? – spytał Koenig. – Jeśli Obcy z Rozety są tak potężni, jak myślimy, grupa bojowa niewiele zdziała.

– Może nie, sir – odparł Armitage. – Ale trzeba sprawdzić, czy ktoś przeżył, czy to z kolonii orbitalnej, czy z okrętów, które wysłali. No i ustalić, co się stało z ich monitorem „Himmelschlossem” oraz jego eskortą.

– Dobrze...

– Chcą zebrać większą ekspedycję, która przykuje uwagę obcych i zmusi ich do kontaktu z nami.

– Trudno mi pozbyć się wrażenia, że potraktują nas jak uciążliwe insekty.

– Może. Ale są dwanaście i pół roku świetlnego od nas, panie prezydencie. To zdecydowanie za blisko.

– Zgoda. Co jeszcze?

– Potrzebujemy lotniskowca do misji zasugerowanej przez Konstantina – przypomniał Vandenberg, marszcząc brwi. – Osobiście nie uważam, aby Gwiazda Tabby była aż tak istotna, ale Konstantin twierdzi inaczej.

– Konstantin sugeruje, abyśmy wysłali tam „Amerykę” – powiedział Koenig.

– I może nie zawsze powinien dostać, czego chce – odparł Armitage. – Zalecam wysłanie czegoś małego, nierzucającego się w oczy. Fregaty albo lekkiego krążownika. Zobaczmy, z czym mamy do czynienia, zanim skierujemy w ten rejon grupę bojową.

Armitage pokazał podświetlony na czerwono obszar.

– Potrzebujemy też przynajmniej jednej grupy do patrolowania przestrzeni wokół Układu Słonecznego.

– Dlaczego jest to konieczne? – spytał Koenig.

– Jesteśmy bardzo narażeni na potencjalny atak ze strony Obcych z Rozety, panie prezydencie – stwierdził Vandenberg. – Wygląda na to, że wysłali znaczne siły z Omega Centauri aż tutaj. – Pokazał na mapę. – Gwiazda Kapteyna. Z szesnastu tysięcy lat świetlnych do... dwunastu lat.

– To jak jednym krokiem wejść z drugiego końca kraju na pański ganek, panie prezydencie – wtrącił sekretarz do spraw nauki, Neil Eskow. – Łatwo mogą wykryć Ziemię i naszą

cywilizację, odbierając fale radiowe. Wcześniej moglibyśmy nie zwracać na siebie uwagi, teraz nie ma takiej możliwości.

– Właśnie – powiedział Vandenberg. – Dlatego potrzebujemy wysłać przynajmniej dwie grupy do Heimdalla, ale chcemy mieć chociaż jedną w rezerwie blisko Ziemi. Jeśli przylecą tu z Czarnej Rozety albo z Heimdalla, musimy o tym wiedzieć i być przygotowani.

Koenig podsumował w myślach potrzebne grupy bojowe, które do tej pory wymieniono.

– Wygląda na to, że potrzebujemy przynajmniej pięciu czy sześciu lotniskowców... A mamy cztery. Czy dobrze rozumiem?

– Mniej więcej tak, panie prezydencie – odpowiedział Armitage.

– Dobrze. Dlaczego trzeba nam aż tylu grup z gwiazdnymi lotniskowcami? Mamy lotniskowce marines, jak „Inchon” czy „Nassau”. Oraz sporo krążowników i pancerników. Czemu nie możemy ich użyć?

Armitage westchnął i rozłożył ręce.

– Panie prezydencie, sam pan wie, że gwiazdne lotniskowce to najlepsze, co mamy do szerokiej gamy misji. Okazywanie siły, powodowanie jak największych szkód w infrastrukturze wroga, bombardowania planetarne, odpowiadanie na nieprzewidziane okoliczności... Eskadry myśliwców mogą z prędkością bliską światła patrolować, przeprowadzać rekonesans, chronić flotę na przestrzeni całych układów słonecznych. Żaden inny okręt nie robi tego tak skutecznie. Mamy lotniskowce marines, ale każdy posiada tylko dwie lub trzy eskadry, nie sześć. Na każdym jest też batalion marines do działań naziemnych, który spędziłby miesiące zamknięty w puszczy. Krążowniki świetnie radzą sobie z infrastrukturą planetarną i większymi bazami kosmicznymi, ale nie są szczególnie elastyczne, jeśli chodzi o zwiad. Po prostu mamy za mało odpowiednich okrętów.

Koenig skinął głową. Chociaż formalnie prezydent był naczelnym dowódcą sił zbrojnych USNA, zwykle nie wtrącał się

w planowanie strategiczne. Miał inne rzeczy na głowie poza mikrozarządzaniem Marynarką.

Armitage był jednak starym, zaufanym przyjacielem i – jak sam zwrócił uwagę – Koenig miał za sobą lata doświadczenia w dowodzeniu okrętami. Liczyło się to bardziej niż jego obecne stanowisko polityczne.

Najtrudniej było powstrzymać się przed osobistym wmieszaniem się. Gdy Koenig tak stał, patrząc na trójwymiarowy obraz gwiazd i flot kosmicznych, łatwo było wyobrazić sobie, że przebywa na mostku „Ameryki” i wydaje rozkazy eskadrom.

Opieranie się pokusie wymagało sporego wysiłku. Nie znaczyło to jednak, że nie miał pytań.

– Jakie są więc obecne plany?

– „Ameryka” i „Declaration” mają lecieć do Omega Centauri, panie prezydencie – odparł Vandenberg. – „Lexington” na Heimdalla. „Constitution”... Moglibyśmy anulować jej misję do Ophiuchi, zastąpić ją tam paroma grupami ciężkich krążowników i zamiast tego kazać jej strzec Układu Słonecznego. Niech pilnuje nas zarówno przed Konfederacją, jak i przed Obcymi z Rozety. Radziłbym zapomnieć o Gwieździe Tabby... przynajmniej na razie.

– Mamy parę innych dostępnych grup – dodał Armitage. – Bez lotniskowców, ale jest pięć okrętów wokół krążownika artyleryjskiego „Decatur” w układzie Chirona. Siedem z „Porterem” w Tau Ceti. Cztery z „Jonesem” w Ozyrysie. I pięć z „Rogersem” w Cerridwen. Możemy wysłać którąś z nich do Gwiazdy Tabby, a jedna z pozostałych może wzmocnić obronę Ziemi.

– Konstantin zalecał, aby do Gwiazdy Tabby wysłać gwiazdny lotniskowiec – stwierdził Koenig. – W zasadzie nalegał na to. I dość mocno sugerował, aby była to „Ameryka”.

– Nie mamy tylu okrętów, by sobie na to pozwolić, panie prezydencie – odparł Armitage.

Prawie... Koenig prawie wziął głęboki wdech, by wydać

rozkaz: zapomnijcie o pilnowaniu Paneuropejczyków, wyślijcie „Lexingtona” do Heimdalla, „Declaration” do Omega Centauri, zostawcie „Constitution” w rezerwie i wyślijcie „Amerykę”, by zbadała Gwiazdę Tabby.

Ale nie zamierzał w ten sposób zarządzać swoimi ludźmi.

– Panowie... doceniam, że mnie informujecie na bieżąco. Oczywiście decyzja należy do was.

– Dziękuję, panie prezydencie – odpowiedział Armitage, wpatrując się w warstwy holograficznych gwiazd. – Myślę...

Ale Koenig nie słuchał, zastanawiał się już, co powie Konstantinowi. Ta wielka sztuczna inteligencja zapewne dowie się o decyzji, gdy tylko zostanie podjęta. Koenig czuł się niekomfortowo, tłumacząc się z ludzkich decyzji maszynie.

Często zastanawiał się, kto tak naprawdę tu rządzi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

5 grudnia 2425

TC/USNA CVS „Ameryka”

Mostek flagowy

Godzina 15.12 TFT

Technologia napędów międzygwiazdnych poczyniła znaczne postępy w ciągu ostatnich dwóch dekad. Gdy Gray był młodym porucznikiem pilotującym jeden ze starych myśliwców SG-92 Starhawk, okręt taki jak „Ameryka” osiągał prędkość Alcubierre’a między jeden i siedem dziesiątych a jeden i dziewięć dziesiątych roku świetlnego dziennie, a pokonanie dystansu dwustu dziesięciu lat świetlnych do Texaghu Resch zajmowało trzy lub cztery miesiące.

Inżynierowie jednak nie próżnowali. Poza tym AI również analizowały problem zwiększenia wydajności napędów. Obecnie najpotężniejsze okręty osiągały piętnaście lat świetlnych dziennie i potrafiły dotrzeć z Texaghu Resch do Układu Słonecznego w ciągu dwóch tygodni. Mniejsze jednostki, takie jak fregaty i niszczyciele, okazywały się nieco wolniejsze, na przekór dawnym morskim przyzwyczajeniom. Był to skutek mniejszych układów zasilających, pozyskujących mniej energii próżniowej.

Płynąc na wygenerowanej przez siebie fali grawitacyjnej, „Ameryka” dotarła do obrzeży Układu Słonecznego czternaście dni po opuszczeniu AGTR w układzie Texaghu Resch. Wśród rozbłysku fotonów uchodzących z zakrzywionej przestrzeni

„Ameryka” znów wynurzyła się w normalnym kosmosie, jakieś osiem jednostek astronomicznych od Słońca.

Postęp technologiczny nastąpił w jeszcze jednej kwestii – pomyślał Gray, widząc znajome gwiazdy wokół małego z tej odległości Słońca.

Napęd Alcubierre’a wymagał czegoś, co inżynierowie określali mianem płaskiej macierzy czasoprzestrzennej. Należało pozostawać w dużej odległości od lokalnej gwiazdy, nie wspominając już o pobliskich planetach, aby zebrać zamkniętą kieszeń czasoprzestrzenną potrzebną do przyspieszenia. Dwie dekady temu oznaczało to, że należało wynurzyć się czterdzieści jednostek astronomicznych od gwiazdy o masie Słońca. Teraz limit wynosił zaledwie dwie jednostki, czyli tyle, co promień orbity Jowisza. Nawigatorzy „Ameryki” wyszli nieco wcześniej, bo Jowisz leżał blisko prostej linii kursu z AGTR na Ziemię, jakieś trzydzieści minut świetlnych przed okrętem.

Tylko trzy jednostki z pierwotnej grupy bojowej wracały razem z „Ameryką” w pierwszym rzucie: ciężkie krążowniki „Deutschland” i „Bunker Hill” oraz krążownik artyleryjski „Burke”. Poważnie uszkodzone „Leland” i „Verdun” oraz statek badawczy „Ceres” pozostały na stacji Głębia Czasu Jeden, zaś wolniejsze krążowniki „Diaz” i „Mattson” oraz trzy fregaty miały dotrzeć po kilku dniach. Zwykle grupa bojowa poruszała się w metaprzestrzeni z prędkością dostosowaną do najwolniejszych okrętów, aby mogły wynurzyć się razem z resztą, ale rozkazy nakazywały jak najszybszy powrót lotniskowca na Ziemię. Gray wiedział, że „Ameryka” ma brać udział w misji zwiadowczej w układzie Omega Centauri, a najpierw musi przejść jeszcze renowację w SupraQuito.

Oczywiście należało też pamiętać o pokładowej epidemii. Trzy kolejne osoby wykazywały objawy przeziębienia, co oznaczało, że zarazonych było teraz jedenaścioro.

Jedenaście osób z niemal pięciu tysięcy nie brzmiało przerażająco, ale AI medyczna „Ameryki” nie była na razie

w stanie wyizolować zarazka, co jednak brzmiało. AI nazwała go „paramykoplazmidem”. Niestety, poza tym nadal niewiele o nim wiedzieli.

Niemal jakby bakterie ukrywały się.

– Admirale? – odezwała się kapitan Gutierrez, przerywając czarne myśli dowódcy. Przybyła na mostek flagowy, żeby porozmawiać z nim osobiście, zamiast skorzystać z telepatii z pomocą implantów. – Przesłaliśmy komunikat. Będzie lecieć sześćdziesiąt jeden minut w jedną stronę.

– Dobrze. Dziękuję, Saro.

W pomieszczeniu nie było nikogo oprócz nich, więc mógł darować sobie formalności.

– Zdajesz sobie sprawę, że czeka nas kwarantanna... zapewne dość długa?

– Tak. Ale nie bardzo mamy wybór. Musimy czekać do czasu, aż AI albo uzna zarazki za nieszkodliwe, albo znajdzie odpowiednie nanity, by je zneutralizować.

Medyczna AI „Ameryki” może na razie nie była w stanie wyizolować mikroorganizmu, ale Gray był pewien, że gdy cała infrastruktura medyczna Ziemi zajmie się problemem, uda się znaleźć jakieś rozwiązanie.

Lepiej, żeby tak było... inaczej załoga „Ameryki” nigdy już nie odwiedzi macierzystej planety ani żadnej ludzkiej kolonii.

Jowisz wisiał przed nimi na tle gwiazd parę stopni na lewo od maleńkiego Słońca. Instrumenty „Ameryki” wykryły przybycie „Deutschlandu” do normalnej przestrzeni, a chwilę później „Burke’a”.

– Dopilnuj, żeby reszta floty dostała pełen raport.

– Już zrobione, admirale. Gdy tylko się zjawili.

– Dobrze.

– Rozkazy?

– Rozpocząć przyspieszenie w stronę Ziemi. Pięćset g. Zapewne wyjdą nam na spotkanie, zanim tam dotrzemy, ale chcą nas pewnie powitać na orbicie Ziemi albo Marsa.

– Zrobi się. – Zawahała się. – Admirale?

- Tak?
- Czy to prawda, że to obca infekcja?
- Tak uważa AI medyczna. Nazwała to paramykoplazmidem.
- Co to znaczy?
- Sam musiałem sprawdzić definicję. Jest w bazie danych okrętu. Krótko mówiąc, Mycoplasma to rodzaj bakterii... ziemskich bakterii. Nie mają ścian komórkowych, co sprawia, że są odporne na leki czy nanity nakierowane na ich niszczenie. Niektóre są patogenami u ludzi. Jeden z gatunków powoduje zapalenie płuc. Paramykoplazmid oznacza, że jest podobny do mykoplazmidów. Jak rozumiem, też nie ma ściany komórkowej.
- To dlaczego AI nie może go znaleźć?
- Dobre pytanie. – Gray otworzył w myślach wspólne okno, pokazujące wnętrze tunelu pełnego ciemnych, okrągłych kształtów z zagłębieniem w środku. Wnętrze tunelu składało się z mniej więcej sześciokątnych elementów, jak cegły. Przed kamerą przeleciały szybko maleńkie, przezroczyste sfery, dużo mniejsze niż te większe kształty. – To zobaczyła AI medyczna „Ameryki”, badając moją krew. Te większe struktury to czerwone krwinki. Każda ma jakieś pięć mikronów średnicy. Te małe kulki mają jakąś jedną dziesiątą mikrona. Pięćdziesiąt razy mniej od krwinek.
- Strasznie małe.
- Owszem. To ziarniaki, co oznacza, że przybierają kształt kuli, nie pałeczek. Mają wielkość ziemskich mykoplazmidów... a to najmniejsze bakterie, jakie znamy. Wirusy są mniejsze, ale nie są tak naprawdę żywe.
- I po tym, jak zarejestrowała ten obraz, AI nie była w stanie znów ich znaleźć?
- Owszem. Zapewne da się określić ich skład chemiczny, ale nie była w stanie ich wyizolować. A musi to zrobić, żeby wiedzieć, jak działają.
- Przenoszone drogą płciową...
- Tak. Chociaż jeden z lekarzy powiedział mi, że zapewne także poprzez inne formy kontaktu... ale przede wszystkim

płynty ustrojowe. Ślina, wydzieliny skórne. Jeśli tak, to możliwe, że można zarazić się także drogą kropelkową.

Gutierrez wzdrygnęła się na te słowa, po czym nieco odprężyła. Jeśli obce zarazki przenosiły się drogą kropelkową, zapewne wszyscy na pokładzie byli już zarażeni. Oczywiście AI monitorowały skład powietrza, ale nanofiltry musiałyby najpierw wiedzieć, czego szukać, żeby to zablokować. Był to spory problem, ale nie mogli nic z tym zrobić.

Przynajmniej same objawy nie były takie straszne... Jeszcze nie. Gray wciąż czuł się, jakby był przeziębiony. Miał zatkany nos, ból głowy i gardła. Na razie lekarze skupiali się na leczeniu samych symptomów, póki nie udało się znaleźć patogenu.

Ale czytając o mykoplazmidach, admirał znalazł też artykuł o krwawej śmierci, zarazie, która zabiła półtora miliarda ludzi w burzliwej drugiej połowie dwudziestego pierwszego wieku.

Wtedy też zaczynało się od objawów grypy...

TC/USNA CVS „Lexington”
Kurs na Heimdalla
w układzie Gwiazdy Kapteyna
Godzina 17.10 GMT

Lotniskowiec gwiazdny „Lexington” wynurzył się z zakrzywionej sfery metaprzestrzeni pięć jednostek astronomicznych od czerwonej Gwiazdy Kapteyna. Kapitan Terrance Bigelow przebywał na mostku. Jego pierwszym oficerem była komandor Laurie Taggart, nowo przydzielona na okręt.

„Lady Lex”, jak przezywała okręt załoga, zakończyła testy przed dwoma tygodniami i otrzymała swój pierwszy prawdziwy przydział cztery dni wcześniej, pierwszego grudnia. Ponadkilometrowej długości okręt był większy i masywniejszy niż „Ameryka”, na której wcześniej służyła Taggart, a która do czasu dziewiczej misji „Lexingtona” była największym okrętem bojowym floty USNA.

Leciał powoli – dwanaście lat świetlnych w ciągu dwóch dni – razem z ciężkim krążownikiem paneuropejskim „Valiant” i transportowcem marines „Marne”, aby dostosować się do wolniejszej eskorty: niszczycieli „Falk” i „Ramirez” oraz fregat „Gottlieb”, „Carruthers” i „Ramaputra”. Pozostałe okręty wynurzały się jeden po drugim w zasięgu skanerów „Lexingtona”.

– Tutaj – powiedział Bigelow. – To ten drań.

– Tak, ale co to jest, do cholery? – spytał porucznik Donahue, siedzący przy sterze.

– Jest wielkie – powiedziała Taggart. – Bogowie... Naprawdę wielkie.

I czy właśnie na to czekałaś? – spytała samą siebie.

Olbrzym gazowy Bifrost wisiał w przestrzeni przed nimi,

wyglądając stąd jak półksiężyc otoczony lśniącymi pierścieniami. Za nim znajdowała się Gwiazda Kapteyna, z tej odległości tak mała, że jej dysk nie był widoczny gołym okiem. Z boku widać było kolejny półksiężyc, z biegunami rozświetlonymi przez zorze polarne.

Przestrzeń wokół olbrzyma gazowego, jego księżycy i gwiazdy wypełniało coś w rodzaju przezroczystej, niemal niewidocznej mgły. W tej mgle Taggart wychwytywała złożone kształty, obce geometrie. Czujniki okrętu wykrywały kolejne stałe formy. Gdy oczy Laurie przyzwyczyły się do widoku, zaczęła widzieć coś w rodzaju rozciągniętej w przestrzeni pajęczyny, ledwie widocznej na tle pustki.

– Jakie mamy dane o tym układzie? – Bigelow zwrócił się do AI „Lexingtona”.

Gwiazda: Gwiazda Kapteyna

Alternatywne nazwy: VZ Pictoris, GJ 191, HD 33793, CD-45°1841

Typ: sdM1

Współrzędne: α : 05h11m40,58s δ : -45°01'06,29"

Gwiazdozbiór: Malarz

Masa: 0,274 M_{\odot}

Promień: 0,292 R_{\odot}

Temperatura: ~3570 K

Jasność: 0,012 L_{\odot}

Wielkość obserwowana: 8,85

Wielkość absolutna: 10,89

Odległość od Słońca: 12,76 lat świetlnych

Wiek: 11 miliardów lat

Układ planetarny: 4 planety, w tym jedna typu jowiszowego i jeden mniejszy olbrzym gazowy, dwie planety skaliste oraz wiele planet karłowatych, satelitów, planetoid i komet.

GK1: Himinbjorg

Typ planetarny: ciepła super-Ziemia

D: 0,168 JA

e: 0,21

P: 48,62 D

M: 4,9 masy Ziemi

R: 4,21 promienia Ziemi

G: 3,1 ziemskiego

GK2: Fornsigtuna

Typ planetarny: zimna super-Ziemia

D: 0,311 JA

e: 016

P: 121,5 D

M: 7 mas Ziemi

R: 6,16 promienia Ziemi

G: 5,72 ziemskiego

GK3: Bifrost

Typ planetarny: olbrzym gazowy typu superjowiszowego

D: 5,1 JA

e: 0,13

P: 22 Y

M: 2,3 Jowisza

R: 2,1 Jowisza

G: 3,73 ziemskiego

Księżyce: 67; jeden, Heimdall, jest typu ziemskiego

GK4: Trymheim

Typ planetarny: olbrzym lodowy typu Neptuna

D: 8,9 JA

e: 0,46

P: 50,71 Y

M: 0,65 Jowisza

R: 0,52 Jowisza

G: 1,73 ziemskiego

Orbitalne artefakty to m.in. czarna dziura o masie planety.

Było sporo więcej, ale Taggart skupiła się na największym księżycu Bifrostu, pokrytym lodowcami globie, na którym znajdowały się tajemnicze poszarpane klify.

GK3f: Bifrost f; Heimdall

Typ planetarny: zimny satelita olbrzymia gazowego

D: 1 085 300 km

e: 0,001

P: 7,8 D

M: 0,97 Ziemi

R: 1,12 Ziemi

G: 0,94 ziemskiego

Atmosfera: N₂, CO₂, NH₃, CO, SO₂, 425 milibary

T: od -5°C do 50°C

Uwaga: Gwiazdę Kapteyna uważa się za bardzo starą (około 11 miliardów lat). Znalazła się w Drodze Mlecznej około 800 milionów lat temu, gdy galaktyka karłowata zwana Chmurą N'gai została przez nią pochłonięta. Centrum dawnej galaktyki istnieje dziś jako gromada kulista Omega Centauri. Pierwsza ekspedycja na Heimdalla wykryła „poszarpane klify”, naturalne formacje pokryte obwodami tworzącymi potężny superkomputer. Źródła Agletsch wskazują, że ten planetarny komputer zawiera biliony zdigitalizowanych świadomości Sh'daar, w tym członków starożytnej cywilizacji ur-Sh'daar, znanych jako Baondyeddi, Adjugredudhra i Groth Hoj...

Taggart przejrzała kaskadę pobranych danych, skupiając się na najistotniejszych kwestiach. Znała Heimdalla ze słyszenia. Piachu Gray wspominał jej o nim i o klifach, pośród których w zwolnionym tempie egzystowały elektroniczne duchy bilionów ur-Sh'daarów. Ksenosofontologowie ze stacji badawczej na orbicie Heimdalla uważali, że czas wewnątrz planetarnego komputera toczył się z prędkością sekundy na stulecie. Był to rodzaj nieśmiertelności kosztem odcięcia się od reszty kosmosu.

Przez chwilę wpatrywała się w mgłę spowijającą Heimdalla, zastanawiając się, czy Obcy z Rozety przybyli tu z powodu elektronicznych umysłów ur-Sh'daarów w sieci komputerowej księżyca. Ciekawa myśl, zanotowała ją sobie. Jeśli to prawda, na życie po życiu starożytnych kosmitów właśnie zwał się kosmos.

Taggart słyszała, jak kapitan pyta AI „Lexingtona”

o informacje. Uzyskał odpowiedź na parę pytań, ale w efekcie pojawiły się nowe kwestie.

– Mgła – powiedziała im w myślach AI – składa się z biliardów małych komponentów, od kilku centymetrów do milimetra. Obiekty nie krążą na orbicie, ale wydają się w jakiś sposób zakotwiczone w przestrzeni.

– Ale do czego to służy? – spytał Bigelow.

– To pozostaje tajemnicą – odparła AI.

– Nie możemy przez to przelecieć – stwierdziła Taggart. – Rozdarłoby nasz kadłub na strzępy. Może nawet byśmy wyparowali.

– Wiem, ablacja. – Bigelow skinął głową. – Ale dwie wewnętrzne planety wyglądają na czyste.

– Co nam to daje, kapitanie?

– Czas. I może sojuszników.

– Jakich sojuszników?

– Paneuropejczycy mieli sporą placówkę na Heimdallu – powiedział Bigelow. – Jeśli ktoś przeżył i gdyby nie mogli uciec z układu, dokąd by się udali?

– Ach.

Zgodnie z informacjami, które towarzyszyły rozkazom, Konfederacja wysłała do układu Gwiazdy Kapteyna ciężki monitor „Himmelschloss” wraz z grupą krążowników jako wsparciem. Wyglądało na to, że paneuropejska flotylla przepadła, ale być może ktoś w układzie przeżył na myśliwcach albo okrętach niezdolnych do aktywowania napędu Alcubierre’a.

– Himinbjorg, pierwsza planeta, jest w strefie zdatnej do zamieszkania – powiedziała Taggart. – Przynajmniej zawiera płynną wodę. Ciężenie trzy g. Nie jest tam przyjemnie.

– Druga planeta, Fornsigstuna, ma na powierzchni niemal sześć g – odezwał się komandor Lee Yuan, ksenosofontolog. – Cała pokryta jest lodem. Nie wygląda za dobrze.

– A czwarta planeta? – spytała Taggart, przeglądając dane. – Orbitalna czarna dziura...

– Podejrzewamy, że ktoś używał jej kiedyś do generowania mocy – odparł Yuan. – Znacznej mocy, bardzo dawno temu. Ale jest martwa od setek milionów lat.

– Czy ją wytworzyli? – spytał Bigelow. – Czy tylko znaleźli i sprowadzili na miejsce?

– Nie wiemy, sir – przyznał Yuan. – Trymheim nie był zbyt dokładnie zbadany. Cała uwaga skupiała się na Heimdallu i jego klifach.

– Skupmy się więc na planetach wewnętrznych – powiedział Bigelow. – Przekazać do pozostałych okrętów. Niech trzymają się blisko nas i przygotowują do niskiego przyspieszenia w ich stronę.

– Kapitanie? – powiedziała głośno Taggart, zamiast użyć implantu. – Czy mogę coś zasugerować?

– Tak?

– Proszę wysłać eskadrę myśliwców na czwartą planetę, dla pewności.

– Czemu myśli pani, że konfederacyjni tam poleciecieli?

– Kamuflaż, sir.

– Słucham?

Wskazała wyświetlone na ekranie dane.

– Zgodnie z tym na orbicie planety były różne artefakty. I to spore. Jeśli „Himmelschloss” szukał kryjówki, schowanie się wśród starożytnych wraków nie byłoby najgorszym pomysłem.

– Słusznie. Obcy z Rozety zapewne jednak o nich wiedzą. Mogą obserwować je na sensorach.

– Dlatego myśliwce mogą być w stanie się przemknąć, zrobić rekonesans i wrócić bez zwracania na siebie uwagi.

Bigelow rozważył to.

– Dobrze. Proszę dogadać to z Waltem.

– Tak, sir. – Kapitan Tom Walters był CAG „Lexingtona” oraz dowódcą stacjonujących na pokładzie lotniskowca myśliwców i jednostek pomocniczych.

– Ma pani dziesięć minut.

– Aye, aye, kapitanie.

Taggart przekazała rozkazy kapitana, po czym skupiła się znów na enigmatycznych strukturach widocznych pośród mgły.

Tak wiele z tego, co wiedzieli, było wciąż jedynie spekulacją... Nie mieli pewności, czy mgła i tajemnicze kształty to dzieło Obcych z Rozety. W końcu Czarna Rozeta znajdowała się szesnaście tysięcy lat świetlnych stąd. A jednak te ledwie zauważalne kształty były niezwykle podobne do tego, co znaleziono w sercu Omega Centauri. Zgodnie z zasadą brzytwy Ockhama prościej było założyć, że takie dziwaczne struktury tworzy z niczego tylko jedna grupa obcych o równych bogom możliwościach.

Równych bogom – czuła podziw i trwogę na tę myśl...

Z gniewem odrzuciła ją.

Laurie Taggart była – do niedawna – wyznawczynią kreacjonizmu antycznych obcych. Urodzona i wychowana w metropoleksie Chicago, wstąpiła do kościoła AOK, gdy dołączyła do poliamorycznej tetrady, w której było dwoje wyznawców. Nie zastanawiała się szczególnie nad religią przed ślubem – prawa Białej Konwencji zabraniały prozelityzmu i sprawiały, że religia pozostawała czymś prywatnym. Ale jeden z jej nowych mężów, Anton Brody, przewodził od lat małym spotkaniom. Tajność wymuszona na wszystkich Kościołach przez Konwencję sprawiła, że grupa dawniej standardowych baptystów zboczyła na nowe obszary teologii: uważali, że Bóg to kosmici, którzy skolonizowali Ziemię setki tysięcy lat wcześniej, tworząc ludzi na swoje podobieństwo i stając się źródłem wszelkich ziemskich mitologii.

Nie był to nowy pomysł. W 1960 ukazał się „Poranek magików” Louisa Pauwelsa i Jacques’a Bergiera, na długo przedtem, zanim ideę tę podłapali popularni pisarze, tacy jak von Däniken czy Sitchin. Wielu krytyków uważało, że Pauwels i Bergier tak naprawdę zainspirowali się o trzydzieści lat wcześniejszymi tekstami H.P. Lovecrafta. „Poranek magików” wiele zawdzięczał „Górom szaleństwa”.

Taggart przeczytała to wszystko i zakochała się w tej

koncepcji.

Teraz nie wiedziała, czy nadal w nią wierzy.

Problem był taki, że obcy „bogowie”, opisywani przez von Dänikena, Tsoukalosa, Sitchina i innych proroków AOK, okazali się zbyt ludzcy. Pierwsi napotkani przez Ziemian inteligentni nie ludzie wyglądali jak metrowej wielkości pająki z szesnastoma odnóżami, czterema oczami i paszczami otwierającymi się bezpośrednio na ich żołądki. Większość zaś kolejnych gatunków w ogóle nie przypominała niczego, co wyewoluowało na Ziemi. Najpopularniejszym obcym habitatem pośród gwiazd okazały się skute mrozem oceany na księżycach lodowych olbrzymów, zaś gatunki zamieszkujące podobne do Ziemi światy rzadko przypominały ludzi fizycznie i, co ważniejsze, mentalnie.

Wśród ziemskich mitów i ruin wciąż było wiele nierozwiązanych zagadek i w wielu przypadkach nie dało się całkowicie wykluczyć obcej interwencji. Nie dało się jej jednak nigdy z całą pewnością stwierdzić. Nie istniały dowody, a tezy, że dawni ludzie byli zbyt głupi, zbyt prymitywni albo zbyt pozbawieni wyobraźni, by budować piramidy, nie znalazły pokrycia w faktach.

Nigdzie pośród gwiazd, przynajmniej na razie, nie znaleziono dowodów, że któryś z obcych gatunków odwiedził kiedyś Ziemię, tworzył imperia, budował miasta czy nawet wyrzucał śmieci.

Wtedy Taggart się tym nie przejmowała. To była w końcu kwestia wiary, nie nauki. Ale Trevor Gray zadawał pytania, które tę wiarę naruszały. Sprawił, że Laurie nad nimi myślała.

A im więcej myślała, tym bardziej kwestionowała centralną doktrynę swojego Kościoła.

Ostateczny cios zadały jej własne doświadczenia, gdy służyła na „Ameryce”. Ziemska flota napotykała coraz to kolejne struktury i technologie, które były oszałamiające w skali, zapierające dech w piersiach i całkowicie obce. Istniały byty, starożytne cywilizacje, przemierzające galaktyki i potężniejsze

niż jakiegokolwiek ziemskie bóstwo. Taggart czuła raz po raz podziw i trwogę, ale też raz po raz cywilizacje wywołujące te emocje okazywały się zawodne, śmiertelne i ograniczone.

Obcy z Czarnej Rozety wydawali się najbardziej oszłamiająco potężnymi istotami, jakie napotkała ludzkość. Ich możliwości bardziej przypominały magię niż technologię... a jednak wydawały się mieć przynajmniej jedną wadę. Były tak zaawansowane, tak bardzo przewyższały ludzkość, że Obcy z Rozety wydawali się nawet nie zauważać jej okrętów, technologii ani prób komunikacji. Ksenosofontologowie spekulowali, że być może przewyższali ludzi tak bardzo, jak ludzie przewyższali owady. Ale na pewno musieli rozpoznawać okręty kosmiczne, sztuczne osobliwości i kwantowe źródła mocy jako technologię. Czy dosłownie nie widzieli ludzkich okrętów? Czy może zakładali, że są naturalnym zjawiskiem? Albo po prostu ich nie obchodziły?

Myśl, że Obcy z Rozety byli tak zaawansowani, że dosłownie nie zauważali ludzkiej technologii, stanowiła nie tylko cios w dumę ludzi. Prosiła się o pytanie, czy byli tak ślepi, że nie zwracali uwagi na jasne przesłanki o cywilizacji zdolnej do podróży międzygwiazdnych, czy może tak aroganccy, że nie chcieli jej zauważać?

Żadna z tych możliwości nie świadczyła zbyt dobrze o mentalności obcych.

Zaś dla Laurie Taggart obie prowadziły do jednego wniosku. Nawet istoty tak potężne jak Obcy z Rozety miały wady... i przez to nie spełniały oczekiwań, jakie pokładała w Bogu.

Bóg biblijny, w którego wierzyli baptyści z Chicago, zanim porzucili swoje korzenie i zaczęli szukać starożytnych kosmitów, miał być dostatecznie potężny, by stworzyć świat, a jednocześnie dość łaskawy i uważny, by zwrócić uwagę na każdą ptaszynę.

Wszechświat, na tyle, na ile poznała go Taggart, nie zawierał istoty, która byłaby tak wszechstronna, tak nieskończona...

...ani tak kochająca.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

5 grudnia 2425

TC/USNA „Ameryka”

Mostek flagowy

Godzina 22.24 TFT

– Podjęcie decyzji długo im nie zajęło, co? – mruknął Gray, trochę sam do siebie.

– Sporo od niej zależało – odparła Gutierrez. – Może nawet przetrwanie ludzkości.

Gray czuł się gorzej. Odczuwał ból i zawroty głowy. Z mostka flagowego „Ameryki” patrzył, jak okręt zatrzymuje się na orbicie. Nie w bazie SupraQuito, ale na orbicie Księżyca, jakieś czterysta tysięcy kilometrów dalej. Gutierrez znajdowała się na dole, na głównym mostku lotniskowca. Do osi „Ameryki” doczepiony był drugi okręt, co utrudniało manewrowanie.

Dwie godziny po tym, jak przesłali na Ziemię raport zawierający wszystko, co wiedzieli o obcej infekcji, „Ameryka” otrzymała rozkazy, aby spotkać się z eskortą, mającą zapewnić przeprowadzenie kwarantanny.

Eskorta składała się z trzech ciężkich krążowników i statku medycznego „Andreas Vesalius”, którego załoga miała zająć się badaniem nieuchwytnego mikroorganizmu. Jednostki te spotkały się z „Ameryką” godzinę drogi od Ziemi.

„Vesalius” był częściowo statkiem szpitalnym, a częściowo badawczym i na jego pokładzie znajdowały się jedne z najlepszych AI medycznych poza samą Ziemią. Miał pięćset

metrów długości i dopasował prędkość do hamującego lotniskowca, a następnie połączył się z nim nanomorficznymi hakami. Obie jednostki wiązały liczne przewody. Zamiast korzystać z formalnych włazów i śluz, rozebrano w tym celu część kadłuba „Ameryki”. Po chwili na pokład wkroczyli ludzie w kombinezonach ochronnych oraz humanoidalne roboty medyczne. Obowiązki ludzkiego personelu przejęła AI „Ameryki”, załodze kazano ustawić się w kolejce do badań.

Jako jeden z niewielu zarazonych Gray znalazł się pierwszy w szeregu. Nanity, które mu wstrzyknięto, jak powiedział mu ludzki lekarz, były bardziej zaawansowane niż te w ambulatorium „Ameryki”, bardziej elastyczne i programowalne. Teraz krążyły w jego krwiobiegu, rozmnażały się za pomocą węgla i innych pierwiastków pozyskanych z komórek Graya i szukały intruzów.

Kilka godzin później „Ameryka” znalazła się na orbicie Księżyca, podczas gdy medycy i roboty z „Vesaliusa” kontynuowali podawanie zastrzyków.

– Admirale Gray?

Gray odwrócił się i zobaczył doktora Williama Hoffmana, człowieka dowodzącego zespołem medycznym z „Vesaliusa”. Tak jak pozostali miał na sobie kombinezon ochronny.

– Tak, doktorze? Jak idzie?

– Cała załoga dostała zastrzyki. Na pozostałych okrętach pańskiej grupy bojowej też już skończyliśmy.

– Jak szybko się czegoś dowiemy?

– Nie umiem powiedzieć. Nie można tego przyspieszyć.

– Cokolwiek to jest, rozprzestrzenia się. W ciągu ostatnich paru godzin pojawiły się nowe przypadki. Obecnie na samej „Ameryce” jest ich dwadzieścia.

– Wiem, admirale. Są też na „Bunker Hill”, „Burke’u” i „Deutschlandzie”. Łącznie dziewięćdziesiąt trzy osoby.

Choroba rozprzestrzeniała się więc coraz szybciej. Niedobrze. Najgorsze było to, że wyizolowanie i zidentyfikowanie zarazka mogło zająć sporo czasu.

A wtedy załogi „Ameryki” i reszty jej grupy pozostałyby uwięzione przynajmniej do tego czasu.

– Wydałem rozkazy dla wszystkich załóg, mają unikać... spoufalania się – powiedział Gray. Czuł się... winny. Nie z powodu przygody z McKennon, ale dlatego, że na nim spoczywała odpowiedzialność za wszystko, co działo się z okrętami pod jego dowództwem. I w którymś momencie zawiódł. Niemal przyniósł na Ziemię nową zarazę.

Ale co właściwie mógł zrobić? Jak miał postąpić?

– Słusznie, admirale. Wygląda jednak na to, że do zakażenia może dojść także innymi drogami. Ten organizm jest koszmarem każdego epidemiologa. Rozprzestrzenia się przez każdy cielesny kontakt albo drogą kropelkową.

– Medyczna AI już nam to powiedziała.

– Ma też dość długi okres inkubacji, a objawy są na tyle niegroźne, że ludzie ich nie zgłaszają od razu. To znaczy, że gdy tylko się stąd wydostanie, rozprzestrzeni się jak ogień na całą Ziemię i wszystkie kolonie. Dlatego musimy odizolować pańską załogę.

– W pełni to rozumiem. Nie wiemy jeszcze, czy jest niebezpieczny.

– Właśnie – odparł Hoffman. – Oznacza to, że musimy założyć, że jest. To, jak się zaczyna i roznosi... Admirale, ta choroba jest podejrzanie podobna do krwawej śmierci.

To przyciągnęło uwagę Graya, bo właśnie o tym myślał kilka dni wcześniej.

– Ale to nie ona, prawda?

– Chciałbym. Gdyby tak było, moglibyśmy łatwo ją zidentyfikować i wyeliminować Staphylococcus hemoragia. To pierwsze, co sprawdziliśmy. – Znów się zawahał. – I... jest jeszcze coś.

– Wspaniale – odparł gorzko Gray. Ból głowy i mięśni pogłębiał się. Znacznie. Ile miał czasu, zanim nie będzie w stanie pełnić obowiązków?

– Cokolwiek to jest, myślę, że możemy z całą pewnością

powiedzieć, że jest obcego pochodzenia. Niemal na pewno pochodzi od Sh'daar, jako że złapaliście to w Chmurze N'gai. To, że mikroorganizm jest tak trudny do wychwycenia, sugeruje też, że nie jest naturalny.

Gray szeroko otworzył oczy.

– Nie... naturalny...

– Admirale, to może być celowo zaprojektowany genetycznie organizm, a nawet forma nanotechnologii biologicznej. Innymi słowy... broń.

Gray zastanowił się nad implikacjami. Niemal coś powiedział, ale powstrzymał się. Hoffman i jego ludzie robili, co mogli. Niewiele był w stanie im pomóc.

Uznał, że musi porozmawiać z prezydentem Koenigiem. Jeśli to była obca broń biologiczna, rząd zdecydowanie źle oceniał sytuację polityczną i szanse na pokój ze Społecznością Sh'daar.

Mimo dudnienia w głowie Gray ruszył naprzód w mikrograwitacji mostka flagowego. Nagle poleciała mu z nosa krew, unosząca się w powietrzu w postaci czerwonych kulek.

Poczuł rękawicę Hoffmana na ramieniu. Słyszał, że lekarz coś krzyczy, ale ból sprawiał, że nie rozumiał słów.

Bogowie... czuł się naprawdę chory.

6 grudnia 2425

TC/USNA CVS „Lexington”

Mostek główny

Godzina 9.18 TFT

– Planeta obraca się synchronicznie – oznajmiła porucznik Carla Milton. Była głównym nawigatorem „Lexingtona”. – Oczywiście spodziewaliśmy się tego. Tak zwykle bywa w tej odległości od gwiazdy.

– Mam tu dane o systemie. Proszę powiedzieć mi coś, czego nie wiem – odparła Taggart.

– Przepraszam, pani komandor – mruknęła Milton.

Taggart chciała dodać coś nieprzyjemnego, ale powstrzymała się. Była w kiepskim nastroju po tym, jak znów zaczęła wątpić w swoją religię. Biała Konwencja, zakazująca rozmawiania z innymi o kwestiach wiary, tylko to pogarszała. Poczucie izolacji sprawiało, że czuła się przygnębiona i rozgniewana.

– Nie, to ja przepraszam, poruczniku – powiedziała w końcu.

– Proszę mówić, co tylko uważa pani, że powinnam wiedzieć.

– Aye, aye, komandorze – mimo wszystko ton Milton brzmiał nieswojo.

Cholera...

Przypięta do fotela, Taggart obserwowała otaczające ją ekrany. Planeta oznaczona na mapach astrogacyjnych jako Himinbjorg unosiła się tuż przed nią jako czarny krąg z czerwonożółtym półksiężycem na obrzeżach. Po ciemnej stronie globu widać było czerwonawe fragmenty – strumienie lawy. Za Himinbjorgiem Gwiazda Kapteyna miała rozmiar dwukrotnie większy od Słońca widzianego z Ziemi. Na jej lśniącej powierzchni widniały czarne plamy słoneczne.

Nazwa Himinbjorg pochodziła ze staronordyckiego

i oznaczała Niebiańską Fortecę lub Niebiańską Górę. Zgodnie z mitem była domem Heimdalla, strażnika Bifrostu, tęczowego mostu rozciągającego się między Ziemią a niebiosami. W rzeczywistości była planetą ekstremów. Orbitowała w życiodajnej strefie, gdzie woda pozostawała płynna, a klimat powinien teoretycznie być umiarkowany. Tak zapewne by było, gdyby nie to, że jedna strona globu zawsze skierowana była w stronę słońca, co oznaczało, że zamieniała się w rozpaloną pustynię o temperaturze tylko nieco poniżej temperatury wrzenia, podczas gdy ciemną część pokrywały lodowce o temperaturze dużo niższej od zera. Siły pływowe powodowały wulkaniczność, dzięki której wielkie strumienie lawy płynęły poprzez wieczną noc, uwalniając zamarzną wodę.

Od bieguna do bieguna rozciągała się wąska strefa zmroku, w której słońce zawsze unosiło się tuż nad horyzontem. Temperatura sprzyjała tu egzystencji, przynajmniej tam, gdzie nie płynęła akurat lawa. Lokalne życie tak naprawdę wisiało na włosku. Atmosfera składała się głównie z azotu i tlenu, podobnie jak na Ziemi, ale zatruwały ją chmury siarkowodoru i dwutlenku siarki.

Na tym piekielnym świecie nie było żadnej ludzkiej kolonii. Właściwie na to liczyli, zakładając, że Obcy z Rozety mogliby zainteresować się Himinbjorgiem, gdyby istniał ludzki przyczółek. Paneuropejskie okręty mogły się więc tam skryć, na orbicie albo na powierzchni.

– Czujniki – powiedziała Taggart. – Jakieś ślady?

– Nie, komandorze – odparł porucznik Jorge Chavez. – Nic tu nie ma.

– A obcy? Zauważyli nas?

– Skąd mamy to wiedzieć? – usłyszała za sobą głos kapitana.

– Kapitan na mostku! – powiedziała Taggart, rozpinając pasy i opuszczając fotel kapitański. – Oddaję dowodzenie.

– Dziękuję, komandorze. – Bigelow zasiadł w fotelu, który dopasował się do jego większej sylwetki i zapiął pasy. – Nikogo

nie ma w domu, co?

– Nie, sir. Zaczynam zastanawiać się nad zewnętrzną planetą. Jak się nazywa? Trymheim?

– Jest jakaś szansa. Jeśli konfederacyjni tam są, znajdą ich „Headhunters”.

– Tak, sir.

„Headhunters”, VFA-211, byli jedną z eskadr myśliwców „Lexingtona”. Wystrzelono ich kilka godzin wcześniej i wysłano do zbadania Trymheimu. Bigelow obawiał się, że przyciągną uwagę Obcych z Rozety. Założenie było takie, że z tak zaawansowaną technologią obcy są świadomi wszystkiego, co dzieje się w układzie. Przynajmniej na razie nie okazali jednak zainteresowania ziemską flotą.

Bigelow i Taggart woleli, by tak pozostało.

Jak większość odkrytych do tej pory olbrzymów gazowych i lodowych, Trymheim otoczony był pierścieniem, niezbyt jednak dobrze widocznym, bo składał się z czarnych jak węgiel skał, a lokalna gwiazda znajdowała się niemal dziewięć jednostek astronomicznych od niego.

Nazwę Trymheim nadała mu pierwsza ziemską ekspedycja do Gwiazdy Kapteyna pod koniec dwudziestego drugiego wieku. Podobnie jak nazwy pozostałych ciał niebieskich w układzie, pochodziła z mitologii nordyckiej i oznaczała Dom Grzmotów, Dom Błyskawic lub Dom Mocy.

Porucznikowi Jasonowi Meierowi nie podobała się nazwa Dom Grzmotów. Zwłaszcza jeśli miała oznaczać grzmotnięcie jego SG-420 Starblade’a o powierzchnię planety, a nie grzmot błyskawic.

Grzmoty na pewno pasowały do tego, że Trymheim leżał w Jotunheimie, świecie lodowych olbrzymów. Pierwsi ludzie w tym układzie tak naprawdę nazwali go jednak Domem Mocy z powodu małego, enigmatycznego towarzysza planety.

Pierwsza ziemską ekspedycją międzygwiazdą kilkaset lat wcześniej odkryła wiele dowodów na to, że ludzkość nie była sama pośród gwiazd. Na długo przed napotkaniem pierwszych kosmitów – Agletsch – ludzie odkrywcy znaleźli obce ruiny, resztki cywilizacji, których czas dawno przeminął.

I niektóre z tych fragmentów odkryto właśnie w tym układzie. Klify Heimdalla nie od razu rozpoznano jako dzieło cywilizacji technicznej, ale nie dało się pomylić tajemniczego satelity Trymheimu z niczym innym.

Była to czarna dziura o masie mniej więcej równej masie

Ziemi, skompresowana do dziwnego grawitacyjnego węzła o średnicy paru centymetrów. To chmura pyłu otaczająca dziurę, zwana dyskiem akrecyjnym, sprawiła, że uznano ją za sztuczny twór. Skany spektroskopowe dysku wykazały obecność spodziewanych pierwiastków: żelaza, krzemu, glinu, węgla, ale też wyjątkowo wysoki poziom metali ziem rzadkich i metali szlachetnych: złota, kobaltu, neodymu, samaru i holmu.

Ekspedycja ksenotechnologów uznała, że chmura odłamków orbitujących wokół miniaturowej czarnej dziury stanowiła pozostałości po sztucznej strukturze, która dawniej zawierała w sobie osobliwość – zapewne jakiegoś rodzaju generatora. Ludzie korzystali ze sztucznie generowanych mikroosobliwości zarówno do napędzania okrętów, jak i pozyskiwania mocy. Z pary rezonujących czarnych dziur orbitujących wokół siebie można było pozyskać niemal nieograniczoną ilość energii próżniowej. Ktoś najwyraźniej robił to samo na orbicie Trymheimu, choć czy wokół czarnej dziury krążyły szczątki orbitalnego generatora, czy naprawdę wielkiego statku kosmicznego, nie było jasne. Metale ziem rzadkich – zwłaszcza samar, neodym i holm, a także spore ilości takich związków chemicznych jak SmCo_5 sugerowały wykorzystanie potężnych sztucznych magnesów. Stąd też AI, zainteresowana mitologią nordycką, zasugerowała taką, a nie inną nazwę dla planety.

Konfederacja Terrańska włożyła sporo środków w kompleks orbitalny wokół Bifrostu. Większość jej uwagi skupiona była oczywiście na Heimdallu i jego tajemniczych klifach – superkomputerze zawierającym biliony zdigitalizowanych umysłów. Część badań prowadzono jednak również nad Trymheimem.

Porucznik Jason Meier prowadził swój SG-420 Starblade na nowym wektorze w stronę szczątków. Dziwny obiekt oznaczono jako DA1 – dysk akrecyjny 1. Wśród pilotów szybko jednak nazwa zmutowała w „Daj”. Obiekt nadal nie był widoczny gołym okiem, ale Meier wykrywał go na sensorach dalekiego zasięgu. Z odległości dwustu pięćdziesięciu tysięcy

kilometrów planeta wielkości Neptuna widoczna była jako wielka, zielononiebieska kula, zasłaniająca większość gwiazd przed nimi. Czerwona grafika komputerowa pokazywała Daj tuż obok.

– Dlaczego dysk akrecyjny wciąż tu jest? – spytała porucznik Pamela Schaeffer na wąskim kanale kierunkowym. – Jest tu od... jakichś ośmiuset milionów lat, tak? Czy czarna dziura nie powinna dawno wszystkiego pożreć?

– Pewnie pożarła już większość tego, co tu było – odparł Meier. – Ale sporo z resztek widocznie znajdowało się na tyle daleko, żeby utrzymać stałą orbitę. Lepiej zachowajmy ciszę radiową, Pam.

– Dlaczego? Jeśli Obcy z Rozety są tak zaawansowani, jak wszyscy twierdzą, i tak wiedzą, że tu jesteśmy.

Miała trochę racji. Eskadrze nie rozkazano, by zachowała ciszę, choćby dlatego, że musiała koordynować manewry. Poza tym szum wywoływany interakcjami pól magnetycznych Trymheimu i Daj powinien ich skutecznie zamaskować.

Mimo wszystko Meierowi trudno było się pozbyć przekonania, że gapi się na niego ktoś wielki i potężny, kto zastanawia się, co zrobić z muchami, które wleciały mu na podwórko.

– Masz rację – powiedział po chwili. – Chyba nawet czułbym się lepiej, gdyby oni coś zrobili. Wiedziałbym, że w ogóle ich obchodzimy!

– Rozumiem cię, brachu. – Schaeffer zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Zaczynam coś widzieć.

Meier sprawdził własne sensory optyczne i stwierdził, że również widzi już dysk – cienki jak papier pierścień o średnicy dwudziestu tysięcy kilometrów z bardzo szerokim, pustym środkiem.

A przynajmniej wyglądał na pusty. W samym środku tej wielkiej struktury leżała miniaturowa osobliwość. Pole grawitacyjne było identyczne z polem planety o masie Ziemi. Dziura w dysku akrecyjnym kończyła się jakieś trzydzieści

tysięcy kilometrów od środka.

– Spójrz, jakie to wielkie! – powiedział Meier. Ledwie był w stanie zauważyć obiekt pośród gwiazd. Pierścien wyglądał, jakby składał się z czarnego proszku, czasami z domieszanym diamentem czy kawałkiem lodu. – Poszczególne kawałki dysku zderzały się ze sobą przez setki milionów lat. Większość z tego, co zostało, jest dość stabilna.

– Nie wiemy, czy ma tyle lat – odparła Shaeffer. – Sh'daar w końcu przenieśli się w czasie. Może to była ich kolonia w przyszłości... ale tylko kilkaset lat przed nami.

– Nie, to jest stare – stwierdził Meier. – Gwiazda Kapteyna była częścią galaktyki N'gai. Droga Mleczna zjadła ją na podwieczorek jakieś pół miliarda lat temu.

– Słyszałam, że siedemset milionów lat – powiedziała Shaeffer. – Ale co to jest kilkaset milionów w tę czy w tę?

– Właśnie. W każdym razie Kapteyn poszedł na spacer, gdy rozerwało galaktykę. Ksenologowie uważają, że poszarpane klify z Heimdalla też mają siedemset czy osiemset milionów lat. Pewnie są z czasów ur-Sh'daar, sprzed ich osobliwości technologicznej.

– Ciekawe, czym były pierwotnie te pierścienie.

– Kto wie? Jest tu dość masy na małą planetę... nie licząc czarnej dziury. Cokolwiek to było, musiało być wielkie.

– Przestańcie gadać – odezwał się komandor Victor Leystrom. Był dowódcą „Headhunters”, ze znakiem wywoławczym Hunter Jeden. – Nie chcemy, żeby obcy coś usłyszeli.

Meier spojrzał na szyk myślicieli i zobaczył, że Leystrom leciał teraz między nim a Schaeffer, na tyle blisko, że przechwycił część komunikacyjnej wiązki laserowej.

– Przepraszam, skipper – odparł. – Nie wiedziałem, że nas pan słyszy.

– Nie wiemy, kto nas, kurwa, słyszy, okej? Więc przestańcie gadać, chyba że to konieczne.

– Aye, aye, skipper.

– Przyjęłam, Hunter Jeden – dodała Schaeffer.

Szkoda. Przenoszona laserem rozmowa pomagała pozbyć się poczucia osamotnienia. W ciszy Meiera znowu napadła czarna pustka, która przenikała kości.

Dwanaście myśliwców eskadry VFA-211 leciało w szeregu ku ledwie widocznemu pierścieniowi. Piloci poczuli podobną do ziemskiej grawitację, która zakrzywiała tor ich lotu, wybrany tak, by przelecieli przez główny otwór w pierścieniu, ale niezbyt blisko leżącej w środku osobliwości.

Meier sprawdził odczyty: celem tej operacji było stwierdzenie, czy nie kryją się tam przed Obcymi z Rozety jakieś okręty Konfederacji. Jedną z możliwości było to, że chowają się gdzieś w dysku akrecyjnym. Żeby je wykryć, musieliby zbliżyć się na przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy kilometrów.

– Hunter Jeden, tu Hunter Pięć – odezwała się porucznik Judith Kelly na kanale taktycznym eskadry. – Chyba coś tu mam...

– Prześlij nam odczyty – rozkazał Leystrom.

– Przesyłam.

Meier spojrział na strumień danych i otworzył szeroko oczy. Strzał w dziesiątkę...

Gray otworzył oczy... i znów je zamknął. Światło okazało się zbyt bolesne. Był cały przepecony, jakby właśnie zaczął gorączkować. Gdzieś obok sprzęt medyczny robił „biiip”. Słyszał też jakieś głosy... Brzmiały profesjonalnie...

Cień zasłonił intensywne światło.

– Admirale Gray?

Zaryzykował ponowne otwarcie oczu. Zobaczył wizjer skafandra doktora Hoffmana. Obok robot medyczny majstrował przy maszynie, która robiła „biiip”.

– Admirał Gray jest przytomny – oznajmił robot. – Ale zalecam, aby wszelkie rozmowy były jak najkrótsze.

– Jak się pan czuje, admirale? – spytał Hoffman.

– Jakbym zderzył się z myśliwcem lecącym z prędkością światła – stwierdził Gray. Głos mu się łamał i odczuwał straszliwe pragnienie.

– Nieźle nas pan przestraszył.

– Zapewne wredniejsze stadium choroby?

– Można tak powiedzieć. Znajduje się pan w ambulatorium „Ameryki”.

– Tak myślałem. – Oczywiście leżał na łóżku szpitalnym. Większość jego ciała pokrywał rodzaj zaawansowanej technicznie pianki, która wstrzykiwała w jego ciało substancje odżywcze i usuwała odpady. Czuł też grawitację, jakieś pół g. Oznaczało to, że przeniesiono go do obracającej się części mieszkalnej.

– Padł pomysł, żeby przenieść pana do ośrodka na Księżycu – powiedział Hoffman – ale rozkazy z Ziemi mówią, że nikt z załogi nie może opuścić waszych okrętów. Przynajmniej na

razie.

– Rozumiem. – Czuł się cholernie zmęczony i na granicy przytomności. – Ktoś jeszcze?

– Cztery osoby.

– Cholera.

– Doktorze Hoffman... admirał Gray powinien odpoczywać – wtrącił się robot. – Chciałbym umieścić go w stazie do czasu, aż znajdziemy lekarstwo.

Hoffman spojrzał na niego i skinął głową.

– Dobrze, ale za chwilę. Mamy dla pana dobre wieści.

– Nareszcie, kurwa. Jakie?

– Wyizolowaliśmy mikroba. Wygląda na to, że przeszedł w tryb szybkiego rozmnażania. Reprodukuje się tak szybko, że pański układ odpornościowy zaczął pracować na pełnych obrotach. Przynajmniej wiemy, z czym mamy do czynienia... mniej więcej. I próbujemy przejść do kolejnego etapu.

– Jak to „mniej więcej”?

Hoffman pokręcił głową pod strojem ochronnym.

– Nie wiem, jak to panu powiedzieć, admirale. Ten obcy mikroorganizm...

– Tak?

– Jest inteligentny.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

6 grudnia 2425

VFA-211 „Headhunters”

Orbita Trymheimu

Godzina 13.25 TFT

„Himmelschloss” był spłaszczoną czarną sferoidą o długości jakichś pięciuset metrów – nieco mniej niż połowa długości „Ameryki” i tyle, co średnica jej przedniej osłony, tyle że bardziej masywny. Monstrum było ciężkim monitorem, wyspecjalizowanym okrętem wojennym, który miał służyć jako ruchoma baza w docelowym układzie słonecznym. Podobne jednostki pilnowały kilku znanych cylindrów AGTR i obrzeży Układu Słonecznego. Monitor „Ceres” wysłano do dalekiej przeszłości, by chronił stację Głębia Czasu Jeden, zaś „Argus” był szykowany w stoczni nad Marsem do misji w dalekiej przyszłości. Były powolne i niezdarne, ale ciężko uzbrojone, a ich sensory mogły monitorować aktywność w całym układzie gwiazdnym.

Meier stwierdził, że „Himmelschloss” był znacznie uszkodzony. Wyglądał, jakby coś odgryzło sporą jego część. Brakowało jednej czwartej kadłuba, a jedna trzecia była w kiepskim stanie. Co się z nim stało, u diabła?

– Eskadra „Hunters” – usłyszeli – macie pozwolenie na lądowanie.

– Przyjąłem, „Himmelschloss”. Kurs na hangar.

Porucznik Meier obrócił swój myśliwiec o pięćdziesiąt stopni

i zmodyfikował jego zewnętrzny kształt na lepiej przystosowany do lądowania. W głowie zobaczył grafikę komputerową wskazującą otwarty hangar monitora i aktualizujący się wciąż wektor lotu.

Pół godziny wcześniej wystrzelono drugą grupę myśliwców. Eskadra Orłów składała się z przestarzałych jednostek KRG-17 Raschadler. Kapitänleutnant Martin Schmidt był dowódcą szwadronu – ten niemiecki stopień odpowiadał porucznikowi Marynarki USNA. Paneuropejska eskadra składała się jedynie z dziewięciu myśliwców. Meier zastanawiał się, czy celowo lecą w okrojonym składzie. Bardziej prawdopodobne było jednak, że ponieśli straty.

Widząc przed sobą ciężki monitor, Meier gwałtownie wytracił prędkość. Przyjrzał się uszkodzeniom kadłuba okrętu. Połowa spłaszczonej kuli wyglądała, jakby została poszatkowana. Przez dziury w poszyciu widział wnętrze monitora, z którego spora część wyglądała na stopioną. Większość układu napędowego uległa zniszczeniu. Wyglądało na to, że Paneuropejczycy przeszli przez maszynkę do mięsa.

Monitor przyczaił się na wewnętrznej krawędzi pierścienia, opierając się przyciąganiu niewidzialnej centralnej osobliwości. Meier widział, że kadłub jednostki wciąż obrywa kawałkami orbitalnego złomu. Jeśli tak dalej pójdzie, okręt zdryfuje z orbity i spadnie dwadzieścia tysięcy kilometrów dalej na pewną zgubę...

Ale nie było czasu myśleć. Meier widział w głowie podświetlony prostokąt oznaczający wejście do hangaru. W Marynarce USNA lądowania zwykle odbywały się na obrotowych pokładach tak, by nadlatujące myśliwce spoczywały w obrotowej grawitacji okrętu. Wymagało to skomplikowanej koordynacji. Lądowanie w hangarze monitora było przy tym pestką. Meier zmniejszył prędkość myśliwca do kilku metrów na sekundę, aż w końcu zatrzymało go pole magnetyczne wewnątrz hangaru. Robotyczne ramiona przesunęły go w głąb, dzięki czemu zszedł z drogi kolejnej

jednostce ze swojej eskadry.

Ze ściany wysunął się przewód cumowniczy i połączył się z burtą myśliwca. Pilot zwolnił blokady i jego starblade otworzył się, wpuszczając do środka powietrze z wnętrza „Himmelschlossu”.

Poprzez przewód cumowniczy Meier przedostał się do sporego, otwartego pomieszczenia. Młody Leutnant zasalutował mu.

– Proszę o pozwolenie na wejście na pokład – powiedział Meier.

– Udzielam pozwolenia, sir – odparł oficer. – Cieszymy się, że was widzimy!

Pomieszczenie było magazynem wielkości ziemskiego stadionu, pełnym skrzyń transportowych i kontenerów. Wypełniała je też sieć stalowych lin, które pomagały łatwiej poruszać się w mikrograwitacji. W powietrzu unosili się ludzie w paneuropejskich mundurach oraz kilku Headhunterów, którzy zdążyli wylądować przed nim. Wśród konfederacyjnej załogi rozległy się oklaski.

– Ja, willkommen! – ktoś krzyknął.

– Bienvenidos! – dodał inny.

– Wreszcie, do cholery! – przekrzyczał oklaski następny.

– Zastanawialiśmy się, czy w ogóle ktoś po nas przyleci – powiedział młody oficer. – Leutnant Harald Mueller. Nadzoruję hangar numer jeden.

– Gdzie mam się teraz udać, Herr Mueller?

– Za mną, sir. Gdy reszta pańskiej eskadry znajdzie się na pokładzie, kapitan chce porozmawiać z wami wszystkimi.

Dwadzieścia minut później Meier i pozostali Headhunters znaleźli się w sporym pomieszczeniu. Niemieckiemu monitorowi na pewno nie brakowało miejsca. Była tam też przynajmniej setka członków załogi okrętu, a i tak sala nie wydawała się zbyt zatłoczona. Kopuła nad nimi pokazywała elektroniczną projekcję otaczającej ich przestrzeni – niebieska kula Trymheimu z jednej strony, a czerwona Gwiazda Kapteyna

z drugiej. Dysk akrecyjny był niewidoczny, tak jak spodziewał się Meier. Znajdowali się w takiej pozycji, że patrzyli przez jego najcieńszy punkt.

– Czy chce pan coś zjeść? – spytał Leutnant, gdy Meier zasiadł przy okrągłym stole razem z trzema członkami swojej eskadry.

– Jeśli macie dość, żeby się podzielić. Nie chcę objadać was z żelaznych racji. – Minęły w końcu prawie dwa miesiące od zniknięcia monitora.

– W pierścieniu – wyjaśnił Mueller, wskazując na panoramę nad nimi – jest mnóstwo węgla oraz lodu, składającego się z tlenu i wodoru. Oraz pełno innych surowców. Pozyskujemy je za pomocą robotów.

– Ale nie byliście w stanie naprawić okrętu? – spytała porucznik Karen Lobieski.

– Niestety nie – odparł Mueller. – Uszkodzenia są zbyt rozległe i brakuje wokół ciężkich metali.

– Co się z wami stało, do cholery? – spytał porucznik Greg Malone.

– Ja... Niech kapitan wyjaśni – odparł Mueller. – O, właśnie nadchodzi.

Starszy człowiek w obcisłym niebieskim mundurze Marynarki Konfederacji wleciał do pomieszczenia razem z grupą adiutantów i młodszych oficerów.

– Bonjour, mes amis americains – powiedział. – Witamy na „Himmelschlossie”. Jestem Kapitan zur Weltraum Jean-Ives Gilbert. Jesteśmy wdzięczni za wasze przybycie tutaj.

Choć „Himmelschloss” był niemieckiej konstrukcji, jego załoga najwyraźniej pochodziła z całej Unii Paneuropejskiej, a dowódca był Francuzem. Meier wiedział, że Paneuropejczycy zazwyczaj próbowali segregować załogi na podstawie krajów pochodzenia, ale nie zawsze się to w pełni udawało.

– Muszę panów spytać – kontynuował kapitan Gilbert – jak duża jest flota, z którą przylecieliście do tego układu. Mam na pokładzie ponad tysiąc dwustu ludzi, których trzeba ewakuować.

– To może być problem, sir. Jesteśmy z grupą bojową lotniskowca. Składa się z „Lexingtona” oraz dwóch innych jednostek.

Gilbert szeroko otworzył oczy.

– To wszystko?

– Obawiam się, że na razie tak. Niszczyciele i inne lekkie okręty eskortowe będą tu za dzień lub dwa. Zbierają wspólną ekspedycję na Ziemi, ale zajmie to nieco czasu.

– Ale mieliście dwa miesiące!

– Sir, mamy ograniczone zasoby. To cud, że w ogóle tu jesteśmy. Sugeruję rozpocząć przygotowania do ewakuacji. Będzie ciasno, ale „Lady Lex”, „Marne” i „Valiant” powinny jakoś was pomieścić.

– A kiedy przybędą pozostałe okręty?

– W tej chwili sprawdzają planety zewnętrzne układu – odparł Leystrom. – Musimy przesłać im wiązką kierunkową wiadomość, że was znaleźliśmy.

– A tymczasem – dodał Meier – może powie pan nam, co się stało z pańskim okrętem?

Gilbert pokręcił głową.

– Niewiele jest do opowiedzenia. Co się stało, jest oczywiste. Ale jak... Wciąż nie mamy pojęcia.

Gilbert wyjaśnił, że dwa miesiące wcześniej grupa Konfederacji wleciała do układu Gwiazdy Kapteyna z rozkazami z Genewy, by obserwować potężne istoty, które tam wykryto, potwierdzić zniszczenie stacji orbitalnej przy Heimdallu i, jeśli to możliwe, nawiązać pokojowy kontakt z obcymi. Sytuacja wciąż była niejasna. Kosmici byli prawdopodobnie Obcymi z Rozety, ale nadal nie zostało to potwierdzone. „Pokojowy kontakt” mógł oznaczać kapitulację, ale Obcy z Rozety byli tak niewyobrażalnie potężni, z technologią przekraczającą ludzkie rozumienie, że Genewa uważała ustępstwa, a nawet poddanie się obcym za konieczne, jeśli ludzkość miała przetrwać.

Meier był ciekaw, czy Genewa konsultowała to

z Waszyngtonem i co Waszyngton o tym myślał. W niedawnej wojnie domowej między USNA a Konfederacją istotnym punktem sporu była kwestia różnic w strategii, jeśli chodzi o kontakty ze Społecznością Sh'daar. Konfederacja chciała przyjąć ultimatum kosmitów i ograniczyć rozwój technologii. USNA nalegały na walkę o suwerenność i na nieograniczony dostęp do wszelkiej technologii, w tym zakazanej przez Sh'daarów.

Nieustępliwość Waszyngtonu okazała się zadziwiająco skuteczna, choć niektórzy nadal uważali, że ludzkość powinna zaakceptować żądania Sh'daar prędzej czy później. Meier stwierdził, że pytanie brzmiało, czy ta strategia zadziała ponownie... tym razem względem obcej potęgi dużo bardziej zaawansowanej niż nawet Sh'daar.

Na elektroniczne polecenie Gilberta w ich głowach zaczęły pojawiać się obrazy, pobrane z bazy danych „Himmelschlossu”. Zobaczyli, jak grupa bojowa Konfederacji wynurza się z metaprzestrzeni na dalekich peryferiach układu. Osiem okrętów – „Himmelschloss”, ciężki krążownik „La Gravičre”, krążownik artyleryjski „Lutzow”, dwa niszczyciele i trzy fregaty – ruszyło w stronę Bifrostu. Rozproszyły się nieco i podążały powoli, z nadzieją, że obcy ich nie zauważą. Z niewielkim przyspieszeniem ruszyły w stronę serca układu.

W tym momencie wypuszczono pięć myśliwców – Orłów. Meier patrzył, jak cała eskadra zbliża się do Heimdalla. Od obcych oddzielał ich wtedy wciąż Bifrost. Orły przeleciały obok gazowego olbrzyma, trzymając się blisko pierścienia, pod osłoną promieniowania planety.

Przed nimi obrazy przesłane przez eskadrę ukazywały niesamowite cuda zbudowane z płynnego światła.

– Nazywamy je duchami – powiedział Gilbert. – Wyglądają, jakby były ze światła, ale wyraźnie jest to coś innego. Wydaje nam się, że to jakieś chmury – niebiańskie oceany miniaturowych mechanizmów w jakiś sposób zakotwiczonych w przestrzeni.

– Zakotwiczonych? Jak to możliwe? – spytał Leystrom.

– Gdybyśmy wiedzieli, być może obca technologia nie byłaby dla nas takim wyzwaniem. Zgadujemy, że ma to coś wspólnego z manipulowaniem energią próżniową morza kwantowego...

Meier gwizdnął. Ktoś inny w sali jęknął. Morze kwantowe było najbardziej podstawowym poziomem wszechświata. Cząstki i antycząstki wciąż pojawiały się tam i znikwały, tworząc rodzaj kwantowej piany, energii próżniowej, którą mogły pozyskiwać mikroosobliwości, pozwalającej zasilać podróże międzygwiazdne.

Zgodnie z teorią materia i energia były produktami fal na powierzchni tej piany – dlatego nazwano stan bazowy morzem. Powtarzający się wzrost energii pojawiał się i znikał miliardy razy na sekundę, manifestując się jako elektron, foton czy kwark, dając im właściwości cząstek i fal. Trzy kwarki razem tworzyły hadrony, z których najstabilniejsze były protony i neutrony. Inne kombinacje tworzyły wszystkie pozostałe możliwe cząsteczki współczesnej fizyki. Gdy fala ruszała się, poruszały się też generowane przez nią cząsteczki. Gdy było ich dość obok siebie, to zakrzywiały przestrzeń, tworząc grawitację.

Gilbert sugerował, że Obcy z Rozety wiedzieli, jak sięgać bezpośrednio do piany kwantowej i manipulować jej energią.

Meier był w szoku. Jeśli potrafili to robić, naprawdę mieli boskie możliwości: mogli tworzyć materię z niczego – co oznaczało pogwałcenie prawa zachowania masy – albo zakotwiczyc ją do podstaw samego kosmosu. Oznaczałoby to, że byli w stanie edytować materię, transmutować każdy pierwiastek, uzyskać każdą pożądaną formę energii czy materii.

Albo ją zniszczyć tak, jakby nigdy nie istniała.

Cywilizacja zdolna do czegoś takiego...

Boże, czy jest coś, czego nie są w stanie osiągnąć?

Meier czuł, jak razem z danymi otrzymuje także lęk pilota, który potęgował jego zdumienie. Biliony cząsteczek kurzu, świetlna mgiełka, a w niej...

Ledwie widoczne, na tyle, że Meier myślał z początku, że to omamy wzrokowe. Ale były tam...

...kształty. Wielkie kształty, większe od Heimdalla czy nawet ogromnego Bifrostu. Z jego punktu widzenia wyglądało to, jakby Heimdall był zawieszony w sieci tak cienkiej, że nie było sposób stwierdzić, czy w ogóle istnieje.

A jednak wypełniała całą przestrzeń przed nim...

I ruszała się.

Reagowała na przybycie eskadry myśliwców.

– Jeden z tych obiektów – wyjaśnił Gilbert, wskazując na lśniący przestwór przed nimi – po prostu się zawinął jak sieć rybacka wrzucona do morza.

Pięć myśliwców rozplynęło się, gdy objęła je kaskada światła. Grupa okrętów dziesięć tysięcy kilometrów dalej, po drugiej stronie Bifrostu, zobaczyła, co się dzieje, i natychmiast zaczęła hamować.

Zareagowali szybko, ale nie dość szybko. Świetlna mgiełka przeleciała obok Bifrostu, poprzez planetę i jej pierścienie bez żadnego efektu, ale uderzyła paneuropejskie okręty jeden po drugim. Z każdym uderzeniem okręt rozbłyskał jak nowa... i zniknął.

Tylko „Himmelschloss” uciekł z tej świetlnej burzy.

...ledwie. Krawędź fali promieni uderzyła w monitor kilka sekund po tym, jak obrócił się i zaczął przyspieszać tak szybko, jak tylko mógł. Jego rufa zaczęła falować i zapadać się pośród chmury odłamków.

„Himmelschloss” dryfował bezradnie poza układ. Obcy nie polecili za nim, zupełnie jakby zadowolili się odgonieniem uciążliwego owada.

– Byliśmy w stanie manewrować – wyjaśnił Gilbert. – Mieliliśmy też zasilanie, dzięki Bogu. Mogliśmy zmienić kurs na tyle, żeby podlecieć do Trymheimu i zatrzymać się na orbicie wokół osobliwości. Niemal osiemset osób... zniknęło. Pochłonęły ich falujące warstwy światła albo wylecieli w kosmiczną próżnię. Na szczęście mieliśmy wciąż zdolności

produkcyjne, byliśmy w stanie wygenerować jedzenie, wodę, powietrze. Nasze funkcje naprawcze na większą skalę uległy jednak zniszczeniu. Zaprogramowaliśmy naszą nanomacierz zewnętrzną tak, aby zakryć wyrwy w kadłubie, ale nie możemy stworzyć nowego napędu, nowych myśliwców ani naprawić w większym stopniu poszycia. Jesteśmy po prostu bezbronni w obliczu takiej technologii!

Jason Meier był zmuszony się z tym zgodzić. Maleńka eskadra USNA była równie mocna i skuteczna w starciu z istotami z Rozety jak obsceniczny gest.

Co oznaczało, że wydostanie „Lexingtona” i reszty okrętów z wnętrza układu, ewakuowanie załogi „Himmelschlossu” i ucieczka wymagać będą mnóstwo szczęścia.

Sądząc po tym, co właśnie zobaczył, cała potęga wojskowa Ziemi mogłaby co najwyżej poirytować te istoty.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Ambulatorium

Godzina 13.46 TFT

– Proszę to wyjaśnić. To nie ma sensu! – powiedział Gray.

– Te bakterie są inteligentne – oświadczył Hoffman. – To jedyna hipoteza, która pasuje do faktów.

– Inteligentne zarazki? – warknął Gray. – To absurd!

– Właściwie wiedzieliśmy, że to możliwe, już od jakiegoś czasu. Pewne ziemskie organizmy wykazują... oznaki inteligencji, przynajmniej pewnego rodzaju. Wygląda na to, że teraz trafiliśmy na takie, które dorównują naszej.

– To niemożliwe! – Gray miał poczucie, że Hoffman próbuje mu zrobić jakiś idiotyczny dowcip. – Bakterie to organizmy jednokomórkowe! Z definicji nie mogą mieć ani jednej komórki mózgowej! Żadnych synaps, neuronów, sposobu na przechowanie pamięci! Nie mogą myśleć!

– Nie w naszym rozumieniu. Ale proszę pamiętać, że nawet nasza inteligencja to układ emergentny. Złożony system składający się z dużo prostszych komponentów.

– Poważnie mówi mi pan, że znalazł pan inteligentne

bakterie. We mnie...

– Nie inteligentne w ten sposób co ja i pan. Każda kolonia musi postrzegać wszechświat zupełnie inaczej niż my. I zapewne nie można bezpośrednio porównać ich umysłów z naszymi. Ale wszystko, co zaobserwowaliśmy, wskazuje, że postrzegają, planują i wpływają na działania swoich żywicieli w nieoczekiwany sposób.

– To wariactwo!

– Nie – odparł spokojnie Hoffman. – Po prostu oznacza to, że wszechświat jest dziwniejszy, niż się spodziewaliśmy.

Grayowi kręciło się w głowie, bolała go. Czuł się słaby. Nie był w stanie stwierdzić, czy nadal czuje skutki złapanego w Chmurze N'gai zarazka, czy po prostu zszokowało go to, co powiedział lekarz.

– Muszę nalegać, aby admirał Gray odpoczął – znów przerwał im robot medyczny. – Filozoficzne debaty na temat inteligencji mikrobów mogą poczekać.

– Przepraszam, admirale – powiedział Hoffman. – I tak muszę iść. Proszę poczytać o śluzowcach, inteligencji emergentnej oraz inteligencji bakterii w bibliotece pokładowej... jeśli niania panu pozwoli. Wrócę później i wtedy porozmawiamy. W każdym razie wiemy już, jaka inteligencja kontroluje Sh'daarów. I to zmienia wszystko.

Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

– Niech pan zaczeka! – niemal krzyknął Gray. – Nie może pan po prostu zrzucić takiej bomby i...

Ale doktora już nie było.

– Jeśli to potrzebne, podam coś na uspokojenie – powiedział robot.

– Nie trzeba – odparł Gray. – Już dobrze.

Gdy robot odwrócił wzrok, Gray połączył się z biblioteką „Ameryki” i pobrał kilka terabajtów danych o śluzowcach.

Słyszał o nich wcześniej, ale nigdy ich nie widział ani nie zaprzętał sobie nimi głowy. Nazywano tak pewną grupę eukariontów, które potrafiły żyć jako pojedyncze komórki,

podobnie jak ameby, ale czasami łączyły się w większą masę. Inaczej niż grzyby czy rośliny, ale podobnie jak ameby, śluzowce potrafiły się poruszać, pełzając w tempie jeden i trzy dziesiąte milimetra na godzinę.

Ich zachowanie było niezwykle. Śluzowce zarodźcowe stanowiły w zasadzie jedną wielką komórkę, zawierającą tysiące pojedynczych jąder komórkowych. Śluzowce komórkowe większość czasu spędzały za to jako indywidualne protisty, podobnie jak ameby, ale gdy warunki robiły się niesprzyjające lub organizm musiał się rozmnożyć, poszczególne komórki łączyły się w jedną masę i działały jak większy organizm.

Nie wyjaśniono, jak śluzowiec „decydował”, aby coś zrobić. Oczywiście miało to jakieś podstawy chemiczne, w jakiś sposób komórki były w stanie współdziałać i poruszać się w jednym kierunku. Rozwiązywały labirynty w laboratoriach, za pomocą nibynózek szukając jedzenia czy wilgoci. A gdy zatrzymywały się, żeby się rozmnażać, różne komórki lub ich składowe potrafiły zmieniać formę i tworzyć zarodniki oraz owocniki. Co dziwniejsze, zawsze gdy jądro komórkowe dzieliło się, dokonywały różnych zmian w swoim DNA, na bieżąco modyfikując genom organizmu.

Zaczynały jako amorficzne komórki podobne do ameb, ale gdy się łączyły, wykazywały inteligencję podobną do zwierzęcej, bez mózgow czy układów nerwowych. Potrafiły też naśladować ludzkie sieci transportowe, unikać toksycznych chemikaliów czy suchych obszarów oraz wybierać najzdrowsze jedzenie spośród wielu opcji. W niektórych eksperymentach wydawały się nawet antycypować zmiany warunków w czasie. Gdy były wystawione na suszę co trzydzieści, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt minut, śluzowce spowalniały ruchy, aby oszczędzać energię właśnie co trzydzieści, sześćdziesiąt lub dziewięćdziesiąt minut.

Śluzowce nie były inteligentne w taki sposób jak ludzie, ale wykazywały rodzaj inteligencji bardziej podobny do zwierzęcej

niż roślinnej.

Gray z fascynacją przeszedł od śluzowców do inteligencji emergentnej. Było wiele organizmów, które łączyły się w tak zwane superorganizmy: roje pszczoł, mrowiska, kopce termitów czy mykomyrmidy z Nowej Ziemi. Pojedynczy termit ma mózg mniejszy niż główka szpilki i na pewno nie mógłby być uznany za inteligentnego, nie w ludzkim rozumieniu. Kolonia termitów funkcjonowała jednak w praktyce jak pojedynczy organizm, a poszczególne owady odgrywały rolę komórek. Taki superorganizm mógł monitorować i kontrolować temperaturę wewnątrz kopca z dokładnością do pojedynczych stopni, mógł uprawiać grzyby w podziemnych komorach, tworzyć niesamowite dzieła architektoniczne z pojedynczych, pokrytych śliną grudek ziemi, mógł bronić gniazda dzięki wyspecjalizowanym żołnierzom. Biologowie nazywali to inteligencją roju.

Pojedyncze ludzkie neurony w końcu również nie były inteligentne i nie miały świadomości bycia częścią ludzkiego organizmu. A jednak miliony komórek nerwowych działające razem tworzyły własną inteligencję.

Umysł, inteligencja, społeczeństwo: to wszystko były emergentne fenomeny roju.

Nie było to nic bardzo szokującego, ale gdy Gray pobrał artykuł o inteligencji bakteryjnej, zdumiało go, ile z tego stanowiło dla niego nowość.

Tak jak śluzowce potrafiły wykazywać niemal zwierzęcą inteligencję, jak superorganizm składający się z milionów termitów wykazywał inteligentne zachowania, bakterie i inne mikroorganizmy – pierwotniaki i glony – prezentowały niesamowite zdolności, takie jak podejmowanie decyzji, złożone zachowania adaptacyjne, a nawet altruizm.

Ameby obudowują się warstwą ochronną, wykazując zdolności manipulacji otoczeniem i podejmowania decyzji bardziej podobne do tych, jakie prezentują organizmy wielokomórkowe. Myxobacteria, czyli bakterie śluzowe, jako

pojedyncze komórki nie były niczym szczególnym, ale podobnie jak śluzowce potrafiły łączyć się w większe kolonie, które pozostawały połączone dzięki sygnałom molekularnym przesyłanym między komórkami. Jako tego rodzaju skupiska są dużo skuteczniejsze w szukaniu i konsumowaniu pożywienia. Co najbardziej zszokowało Graya to to, jak bakterie potrafiły wpływać na zachowanie swoich zwierzęcych żywicieli. Najwyraźniej bakterie przewodu pokarmowego potrafiły wpływać na to, jak czuł się człowiek, oraz na to, co chciałby zjeść.

Od dwudziestego wieku poświęcono temu zagadnieniu sporo badań. Stopniowo biologowie zaczęli postrzegać ludzi nie jako pojedyncze, spójne organizmy, ale jako roje współdziałających komórek. Ludzkie ciało składa się z około dziesięciu bilionów komórek i jakichś czterdziestu bilionów bakterii. Bakterie miały zadziwiający stopień interakcji, kooperacji, a nawet komunikacji ze swoimi żywicielami. Nierównowaga flory bakteryjnej mogła powodować autyzm, który dało się odwrócić poprzez przeszczep zdrowych proporcji drobnoustrojów. Niektóre bakterie zmniejszały stres czy depresję, a inne były ściśle powiązane z ludzkim układem immunologicznym. Bakterie decydowały, czego potrzebowały, żeby polepszyć swoje środowisko życiowe – na przykład czekolady – i sygnalizowały to żywicielowi. Ludzki organizm był dużo bardziej złożony, niż ktokolwiek podejrzewał pod koniec dwudziestego wieku. I znaczącą część tego stanowiły właśnie sygnały biochemiczne przesyłane przez zamieszkujące organizm bakterie, których było więcej niż komórek samego organizmu. Bakterie, które poprzez zachowania emergentne działały „inteligentnie”.

Gray nie miał jednak pojęcia, co to miało wspólnego ze Sh'daar i paramykoplazmidem, który krążył po jego organizmie. Teraz tym bardziej chciał kontynuować rozmowę z doktorem Hoffmanem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

9 grudnia 2425

TC/USNA CVS „Lexington”

Mostek główny

Orbita Trymheim/DA1

Godzina 12.15 TFT

– Wkraczamy na orbitę wokół osobliwości – oznajmiła porucznik Milton.

– I wygląda na to, że obcy nie zwrócili na nas uwagi – dodał z nieskrywaną satysfakcją Eric Gower, oficer taktyczny „Lexingtona”.

– O, uwagę na pewno zwrócili – powiedział kapitan Bigelow. – Czuję, że nas obserwują. Są jak koty przy mysiej dziurze.

– Jest monitor – powiedziała Taggart. – Odległość osiemset. Zbliżamy się z prędkością pięciu metrów na sekundę.

– Idzie jak z płotka. Nie spieprzmy tego – stwierdził Bigelow.

„Lexington” i jego eskorta powoli pokonały odległość dziewięciu jednostek astronomicznych od pierwszej do czwartej planety, poświęcając na to minimum energii. Przyspieszyły o pięć tysięcy g tylko przez sto sekund, przelatując obok Gwiazdy Kapteyna, by uzyskać nieco darmowej prędkości i zamaskować ruch przy użyciu słonecznego promieniowania oraz pola magnetycznego. Przez resztę drogi dryfowali bez przyspieszenia, po czym wpadli w pole grawitacyjne Trymheimu i decelerowali znów z pięcioma tysiącami g.

Cała droga zajęła im niemal trzy dni, ale dzięki temu byli mniej widoczni, niż gdyby lecieli z ciągłym przyspieszeniem.

Mimo to kapitan miał rację. Obcy musieli ich widzieć, musieli ich przez cały czas obserwować. Ale dopóki oni nie wykonywali groźnych ruchów, istoty z Rozety zajmowały się jedynie swoimi enigmatycznymi czynnościami i konstrukcjami z płynnego światła. Co ludzie musieli zrobić, aby sprowokować reakcję?

Po chwili „Lexington” spoczął na orbicie obok „Himmelschlossu”. Kilkaset metrów dalej to samo zrobił transportowiec marines „Marne”. Na pokładzie było tysiąc dwustu marines, którzy mieli odegrać tu ważną rolę...

...jeśli przepuszczą ich Obcy z Rozety.

– Jest pan gotów, admirale?

Głos należał do fuzji AI medycznych – połączenia AI „Ameryki” z Andre, potężniejszą sztuczną inteligencją „Andreasa Vesaliusa”.

– Tak – odparł Gray. Przygotował się... nie wiedział na co. Ale wolał się przygotować. – Zaczynaj.

Leżał na plecach w łóżku szpitalnym. W oczy świeciły mu lampy, częściowo zasłaniane przez głowy ludzkich lekarzy, pielęgniarek i techników oraz humanoidalnych robotów. Wokół piszczały i warczały różne maszyny. Maski na twarzy Graya podawały tlen i śmierdziała plastikiem.

Wewnętrzny widok po zamknięciu oczu dawał mu więcej informacji. W oknie wyświetlanym przez implant mózgowy Gray widział przejrzystą graficzną reprezentację własnego ciała z białymi kośćmi, czerwonymi mięśniami, różowymi organami wewnętrznymi oraz zielonymi centrami infekcji bakteryjnej, z którą walczył. Setki miliardów nanobotów medycznych krążyły teraz po jego ciele. Na początku wstrzyknięto ich mu jedynie kilkadziesiąt tysięcy, gdy przybył na orbitę Księżyca, ale pobierały pierwiastki – węgiel, wodór, tlen, azot, żelazo, fosfor, a nawet glin i krzem – z pożywienia w jego żołądku i jelitach. Stosował się do specjalnej diety, która dostarczała odpowiednie surowce nanitom.

Robotów wciąż było mniej niż bakterii ogólnie, ale mniej więcej tyle, co osobników jednego organizmu: Paramycoplasma subtilis. Prowadzone przez medyczne AI, nanoboty śledziły obce bakterie, szukały ich kryjówek i monitorowały aktywność. Paramykoplazmidy, jak się okazało, lubiły osłonki mielinowe

wokół włókien nerwowych. Prześlizgując się między komórkami ścian żył i tętnic Graya, formowały cienkie tafle w różnych otworach jego ciała, ale zwłaszcza wokół jego głównych pni nerwowych, w mózgu i wokół niego, wokół serca i splotu słonecznego.

Oprócz tych, które schroniły się w układzie nerwowym, wiele obcych bakterii poruszało się też po układzie krwionośnym, jelitach i wszędzie indziej. Armia nanobotów również rozproszyła się po organizmie Graya.

– Przeprogramowanie maszyn zajmie chwilę – powiedział ludzki technik.

– Jasne. – Gray nie tylko się denerwował, ale był już przerażony. Urodzony i wychowany jako prym, nigdy nie czuł się komfortowo z nanomedycyną... Choć kiedy jego żona zachorowała, nie powstrzymało go to przed przemyceniem jej przez granicę USNA, żeby uzyskać dostęp do zaawansowanej terapii.

Terapia okazała się nie być optymalna. Wylew i zabieg nanochirurgiczny potrzebny, by ocalić jej życie, zmieniły jej uczucia do niego i sprawiły, że go porzuciła.

Ludzkie ciało, a zwłaszcza ludzki układ nerwowy, było niebywale złożone. Delikatnie rzecz ujmując. Współczesna technologia potrafiła łączyć się z nim przez implanty mózgowe, leczyć choroby, a nawet starość z pomocą robotów mniejszych niż czerwone krwinki, dawać elektroniczny dostęp do sumy ludzkiej wiedzy... to wszystko w zasadzie robiło z ludzi nadludzi. Ale mimo to nadal nie w pełni rozumiano ludzki organizm, a skutki tego rodzaju technologicznych zmian – fizyczne, emocjonalne, intelektualne – nie zawsze można było przewidzieć.

Całe życie Graya o tym świadczyło.

Jego strach wzmagало to, że ludzcy lekarze ostrzegali, iż skutki terapii nie są pewne. To, że masy obcych organizmów zostały tak splecione z mózgiem i sercem Graya, oznaczało, że jeśli stanie się coś nieoczekiwanego, jego układ nerwowy może

doznać nieodwracalnych uszkodzeń.

Albo Gray może umrzeć.

– Jesteśmy z panem, admirale – odezwał się nowy głos. – Patrzymy panu przez elektroniczne ramię, można powiedzieć.

– Kto... – Po chwili rozpoznał głos. – Pan prezydent?

Gray zdawał sobie sprawę z dwuipółsekundowego opóźnienia w komunikacji między Ziemią a Księżycem.

– To ja. Powiedzieli nam o pańskim stanie. Jak się pan czuje?

– Nie najgorzej. – Była to prawda, przynajmniej fizycznie. Nanity, które mu wstrzyknięto, leczyły objawy, dzięki czemu czuł się relatywnie nieźle. Lekko bolała go tylko głowa, a skok ciśnienia krwi udało się zatrzymać. Został jedynie ogólny ból stawów i mięśni, a także poczucie odrętwienia, dezorientacji – które też nie były tak silne jak wcześniej.

– Widziałem raport Hoffmana – powiedział Koenig. – Wygląda na to, że nawiązał pan kontakt z kolejnym obcym gatunkiem. Z inteligentnym śluzem bakteryjnym.

– Właśnie ten splendor uwielbiam w tej robocie – odparł Gray. – I to, że poznaje się ciekawe, egzotyczne osoby.

Koenig zaśmiał się w jego myślach.

– Lekarze mówią, że powinni szybko się pozbyć tego cholerstwa. Niech się pan trzyma i wie, że trzymamy za pana kciuki.

– Dziękuję, panie prezydencie. Zaraz, jacy „my”?

– Mój sztab, oczywiście. Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Choć, co ciekawe, najbardziej pańska sytuacja zainteresowała Konstantina.

– Ja też jestem na tym kanale, admirale – dodał kolejny głos.

– Twoje... hmm... dzieci były bardzo pomocne, Konstantin.

– Jeśli przez „dzieci” rozumie pan okrojone klony mojego oprogramowania, które przewiózł pan do Chmury N'gai, cieszę się. Zdążyłem już reintegrować dane i obserwacje, które przywiózł pan ze sobą. Fascynujące!

– Jak się rozmawia ze zbiorowiskiem inteligentnych bakterii?

– Wszystko zależy od światopoglądu superorganizmu, tego,

jak postrzega swoje otoczenie, jak przetwarza dane i jak wchodzi z nimi w interakcje – odparł superkomputer.

– Nie wiem, czy chcę, aby był pan królikiem doświadczalnym, panie admirale. Niemal kazałem odwołać pański rozkaz – dodał Koenig.

– Dziękuję, że pan tego nie zrobił. To ważne.

Początkowo medyczna AI powiedziała mu, że podejmie próbę wyleczenia jednego z zarażonych członków załogi „Ameryki”. Starszy bosman Drummond zgłosił się na ochotnika. Był w stanie cięższym niż Gray. Miał silne zawroty głowy, odrętwienie oraz bóle wskazujące na problemy z układem nerwowym. Ale Gray wydał rozkaz, aby to on był pierwszy.

Częściowo dlatego, że czuł się winny, że jego seks z Harriet McKennon zainicjował to wszystko. Wiedział niby, że nie tylko od tego się zaczęło, ale poczucie winy nie zniknęło jedynie dlatego, że było nieracjonalne. Poza tym na nim spoczywała odpowiedzialność za stan załogi. A jako że Gray żywił przekonanie, iż dobry dowódca dzieli wszystko z podwładnymi, łącznie z zagrożeniami – a nawet szczególnie z nimi – zgłosił się sam. Bosman Drummond miał być kolejnym pacjentem.

Oczywiście jeśli Gray przeżyje.

– Rozpoczęliśmy kompilowanie programu, admirale – powiedziała AI. – Nanobotom w pańskim organizmie przesłano rozkaz eliminacji intruza.

– Czy coś poczuję?

– To mało prawdopodobne, admirale – odparła w jego myślach AI.

– Chce pan obserwować procedurę? – spytał jeden z ludzkich lekarzy.

– Co? – Nie wiedział, że jest taka możliwość. – Jasne, pokażcie.

Animowaną grafikę przedstawiającą ciało Graya zastąpiło ogromne powiększenie obrazu przesyłanego z jego wnętrza. Przez łuskowaty tunel przepychały się okrągłe kształty, jego czerwone krwinki.

I... tak! Małe kulki obcych mikroorganizmów lśniły przed nim jak

kropelki srebra wśród rwących prądów osocza. Widział trzy z nich, pływające w złocistym płynie.

Bakterie, czerwone krwinki i nanoboty rejestrujące obraz niemal nie poruszały się względem siebie, ale otaczające je ściany naczyń krwionośnych były raz rozmyte, raz zatrzymywały się i znów rozmywały. Grayowi zajęło chwilę skojarzenie, że widzi własny puls.

– To obraz w czasie rzeczywistym? Nie generowany komputerowo? – spytał.

– Kolor jest nałożony przez komputer – odparła medyczna AI.

– W tej skali fale widzialnego światła są zbyt długie, by mogły być widoczne ludzkim okiem. Ale poza tym obraz jest prawdziwy, oczywiście na tyle, na ile ludzie definiują ten termin.

Na scenę wkroczył nowy nanobot medyczny. Wyglądał jak płaska, biała kapsułka, zasilana silnikiem molekularnym. Wyprzedził robota nagrywającego obraz i ruszył w stronę pojedynczego paramykooplazmidu. Jego krawędzie otworzyły się niczym kwiat. Nie można było oglądać tej sceny, nie przypisując emocji działaniom zarówno robotów, jak i bakterii. Kulka wydawała się świadomie uciekać przed kapsułką, która bezlitośnie ją ścigała, aż w końcu przycisnęła do muru przy jednej z czerwonych krwinek. Kwiat zamknął się, pochłaniając bakterię.

– Czy bakterie są... świadome tego, co się dzieje?

– Oczywiście, że nie – odparła AI. – Poszczególne bakterie reagują na związki chemiczne w ich otoczeniu, ale nie czują. Ani nie myślą.

– Ale doktor Hoffman mówił, że są inteligentne...

Gray wciąż nie był pewien, czy w to wierzyć.

– Należy pamiętać, że ich rzekoma inteligencja to emergentny fenomen, wynikający z międzykomórkowej komunikacji między setkami milionów bakterii. Pojedynczy mikroorganizm nie jest bardziej świadomy całej masy bakteryjnej niż pańska pojedyncza komórka jest świadoma pana. Zaś cała masa

bakteryjna nie jest bardziej świadoma tego, co dzieje się z pojedynczą komórką, niż pan jest świadom tego, jak białe krwinki zwalczają zarazki. Po prostu zbyt wielka różnica skali.

– A to obraz z innego nanobota rejestrującego – powiedziała AI. Obraz rozmył się i zmienił, pokazując nowy, obcy krajobraz poza naczyniem krwionośnym. Tu, pośród grupy przezroczystych komórek, kilkadziesiąt bakterii połączyło się ze sobą długimi włóknami śluzu, tworząc lśniąca, przejrzystą ścianę zawieszoną w płynie tkankowym. Uwięziły jedną z nanokapsulek, otaczając ją jak sieć rybę.

Mikroskopijny robot bezskutecznie próbował się wyrwać.

Znów trudno było nie przypisywać świadomości i sprytu mikrokom, które wyglądały, jakby aktywnie walczyły z nanitowym atakiem. Sam Gray współczuł nanobotowi, chociaż wiedział, że to tylko miniaturowa maszyna. Po chwili jednak pojawiły się kolejne kapsułki, być może wezwane przez uwięzioną, i zaczęły w zawrotnym tempie pożerać kulki.

– One fizycznie zjadają bakterie! – powiedział Gray, zaskoczony. Spodziewał się czegoś bardziej zaawansowanego technicznie. Może miniaturowych laserów albo chemikaliów...

– Podobnie jak pańskie białe krwinki pochłaniają zarazki czy ciała obce – odparła AI. – To proces zwany fagocytozą. Nanoboty konsumują tyle paramyokoplazmidów, ile to możliwe, po czym skierują się przez pański krwioobieg albo do nerek, albo do okrężnicy w celu ich eliminacji.

– I je... wydalę? Dlaczego?

– Uznano, że najlepiej właśnie w ten sposób pozbyć się martwych mikrokom, zamiast ryzykować wstrząs toksyczny, który mogłoby spowodować zniszczenie ich w pańskim organizmie.

– Doceniam to.

Na przesyłanym z jego wnętrza obrazie było coraz więcej nanobotów i coraz mniej bakterii.

Gray miał poczucie, że obserwuje brutalną bitwę kosmiczną wśród dziwnych, pozaziemskich krajobrazów. Musiał wciąż

przypominać sobie, że widzi coś, co dzieje się w krainie oddzielonej od znanej rzeczywistości skalą wewnątrz jego własnego ciała.

Próbował wyobrazić sobie skalę tej bitwy, w której udział brały setki miliardów bakterii i nanobotów, zwartych w niekończącej się walce.

Nie był jednak w stanie.

Widok znów się zmienił. Kamera dryfowała ponad rozległą, zaokrągloną powierzchnią, pokrytą niebieskimi łuskami. Dostrzegał zapewne komórki – lekko przezroczyste, z ciemnymi jądrami komórkowymi wewnątrz – ale były tu dużo bardziej zbite niż gdziekolwiek indziej. Wokół widział też inne, luźniej połączone komórki oraz naczynia włosowate, wbijające się w masy komórek niczym korzenie drzewa. Przez ściany naczyń Gray mógł zobaczyć spłaszczone dyski czerwonych krwinek pulsujące przez korytarze.

Przebywało tu również dużo więcej kulistych *Paramecium* *subtilis*. Większość z nich zakopała się wśród gęsto zbitych komórek poniżej. Nanoboty krążyły ponad tą powierzchnią, nurkując pomiędzy łuski i chwytając mikroby.

Gray nie przeszedł szkolenia medycznego i miał tylko bardzo ogólne pojęcie o tym, co widzi. Program komputerowy wyświetlający scenę pokazywał jednak też tu i ówdzie identyfikatory, jak w filmie dokumentalnym. Niebieska warstwa zbitych komórek była osłonką mielinową nerwu, a wokół niej wiło się sporo naczyń krwionośnych.

Leciała tam cała flota miniaturowych maszyn.

Stop!?

Polecenie wydane zostało bez słów, bardziej jako uczucie niż konkretna koncepcja, ale znaczenie było jasne. W tym samym momencie wrócił ostry ból głowy.

– Uwaga! – krzyknął jeden z techników. – Skok ciśnienia krwi... sto osiemdziesiąt pięć na sto dwadzieścia. Puls sto czterdzieści...

Gray czuł w całym swoim ciele miażdżące, duszące ciśnienie.

Próbował coś powiedzieć, ale czuł się sparaliżowany. Wróciły też zawroty głowy. I, co najbardziej go przerażało, miał problemy z oddychaniem.

Był teraz świadom dwóch konwersacji... Jedną z nich prowadzili ludzie, posługując się mową, a drugą AI i ludzie za pomocą kanału elektronicznego. Wyraźnie usłyszał tylko wypowiedź jednego z ludzi.

– Mamy problem w rdzeniu przedłużonym.

W rdzeniu przedłużonym? To chyba część mózgu? – Gray nie był pewien.

– Ciśnienie sto trzydzieści na dziewięćdziesiąt osiem.

– Cholera, zaraz mu pęknie!

– Problemy z oddychaniem!

– Rytm zatokowy sto osiemdziesiąt... strasznie wali!

Tak, zdecydowanie to czuł. Jego całe ciało waliło w rytm serca. W jego masce była krew. W jego ustach też, zatykała mu nos...

Stop! Przestać!

Znów... wewnętrzny krzyk. Bardziej czyste emocje niż słowa. Masa bakteryjna. Gray dopiero teraz wpadł na to, że próbuje się komunikować. Ale czy była to prośba o łaskę – „przestań, zanim mnie zabijesz” – czy groźba – „przestań albo cię zabiję”?

Stracił obraz wewnętrznej bitwy. Widział teraz tylko wnętrze swoich powiek. Nie był w stanie otworzyć oczu, poruszyć jakimkolwiek mięśniem, nie był w stanie oddychać...

Próbował użyć kanału elektronicznego, by porozmawiać z lekarzami, ale nawet to go przerastało. Ogarnęła go całkowita inercja: samo myślenie stało się wyczerpujące.

Ból w głowie stawał się coraz gorszy. Miał problem z przypomnieniem sobie czegokolwiek.

Stop! Zabić! Czuć!

Znów ta cholerna niejednoznaczność. Czy superorganizm chciał, żeby Gray poczuł coś konkretnego? Czy może tylko mówił, że czuje, jak jest zabijany?

Próbując cokolwiek zrozumieć, Gray otworzył się na przekaz

od istoty, próbował odprężyć się mimo bólu, a nawet poprzez ból... przyjmując... otwierając... czując...

Jestem tu, admirale Gray – odezwał się głos w jego umyśle. Czy to była... AI medyczna „Ameryki”? Nie brzmiała tak samo. Dopiero po chwili Gray rozpoznał wewnętrzny głos Konstantina. Koenig mówił, że superkomputer jest obecny. Tak, pamiętał, że z nim przecież rozmawiał. Miał problemy z pamięcią, ale wciąż coś był w stanie sobie przypomnieć.

Czuł, że spada poprzez całkowitą ciemność. Po czym zaczął widzieć... gwiazdy? Tak, otaczały go ze wszystkich stron gwiazdy. Czuł, jak całe roje światów okrążają niezliczone słońca. Zamieszkane, tętniące życiem, inteligencją, Umysłem.

Czuł sploty komunikacji między światami... istoty rozumne o każdym wyobrażalnym kształcie i formie, zamieszkujące każdego rodzaju światy. Niezwykle bogata gama życia i umysłu, wypełniająca Galaktykę i rozciągająca się na zewnętrzną Pustkę.

Jak bakterie były świadome nieskończonej przestrzeni kosmicznej? Nie wiedział... Ale czuł, że widzi jakiś obraz pochodzący od bilionów mikroobów zamieszkujących miliardy żywicieli. Mikroby miały bezsłowny koncept określający je. Gray użył słowa Organizm.

Czuł też bezsłowne pytanie w scenie, której był świadkiem. Czym było pojedyncze życie – jego życie – w porównaniu z miliardami miliardów żywicieli rozsianych po Galaktyce, zamieszkanych przez Organizm?

Czy była to groźba? Deklaracja, że go nie potrzebują?

Dla Organizmu kosmos był nieskończoną serią... serią... najbliższe temu słowo znane Grayowi brzmiało „światów”. Każdy świat był żywicielem bilionów komórek, które łącznie stanowiły Organizm. Zaczął wyczuwać koszmarne dziwaczne karykatury obcych istot. Kilka rozpoznawał – Sjhluurr: ośmiometrowe ślimaki. Baondyeddi: płaskie, naleśnikowate istoty z setkami nóg i niebieskimi oczami na krawędziach. Agletsch: owalne, szesnastonogie stawonogi z czterema oczami

na dziwacznych szypułkach...

Były też inne, których Gray nie rozpoznawał. Nawet te, które potrafił nazwać, były tak zmienione, że niemal nie do poznania. Każda z istot wydawała się przezroczysta, ale wypełniona po brzegi czymś w rodzaju nici. Chwilę mu zajęło, zanim zrozumiał.

Układy nerwowe! Widział obce istoty za pośrednictwem trójwymiarowych map ich centralnych układów nerwowych. Sieci neuronów... a może ich obcych odpowiedników. U większości rozpoznawał główną masę mózgową. Niektóre miały po kilka mózgów lub sieci mózgowopodobnych węzłów albo ośrodki tkanki nerwowej rozłożone w całym ciele. Baondyeddi byli na przykład pełni nerwów wokół obwodów, za oczami i odnóżami, a dużo mniej mieli ich w środku. Pięć głównych węzłów na peryferiach istoty wydawało się być miejscem, gdzie zachodziły procesy myślowe.

W kilku przypadkach obcy w ogóle nie mieli centralnych mózgów. Zapewne myśleli całymi układami nerwowymi, niczym żywe, rozproszone sieci komputerowe. Sjhluurr byli właśnie takim gatunkiem: najwyraźniej całe ich ciało było jednocześnie mózgiem.

Każdy osobnik stanowił połączenie tego, jak małe istoty zamieszkujące w środku wyobrażały sobie zewnętrzny jego obraz oraz mapy jego centralnego układu nerwowego. Gray przypomniał sobie starą indyjską przypowieść o trzech ślepcach i słoniu. Organizm jednak zupełnie nieźle sobie radził ze składaniem tego w całościowy obraz.

Przypomniał sobie, jak Hoffman powiedział, że obce bakterie koncentrowały się przy jego nerwach, w osłonkach mielinowych. Ich komórki były tak gęsto upakowane, że relatywnie duże nanoboty medyczne miały problemy z poruszaniem się między nimi. Bakterie nie podejmowały prób ucieczki – jak by zresztą mogły? – ale niełatwo było je dorwać.

Miał problem z utrzymaniem przytomności.

– Cholera! Tracimy go...

Gray zapadł się w mrok.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

10 grudnia 2425

TC/USNA CVS „Lexington”

Orbita Trymheimu/DA1

Godzina 9.25 TFT

– Komandorze – powiedział powoli Bigelow, jakby starannie dobierał słowa – to misja całkowicie ochotnicza. Niektórzy powiedzieliby, że raczej dla sternika niż dla pierwszego oficera.

– Chcę się jej podjąć, kapitanie – odparła Laurie Taggart. – I na pewno nie pozwolę, żeby zrobił to ktoś za mnie.

Bigelow odchrząknął, po czym spojrzał na oficera marines stojącego obok niej.

– Pułkowniku? To pańska misja. Ma pan coś przeciwko, aby komandor Taggart dowodziła nią z ramienia Marynarki?

– Już pobrałem dane pani Taggart i je przejrzałem – odparł pułkownik Jamison. – Jest doświadczonym i zasłużonym oficerem. Jak najbardziej się nada.

Dwoje z nich było w biurze Bigelowa na pokładzie „Lexingtona”. Kapitan siedział przy biurku, a Taggart stała.

Pułkownik Joseph Jamison brał udział w spotkaniu wirtualnie. Jego obraz wyświetlany był na ich siatkówkach przez oprogramowanie, w którym odbywała się konferencja. Jamison był w swoim biurze na pokładzie transportowca marines „Marne”, dryfującego kilka kilometrów na bakburcie „Lexingtona”. Inni oficerowie również brali udział w spotkaniu, ale tylko jako głosy w głowach pozostałych ludzi i AI.

– Sir! – odezwał się jeden z nich. – Komandor Taggart ma zbyt wysoki stopień, by wykonać taką misję. Z całym szacunkiem, proszę, by pan to jeszcze raz rozważył.

– Dziękuję, poruczniku Morris. Pańskie obiekcje zanotowano.

– Sir...

– Poruczniku – powiedział Bigelow cierpliwie – czeka nas niełatwy manewr, gdy opuścimy studnię grawitacyjną DA1. Chcę, żeby przy sterze siedział wtedy mój najlepszy pilot.

– Ale...

– To rozkaz, synu.

– Usiądź, Ben – dodała Taggart z uśmiechem.

Do tej operacji zgłosiło się mnóstwo oficerów. Taggart pomyślała, że to coś, co powinien zrobić młodszy oficer. Ciężki lądowik „Lucas” był dowodzony przez Janice Zhou... ale porucznik Zhou była na liście chorych, których rozłożył jakiś rodzaj grypy. Taki, który nie reagował na leki ani nanity. Bigelow chciał mieć tam doświadczonego oficera, ale nie swojego najlepszego sternika.

Udało jej się przekonać Bigelowa, że jest do tego zadania najlepsza. W każdy razie samym pilotowaniem zająć się miała AI „Lucasa”. Po prostu potrzebny był też człowiek w fotelu, zgodnie z przepisami floty.

I raczej nie powinno im jej brakować na pokładzie „Lexingtona”. Pardoe mógł bez problemu wykonywać jej obowiązki podczas lotu na Ziemię. Operacja na Heimdallu nie powinna trwać dłużej niż parę tygodni.

A przynajmniej tak mówiła Bigelowowi... i sobie.

– Dobrze, Laurie – powiedział kapitan. – Skoro jesteś pewna.

– Jestem, sir. Tylko o nas tu nie zapomnijcie, co?

Bigelow uśmiechnął się, choć nadal się niepokoił.

– Proszę się nie martwić. Wrócimy... z połową floty, jeśli się uda. Po prostu proszę pilnować marines.

– Przepraszam, kapitanie – Jamison uniósł brew – od kiedy to Marynarka rządzi marines?

– Od kiedy marines potrzebują jej, żeby gdziekolwiek się

dostać.

Była to stara i zazwyczaj przyjazna kłótnia.

Zazwyczaj.

– Mamy bardzo niewielkie okno startu, komandorze – przypomniał Bigelow. – Jest pani gotowa?

– Tak, sir. Gdy tylko pułkownik Jamison zabierze swoich ludzi do lądownika.

– Jeszcze trzydzieści minut, kapitanie – powiedział Jamison.

– Lepiej proszę już tam iść, komandorze. I powodzenia!

– Dziękuję, kapitanie. Zobaczymy się po pana powrocie.

– Zdecydowanie.

Taggart wiedziała, że Bigelow nie chce odlatywać. Nie chciał nikogo tu zostawiać. Ale skoro już przyszło do podjęcia decyzji, Laurie Taggart stanowiła dość oczywisty wybór. Trzeba było przyznać, że lata spędzone na „Ameryce” w roli specjalisty od uzbrojenia mogły się bardzo przydać na „Lucasie”.

Ona sama też przecież chciała lecieć. Potrzebowała tego.

Myślała o tej potrzebie parę minut później, gdy przedostała się z głównego doku „Lexingtona” do „Marne” w jednym z promów lotniskowca. W końcu dane jej będzie zmierzyć się z Gwiezdnymi Bogami. A wtedy albo odzyska swoją dawną wiarę, albo straci ją na zawsze.

Chciała wierzyć... i w tej chęci znajdowała coraz więcej prawdy ukrytej wśród starożytnych tekstów religijnych, w ruinach, w nietypowych artefaktach, które łatwo było nazwać obcymi. Musiała jednak przyznać, że sporo tego, co głosił Kościół AOK, należało brać jedynie na wiarę. Gwiezdni Bogowie byli dobrzy, moralnie lepsi od ludzi. Stworzyli ludzkość setki tysięcy lat temu, grzebiąc w DNA przedstawicieli gatunku Homo erectus, by zmienić go w nowy, wyższy, bardziej obiecujący gatunek – Homo sapiens.

Gwiezdni Bogowie żyli wciąż w niebiosach i kiedyś mieli wrócić na Ziemię do swych wiernych dzieci. Wiedziała, że to wszystko jest mitem, historią podobną do podstaw wielu starszych, bardziej tradycyjnych religii, tyle że udającą

współczesną naukę. Trev – admirał Gray – sprawił, że zakwestionowała kilka z podstawowych założeń swojej wiary. Czy tajemnice takie jak Wielka Piramida lub początki rolnictwa i mutacje, które dały początek Homo sapiens, najlepiej i najprościej wyjaśniali właśnie kosmici? A może doktryna AOK była nadinterpretacją, myśleniem życzeniowym? Gray nauczył ją przede wszystkim być szczerą z samą sobą.

Przez większość czasu po prostu o tym nie myślała. Liturgia AOK wymagała niewielkich grup wiernych, a w cieniu Białej Konwencji trudno było ich znaleźć, zwłaszcza na pokładzie okrętu Marynarki. Nie była na spotkaniu od sześciu czy siedmiu miesięcy. Ostatnio na stacji SupraQuito, gdy przyleciała tam „Ameryka”. Ale nie brakowało jej tego. Nie jakoś bardzo.

Ostatnie spotkania z zaawansowanymi kosmitami obudziły w niej poczucie bojaźni i zadziwienia, potrzebę szukania prostych wyjaśnień. Przez jakiś czas myślała, że to Sh'daar mogą być kosmicznymi bogami, ale dowiedziawszy się, że ur-Sh'daar zniknęli, osiągnąwszy transcendencję, i zostawili tylko osieroconych Outsiderów, zwątpiła w to. Bogowie na pewno byliby bardziej łaskawi, bardziej opiekuńczy.

A wtedy pojawili się obcy, którzy wkroczyli do gromady Omega Centauri najwyraźniej za pomocą zakrzywiającej czasoprzestrzeń Rozety. Społeczność Sh'daar zdecydowanie się ich bała. Być może to byli prawdziwi Gwiazdni Bogowie.

Ale nie mogła tego wiedzieć, dopóki nie spotka Obcych z Rozety osobiście. Jeśli byli bogami, mogli porozumieć się z wiernymi.

Z wierzącymi.

Z nią.

Służyła na mostku „Ameryki”, gdy gwiazdny lotniskowiec poleciał zbadać Omega Centauri. Niewiele wtedy dało się zobaczyć – tajemnicze pola świetlne i wykraczające poza czas i przestrzeń kształty. Teraz jednak obcy otwarciem pokazali swoją potęgę.

A ona chciała ich spotkać.

Kontyngent marines i to, że potrzebowali nowego pilota, dało jej idealną szansę.

Połączone Sztaby na Ziemi chciały mieć posterunek obserwacyjny gdzieś w pobliżu. Tuż przy Obcych z Rozety.

Mimo tego, co stało się z ekspedycją paneuropejską, nie uważała wyprawy za misję samobójczą. Grupa bojowa „Lexingtona” miała w zanadrzu parę rzeczy, których brakowało Konfederacji. Wiedzieli więcej o Obcych z Rozety i być może o tym, jak ich omijać. Mieli też „Lucasa”, transportowiec szturmowy, który mógłby pomóc im przemknąć się niepostrzeżenie.

Zamierzali również skuteczniej użyć układu jako osłony. Obcy z Rozety wydawali się skupieni na konkretnym obszarze przestrzeni kilkaset kilometrów ponad dzienną stronę Bifrostu. Paneuropejskie myśliwce wleciały tam, gdy Heimdall pojawił się po dziennej stronie i zanurzył głęboko w światła i widmowe kształty. Tym razem ziemskie siły planowały wylądować na Heimdallu, gdy będzie po nocnej stronie Bifrostu. Wtedy między okrętem marines a strukturami obcych znajdzie się gazowy olbrzym i jego promieniowanie. Plan nie był idealny. Wyglądało na to, że wokół Heimdalla również zawisły świetlne struktury. Ale każda drobnostka mogła im pomóc.

Przed sobą widziała transportowiec „Marne”, dryfujący na krawędzi dysku akrecyjnego. Podobnie jak „Lexington”, również ten okręt był podłużny, zakończony osłoną wodną. Kopuła ochronna miała jednak kształt pocisku, a nie kapelusza, a moduły mieszkalne, których było kilkadziesiąt, obracały się wokół osi okrętu w jej cieniu.

Dalej znajdował się „Lucas”, czarny transportowiec szturmowy w kształcie skrzydła, o zakrzywionych płatach nośnych. Przewoził Trzeci Batalion Czwartego Pułku Marines. Łącznie dziewięciuset sześćdziesięciu marines wyspecjalizowanych w desantach planetarnych.

Taggart pobrała wszystkie dostępne dane o „Lucasie”. Nazwa pochodziła od marine o nazwisku Jacklyn Lucas, który

nielegalnie zaciągnął się do Korpusu w wieku czternastu lat. Trzy lata później, biorąc udział w desancie na Iwo Jimę, rzucił się na dwa granaty, żeby ochronić swoich towarzyszy broni, i w jakiś sposób przeżył. Był najmłodszym w dziejach człowiekiem odznaczonym Medalem Honoru. Taggart pomyślała, że jeśli okręt nazwany jego nazwiskiem miał w sobie trochę z jego ducha, to uda im się przeżyć wszystko, co rzucą na nich obcy.

W „Marne” mógł się zmieścić pełen batalion marines w spartańskich, ale mimo wszystko znośnych warunkach, ale w „Lucasie” niestety musieli być stłoczeni jak sardynki, siedząc w kapsułach desantowych, ubrani w pancerze. Gdy marines zabezpieczą teren, „Lucas” wyląduje i zmieni się w posterunek, który zapewni im wsparcie i będzie mieć na oku obcych do czasu, aż wróci grupa „Lexingtona”. Taggart czekała długa misja. Miała zostać w bazie z małym zespołem Marynarki, obsługującym sprzęt.

Tymczasem „Marne” miał pozostać pusty, aż uda się na „Himmelschlossa” i podejmie załogę. Znow – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Pod kontrolą AI jej prom hamował ostro, zbliżając się do „Lucasa”, połączonego z osią „Marne” niczym złośliwy czarny nowotwór. Jego kadłub był pokryty nanopowłoką, podobnie jak w przypadku nowoczesnych myśliwców. Potrafił zmieniać kształt w zależności od potrzeb. Właśnie dokonywał przemiany, otwierając się tak, by przyjąć nadlatującą jednostkę. Na pokładzie panowały hałas i tłok. Setki marines wciąż przemieszczały się tu z „Marne”, popędzane w nieważkości przez krzyczących podoficerów. Taggart wyleciała z promu, chwyciła się stalowej liny i zamarła. Którędy?

Niemal zderzyła się z marine unoszącym się z dużą prędkością wraz z całym oddziałem.

– Komandor Taggart – odezwał się głos w jej głowie, niezwykle spokojny wśród tego całego zamieszania. – Proszę przemieścić się na prawo, w stronę wjazdu oznaczonego OA-4. Widzi go pani?

– Tak. Konstantin?

– Klon Konstantina, pani komandor – odparł głos. – Awatar Konstantina na waszej misji.

– Dobrze cię słyszeć. Dzięki za pomoc.

– Nie ma za co. „Lucas” nie jest zbyt dużą jednostką i przemieszczanie się po nim wraz z dziewięcioma setkami marines może stanowić pewne wyzwanie.

Musiała przepuścić kilka kolejnych kolumn pędzących marines, ale w końcu trafiła na mały mostek „Lucasa”. Było tam już dwoje innych oficerów Marynarki: porucznik Kathy Peters, nawigator i pilot, oraz porucznik Ross Hagelund, inżynier i specjalista od nanotechnologii.

– Kapitan na mostku! – krzyknęła Peters.

– Spocząć. Jak idzie?

– Nieco się spóźniamy, kapitanie – odparł Hagelund.

Laurie mrugnęła, nieprzyzwyczajona do tytułowania jej kapitanem. Lecz przecież zawsze mówiono tak na dowódcę okrętu, niezależnie od rzeczywistego stopnia.

– Czy jesteśmy gotowi do odlotu?

– Jak najbardziej. Czekamy na pani rozkaz.

Taggart zasiadła w fotelu, którego pasy zapięły się, a oparcia wyświetliły interfejs użytkownika. Górna część mostka już pokazywała otaczającą ich przestrzeń – spód kopuły ochronnej „Marne” kilkaset metrów dalej, za obracającymi się modułami mieszkalnymi. Taggart połączyła się z kanałami mostka i do jej implantu zaczęły spływać informacje o układach okrętu, dane nawigacyjne, wieści o statusie marines. Wciąż mieli sześć godzin do końca okna startowego. Żadnych problemów.

Ale nie miało to potrwać długo.

Niedługo porozmawiam z bogami.

Centrum Medyczne Bethesda
Bethesda, Maryland
Godzina 14.10 TFT

Wojskowy kompleks szpitalny leżał dwanaście kilometrów na północny zachód od Waszyngtonu od niemal pięciuset lat. Leczone tu kongresmenów i prezydentów, a z Białym Domem i Kapitołem łączyła go szybka podziemna kolej magnetyczna. Gdy Waszyngton został zalany przez rosnący poziom mórz pod koniec dwudziestego pierwszego wieku, Bethesda pozostała enklawą cywilizacji i badań medycznych. Narodowy Instytut Zdrowia mieścił się nieco na zachód stąd. Był to ośrodek badawczy zbyt cenny, by go porzucić tylko dlatego, że Dystrykt Columbia podzielił los Atlantydy. Stoczono tu znaczną część walki z krwawą śmiercią.

Potem jednak ośrodek ten nieco podupadł. Przez jakiś czas był własnością prywatną i niemal go porzucono. Po powrocie Waszyngtonu do USNA i rozpoczęciu odbudowy miasta znów stał się jednak ważnym instytutem prowadzącym badania nad nanomedycyną i współczesną epidemiologią. Stacje kolei magnetycznej nie zostały jeszcze otwarte, ale Bethesda ponownie była oficjalnym centrum medycznym rządu.

– Co ja tu robię? – spytał Gray. Był zamknięty w zaawansowanym technicznie łóżku z żywego plastiku, które go karmiło, czyściło, zapewniało ćwiczenia fizyczne jego mięśniom, regularne dawki nanobotów i odprowadzało odchody. Cokolwiek robiło teraz to urządzenie, wydawało się działać. Ból głowy i stawów oraz zawroty głowy zniknęły. Wciąż czuł się nieco osłabiony, ale można było się tego spodziewać.

Lekarze mówili, że obce bakterie są pod kontrolą. Gray nie był pewien, co to oznacza. W każdym razie chciał się ich

zupełnie pozbyć.

Obudził się kilka godzin wcześniej i stwierdził, że znalazł się w dziwnym łóżku, w ciężeniu jeden g, ważąc dwa razy więcej niż w ambulatorium „Ameryki”. Pomieszczenie było spore, a jedna ze ścian przezroczysta. Lekarze i technicy medyczni przychodzili i odchodzili w szczelnych skafandrach. Najwyraźniej wciąż pozostawał w kwarantannie.

– Sprowadziliśmy tu pana jak najszybciej promem – powiedział prezydent Koenig. – Nie traciliśmy nawet czasu na windy kosmiczne. Zawieziono pana do Andrews, a następnie tutaj, w szczelnym zamknięciu.

– Czy to nie jest cholernie wielkie ryzyko? Chyba chodziło o to, żebym nie zaraził całej planety.

– Jest pan tak samo odizolowany jak na „Ameryce” – odparł Koenig. Prezydent stał za przezroczystą ścianą razem z kilkunastoma asystentami, wysoko postawionymi wojskowymi i innymi. Gray czuł, że mu się schlebia. Zdumiało go, że prezydent USNA opuścił biuro w Nowym Białym Domu i przybył tutaj tylko ze względu na niego.

Nie lubił jednak być w centrum uwagi, a szczególnie stanowić potencjalnego ryzyka dla ludzkości.

– Jak się okazuje, nie było wielkiego zagrożenia – powiedział mu lekarz stojący obok prezydenta. – Spotkał pan gatunek zwany Agletsch?

– A pan to...?

– Tak, przepraszam. Doktor Jamil Gorham.

– Dobrze.

– Jak pytałem, spotkał pan Agletsch?

– Oczywiście. Wielokrotnie.

– No cóż, większość z nich ma w sobie ten paramykoplazmid... a przynajmniej jakąś jego wersję. Każdy zakażony gatunek nosi w sobie inny, sztuczny gatunek bakterii. Nie zanotowano przypadków naturalnego zarażenia międzygatunkowego.

– Spotkałem ich wiele razy – przyznał Koenig. – Twarzą w...

szypułki. Gdyby Sh'daar chcieli skorzystać z broni biologicznej, zrobiliby to dawno temu.

– BTB – dodał lekarz. – Bariera transbiosferyczna.

– To co się ze mną stało? – spytał Gray. – Dlaczego ja... my to złapaliśmy? I co z innymi chorymi?

– Są poddawani leczeniu i czują się lepiej, admirale – odparł Koenig.

– Uważamy – powiedział doktor Gorham – że mikroorganizm musi być specjalnie zaprojektowany dla każdego gatunku. Na tyle, że to właściwie zupełnie inny organizm. Nie tylko nowy gatunek, ale i rodzaj. Na razie ksenobiologowie trzymają się pierwotnej klasyfikacji. Nazwaliśmy wersję Agletsch Paramycoplasma agletschii. Nie ma szans, żeby zaraziła człowieka.

– Co znaczy...?

– Że organizm stworzono konkretnie po to, by zakazić nas – odparł Koenig.

– Wojna bakteriologiczna – stwierdził Gray. – Celowy atak.

– Właściwie – odezwał się w jego głowie głos Konstantina – uważamy, że to próba komunikacji, nie atak.

– Właśnie – dodał Koenig. – Nie atakowali nas. Chcieli porozmawiać. Być może to najłatwiejszy sposób na komunikację międzygatunkową.

– Nie rozumiem...

Wyjaśnili mu wszystko, a przynajmniej próbowali. Gray nie był ekspertem od ksenobiologii ani inżynierii genetycznej. Mimo wszystko mniej więcej zrozumiał, o co chodzi. Sztuczka polegała na stworzeniu organizmu zachowującego tożsamość biologiczną i funkcjonującego jako superorganizm składający się z milionów komórek, ale który potrafiłby też wytworzyć strategie metaboliczne i reprodukcyjne, pozwalające mu przetrwać w znacznie różniących się od siebie żywicielach.

Agletsch byli węglową formą życia, nieróżniącą się bardzo od ziemskich organizmów, a przynajmniej na tyle podobną, że potrafili posilać się większością ludzkich pokarmów. W ich

metabolizmie uczestniczyły jednak potas i fosfor w stopniu nieznanym na Ziemi. Potrzebowali też cyjanku potasu, acetonitrylu i cyjanowodoru.

Innymi słowy, typowe jedzenie Agletsch okazało się trujące dla ludzi.

Byli też Turuschowie, inny kosmiczny gatunek podlegający Społeczności Sh'daar. Najwyraźniej pochodzili z planety gorętszej od Ziemi. Ich metabolizm był oparty na węglu, ale częściowo składali się też ze związków krzemu. Używali siarki i jej związków w stopniu nieznanym ziemskiemu życiu oraz żywili się światłem słonecznym za pomocą złożonego odpowiednika chlorofilu.

Zgodnie z każdą rozsądną teorią ksenobiologiczną mikroorganizmy w ciałach Agletsch i Turuschów nie powinny mieć żadnego wpływu na ludzi ani poszczególne gatunki nie powinny być w stanie zarażać się nawzajem.

Próbki bakterii pobrane zarówno od Agletsch, jak i od kolonii wziętych do niewoli Turuschów z bazy Crisium wykazały jednak, że oba gatunki miały w sobie bakterie z rodzaju Paramycoplasma. Dostosowały one tylko swoje białka powierzchniowe w niezwykłym stopniu, dzięki czemu P. agletschii radziły sobie z cyjankiem u Agletsch, a P. turuschii z siarką u Turuschów.

Szczegółowe analizy DNA dowiodły, że oba te gatunki były spokrewnione z Paramycoplasma subtilis, gatunkiem, który zaatakował Graya i innych członków ekspedycji.

– W zasadzie – powiedział Gorham – rozważamy przemianowanie mikroba na Paramycoplasma homosapiensi. Żeby wszystko do siebie pasowało.

– Dziękuję za lekcję biologii, ale nie to mnie teraz martwi. Co pan ma na myśli, mówiąc, że Sh'daar próbowali z nami rozmawiać?

– Taka była moja obserwacja, admirale – powiedział głos Konstantina. – To wciąż tylko robocza hipoteza. Ale odkąd pierwszy raz napotkaliśmy różne gatunki Sh'daar, były one dla

nas tajemnicą. Jak udaje im się współdziałać przy setkach, może i tysiącach obcych sobie gatunków składających się na Społeczność? Jaka wspólna motywacja może je jednoczyć?

To rzeczywiście była jedna z największych tajemnic związanych z kosmitami już od początku wojny. Ludzie napotkali wiele różnych ras – Turuschów, H’rulka, Slanów, Nungiirtoków i innych – i w każdym przypadku obcy ich zaatakowali. Ludzcy stratedzy stwierdzili, że gdyby wszystkie gatunki Sh’daarów przeprowadziły skoordynowaną ofensywę, Ziemia zostałaby zniszczona albo zmuszona do natychmiastowej kapitulacji. Zamiast tego napaści były wyrwykowe, bez żadnej spójnej strategii.

Zupełnie jakby nie mieli serca do przeprowadzenia większej operacji... oczywiście ci z nich, którzy rzeczywiście mieli serca.

A to były tylko cywilizacje napotkane w epoce ludzkości – astronomiczni sąsiedzi. Dziesiątki kolejnych gatunków wyewoluowały wśród gwiazd Chmury N’gai niemal miliard lat wcześniej, przeniosły się w daleką dla nich przyszłość i stworzyły przyczółek imperium.

Dlaczego? Jakie były ich motywy? Co stało za żądaniami, by ludzie porzucili kluczowe aspekty swojej technologii?

Nic z tego nie miało sensu i nie wystarczyło po prostu wrzucić ramionami i uznać, że nie musiało mieć sensu, bo obcy są inni.

– Proszę rozważyć – kontynuował Konstantin – zaprzestania rozwoju których technologii żądali Sh’daar?

– Technologii GRIN – odparł Gray.

– A jakiego rodzaju technologie mogłyby najbardziej zmartwić emergentną inteligencję bakteryjną?

– Nie wiem, zapewne różnego rodzaju technologia medyczna...

– A w szczególności nanotechnologia medyczna – powiedział Konstantin. – Genetyka, wzmacniająca ludzki układ odpornościowy i atakująca szkodliwe bakterie. Robotyka, będąca kluczem do nanotechnologii medycznej. Informatyka –

systemy komputerowe, które są kluczowe dla zaprogramowania nanotechnologii tak, by potrafiła znaleźć i zniszczyć bakterie, albo dla inżynierii genetycznej na większą skalę.

– Mój Boże...

– Jeszcze coś. Co się stanie, gdy cywilizacja osiągnie transcendencję, gdy wkroczy w epokę osobliwości technologicznej?

– No cóż... Chyba nikt tego nie wie? Słyszałem o różnych możliwościach.

– Owszem. Dwie z nich to przeniesienie organicznych umysłów do robotycznych ciał, co uczyniłoby je w zasadzie nieśmiertelnymi, albo przesłanie ich w formie czystych danych do zaawansowanych, hiperinteligentnych komputerów.

– Klify na Heimdallu...

– Owszem. Organiczne istoty, które porzuciły niebezpieczeństwa, troski i niedogodności związane z dotychczasowym istnieniem, stając się elektronicznymi formami życia. Ale były też inne możliwości. Zmiany genetyczne ulepszające gatunek, tworzące w zasadzie coś nowego. Albo symbioza między obcymi sobie formami życia. Na przykład emergentna inteligencja bakteryjna...

– Zaraz! Twierdzisz, że za wielkim planem Sh'daar stoją pieprzone bakterie? – Gray pokręcił głową. – Nie wierzę w to. To brzmi zbyt absurdalnie.

– Nie mamy jeszcze dowodów – przyznał Konstantin. – Ale dzięki temu, że połączyłem się z pańskim implantem, podczas gdy walczył pan z paramykokoplazmidem, udało mi się uzyskać dostęp do znacznej ilości danych przechowywanych w bakteryjnym substracie, to znaczy grupowym umyśle bakterii. Uważamy, że rodzaj ten jest zarówno wysoce inteligentny, jak i zmotywowany. Że paramykokoplazmidy obawiają się osobliwości technologicznej i za wszelką cenę chcą powstrzymać organiczne formy życia przed obraniem tej ścieżki.

– Zaraz, zaraz – powiedział Gray z niedowierzaniem. – Naprawdę mówisz, że bakterie za tym stoją? Że chcą się komunikować? Sterują Społecznością Sh'daar?

– Dokładniej to steruje wszystkim symbioza. Połączenie bakteryjnego superorganizmu z każdym z inteligentnych gatunków.

– Ale co to ma, do cholery, wspólnego z tym, że niby z nami rozmawiają?

– Od wieków wiemy, że bakterie potrafią wpływać na ludzkich żywicieli – wyjaśnił Konstantin. – Gdy mikroby potrzebują jakiegoś pierwiastka, by się rozmnażać, używają sygnałów chemicznych, by wytworzyć chęć na jedzenie zawierające go. Na przykład na czekoladę. Albo cukier.

– To nie jest komunikacja.

– Muszę się z panem nie zgodzić, admirale. Organizm, który nazwaliśmy *Paramycoplasma subtilis*, jest tylko nieco bardziej wyrafinowany, jeśli chodzi o swoje sygnały chemiczne, niż mikroby, z którymi pan dorastał...

Przestać. Zabić.

Gray prawie zapomniał o poleceniach, które wyczuwał podczas oglądania mikroskopijnej bitwy. Stanowiło to dla niego przeżycie na granicy snu. Ale to zdecydowanie była komunikacja.

Inteligentne mikroby – pomyślał. Nie, gorzej. Inteligentne mikroby kierujące przeznaczeniem Galaktyki.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

12 grudnia 2425

Lądownik USMA „Lucas”

Kurs na Heimdalla

Godzina 12.10 TFT

– Pół godziny do atmosfery, kapitanie – oznajmiła porucznik Peters.

– Jakaś reakcja ze strony Wielkiego Brata?

– Nic – odparł Hagelund. – Na razie.

Na razie...

Pokonali odległość między Trymheimem a Bifrostem w ślimaczym tempie, dryfując z prędkością mniej niż trzech tysięcy kilometrów na sekundę, co wynosiło jeden procent prędkości światła. Jak na podróże międzyplanetarne, było to wolne tempo. Podróż zajęła im prawie trzy dni. Blisko tysiąc marines tłoczyło się w kapsułach desantowych. Ich biologicznymi potrzebami zajmowały się pancerze. Taggart mogła sobie tylko wyobrażać dyskomfort, jaki musieli odczuwać.

Ale ostrożność wydawała się popłacać. Ograniczając prędkość do kilku tysięcy kilometrów na sekundę, bez problemu przebrnęli przez dziwaczne struktury świetlne otaczające Bifrost i Heimdalla. Nie przyciągali też uwagi obcych.

Wciąż nie było pewne, co sprawiło, że obcy zaatakowali grupę bojową „Himmelschlossu” i zniszczyli eskadrę myśliwców. Oni również lecieli powoli. Być może kosmitów

zaniepokoila ich liczba albo to, że Heimdall był tak blisko centrum ich aktywności. A może jeszcze coś innego.

Liczy się tylko to, że teraz nie próbują zniszczyć nas.

Przez ostatnie kilka godzin AI kontrolująca lot „Lucasa” zwolniła jeszcze bardziej, dryfując w stronę otoczonego pierścieniami olbrzymia gazowego, który widoczny był przed nimi jako wielki czarny dysk na tle blasku gwiazd i dziwacznych świetlnych konstrukcji, przecięty jasnymi częściami swoich pierścieni. Heimdall był większym ciemnym dyskiem na tle jeszcze większego. Taggart widziała upiorny niebiesko-zielony blask zórz polarnych księżyca. Struktury Obcych z Rozety były tak ulotne, że praktycznie niewidzialne, gdy się przez nie przelatywało. Z odległości jednak lśniły świetlne łuki, wiązki i promienie, ogromne i tajemnicze.

– Zaraz, co to? – spytał Hagelund. – Leci z Heimdalla.

– Chyba mamy towarzystwo – stwierdziła Taggart.

– Zmniejszyć prędkość...

Tysiące... nie, setki tysięcy świetlnych punktów. Wyglądały jak świetliki. Uniosły się z ciemnej powierzchni Heimdalla niczym rój. Ich ruch przypominał stado ziemskich ptaków. Załoga mostka „Lucasa” była zafascynowana widokiem tej wielkiej chmury krążących wokół siebie, kłębiących się, robiących pętle, dzielących się i łączących światła, które najpierw opuściły powierzchnię księżyca, a potem zasłoniły cały dysk Heimdalla.

Chmura podzieliła się ponownie. Jej mniejsza część oderwała się od głównej masy i przyspieszyła. Przybrała ogromny, wyginający się kształt skrzydła, zbliżając się do lądownika.

To naprawdę dużo światła.

– Jaką mamy prędkość? – spytała Laurie.

– Dwadzieścia pięć kilometrów na sekundę – odparła Peters.

– Zmniejszyć do dziesięciu – warknęła Taggart.

Cholera. Miała dostęp do tych danych. Nie myślała, zafascynowana widokiem.

„Lucas” ponownie decelerował.

– Kapitanie? – usłyszała głos na kanale prywatnym. Był to pułkownik Jamison, nadający z kapsuły lądowniczej. – Co to jest? Mamy widok z kamer.

– Nie jesteśmy pewni, pułkowniku – odparła. – Mocno się trzymajcie. Spróbuję przedryfować.

Jamison nie skomentował sytuacji. Marines byli w zasadzie uwięzieni i bezbronni w swoich kapsułach. Jeśli te roje światła okażą się groźne, nie będą mieli jak walczyć ani uciekać.

Coś uderzyło lekko w kadłub „Lucasa”.

– Zmiękcż nas trochę, Ross – powiedziała do Hagelunda.

– Aye, aye, skipper.

Kadłub „Lucasa” – w zasadzie większość jego powierzchni zewnętrznej – pokryty był nanopowłoką, rodzajem stopu tytanowo-ceramicznego, który mógł zmieniać kształt w zależności od potrzeb. Obecnie powierzchnie zewnętrzne „Lucasa” były sztywne, z precyzyjnie wyliczonymi kątami, mającymi rozpraszać fale radiowe i lasery, sprawiając, że okręt stawał się praktycznie niewidzialny. Pochłaniały też promieniowanie. Zmiękcżając powierzchnię, Taggart próbowała sprawić, że ta mogła wchłonąć więcej promieniowania kosztem zdolności rozpraszania fal. Gdyby mogła znaleźć idealny środek między tymi dwoma funkcjami, „Lucas” zniknąłby obcym z oczu.

Oczywiście jeśli używali technologii choć trochę rozpoznawalnych dla ludzi.

Rój światełek krążył wokół nich. Wirowały, łączyły się i rozdzielały, kurczyły i rozszerzały. W końcu jednak minęły okręt i zniknęły gdzieś za rufą.

– Myślę – powiedział bardzo cicho Hagelund, jakby obawiając się, że obcy go usłyszą – że ich zmyliłaś.

– Albo uznali, że jesteśmy niegroźni.

– W każdym razie mnie to odpowiada – stwierdziła Peters.

Mnie też – pomyślała Taggart.

Kolejna godzina minęła bez problemów. Dryfowali przez lśniąca płachty w stronę Heimdalla. Na zewnątrz nadal krążyły

światełka, całkowicie otaczając księżyc. Wyglądało na to, że część z nich płynęła poprzez atmosferę nocnej części Bifrostu, tworząc coś w rodzaju świetlnego koła o przynajmniej dwudziestu tysiącach kilometrów średnicy.

Jaki mógłby być cel takiej struktury? – zadała sobie pytanie Taggart.

„Lucas” zbliżył się do pojedynczych światełek, ale nic się nie wydarzyło. Pozwoliła sobie na lekkie odprężenie.

Może jednak to przeżyjemy.

Ruszając się teraz tylko kilka kilometrów na sekundę, „Lucas” przeleciał obok księżyca, mijając wschód słońca na Bifroście. Heimdall opuszczał zaćmienie, a światło słoneczne, choć słabe i przyćmione, rozjaśniło wielkie lodowce rubinowymi promieniami.

„Lucas” zaczął zmieniać kształt, przechodząc z kropli w coś ze skrzydłami, które były w stanie utrzymać go w powietrzu.

Heimdalla pokrywała masa lodowców. Obszary lądowe były zimną pustynią od bieguna po biegun. Istniały też dwa oceany pełne kry. Równik opasywały góry, wyniesione przez te same siły pływowe, które utrzymywały w tym rejonie temperaturę kilku stopni poniżej zera, a nie – jak na większości powierzchni – minus dwustu. Skanery „Lucasa” przesyłały stały strumień danych przez implanty Taggart. To był martwy, zimny świat, całkowicie pozbawiony życia.

Wiedziała jednak, że dawniej Heimdall tętnił życiem. Gwiazda Kapteyna była wtedy częścią Chmury N’gai. Ksenosofontologowie badający tutejsze ruiny uważali, że była to niegdyś ojczysta planeta Baondyedich, jednego z gatunków ur-Sh’daar, którzy dominowali nad tą karłowatą galaktyką setki milionów lat temu.

Znała historię, odkrytą zarówno przez archeologów na Heimdallu, jak i przez załogę „Ameryki”, gdy ta pierwszy raz znalazła się w Chmurze N’gai osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat temu i uzyskała dostęp do zapisków Sh’daarów. Wielcy Baondyeddi o kształcie dysków byli specjalistami od

manipulacji genetycznych. Zamiast pokrywać swoje ciała pancerzami, gdy chcieli zbadać wrogi ich organizmom świat, hodowali nowe wersje siebie, które potrafiły przetrwać, a nawet prosperować w innych warunkach. Przez dziesiątki tysięcy lat wytworzyli też mniejsze, zwawsze warianty samych siebie, z mózgami skonfigurowanymi tak, by łączyły się z elektronicznymi protezami, stającymi się częścią ich własnych systemów robotycznych.

Jako prawdziwe cyborgi, częściowo organiczne, ale głównie elektroniczne, eksplorowały swoją małą galaktykę składającą się z paru miliardów gwiazd i pomogły zbudować podwaliny cywilizacji ur-Sh'daar. W końcu jednak nawet ta maleńka więź z ciałem i krwią stała się niedogodnością. Wielu Baondyeddim wydawało się, że wirtualna rzeczywistość zapewnia egzystencję dużo bogatszą, bardziej złożoną i przyjemną niż tak zwane prawdziwe życie. Miliardy z nich przeniosły swoje umysły do potężnych sieci komputerowych.

Z czasem ich cały świat stał się jedną wielką siecią. W skałach Heimdalla wykuto złożone obwody, tworząc ogromną sieć komputerową zdolną do modelowania całych wszechświatów. Nie wszyscy Baondyeddi, choć wielu, a może nawet większość przeniosła się do tej sieci razem z miliardami istot innych gatunków, które szukały wieczności. Zasilany przez ciepło wytwarzane przez siły pływowe Bifrostu, komputer planetarny został zaprogramowany tak, żeby jego mieszkańcy doświadczali eonów w zwolnionym tempie. Dla cyfrowych istot lata, a może i stulecia były niczym sekundy. Wydawali się pewni, że przetrwają tak biliony lat, aż do śmierci cieplnej całego wszechświata.

A wtedy zjawili się Obcy z Rozety i zniszczyli stacje naukowe ludzi, po czym zstąpili na starożytny glob jak głodna szarańcza. Nie wiadomo było, co stało się z cyfrową populacją Heimdalla. Ksenosofontologowie na pokładzie „Lucasa” mieli to zbadać.

Gdy tylko marines zabezpieczą okolicę.

– Pułkownik Jamison? – odezwała się Taggart na prywatnym

kanale. – Zbliżamy się do strefy zrzutu.

– Dobrze. Dziękuję za przejazdzkę.

– Nie ma sprawy, pułkowniku. Powodzenia.

Samym zrzutem zajęła się AI „Lucasa”. Taggart poczuła lekki wstrząs, gdy wystrzelono pierwsze parę kapsuł, a następnie kilkadziesiąt kolejnych. Czterystu marines, po czterech na kapsułę, wypadło w noc Heimdalla na wysokości trzech tysięcy metrów. Reszta pozostała na pokładzie i miała wylądować dopiero razem z okrętem.

Otworzyły się hangary po bokach „Lucasa”, wypuszczając dwanaście strzał – myśliwców marines AS-90 Hornet, które miały patrolować niebo nad księżycem.

– Myśliwce wystrzelone! – zameldował porucznik Liam Davies. Marines wzięli ze sobą własne myśliwce patrolowe z braku lotniskowca.

– Przyjąłem – Taggart usłyszała odpowiedź Jamisona. – Rozejrzyjcie się. Nie chcemy, żeby coś nas tam zaskoczyło.

– Przyjąłem, dowództwo Heimdalla.

Taggart wolała nie myśleć o tym, co obcy mogą zrobić z prymitywami rozbijającymi obóz. Może jednak uda im się przemknąć niepostrzeżenie?

A może planeta zapadnie się w sobie? Chciałaby móc wyłączyć własny mózg...

„Lucas” zaczął kierować się do środka strefy lądowania.

– Jest i stara baza, kapitanie – oznajmiła Peters.

Na obrazie komputerowym w oku wewnętrznym Taggart pojawiła się ikona. Baza była stacją badawczą, współpracującą z nieistniejącym już torusem Stanforda o nazwie Heimdall Orbital. Wyglądało na to, że uległa zniszczeniu; widać było tylko czarną plamę na skale, otoczoną przez suchy śnieg.

Nie po raz pierwszy wszyscy zastanawiali się, co tu zaszło.

Kilometr dalej na płaskowyżu rozciągały się ruiny Świątyni. Paneuropejczycy nazwali ją Świątynią, bo przypominała ziemskie budowle, takie jak Partenon czy Baalbek, ale była w znacznie gorszym stanie. Na ziemi leżały sterty kolumn

i niewiele zostało z początkowej budowli poza popękana podstawą z kamiennych bloków.

Kolejna tajemnica tego zimnego świata.

Podczas gdy „Lucas” kontynuował lądowanie, przelatując obok ruin, obrazy wyświetlane w mózgu Taggart nagle zaczął zakłócać szum. Przez chwilę widziała... coś innego. Świątynię całą i majestatyczną ponad zielono-niebieskim, żywym terenem. Tam, gdzie teraz były nagie skały, pyszniła się bujna roślinność...

Po czym wróciła do rzeczywistości. Rośliny zastąpiły kamienie. Taggart zamrugła, próbując oczyścić umysł.

Co, do cholery...?

– Skipper! – odezwał się Hagelund. – Widziałem właśnie...

– Wiem! Wiem! Też to widziałam!

– Co to było? – spytała Peters.

– Nie mam pojęcia... Ale to bez znaczenia. Na razie skupmy się na wylądowaniu.

AI okrętu najwyraźniej nic takiego nie zobaczyła. Zmieniając ponownie kształt na bardziej okrągły i płaski, z wybrzuszeniem w środku, „Lucas” zwolnił, unosząc się nad ziemią, po czym w końcu dotknął smaganej wiatrem powierzchni pokrytych śniegiem skał. Z kadłuba wysunęły się rampy, po których zeszła reszta marines.

– Dowództwo Heimdalla, tu patrol powietrzny! Mamy dziwne zakłócenia, gdy przelatujemy ponad Świątynią!

– Jakie zakłócenia?

Przez chwilę głos porucznika zagłuszył szum, po czym znów go usłyszeli.

– Teraz już wszystko w porządku. Przez chwilę wyglądało, jakbyśmy przelatywali nad lasem! Wszystko było niebiesko-zielone, a na powierzchni budynki!

– Przestań ćpać, Davies – odparł Jamison. – I odstaw VR!

Usłyszała nerwowy śmiech, który w pełni rozumiała. Wciąż była pod wrażeniem tego, co zobaczyła. Czy to jakaś obca broń? Albo próba komunikacji? Lub coś, czego nie mieli szans

zrozumieć?

„Lucas” wciąż przeobrażał się, aż w końcu spoczął na powierzchni jako niski budynek o grubych ścianach, długi na dwieście metrów. Kopuła, którą był zwieńczony, oddzieliła się od reszty struktury i stała się wieżyczką z potężnym działem cząsteczkowym. W tym samym czasie wokół bazy otworzyły się włązy wyrzutni rakiet i laserów obronnych. Marines już okopywali się na przestrzeni dziesięciu kilometrów, wspierani przez robotyczne wieżyczki zbudowane przez nanoboty z lokalnych skał.

Na ciemnofioletowym niebie Obcy z Rozety wydawali się pozostawać obojętni...

...na razie.

Czego chcecie?

Admirał Gray bardziej poczuł te słowa, niż je usłyszał. Zadawał je Konstantin, zapewne najpotężniejsza AI współpracująca obecnie z ludźmi, a na pewno najbardziej doświadczona w rozgryzaniu obcych języków i badaniu motywacji kosmitów.

Czego chcecie?

Gray uczestniczył w tym przesłuchaniu częściowo dlatego, że uwaga Konstantina skupiała się na masie obcych bakterii zamieszkujących jego ciało, oraz dlatego, że choć Konstantin był niezwykle ludzki pod wieloma względami, nie przypominał człowieka, jeśli chodzi o emocje. Super-AI potrafiła je udawać, ale zapewne nie potrafiła czuć gniewu, strachu, miłości...

...ani instynktu samozachowawczego opartego na czymś więcej niż na zimnej i racjonalnej logice.

Czego chcecie?

Życ...

Gray poczuł odpowiedź głęboko w sobie. Desperacka żądza przetrwania. Była to chyba jedyna emocja wspólna dla wszystkich żywych istot.

Jakaś część mózgu przekładała niewerbalne uczucia i koncepcje na słowa. Czuł, jak Konstantin porusza się po jego umyśle.

Dostosowuję wrażliwość pańskich implantów.

– Proszę bardzo – powiedział głośno, po czym zdał sobie sprawę, że Konstantin nie pytał o pozwolenie. Że nie potrzebował jego pozwolenia. Wewnętrzny pryma Trevora przeszły ciarki.

Relacja między ludzkością a ludzką technologią – szczególnie z inteligentniejszymi od ludzi AI – wciąż nie została do końca zdefiniowana. Gray pomyślał, że być może ostatecznym losem dla ludzkości miało być sprowadzenie jej do roli łatwo wymienialnego narzędzia do pracy niewymagającej szczególnej precyzji...

– Bez pańskiej aktywnej i dobrowolnej współpracy – powiedział Konstantin na prywatnym kanale – komunikacja z symbiontami nie byłaby możliwa.

No cóż, dobrze było wiedzieć choć tyle, mimo że Gray nie miał pewności, co AI rozumie jako „dobrowolną” współpracę. W każdym razie medyczne interwencje zarówno Konstantina, jak i Andre ocaliły życie jemu i wszystkim zarażonym członkom załóg dowodzonej przez niego grupy bojowej. Mimo wszystko jednak pozostawiono w jego organizmie część zarazków, zwłaszcza w regionach mózgu odpowiadających za mowę i rozumienie. Jak nazwał je Konstantin? Symbiontami. Gray zdał sobie sprawę, że nazwa została pobrana z jego własnej pamięci, ale wyborem kierowała bakteria. Pomyślał, że to dziwny rodzaj dwupoziomowej komunikacji.

Szukaliśmy sposobu na komunikację z tymi żywicielami od ponad pięć tysięcy generacji – odezwał się symbiont za pomocą jego własnych słów w jego własnej głowie. Gray słuchał... i zachowywał wszystko w RAM swojego implantu, gdzie mógł to odczytać Konstantin.

Jak długo trwała generacja symbiontów? Niektóre ziemskie bakterie potrafiły mnożyć się co sześć godzin. Miał poczucie, że *Paramycoplasma subtilis* zajmowało to więcej, ale organizm nie mierzył czasu w taki sposób, jak ludzie. Gray czuł jednak, że symbiontowi chodzi o pierwszy kontakt ludzi ze Społecznością Sh'daar, czyli o spotkanie ludzkich odkrywców z handlarzami Agletsch w układzie Zeta Doradus w roku 2312, sto trzynaście lat temu. Gray przeliczył to w procesorze implantu. Pięć tysięcy pokoleń w ciągu stu trzynastu lat dawało osiem dni i kilka godzin. Pasowało to do tego, ile czasu minęło, zanim on i inni

zaczęli wykazywać objawy chorobowe.

Zaawansowane technologie żywiciela stanowią zagrożenie dla całości.

Czy to było wyjaśnienie, dlaczego Sh'daar zaatakowali ludzkość? Po chwili poczuł twierdzącą odpowiedź.

Zakazane technologie stanowią zagrożenie dla całości.

Chodziło więc o technologie GRIN. Teraz, dzięki Konstantinowi, wreszcie rozumieli, dlaczego Sh'daar uważali je za takie zagrożenie. Ziemszy taktycy stwierdzili, że wydawali się bać ludzi, gdy ci odwiedzili Chmurę N'gai ponad osiemset milionów lat temu. Czy dlatego, że ludzie z dostępem do podróży w czasie stanowili takie zagrożenie? A może Sh'daarowie byli pod wpływem zamieszkujących ich bakterii, które bały się ziemskich technologii? To wyjaśniało, dlaczego część gatunków używała nanotechnologii czy zaawansowanych komputerów. Jeśli dany gatunek był już w całości pod kontrolą symbiontów, nie stanowił takiego zagrożenia.

I cały ten strach przed kolejną osobliwością technologiczną? Teraz miało to więcej sensu. Osobliwość, którą Sh'daar nazywali Shjaa Hok albo transcendencją, miała bardzo odmienny wpływ na różnego rodzaju gatunki. Niektóre, jak Groth Hoj, już przeszły z organicznych ciał do bycia świadomymi, mobilnymi komputerami. Inni, z organicznymi lub częściowo organicznymi ciałami jak Baondyeddi, przenieśli masowo swoją świadomość do sieci komputerowych, pozostawiając ciała na śmierć. W każdym gatunku znajdowali się też tacy, którzy odrzucali tę technologię, stając się Outsiderami.

A ci Outsiderzy wszyscy byli zarażeni różnymi gatunkami Paramycoplasma, superorganizmów porozumiewającymi się ze swoimi żywicielami za pomocą podstawowych emocji.

Takich jak przerażenie.

Jednym z fundamentalnych problemów, jakie mieli ksenosofontologowie od pierwszego kontaktu z Agletsch, była kwestia dopasowania emocji różnych rozumnych gatunków.

Czy „strach” oznaczał to samo dla ludzi co dla Baondyeddech? Nawet ludzie nie zawsze wszystkie emocje odczuwali tak samo. Gdy zaczynało się porównywać to, co uchodziło za emocje wśród bardzo obcych sobie gatunków, każdego z inną historią ewolucyjną, dotychczasowe definicje przestawały mieć znaczenie.

Wyglądało jednak na to, że zyskali jakąś, choćby niewielką, namiastkę zrozumienia.

Czym jest całość? – pytał Konstantin.

Gray poczuł w sobie odpowiedź.

Dopełnieniem... perfekcją... równowagą... żywiciel i symbiont, istniejący razem dla doskonałości obu...

Czy to wy skłoniliście Społeczność Sh'daar do wojny z ludzkością?

Superorganizm miał problem z niektórymi z tych koncepcji. Wojnę rozumiał jako naturalną walkę bakterii z układem immunologicznym żywiciela. Zarówno Sh'daar, jak i ludzie byli „żywicielami” na różnych etapach „perfekcji”. Gray musiał szukać synonimów do „skłonić”. Bakterie nie rozumiały.

Prowadzić? Instruować? Zmuszać? Nakazywać?

W końcu bakterie wydawały się rozumieć, choć była to dla nich obca koncepcja.

Symbionty nie prowadzą żywicieli, nie licząc bardzo ogólnego wpływu. Decyzja, by zainicjować odpowiedź immunologiczną, należała do żywiciela.

W czasie gdy dziwaczna konwersacja trwała, Gray zaczął wyczuwać większą część opowieści, na poły mitu, na poły alegorii na galaktyczną skalę.

Symbionty wyewoluowały w Chmurze N'gai eony temu. Mikroorganizm, być może chorobowy, zainfekował jeden z setek rozumnych gatunków wśród światów Chmury. Nie wiedział, z którym gatunkiem ewoluował. Nie potrafił rozróżnić jednych żywicieli od drugich – przynajmniej nie od środka. Z jego punktu widzenia różnice były nieistotne. Miał szczątkowe wspomnienia o zażartej walce. Być może ciała

nosicieli dotknęła straszliwa zaraza, gdy reagowały na intruza.

W końcu żywicieli użyli inżynierii genetycznej, by zmienić śmiertelności mikroba, sprawić, żeby był łagodny, mniej groźny. Zapewne czystym przypadkiem stworzono wtedy superorganizm z bezprecedensową zdolnością łączenia się, tworzenia długofalowych planów, obierania nowych, zadziwiających kierunków.

Organizm, podobnie jak śluzowce, o których czytał Gray, stał się wielki i złożony, jednocześnie istniejąc jako pojedyncze komórki. Podobnie jak ziemskie termity, wykazywał inteligencję emergentną. Czy bakterie były inteligentne same z siebie stanowiło ciekawe zagadnienie. Sporo wskazywało na to, że wykorzystywały układy nerwowe żywicieli, myśląc za pomocą ich mózgów i nerwów. Pamięć przechowywana była w specjalnych komórkach; wyglądało na to, że Paramycoplasma sama nauczyła się inżynierii genetycznej.

W pewnym momencie w dalekiej przeszłości superorganizm przeskoczył z jednego rozumnego gatunku do kolejnego. W tym celu musiał się zmienić, tworząc nowy byt z nową biochemią. A długi czas po tym zrobił to jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Zapewne zaraził wszystkich ur-Sh'daar.

Wszystko wskazuje na to, że jeśli ur-Sh'daar byli świadomi istnienia swoich niewidzialnych pasażerów, uważali ich za niegroźną florę bakteryjną.

Transcendencja okazała się ogromnym szokiem.

Miliardy, być może biliony organicznych istot zginęły lub zniknęły. W tym czasie poszczególne gatunki Paramycoplasma były wciąż w kontakcie, zapewne za pomocą związków chemicznych wydzielanych przez żywicieli czy wydalanych komórek pamięciowych. Zniknęło około dziewięćdziesięciu procent rozumnych gatunków z N'gai, a razem z nimi ich symbionty.

Te, które pozostały, niemal wymarły.

Symbionty jednak przetrwały wśród garstki Outsiderów, którzy nie wzięli udziału w osobliwości. Odbudowano

cywilizację, odkryto ponownie zaginione technologie podróży międzygwiazdnych, odtworzono starożytne biblioteki. W tym czasie Chmura N'gai wleciała w obręb nowej galaktyki. Outsiderzy obawiali się powrotu transcendowanych ur-Sh'daarów. Symbionty tym bardziej się go bały. Bały się też technologii, które wyjawiają ich istnienie, będą na nie polowały, zniszczą je.

Sh'daar szukali więc ratunku w dalekiej przyszłości. Jeden z gatunków, które zniknęły, pozostawił po sobie urządzenia pozwalające na podróże poprzez czas i przestrzeń. Garstka Sh'daarów udała się w przyszłość, odkryła nowe gatunki...

...i przekazała im „całość”.

Teraz, gdyby transcendowani ur-Sh'daarowie powrócili do Chmury N'gai, w dalekiej przyszłości wciąż żyłyby symbionty.

W końcu, po dziesiątkach milionów lat, Chmura N'gai została pożarta przez wielką spiralną galaktykę. Miliardy słońc zostały wyrwane z jej centrum i rozsiane po większym, młodszym zbiorowisku gwiazd.

Ale symbionty z przeszłości i przyszłości były bezpieczne... kompletne... całe.

Pozostawał tylko jeden problem. Krótco po tym, jak N'gai połączyła się ze spiralną galaktyką, gdy sondy Sh'daar udały się do przyszłości, napotkano nowy gatunek, zwący się ludzkością.

Który groził zniszczeniem wszystkiego, co udało się osiągnąć symbiontom... Zaprzepaszczaniem pracy trwającej większość historii wszechświata.

Symbionty obawiały się ludzi niemal tak samo jak transcendencji.

Bały się dość mocno, by chcieć ich zniszczyć. W dowolny sposób.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

12 grudnia 2425

Lądownik USNA „Lucas”

Stacja Heimdall

Godzina 16.32 TFT

– Szeroko, ludzie! I uwaga pod nogi!

Starszy sierżant Roger Courtland prowadził swoją sekcję dwunastu marines przez popękane kamienie i lód, zdradzieckie pod ich opancerzonymi stopami. Ponieważ mieli na sobie nowe, zaawansowane zbroje Mark IV, byli dość dobrze zamaskowani. Zewnętrzne nanowarstwy imitowały otaczające ich kolory, powodując, że pancerze były... może nie całkiem niewidoczne, ale trudne do zauważenia, zwłaszcza gdy stali bez ruchu.

Courtland dotarł do ogromnego fragmentu złamanej kolumny, ośmiokątnej bloku wyszczerbionego i brudnego szkła wysokiego na trzy metry, i oparł się na nim, łapiąc oddech. Na Heimdallu panowała grawitacja nieco słabsza niż ziemską, ale pancerz bojowy był ciężki pomimo siłowników przekładających ludzki wysiłek na ruch egzoszkieletu i nadludzką siłę. Courtland był tu dopiero kilka minut, ale już zaczynał czuć to obciążenie.

– Rainbow Devil, tu dowództwo Heimdalla – zabrzmiało w jego głowie. – Co u was?

Courtland usłyszał odpowiedź porucznika Ogdena przez sieć plutonu.

– Dowództwo Heimdalla, tu Rainbow Devils. Jesteśmy

niedaleko celu. Zbliżamy się, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Pilnujcie swoich tyłków.

– Przyjąłem, komandorze.

Pięćdziesiąt metrów przed nimi pierwszy pluton już dotarł do celu. Podobnie zakamuflowani, na tle fioletowego horyzontu wyglądali jak rozmazane plamy cienia poruszające się wśród kawałków połamanych kolumn. Budowla zwana Świątynią obejmowała kiedyś niemal dwieście hektarów i zawierała tysiące kryształowych, ośmiokątnych kolumn otaczających centralną część o nieznanym kształcie.

Ruiny już nie wyglądały tak ujmująco i zadziwiały wyłącznie obszarem. Jednakże grupy naukowców Konfederacji badające ten teren doniosły, że kolumny były zrobione z węgla-Q, sztucznego diamentu jaśniejszego i trwalszego od naturalnego, i najwyraźniej wyrosły na miejscu. Każda miała podstawę o grubości ponad ośmiu metrów i sięgała na jakieś trzysta metrów w górę.

Courtland potarł powierzchnię bloku przez rękawiczkę. Receptory w opuszkach palców zbroi przekazały do jego mózgu wrażenie podziurawionej i zwiertzałej powierzchni. Bogowie... ile musiało upłynąć czasu, skoro diament tak zwiertzał?

Musiały wyglądać spektakularnie, kiedy były całe i wznosiły się w słabym, czerwonym świetle Gwiazdy Kapteyna... Ale upadły bardzo dawno temu.

– Znalazłeś coś, sierżancie?

Odwrócił się. Pytanie zadał pająk ludzkiego wzrostu – czarna piłka do koszykówki zawieszona na czterech nogach o wielu stawach.

– Nie – odpowiedział. – Zastanawiam się tylko, jak kurewsko stare jest to miejsce.

– Bardzo – odpowiedział pająk w jego głowie. Mówił kobiecym głosem, bardzo seksownym. – Przypuszczamy, że mogli je zbudować Baondyeddi, zanim osiągnęli transcendencję. To by było ponad osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat temu... Może nawet miliard. Bardzo, bardzo

dawno temu.

Pająk był zdalnie sterowanym ciałem doktor Celi Carter. Starsza członkini zespołu ksenosofontologicznego przypisanego do „Lucasa” była w tym momencie bezpieczna gdzieś w trzewiach transportowca, ale jednocześnie podłączona do zestawu czujników pająka, żeby eksplorować powierzchnię. Courtland spotkał ją podczas podróży z Trymheimu.

Poznali się kilka lat wcześniej, na konferencji w Houston dotyczącej egzoplanet. Była ładna, zabawna i bardzo inteligentna. Okazało się, że pociągają ją goście, którzy doświadczyli podróży pomiędzy gwiazdami i spotkali niektóre z badanych przez nią zawodowo stworzeń.

Kiedy wpadł na nią na pokładzie „Lucasa” – dosłownie, przy zerowej grawitacji – poczuł się, jakby odwiedzał stare śmieci. Było cholernie trudno znaleźć prywatny zakątek w pojeździe tak zatłoczonym jak „Lucas”, ale starsi podoficerowie marines potrafili być bardzo zaradni, kiedy chodziło o obchodzenie systemu dla własnych celów.

W tym przypadku wystarczyło tymczasowo przydzielić czterech facetów w kapsule do innej sekcji i oznaczyć swoją jako „zajętą” w AI batalionu. Oczywiście sztuczna inteligencja wiedziała, o co chodzi, ale nie obchodzili jej ludzie i ich związki, dopóki nie zagrażali misji i spójności jednostki.

Przetasowanie dało dobry skutek. Te kapsuły były akurat dość duże, by można poeksperymentować z seksem przy zerowej grawitacji.

Courtland spojrział na opuszczony odcinek ruin przed sobą. Pokręcił głową i przypomniał sobie, że ona nie może tego zobaczyć. Mark IV nie miały wizjerów w hełmach, ale przesyłały optyczne informacje bezpośrednio do mózgu nosiciela, żeby pokazać teren na zewnątrz.

– Cholera – powiedział. – Aż przeszły mnie dreszcze...

– Budowniczo wie tego miejsca już dawno odeszli – przypomniała mu.

– Myślałem, że zostali wgrani do skały – powiedział,

wskazując niską linię klifów w oddali, migoczących złoto w słabym świetle słonecznym.

– To prawda – odpowiedziała – ale teraz żyją w zupełnie innej rzeczywistości. Nie mają pojęcia, że tu jesteśmy... Prawdopodobnie.

– Prawdopodobnie?

– No cóż, zakładamy, że mają uruchomione programy ochronne, które pilnują okolicy i szturchną ich, gdy pojawi się zagrożenie. Jeśli budujesz na wieczność, musisz się zabezpieczyć na wypadek, gdyby z czasem coś poszło nie tak.

– Na przykład gdyby twoja świątynia się zawaliła.

– Wątpię, żeby ich to obchodziło.

– Słyszałem plotki – powiedział Courtland. – Coś o tym, że Obcy z Rozety ich zniszczyli.

– Jeszcze tego nie wiemy, Rog – odparła. – Obcy z Rozety byli tutaj. Wiemy tylko tyle. Co mogli zrobić mieszkańcom... Nie mamy pojęcia.

– Mamy rozkazy nawiązać kontakt z Bajerantami, jeśli tu są – powiedział jej Courtland. – Jeśli będziemy mogli.

– Bajerantami? Och, mówisz o Baondyedich.

– Tak ich nazywamy.

– Ach – powiedziała Carter – doktor Yuan coś znalazł. Pogadamy później.

Pająkowaty robot zaczął kroczyć w stronę szerokich schodów wznoszących się na platformę Świątyni. Czekał tam inny pająk, gestykulując jedną patykowatą nogą. Courtland westchnął, rozejrzał się jeszcze raz, po czym przymocował swoją broń plazmową nieco wyżej na napierśniku i ruszył dalej.

U góry złote kształty z przejrzystej mgły unosiły się na tle ciemnofioletowego nieba. Na horyzoncie olbrzymi półksiężyc Bifrostu wisiał nad górami, z jaskrawoczerwoną kropką Gwiazdy Kapteyna widoczną na jego krawędzi. System pierścieni Bifrostu był prawie niewidoczny, wyglądał jak pionowa srebrna nić rozciągnięta na niebie.

Courtland dotarł na górę platformy, gdzie kilkudziesięciu

marines ustawiło się w szerokim szyku, zabezpieczając obrzeża. Podszedł do jednego z wielkich mechów bojowych, wyglądającego jak migoczący cień, i zawołał:

– Hej, Donnie!

Część rozmytej masy się otworzyła, odsłaniając siedzącego w środku starszego szeregowego Jimmy’ego Donahue. Z młodzieńczą twarzą i rudymi włosami wyglądał jak dzieciak.

Blisko tego – pomyślał Courtland. Donahue miał ledwie dwadzieścia lat.

– Tak, sierzancie?

– Trzymajcie się blisko pajaków, dobra? Ale nie za blisko. Miej na nie oko, zostaw sobie jednak trochę przestrzeni, w razie gdybyś musiał się wycofać.

– Jasne, sierzancie. Co jest grane?

– Cywile będą tu węszyć. Jeśli coś ma zadziałać jak kij w mrowisko, to będzie właśnie to.

– Rozumiem. Nie ma problemu.

Courtland nie dodał, że ma złe przeczucia co do tego miejsca. Był marine USNA, co oznaczało, że gdziekolwiek się ruszył, powinien oczekiwać, że to miejsce go zaatakuje. Kiedy chodziło o obce planety jak ta, dłużej żyli ci, którzy mieli lekką paranoję.

– Komendancie?

– Tak, Donnie?

– Chłopaki mówią, że tu straszy.

Znowu. Marines w tym plutonie rozgłaszali plotki o duchach od początku podróży z Ziemi. Pogłoski mówiły, że system Kapteyna był nawiedzony, a duchy mogły być czymkolwiek – od zdigitalizowanych Bajerantów, przez tajemniczych Obcych z Rozety, aż po dusze personelu stacji naukowej Konfederacji. Jeśli coś tu było – uważał Courtland – to prawdopodobnie na skutek działania technologii Bajerantów. Ale duchy kosmitów? Wątpił w to.

– No i?

– Co pan o tym myśli?

Nie dało się wzruszyć ramionami w pancerzu typu Mark IV.

– Jakie ma znaczenie, co ja myślę? Jeśli coś będzie chciało z nami rozmawiać, zabierzemy to do ksenologów. Jeśli nas zaatakuje, zabijemy.

– Cholera, komendancie. Jak się zabija ducha?

– Jesteśmy marines, Donnie. Możemy zabić cokolwiek.

– Ooh-rah, komendancie.

– A teraz się zapnij i zamknij wizjer. Mam przeczucie...

I w tym momencie rozpętało się piekło.

Nowy Biały Dom
Waszyngton
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Godzina 16.48 EST

– Mamy wstępny raport, panie prezydencie. Prosił pan o aktualizację...

Koenig spojrział znad swojego skomputeryzowanego biurka. Hologram doktora Hoffmana właśnie się włączył, uprzednio zapowiedziany przez szefa sztabu Koeniga.

– Dziękuję, doktorze. Doceniam, jak szybko zajęli się tym pańscy ludzie.

– Żaden problem, panie prezydencie. Poza tym sporo od tego zależało.

– Oto niektórzy z moich zaufanych – dodał Koenig. – Admirał Armitage... Phil Caldwell... Larry Vandenberg. Powinienem dodać, że Konstantin też jest obecny. Konstantin?

– Dobry wieczór, panowie – powiedział bezcielesny głos, wybrzmiewający w umysłach wszystkich obecnych. – To przyjemność być tu z wami.

– Panowie – kontynuował Koenig – doktor Hoffman jest starszym oficerem medycznym na pokładzie okrętu „Vesalius”. Śledził wybuch choroby na pokładzie „Ameryki” i dowodził zespołem badawczym na Lunie.

– Właściwie to dowodził Andre – powiedział Hoffman. – A kiedy dotarliśmy do orbity lunarnej, CDC przejęło dowodzenie.

– Andre?

– Medyczna AI na pokładzie „Andreasa Vesaliusa” – wtrącił Konstantin. – Możemy go włączyć do konferencji, jeśli jest taka potrzeba.

– Ach, oczywiście. Cóż, doktorze, z mojego punktu widzenia to

pan dowodził od samego początku. Co ma pan dla nas?

– Ponownie zaznaczam, panie prezydencie, że to wstępny raport. Będziemy badać tego mikroba jeszcze bardzo długo.

– Oczywiście.

– Ten organizm, roboczo nazwany Paramycoplasma subtilis, zdaje się być nowym przykładem kształtującej się inteligencji. Rozumności powstającej ze społeczności połączonych mikroorganizmów. Ma skrajnie ograniczoną świadomość otaczającego go świata, ale utrzymuje bliskie biochemiczne związki z gospodarzem. W ogólności może być uznany za organizm symbiotyczny zamiast patogenu...

– Widzieliśmy to wszystko, doktorze – powiedział sekretarz obrony Vandenberg. – Proszę powiedzieć najważniejsze. Czy to coś jest zagrożeniem dla ludzi?

Hoffman się zawahał i potrząsnął głową.

– W naszej opinii nie. Kierował się instynktem samozachowawczym i w tym celu wpłynął na różnych żywicieli ze Społeczności Sh'daar, próbując poprzez nich powstrzymać ludzi przed rozwijaniem pewnych technologii, które stanowiły dla nich zagrożenie. Pasowało to do istniejącej wcześniej paranoi Sh'daar odnośnie do obcych gatunków, które mogłyby osiągnąć osobliwość technologiczną. Ani nosiciele Sh'daar, ani paramykoplazmidowe symbionty nie do końca zdawali sobie sprawę, co robią. Bakterie odpowiadały na sygnały odbierane od żywicieli Sh'daar, podczas gdy Sh'daar podświadomie reagowali na bodźce od bakterii kolonizujących ich ciała. Jednakże można powiedzieć, że rozpracowaliśmy kod, który pozwoli nam komunikować się dość swobodnie z paramykoplazmidami. A Sh'daar będą teraz zdawali sobie sprawę, co na nich wpływało.

– W jakiej sytuacji nas to stawia? – spytał Armitage. – Mamy podpisać traktat pokojowy z jakimiś zarazkami?

– Właściwie byłoby to bardzo problematyczne – wtrącił Konstantin. – Komunikacja nie polega tylko na tłumaczeniu słów czy idei. Poglądy i kultury dwóch stron komunikujących

się także powinny zostać wzięte pod uwagę. Organizmy tak różne jak *Paramecium* i ludzie mają bardzo odmienny ogląd wszechświata.

– Tak, ale musisz przyznać, że *Paramecium* posiada kulturę – zażartował Armitage. Podniósł rękę, rysując w powietrzu kółko szerokości dłoni. – Mieści się w takiej szalce i trzyma się ją w inkubatorze...

– Admirale, proszę – powiedział Koenig.

– Przepraszam.

– Próbujesz powiedzieć – ciągnął Koenig – że symbionty nie wiedzą, czym jest traktat?

– Właśnie, sir. Jest też problem z komunikacją między pojedynczymi superorganizmami. Nowo powstający umysł bakterii zamieszkujących ciało admirała Graya nie jest w stałej komunikacji z umysłem tych zamieszkujących ciało bosmana Drummonda. Wciąż nie jesteśmy pewni, jak superorganizmy porozumiewają się między sobą. Możliwe, że nasiona Sh'daar odgrywają w tym rolę – zauważył Konstantin.

Koenig pogrzebał w pamięci, ale Konstantin i tak przesłał informacje do jego mózgu, i prezydent sobie przypomniał. Nasiona Sh'daar były metaliczno-ceramicznymi kulami rozmiaru śrutu, które znaleziono zagrzebane wewnątrz licznych gatunków Sh'daar – w szczególności Agletsch... nawet tych Agletsch, które zdawały się działać poza terytorium Sh'daar. Wywiad USNA ustalił, że te urządzenia były nanotechnicznymi transponderami krótkiego zasięgu, które mogły magazynować wrażenia zmysłowe i rozmowy danego stworzenia, a następnie wysyłać je jako transmisje do węzłów komunikacyjnych, kiedy znalazły się w ich zasięgu. Najwyraźniej Konstantin uważał, że mają też inny cel.

– Te urządzenia wydają się mieć zasięg kilku tysięcy kilometrów – ciągnęła AI.

– Hm – powiedział dyrektor NSC, Caldwell. – To wystarczy, żeby każdy symbiont na danej planecie mógł być w stałym kontakcie z każdym innym tamtejszym symbiontem. Sprytnie.

– Nie powinniśmy pomijać możliwości, że nasiona pomagają symbiontom komunikować się do jakiegoś stopnia z żywicielami – dodał Hoffman.

– Czy możemy to jakoś wykorzystać? – chciał wiedzieć Armitage.

– Potrzebujemy więcej danych – powiedział Konstantin. – Dokładniej, potrzebujemy wymienić informacje z gatunkiem Paramycoplasma, żeby ustalić, czy możemy się z nim komunikować na głębokim i znaczącym poziomie. Sugeruję, że kolonia wziętych do niewoli Turuschów pod Crisium byłaby pomocna w tych badaniach, podobnie jak te osobniki Agletsch, z którymi pozostajemy w przyjaznych stosunkach.

– Brzmi dobrze – odparł Koenig. – Doktorze Hoffman, może będzie chciał pan porozmawiać z niejakim doktorem Philipem Wilkersonem. Tu ma pan kod kontaktowy.

– Dobry pomysł – stwierdził Caldwell. – Wilkerson jest przewodniczącym Wydziału Badań Ksenosofontologicznych ONI pod Mare Crisium. Bada tam jakiegoś złapanego Turuscha od dwudziestu lat.

– Mamy tam Turuscha? Na Księżycu?

– O tak – odpowiedział Koenig. – Złapaliśmy kilku jeszcze w dwa tysiące czterysta czwartym. Wysłaliśmy ich do Crisium, żeby zbadać ich język, który okazał się być twardym orzechem do zgryzienia. Zaproponowaliśmy odstawienie ich do domu, kiedy zawarliśmy rozejm z Turuschami, ale kilku zaoferowało się zostać jako coś w rodzaju placówki dyplomatycznej. Mają własne środowisko i siedlisko na Księżycu i wydają się zadowoleni ze swojej sytuacji.

– Gdybym to był ja – powiedział Vandenberg – chodziłbym już po ścianach, chcąc wrócić do domu.

– Zgadza się – odparł Koenig – ale Turuschowie w niczym nie przypominają ludzi.

Pamiętał swoje pierwsze spotkanie z jednym z nich w bazie Crisium, kiedy jeszcze był admirałem i dowodził gwiazdowym lotniskowcem „Ameryka”. Turuschowie byli o włos od

zniszczenia Ziemi. Wyrządzili poważne szkody, zrzucając pociski do oceanu. A ich atak na centralę dowództwa Marynarki Wojennej nad Marsem...

Koenig przeniósł się myślami z powrotem na Marsa, do Katryn Mendelson, kobiety, którą kochał, zabitej, kiedy pocisk Turuschów zniszczył stację Fobos. Cholera... Ta strata, bezużyteczna, wciąż bolała, nawet po tylu latach.

W pewnym stopniu czuł, jakby to było wczoraj. Ludzie zastanawiali się, dlaczego Koenig nie nawiązywał żadnych bliskich relacji. Powodem była Katryn...

Otrząsnął się z przykrych wspomnień. Cholera – pomyślał – nie mam na to czasu.

– Więc pracujemy nad komunikacją z tymi... tymi superorganizmami – powiedział. – Jakie jest prawdopodobieństwo, że ludzie się od tego rozchorują?

– Całkiem wysokie, panie prezydencie – odpowiedział Hoffman. – Pomimo małej liczby zarażeń. Musimy pamiętać, że Organizm został zaprojektowany tak, by zarażać ludzi. Jednakże mamy już nanomedyczne oprogramowanie potrzebne, by go odpierać.

– Jesteśmy tego pewni?

– Tak pewni, jak możemy być, sir. Paramycoplasma subtilis miał problem z przekroczeniem barier między gatunkami już od początku. Spośród kilku tysięcy członków załogi w grupie bojowej „Ameryki” tylko garstka – osiem osób na „Ameryce” – zachorowała... Przynajmniej na początku. Liczba zakażonych wzrosła z czasem, ponieważ, jak uważamy, Organizm celowo adaptował się do swojego nowego nosiciela.

– Chwileczkę – powiedział Armitage. – Celowo się adaptował?

– Tak, sir. Wiemy, że te mikroby mają wyjątkowo plastyczny genom i mogą dokonywać w nim zadziwiających zmian, aby się dopasować. W czasach przed nanomedycyną rolnicy rutynowo nadużywali antybiotyków na zwierzętach i szczepy bakterii odporne na te antybiotyki często przenosiły się na ludzi.

– Ale to nie było celowe – wytknął Vandenberg.

– Nie, oczywiście, że nie. Chodzi o to, że te bakterie łatwo się dostosowują dzięki ich mutacjom adaptacyjnym.

– A co z barierą gatunkową? – spytał Koenig. – Jak ona się nazywa? BT coś tam?

– BTB. Bariera transbiosferyczna – powiedział Hoffman. – Tak, sir. To dlatego uznaliśmy, że obce bakterie zostały celowo zmanipulowane. Zaprojektowane. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że istnieją dziesiątki rozmaitych, ale spokrewnionych gatunków, zarażających różnych obcych – Agletsch, Turuschów i prawdopodobnie większość innych gatunków Sh'daar także. Nie uważamy, że to była robota Społeczności Sh'daar. To była sama bakteria.

– Obca bakteria, ewoluująca, aby wpływać na swojego nosiciela – powiedział Koenig. – Ewolująca celowo. Wciąż próbuję to zrozumieć. Wiecie, im więcej dowiadujemy się na temat życia w kosmosie, tym dziwniejsze się wydaje.

– Ale jesteśmy chyba w stanie kontrolować teraz możliwość infekcji? – zasugerował Vandenberg. – Może przez zaszczepienie całej populacji nanobotami z odpowiednim oprogramowaniem?

– To powinno wystarczyć, aby wyleczyć chorobę, jeśli się pojawi – odparł Hoffman. – Wyobrażam sobie, że nie chcielibyście wywoływać paniki wśród ludności.

– To rzeczywiście nie byłoby czymś pożądanym – odpowiedział Koenig oschle.

– Musimy podjąć pewne istotne decyzje strategiczne, panie prezydencie – stwierdził Armitage. – Na początek, kwestia ludzkiego personelu na stacji Głębia Czasu.

– Tak – powiedział Caldwell. – Będziemy musieli założyć, że wszyscy zostali zaatakowani przez bakterie.

– Wszystkie załogi wyruszające do Chmury N'gai będą musiały zostać zaszczepione – zdecydował Koenig. – A następna misja zajmie się zaszczepieniem załogi stacji.

– To się może nie spodobać superorganizmom – powiedział Vandenberg.

– Jaki jest obecny stan Graya i pozostałych? – spytał prezydent. – Czy on... Czy dalej są zarażeni?

– Tak – odpowiedział Hoffman.

– Pomagają nam kontynuować dialog z superorganizmami – dodał Konstantin.

– A jak mikrobowy superorganizm zamieszkujący ciało admirała Graya czułby się, wiedząc, że chcemy go wyeliminować?

– Na tyle, na ile udało nam się stwierdzić – wyjaśnił Konstantin – superorganizmy nie mają silnej jednostkowej samoświadomości. Na pewno nie tak, jak ludzie. Bardziej jak Turuschowie, którzy żyją w ściśle związanych parach.

– Dwoje Turuschów dzieli jedno imię – powiedział Koenig. – Pamiętam. A dwójka mówiąca jednocześnie produkuje coś w rodzaju nałożenia dźwięków, które okazuje się być trzecim znaczeniem wypowiedzi.

– Tak – odparł Konstantin. – Związek pomiędzy dwoma superorganizmami Paramycoplasma nie jest aż tak bliski, ale są pewne punkty wspólne. Utrata jednego superorganizmu nie jest dla nich ani trochę tak ważna, jak by było zagrożenie wyginięciem całego gatunku.

– W porządku, ale czy wciąż jest ryzyko? Jeśli „wyleczymy” admirała Graya, czy reszta wypowie nam wojnę?

– Myślę, że możemy bezpiecznie uznać, panie prezydencie, że rozumieją koncept „wojny” jeszcze mniej niż traktaty pokojowe.

– Będziemy musieli tego spróbować – powiedział Koenig. – Admirał Gray jest jednym z najlepszych oficerów Marynarki. Jego załoga jest najbardziej doświadczona. Chcę Graya i „Amerykę” z powrotem na froncie.

– Ale jeśli załoga została dotknięta... – zaczęła Armitage.

– Zaszczepimy ich.

– Byłoby pomocne, panie prezydencie – powiedział Hoffman – gdyby niektórzy z zarażonych członków załogi zostali zarażeni... Przynajmniej na razie. Żebyśmy mogli kontynuować

dialog z obcymi.

– Czy coś im grozi w dłuższej perspektywie?

– O ile udało nam się ustalić, sir, to nie.

– Gene? Zorganizuj innym tymczasowy transfer na „Vesaliusa”. – Oznaczało to, że Drummond i inni znaleźliby się na razie pod zwierzchnictwem albo Wywiadu Marynarki, albo Korpusu Medycznego... A może obu.

– Tak, sir.

– Ale oddajcie mi admirała Graya. – Spojrzał na obraz Hoffmana. – Dziękuję za przybycie, doktorze Hoffman. Mój szef sztabu poda panu kod, który połączy pana z moim gabinetem, kiedykolwiek będzie pan tego potrzebował. Marcus?

– Już się tym zająłem, panie prezydencie.

– Dobrze. Coś jeszcze, doktorze?

– Nie, sir. Dziękuję. – Holograficzny obraz zniknął.

– Co pan ma na myśli, panie prezydencie?

– Wciąż mamy zbyt wiele punktów zapalnych – odpowiedział Koenig. – I za mało grup bojowych lotniskowców. – Zastanowił się przez chwilę. – Senat wydaje się zdecydowanie przeciwny wyprawie na Gwiazdę Tabby, przynajmniej teraz. – Tego ranka Koenig otrzymał wiadomość od senator Diane Francis, przewodniczącej Senackiej Komisji Sił Zbrojnych. – Podobnie jak panowie.

– Panie prezydencie – odezwał się Vandenberg – nie możemy sobie pozwolić na zabezpieczenie każdej potencjalnej możliwości...

– Rozumiem. – Koenig czuł obecność Konstantina w swoim umyśle i odepchnął to uczucie. – W porządku. Mieliliśmy zamiar uformować specjalną grupę lotniskowców wokół „Ameryki” i wysłać ją na Heimdalla. Czy mamy już stamtąd jakieś wieści?

– Jeszcze nie, sir – odparł Caldwell. – Ale lada chwila powinniśmy je otrzymać. „Lexington” powinien już tam być, a jeśli ocaleli jacyś Paneuropejczycy, powinni już lecieć na Ziemię. Marines z „Lexingtona” i „Marne” będą na Heimdallu. Oczywiście jeśli wszystko idzie zgodnie z planem.

– To wojna – stwierdził Koenig. – Może niewypowiedziana, ale Obcy z Rozety atakują ludzkie jednostki. A na wojnie nic nigdy nie idzie zgodnie z planem!

– Więc „Ameryka” nadal ma lecieć do Gwiazdy Kapteyna? – spytał Vandenberg.

Koenig przytaknął.

– Wciąż chciałbym ją wysłać na Gwiazdę Tabby. Agletsch uważają, że jest cholernie ważna. Ale musimy się upewnić, że nasze własne podwórko jest zabezpieczone. – Spojrzał na Armitage’a. – Gene, przekaz rozkazy. Chcę, aby „Ameryka” i wszystkie okręty, które możemy pozbierać po drodze, były w drodze na Gwiazdę Kapteyna tak szybko, jak to możliwe.

– To może zająć tydzień lub coś koło tego, panie prezydencie. „Ameryka” potrzebuje napraw i uzupełnienia zapasów. Zgromadzenie sensownej grupy bojowej też zajmie trochę czasu.

– Termin na wczoraj byłby idealny – rzucił Koenig.

Po tym, jak Marcus Whitney, Armitage, Vandenberg i Caldwell opuścili Gabinet Owalny, prezydent rozsiadł się wygodnie w fotelu i zamknął oczy. Wydawało mu się czasem, że jego praca składa się z niekończącego się skakania od jednego zagrażającego ludzkości kryzysu do drugiego. Byłby zadowolony, gdyby kadencja już się skończyła i mógł wrócić do czegoś przypominającego normalne życie...

– Panie prezydencie – powiedział głos Konstantina w jego myślach – naprawdę musimy porozmawiać...

Koenig jęknął.

– Szlag by to, Konstantin. Wiem, co chcesz powiedzieć.

– Wie pan, panie prezydencie? Zatem musi pan wiedzieć, jak istotna dla przetrwania ludzkości jest wyprawa na KIC 8462852.

– Wiem, że ty uważasz, że jest ważna – burknął Koenig. – Nie widziałem jeszcze żadnych dowodów.

– Nie ma dowodów. Jest tylko logika.

– Która w tym przypadku jest bardzo subiektywna.

– Nie jest. Żadna flota marynarki wojennej o wyobraźalnej

wielkości nie może odstraszyć Obcych z Rozety. Wysyłanie największej możliwej floty na Heimdalla lub do Omega Centauri nie da właściwie nic. Aby zaburzyć tę równowagę, potrzebna jest inna, bardziej zaawansowana technologia. Mój kontakt wśród Agletsch sugeruje, że taka technologia może istnieć na KIC 8462852.

– Bzdury.

– To nie jest racjonalny argument, panie prezydencie.

– Bzdury! – Miesiące stresu dały o sobie znać i Koenig zadrżał od przypływu gniewu. – Nie mamy powodu, żeby ufać superkomputerowi, nie obchodzi mnie, jak superinteligentny jest, i nie mamy powodu, żeby ufać obcym, którzy od początku współpracują z wrogami ludzkiej rasy! Nie mamy powodu podejrzewać, że na Gwieździe Tabby jest cokolwiek wartego takiej wyprawy... Tak, na pewno nie mamy powodu myśleć, że znajdziemy tam jakąś superbroń.

– Nie myśli pan strategicznie, panie prezydencie. Reaguje pan na każdy ruch wroga, nie wyprzedzając go, nie przewidując następnych kilku posunięć, żeby zatrzymać jego pęd.

– Konstantynie, masz błędne wrażenie, że prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej rzeczywiście wszystkim rządzi. Wcale tak nie jest.

– Pańskie słowo bardzo wiele znaczy, panie prezydencie.

– Konstantin?

– Tak?

– Spierdalaj z mojej głowy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

12 grudnia 2425

Lądownik USMA „Lucas”

Heimdall

Godzina 16.55 TFT

– Uważajcie! Uważajcie! – krzyczał Courtland. – Green Devil, tu Devil Pięć! Nadciągają wrogowie, powtarzam, nadciągają wrogowie!

Maszyny kosmitów wystrzeliły z kamiennej platformy jak węgielki tryskające z wybuchającego wulkanu. Setki latających urządzeń, każde wielkości ludzkiej głowy, absolutnie czarne i z wystającymi, ostro zakończonymi antenami czy zgrubieniami, które przypominały zakrzywione ostrza noży. Białe światło rozjaśniało zaśmieconą ruinami powierzchnię platformy. Szeregowy Godfrey został trafiony. Kilkanaście eksplozji rozniosło się po powierzchni jego pancerza, a wybuchy rozrzucały tłące się resztki.

– Gdzie jesteś, Piąty? – odezwał się porucznik Ogden. – Co z tobą?

Courtland miał laser w ręku, namierzając i celując do nadchodzącej masy.

– Piąty! – krzyknął Ogden. – Słyszysz mnie?

Jedno z latających urządzeń wybuchło, trafione przez laser Courtlanda.

– Otworzyć ogień! – krzyknął.

– Courtland! Mów do mnie!

– Tak, poruczniku! Przyjąłem! Jestem na szczycie głównych schodów! Wygląda to jak mniej więcej milion dronów zmierzających prosto na nas!

– Okej, Devil Pięć. Uspokój się! Może po prostu chcą się przywitać.

– Nie sądzę, że cieszą się na nasz widok, sir! Torrez! Po prawej! Ognia!

– Jaka jest sytuacja taktyczna?

Courtland prawie odpowiedział „przejebana”, ale ugryzł się w język. Strzelał nieprzerwanie, trafiając obiekt za obiektem i wypalając je z nieba, ale nie miał czasu ani cierpliwości prowadzić Ogdena za rączkę.

– Robertson! Vadez! Przesuńcie się na lewo! Ustawcie się z piskami do ognia krzyżowego! Jones i Harris! Osłaniajcie ich! Dalej, ludzie, ruszać się!

– Courtland! Odpowiedz!

– Sir, jestem teraz trochę zajęty.

Przed nim jeden z mechów WK-40 obracał się jak szalony, strzelając do zbliżających się wrogów. Starszy szeregowy James Donahue sterował nim, starając się odeprzeć skoncentrowany atak. Nie do końca przypominający człowieka, ale wysoki na cztery metry egzoszkielet trzymał działo strzelające strumieniami cząsteczek na lewym ramieniu, automatyczne działo o wielkiej prędkości na prawym, na każdym barku miał zaś baterie wystrzeliwujące czterocentymetrowe pociski PVK-226 Wasp. Obce jednostki najwyraźniej poświęcały mu szczególną uwagę i oblatywały go wirującą, śmiertelnie groźną chmurą. Donahue zużył cały zapas pocisków Wasp w ciągu kilku sekund, wypuszczając serię ostrych i śmiertelnych eksplozji roztrzaskujących kolejne latające jednostki wroga. Zaczął strzelać stałym strumieniem z działa cząsteczkowego, poruszając nim w różne strony, starając się zrzucić z nieba po kilkunastu przeciwników naraz.

Obok marine w opancerzeniu Mark IV opadł na ziemię.

– Hej! Donnie! Uważaj trochę!

– Przydałaby mi się pomoc! Te skurwiele mnie otaczają!

– McNamara! – zawołał Courtland. – Nakajima! Wesprzyjcie Donahue!

– Tak jest, sierżancie!

Obce jednostki zdawały się strzelać laserami, co było dziwnie mało zaawansowane, jak na... kimkolwiek właściwie był wróg. Courtland zakładał, że urządzenia stanowiły część jakiegoś zautomatyzowanego systemu obronnego zostawionego przez Baondyedich. Ale kiedy się nad tym zastanowił, zdał sobie sprawę, że równie dobrze mogły być prezentem od Obcych z Rozety.

Tylko że poprzednie ataki Obcych z Rozety na ludzi miały formę ogromnych, niszczycielskich fal energii, jak wybuchy atomowe skompresowane w wąskie strumienie o temperaturze wnętrza gwiazdy. Te lasery wyglądały przy tym jak zabawki.

Kto zatem kontrolował te obiekty, Bajeranci czy Obcy z Rozety? Prawdopodobnie nie miało to znaczenia, dopóki dało się je zestrzelić.

Laserowa broń wrogów nie była pojedynczo tak potężna jak przenośne karabiny laserowe marines, ale za to mieli jej mnóstwo. Maszyny grupowały się po trzy lub pięć, koncentrując się na poszczególnych obiektach. Umysł, który kontrolował tę chmurę, jak stwierdził Courtland, był na pewno jakimś skomplikowanym superkomputerem. Urządzenia zachowywały się jak jedna całość, a nie wiele spójnych całości.

I wtedy kilka obcych urządzeń wpadło na mecha Donahue, wydając pluśnięcie przy zderzeniu i przywierając do powłoki z ceramiczno-metalowego stopu.

– Te rzeczy mnie zjadają! – krzyknął Donahue. – Zabierzcie je! Zabierzcie!

– Cholera! Jego pancerz się rozpuszcza!

Mech klęczał na jednej nodze, brakowało mu wielkich kawałków opancerzenia. Tuzin maszyn wtapiało się w pierś i prawą nogę pancerza.

A więc używali nano-D, czyli nanotechnologicznych

rozbrajaczy. Płynny składnik zawierał mikroskopijne urządzenia zaprogramowane tak, by rozłożyć cel dosłownie na cząsteczki. I znów – ta technologia nie była aż tak zaawansowana w porównaniu z bronią Ziemi. Niewiele ponad rok temu paneuropejskie okręty unicestwiły za pomocą podobnej techniki centrum miasta Columbus w Ohio.

Zewnętrzna powłoka mecha dawała pewną ochronę przed nano-D, ale nie na długo.

– Trzymaj się, Donahue! – zawołał starszy szeregowy Fitzgerald. – Nabój AND jest w drodze!

Jeden z marines wystrzelił pocisk z trzydziestomilimetrowej wyrzutni granatów, zaprojektowanej do miotania kartaczy z nanoładunkami i rakiet przeciwpancernych krótkiego zasięgu. Nabój zdeintegrował się w czasie lotu, opryskując maszynę wojenną Donahue chmurą szarego prochu.

AND – anty-nano-D – składało się z ciasno upakowanych nanobotów zaprogramowanych tak, żeby wyszukiwać i niszczyć agresywne nanitowe chmury. Chmura otoczyła uszkodzony pancerz; sierżant Marie Cooper także wystrzeliła w stronę Donahue nabój AND.

Ale czy to wystarczy? Atmosfera Heimdalla nie była po prostu zimna. Była trująca dla ludzi – zabójcza mieszanka azotu, dwutlenku i monotlenku węgla, amoniaku i dwutlenku siarki, wszystkiego mniej niż połowa standardowej atmosfery. Donahue mógł mieć na sobie wewnątrz egzoskieletu skafander, ale gdyby atakujące nanity przebiły się przez jegoabinę ciśnieniową, nie zajęłoby im dużo więcej czasu, żeby zjeść także kombinezon i człowieka w środku. A nawet jeśli nie zabiłyby go wrogie nanoboty, udusiłby się błyskawicznie w zimnej atmosferze Heimdalla.

Szeregowy Griffin wrzasnął i upadł. Laser przedziurawił jego pancerz. Dane o częstotliwościach i temperaturach przeleciały przez otwarte okno w głowie Courtlanda. Te lasery zdawały się operować w wysokim ultrafiolecie do granicy spektrum promieni rentgenowskich. Miały dość energii, żeby przepalić

uzbrojenie marine w sekundę lub dwie.

– Ruszajcie się, ludzie! – rozkazał. – Nie stójcie w miejscu!

Problem polegał na tym, że wrogie jednostki były w stanie namierzyć cel, wystrzelić swoją broń i manewrować w powietrzu w taki sposób, żeby utrzymać promień skupiony na celu wystarczająco długo, by go przepalić. Albo grupa tych obiektów koordynowała się i koncentrowała wspólną moc na pojedynczym obszarze, przepalając opancerzenie niemal natychmiast. Poruszając się szybko i bez przerwy, marines mogli utrudnić działanie przeciwnikowi, ale nie było to na dłuższą metę skuteczne.

Dolby i Jessop padli. Fitzgerald padł. Trzy inne mechy rozproszyły się po platformie Świątyni i wszystkie walczyły z obezwładniającą liczbą wrogich maszyn. Marines zrezygnowali z osłaniania mechów – nadlatywało tak wiele obcych obiektów, że każdy marine miał więcej niż dosyć roboty z maszynami wokół siebie.

Grupka czarnych urządzeń opadała w stronę Courtlanda. Wystrzelił trzy razy z lasera, likwidując dwóch agresorów, ale nie trafiając trzeciego, który nagle zapikował, uderzył w jego klatkę piersiową i eksplodował w kałużę czarnej brei. Pęd uderzenia sprawił, że człowiek się zachwiał. Machał dziko ramionami, starając się zrzucić lub zeszkrobać płyn przylepiający się do niego.

– Uwaga: dekompresja – powiedział pancierz głosem łomoczącym w głowie Courtlanda.

Tracił powietrze. Dobrą wiadomością było, że ciśnienie atmosferyczne na powierzchni Heimdalla nie było nawet w połowie tak wysokie jak to, co miał w pancerzu, więc jego mieszanka powietrzna się ulatniała, ale amoniak i dwutlenek siarki z zewnątrz nie dostawały się do środka... Jeszcze.

Ale zaczną, gdy tylko wyrówna się ciśnienie. Wydawało mu się, że już czuje ostry zapach amoniaku i chłód w klatce piersiowej. Zapach był na pewno wytworem jego wyobraźni, lecz wrażenie chłodu już nie. Powietrze w kombinezonie

gwałtownie rzedło, a to oznaczało nagły spadek temperatury.

Ciało szeregowej Jessop leżało kilka metrów dalej, z bronią u boku. Myśląc szybko, Courtland upuścił swój laser, zanurkował po broń Jessop i odbezpieczył ją. Wypuścił nabój AND, trzymając broń blisko siebie, i nacisnął spust. Eksplozja cofnęła go o krok, ale otoczyła szarym obłoczkiem wirującego gazu, kilkudziesięciu milionów antynanitów, każdy rozmiaru ludzkiej czerwonej krwinki. Obce nano-D dalej przedzierało się przez jego napierśnik, ale teraz maszyny AND zjadały nano-D, wypuszczając intensywne ciepło i wirującą chmurę dymu... martwych łusek wypalonych mikroskopijnych maszyn.

– Spójność pancerza przywrócona.

Pancerz naprawiał szkody, a wewnętrzne ciśnienie wracało do normy. Courtland łapczywie chwycił powietrze. Jak podejrzewał, stracił oddech nie z powodu utraty ciśnienia, lecz adrenaliny napływającej do mózgu. Jego serce waliło.

Był przerażony.

Zły na siebie za tę słabość, wprowadził serię nano-D do swojego M79, podniósł broń na wysokość ramienia i wystrzelił w pobliską chmurę obcych maszyn. Seria wybuchła, wypuszczając stożkowatą chmurę nanobotów w stronę wrogiej grupy, a ta natychmiast zaczęła się rozpadać. Maszyny spadały i zaczynały się rozpuszczać. Załadował kolejny nabój i naprowadził celownik na innego mecha, pilotowanego przez sierżant Christy Harris.

– Uwaga, Christy! Strzelam! – Nacisnął spust broni kliknięciem w myślach i wystrzał otoczył pancerz Harris chmurą głodnych nanobotów. Amunicja broni była zaprogramowana tak, by rozpoznawać aktywny nanokamuflaż na powierzchni pancerzy marines i współpracować z nim. Nanoboty skupiły się na wrogim nano-D i na samych dronach, zrzucając je błyskawicznie.

Ale było ich zbyt wiele i z każdą sekundą coraz więcej wydostawało się z otworu na szczycie platformy.

– Pierwszy pluton, tu dowództwo! – zabrzmiało w głowie

Courtlanda. – Schylcie karki! Idzie ogień osłonowy!

– Głowy nisko, ludzie! – krzyknął Courtland, powtarzając rozkaz.

Chwilę później wielki pisk na szczycie przekształconego w bazę „Lucasa” zaczął strzelać, wysyłając oślepiające sztuczne błyskawice na platformę Świątyni. Piski – slangowe określenie na broń cząsteczkową – używały intensywnych i bardzo skupionych pól magnetycznych, żeby tunelować protony w stronę celu. Przenośna broń tego typu mogła wygenerować około dwudziestu megawatów mocy w impulsie trwającym ćwierć sekundy – odpowiednik detonacji kilograma trotylu.

Wieżyczka zamontowana na szczycie „Lucasa”, służąca teraz do obrony obszaru, strzelała z pięćdziesięciokrotnie większą mocą. Taka moc mogła zniszczyć mechy lub opancerzone pojazdy albo zrobić paskudną dziurę w małym statku kosmicznym czy myśliwcu atmosferycznym. Była znacznie mniej efektywna przeciwko chmarze pięciokilogramowych latających urządzeń. Maszyna, którą namierzyła i uderzyła, rozpadała się na małe kawałeczki metalu o wysokiej prędkości, rozżarzonego do białości... Działonowy na „Lucasie” celował w środek gęstszych chmur wrogich maszyn, niszcząc trzy czy cztery naraz każdym strzałem i uszkadzając inne gorącymi szrapnelami.

Courtland usłyszał spokojny głos pułkownika Jamisona:

– Spróbuj dłuższej wiązki.

– Tak jest, sir.

Zamiast skupiać całą tę energię w pojedynczym ćwierćsekundowym wystrzale, artylerzysta mógł rozciągnąć tę samą energię na sekundę lub więcej. To pozwalało mu zmiatać fragmenty powłoki urządzeń, ale energia była bardziej rozproszona. Pytanie brzmiało, jak ustawić broń, żeby strzelała dłużej niż przez ułamek sekundy, ale dostarczała energii wystarczającej do zniszczenia celu?

Ale to nie był problem Courtlanda. Cały czas schylony, wdrapał się po kamiennych stopniach do górnej krawędzi

platformy, uzbroił swoją broń i zaczął strzelać trzydziestomilimetroowymi granatami nano-D w ogień piekielny rozprzestrzeniający się po ruinach.

– Wycofać się! – rozkazał. – Niech wszyscy opuszczą platformę Świątyni!

Na polu bitwy panował chaos, bez żadnej organizacji czy wzajemnego wsparcia. Marines musieli zejść z platformy, żeby „Lucas” mógł zmiażdżyć obcych, nie martwiąc się o trafianie swoich. Pierwsza zasada walki była prosta: przyjazny ostrzał nie był przyjazny.

Cholera. Mech Donahue upadł, rozciągnięty pomiędzy pokruszonymi segmentami diamentowych kolumn i poniżej wrzącej smugi tłustego, czarnego dymu. Courtland skoczył na równe nogi i rzucił się przez platformę, zygzakując w stronę leżącego marine.

Nigdy, ale to nigdy nie zostawiaj swoich...

Inny marine w pancerzu Mark IV – sierżant Valdez – dołączył do sprintu. Razem dotarli do powalonego mecha. Valdez odpierał atakujące urządzenia laserem, podczas gdy Courtland zaczął odciągać kruszejące fragmenty opancerzenia.

– Tra-trafilo mnie, sierżancie – powiedział Donahue. W jego pancerzu ziała spora dziura. Było dużo krwi i biały dym kryształków lodu, powstających, gdy opary krwi i wody uciekające z kombinezonu zamarzały w zimnym powietrzu.

– Nie martw się, marine – powiedział Courtland. – Będiesz leżał w izbie chorych, zanim się zorientujesz!

– Atakują!

Ostrzeżenie pochodziło z „Lucasa”. Wybuch wstrząsnął Courtlandem tak, że zadzwoniły mu zęby. Kolejna wiązka wystrzeliła jedynie kilka metrów nad jego głową. Pałące się fragmenty rozwalonych urządzeń padały wokół nich, łoskocząc na kamieniu.

Jakimś cudem Courtland dał radę rozebrać kadłub mecha, czując rozpadające się i kruszące kawałki przez grube rękawice.

– Uwaga – powiedział jego pancierz – wykryto działalność nano-D. Prawa rękawica, dolny prawy rękaw. Spójność kombinezonu spada.

Courtland zignorował głos. Wreszcie był w stanie wyciągnąć Donahue z pancierza.

– Chodźmy! – powiedział i zaczął zmierzać z powrotem do stopni platformy. Donahue chwycił powietrze i kaszłał. Skafandry miały możliwości samonaprawy, podobnie jak pancierze wojenne, ale nie mogły zreperować wszystkiego.

Cholera... Tyle krwi...

Do Valdeza i Courtlanda dołączyło trzech innych marines, z czego jeden w mechu, który zaczął strzelać w chmary urządzeń, kiedy zbiegali po stopniach. Reszta marine cofnęła się, żeby utrzymać obronną granicę pomiędzy ruinami i atakującą bazą. Znowu byli w stanie koordynować swoje wystrzały z pozostałymi.

Wieżyczka „Lucasa” zaczęła trzaskać błyskawicami, jedną po drugiej, w ruiny, niszcząc urządzenia dziesiątkami... setkami...

A potem wróg zniknął. Maszyny zawróciły, zapikowały z powrotem do centrum kamiennej platformy i zniknęły.

Bitwa na Heimdallu najwyraźniej się skończyła, przynajmniej na razie.

Ale Donahue zmarł w drodze na okręt.

Lądownik USNA „Lucas”

Heimdall

Godzina 17.45 TFT

– Czy my chociaż wiemy, kto kontrolował te rzeczy? – spytała Taggart. – Istoty, które zbudowały to miejsce? Czy Obcy z Rozety?

Spotkanie miało miejsce w mesie oficerskiej „Lucasa”, małym pomieszczeniu – jak większość kabin mieszkalnych na tym lądowniku – poziom niżej i na rufę od mostka. Byli tam pułkownik Jamison i dowódcy plutonów, a także oficerowie Marynarki pod dowództwem Taggart. Na stole pośrodku pomieszczenia leżało obce urządzenie, zwęglona skorupa, mniej więcej cała, ale przepalona przez bliskie uderzenie wiązki cząsteczek.

– Zakładamy, że to sprzęt Baondyedich – powiedziała doktor Celia Carter. – Prawie na pewno automatyczny system obronny, uruchomiony, gdy marines za bardzo zbliżyli się do czegoś wrażliwego.

– Zgadzą się – przytaknął Jamison. – Te rzeczy nie przypominają w żadnym stopniu technologii, którą widzieliśmy u Obcych z Rozety.

– To by miało sens – stwierdziła Taggart, zamyślona. – Jeśli Bajeranci zamierzali zanurkować do swojej wirtualnej rzeczywistości i zamknąć za sobą drzwi, pewnie chcieli zostawić po tej stronie jakiś program ochronny, żeby mieć pewność, iż niezgrabni obcy nie przyjdą i czegoś nie popsują.

– Naprawdę w to wierzycie? – spytał major David Hardy, zastępca Jamisona.

– Nie ma wątpliwości, że stało się to z wieloma Baondyeddimi – odpowiedziała Carter. – I wieloma innymi Sh’daarami także.

– Tak, ale żeby cały inteligentny gatunek po prostu odciął się

od reszty wszechświata...

– Szacujemy, że najwyżej dziesięć procent Baondyeddich skorzystało z opcji wirtualnej rzeczywistości – wyjaśniła Carter.

– I prawdopodobnie mniej niż dwa procent pozostałych gatunków.

– Ale po jaką cholere miałoby to robić? – spytał Jamison, kręcąc głową.

– Och, to proste – powiedział porucznik Benton Meyers. Był starszym technikiem komputerowym na „Lucasie” i odpowiadał za AI ekspedycji. – Wirtualna rzeczywistość, w skali, w jakiej używają jej Bajeranci, jest znacznie bardziej zróżnicowana, bogata, zajmująca i po prostu ciekawsza, niż niewirtualne życie mogłoby kiedykolwiek być. Przez jakiś czas myślano, że odpowiedź na paradoks Fermiego, czyli pytanie, dlaczego nie widzieliśmy dowodów na istnienie zaawansowanych cywilizacji we wszechświecie dookoła nas, jest taka, że zaawansowane technologicznie gatunki mają tendencję do rozwijania komputerów, następnie złożonej i pochłaniającej wirtualnej rzeczywistości, a potem decydowania, że będą lepiej się bawić, żyjąc w komputerowej sieci niż na zewnątrz.

– To brzmi jak przysłowiowy trzydziestokilkuletni syn bawiący się siecią wirtualnej rzeczywistości w piwnicy rodziców, zamiast się wyprowadzić i zaznać życia – powiedział Jamison z wyraźną dezaprobatą.

– Jeśli życie jest bardziej satysfakcjonujące, pozytywne, bezpieczne i interesujące w wirtualnej rzeczywistości – odparł Meyers, wzruszając ramionami – dlaczego tego nie wykorzystać? Niczym się to tak naprawdę nie różni od wczesnych ludzi chcących skorzystać z ognia albo rezygnujących z polowań i zbieractwa na rzecz osiadłego życia.

– Ludzkość będzie musiała niedługo podjąć tę decyzję – stwierdziła Taggart. – Nasza technologia nie jest jeszcze dość dobra, by zbudować sieci elektroniczne wystarczająco duże, żeby stworzyć cały wirtualny wszechświat na podobną skalę,

ale jako gatunek jesteśmy blisko.

– Brawo dla nas – powiedział Hardy. – Osobiście nie wybrałbym takiego kierunku.

– No cóż – mruknęła Carter. – Tak samo było z gatunkami Sh'daar. Nie wszystkie wybrały tę drogę.

Jamison uniósł brwi

– Tak? A co zrobiła reszta?

– Osiągnęła transcendencję. Schjaa Hok.

– Ale co to znaczy?

– Nie wiemy, co się z nimi stało. Niektórzy wstąpili do sieci komputerowych, ale większość... Nie wiemy. – Carter wzruszyła ramionami. – Przenieśli się do wyższych wymiarów? Zbudowali osobny wszechświat? Zostali bogami?

– Zastanawiają mnie Sh'daar w Chmurze N'gai – odezwał się Jamison. – Wydają się przerażeni tymi Sh'daar, którzy osiągnęli osobiwość technologiczną i zniknęli.

– Tak?

– Może po prostu boją się tego, czym stała się reszta z nich.

– Cóż, oczywiście... – zaczął Meyers.

– Nie chodzi mi o strach, że Sh'daar, którzy osiągnęli transcendencję, wrócą i ich zaatakują czy coś takiego. Zastanawiam się, czy zobaczyli, do czego był zdolny ich własny gatunek: do zniknięcia w króliczej dziurze i zatrzaśnięcia jej za sobą, ucieczki od prawdziwego życia. I byli zde gustowani, pełni sprzeciwu, a może zwyczajnie przerażeni taką tendencją u własnego rodzaju. Jak ludzie przerażeni faktem, że inni ludzie są zdolni do popełniania ludobójstwa lub zabijania innych z powodów tak głupich jak religia.

– Raczej wątpię, że myślą o takich rzeczach podobnie jak my – odparła Carter.

– Wracając do tematu, prawdziwe pytanie brzmi: dokąd my teraz pójdziemy? Konfrontacja z tymi rzeczami... – Taggart sięgnęła i stuknęła wypalone urządzenie – dla mnie wyglądała jak pat.

– Nie jest mi łatwo to przyznać – powiedział Jamison – ale tak

bym to opisał. Zdecydowanie wolę to od „skopali nam tyłki”.

– Celami naszej misji – kontynuowała Taggart – było ustalenie, czy możemy nawiązać pokojowy kontakt ze zdigitalizowanymi Baondyeddimi, a potem próba nawiązania pokojowego kontaktu z istotami z Rozety. Czy ktoś ma pomysł, jak mamy osiągnąć którykolwiek z nich?

– Obcy z Rozety nas ignorują – stwierdziła porucznik Kaitlyn Grant, oficer komunikacyjny „Lucasa”. – Wysyłaliśmy im wiadomości, gdy tu dotarliśmy. Drogą laserową i radiową, w każdym języku, jaki znamy od Agletsch. Żadnej odpowiedzi.

– I widzieliśmy, jak zareagowali Baondyeddi – powiedział Jamison.

– Niekoniecznie – odpowiedziała Carter. – Widzieliśmy, jak ich automatyczny system obronny zareagował. Jeśli podejść do tego środkowego otworu, zdalnie kontrolując pająka, może nie poczują się zagrożeni i nie wypuszczą ciężkiej artylerii.

– No nie wiem – powiedział Meyers z uśmiechem. – Mnie ten pająk przeraża.

– Tak – rzuciła Carter. – Ale ty masz arachnofobię.

– Dobrze – powiedziała Taggart. – Proszę zobaczyć, co da się wskórać z pająkiem. Poruczniku Grant, proszę zaprzestać aktywnych prób komunikacji. Na razie nasłuchujemy.

– Tak, ma’am.

– Na każdej możliwej częstotliwości. Niech zajmie się tym AI „Lucasa”. Jeśli cokolwiek tam nawet drgnie, jeśli to może być sygnał, chcę o tym wiedzieć.

– Tak jest, kapitanie.

– A gdzie pani chce widzieć moich marines, pani kapitan? – spytał Jamison.

Taggart zastanowiła się, czy celowo zachowywał się prowokacyjnie, czy po prostu był sobą. Pewnie jedno i drugie.

– Niech zabezpieczają okolice okrętu. Porucznik Hagelund zajmie się budowaniem większego habitatu wokół „Lucasa” przy pomocy nanobotów. Jak tylko urośnie, może pan przenieść tam swoich ludzi.

– Zastanawiam się tylko, co mamy zrobić, jeśli Obcy z Rozety zdecydują się złożyć nam wizytę.

Taggart rozważyła opcje i postanowiła ich nie poruszać. Jeżeli Obcy z Rozety okazaliby się wrodzy, a nie obojętni, nie byłoby nic, co marines czy ktokolwiek inny mógłby zaradzić. Sądząc po tym, do czego byli zdolni do tej pory, mogliby wymazać z nieba całego Heimdalla jednym pstryknięciem.

Przyłapała się znów na rozważaniach, czy byli Gwiezdnymi Bogami.

Nie myśl o tym, dziewczyno – powiedziała samej sobie. Sytuacja jest wystarczająco skomplikowana.

Ale nie powstrzymało jej to przed myśleniem o tym, co poradziłby w tej sytuacji Trev Gray.

– Nie wychylajmy się – odparła Taggart pułkownikowi marines – i módlmy się, żeby to była przyjacielska wizyta.

– Amen – dodał Jamison.

Cyndi DeHaviland postawiła tacę na stole w mesie pokładowej.

– Słyszałeś już plotki?

Gregory podniósł wzrok znad posiłku, pokręcił głową. W tym momencie miał problem z wykrzesaniem entuzjazmu dla czegokolwiek.

– Co się dzieje?

– Zapowiada się gruba akcja floty przy Gwieździe Kapteyna – wyjaśniła. – Zabierają trzy gwiazdne lotniskowce, a na miejscu jest już „Lexington”. Chińczycy też mają wysłać lotniskowiec. To będzie wielkie wydarzenie.

Wzruszył ramionami i wrócił do jedzenia.

– Okej...

– Don, wszystko w porządku?

– Tak. Nic się nie dzieje.

– Nie brzmisz, jakbyś się dobrze czuł. Włączysz się przygnębiony od tygodni, odkąd wsiadłam na pokład. Nie trzymasz się z nikim, nie włączasz się w spotkania...

– Po prostu chcę być sam, rozumiesz?

DeHaviland przez chwilę patrzyła mu w oczy, potem wzruszyła ramionami.

– Jak ci wygodnie, samotniku. Ale gdybyś chciał pogadać...

Nie dokończyła zdania, a on nie odpowiedział.

Don Gregory cierpiał na poważną depresję od trzech miesięcy. Wiedział, co mu jest, i wiedział, że powinien się zgłosić na badanie psychiatryczne. Kiedy spał, to znaczy kiedy mógł spać, wracał na ponurą i chłodną powierzchnię Invictusa.

Z Meg...

Tylko że problem z ciężką depresją jest taki, że człowieka po prostu nic nie obchodzi. Wykonywał zadania automatycznie, wzorowo wypełniając obowiązki, ale nawet przyznanie się komuś, że ma problem, byłoby zbyt wielkim wysiłkiem, żeby się opłacało.

Poza tym, gdyby oddał się w ręce psychiatrów, zostałby uziemiony, odsunięty od pracy. Nie można było sobie pozwolić na niestabilnych psychicznie osobników w drogich SG-420. Tacy stanowiliby poważne zagrożenie dla całej eskadry, nie mówiąc już o świętej misji. Prędzej czy później musieli to wyłapać, prawdopodobnie następnym razem, kiedy wyciągną rutynową diagnostykę mózgu z jego implantu. Nie widział żadnego powodu, żeby ułatwiać skurwielowi zadanie.

Ostatnim razem kiedy „Ameryka” przybiła do portu, trzymał depresję na dystans, zażywając nałogowo stymulanty mózgowe. Był na głodzie, odkąd wrócili do Układu Słonecznego, ale nie mógł opuszczać pokładu ze względu na chorobę, czymkolwiek była. Ten problem został najwyraźniej rozwiązany i „Ameryka” odleciała do stacji SupraQuito. W dodatku była to właśnie jego zmiana, takie miał szczęście.

Szlag by to wszystko trafił!

Jedli w ciszy. Kopuła mesy oficerskiej pokazywała scenerię na zewnątrz – tętniące życiem doki stacji SupraQuito, ogromne skupisko modułów mieszkalnych i nanofabryk umieszczonych na szczycie windy kosmicznej. Mesę umiejscowiono w obracającej się karuzeli modułów mieszkalnych lotniskowca, ale komputery zajmujące się obrazem nad ich głowami niwelowały efekt ruchu.

Spojrzał na Cyndi. Była miła. Od niedawna należała do eskadry „Black Demons”. Całkiem ją lubił, a lubiłby bardziej, gdyby nie myślał bez przerwy, że jest tu w zastępstwie za Meg.

Cholera.

Przez chwilę zastanawiał się, czyby nie poprosić DeHaviland, żeby się z nim zamieniła zmianami, by mógł udać się po używki. Był taki mały bar w jednym z modułów stacji...

Ale jakoś nie mógł się zmusić, żeby to zrobić.

– Do zobaczenia później, Cyn – powiedział, wstając nagle i nie kończąc posiłku. – Mam zmianę w BCI.

– Cześć.

Chciał przeprosić za ostrą odpowiedź chwilę wcześniej, ale...

Wyszedł.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

12 grudnia 2425

Na południe od Ruin Manhattanu

Godzina 20.25 TFT

Minęło dużo czasu, odkąd Gray tu był. Pejzaż miasta na północ wydawał się mu zupełnie obcy. Admirał zdecydował, że pisarz miał rację – nie ma powrotu.

Unosił się wolno sto metrów nad czarnymi wodami Zatoki Nowojorskiej, nad resztkami Wyspy Gubernatora. Po lewej wciąż stała Statua Wolności, choć większość piedestału znajdowała się pod wodą. Jej podniesione ramię zostało wyłowione i wróciło na miejsce. Wyglądała dobrze...

Gray poprosił o trochę wolnego czasu, kiedy wypisali go z Bethesdy, i SupraQuito się zgodziło. Jeździł na wynajętej miotle – grawicyklu Mitsubishi-Rockwell – z nowojorskiej agencji turystycznej. Długa na trzy metry, srebrna i utrzymywana przez parę przednich i tylnych wirników grawitacyjnych, mogła być dosiadana jak motocykl... latający motocykl, mogący unieść się nawet na kilometr. Gray miał kiedyś własną, wiek czy dwa temu; zastanawiał się, co się z nią stało.

Przed nim mrugały światła odrodzonego Manhattanu, odbijające się w ciemnych wodach. Mieszkał tam kiedyś i był całkiem szczęśliwy, choć przez większość czasu musiał walczyć o przetrwanie. Ale wszystko się zmieniło, kiedy Angela dostała udaru mózgu. A teraz był admirałem, dowódcą grupy bojowej.

Czułby się boleśnie nie na miejscu, próbując odnaleźć siebie tam na dole, między częściowo zanurzonymi wieżami. Gray spojrział na światła Manhattanu i pomyślał o prymach, którzy dalej tam żyli, i o tym, dokąd AI prowadziła ludzki gatunek. Możliwe, że ludzkości tylko zdawało się, że sama sobą rządzi. Pomyślał o tym, jak Konstantin niedawno przeprowadził memetyczny atak na Paneuropę, wywołując w tamtejszych społecznościach pragnienie pokoju i powszechny wstręt do obecnej polityki rządu w Genewie, tym samym pomagając zakończyć konfederacyjną wojnę domową.

Z tego rodzaju władzą wydawało się prawdopodobne, że to Konstantin sterował ludzkością, a nie na odwrót.

Oczywiście Konstantin przyczynił się znacznie do odzyskania Peryferii i ostatecznie to mogło być trudniejszym zadaniem niż zaprowadzenie pokoju między Konfederacją a USNA. Waszyngton został już odbudowany, a teraz superkomputer zwrócił swoją uwagę na zatopione ruiny Starego Manhattanu. Dziewięć i pół kilometra na południe ogromne maszyny pobierały węglan wapnia i inne minerały z wody morskiej, tworząc substancję zwaną „seamentem” i używając jej do odbudowania tamy Verrazano-Narrows. Po zakończeniu tego zadania i zbudowaniu drugiej tamy przy Locust Point cały Manhattan zostałby oddzielony od morza i można by rozpocząć proces obniżania poziomu wody w starym mieście. To był olbrzymi projekt, ale po zakończeniu wojny prezydent Koenig wydał polecenie, by rozpocząć nad nim prace.

W tym czasie oddziały USNA zajęły Manhattan i rozpoczęto proces odzyskiwania kontroli nad populacją. Te światła przed Grayem – Ruiny Manhattanu – nie miały dostępu do tego rodzaju mocy, odkąd zostały porzucone ponad trzy wieki wcześniej. Odnawiano budynki, a całe bloki starych wieżowców miasta były scalane, tworząc nowe miasto trzydzieści metrów nad obecnym poziomem wody.

Nowy Jork wracał do życia.

Gray miał nadzieję, że będzie w stanie zobaczyć jeszcze to

miejsce, kiedy prace nad infrastrukturą zostaną ukończone.

Ale nawet wtedy raczej by tam nie pasował.

Co dokładnie napisał Thomas Wolfe? Gray ściągnął cytat z RAM implantu mózgowego.

„Nie ma powrotu do rodziny, do dzieciństwa (...), do młodzięcych marzeń o sławie i chwale (...), nie ma powrotu do ulubionych zakątków ojczyzny (...), nie ma powrotu do starych form i starego porządku rzeczy, który niegdyś zdawał się niewzruszony, lecz który w rzeczywistości wciąż się zmienia. Nie można uciec od Czasu i Pamięci”¹.

Thomas Wolfe zmarł w 1938 roku i nie zrozumiałaby ani świata, ani Nowego Jorku prawie pięćset lat później.

Ale, cholera, trafił w sedno.

W umyśle Graya otworzyło się okno.

– Admirale?

Gray westchnął. Jak tylko masz chwilę wolnego...

To była Pam Wilson, oficer komunikacyjny „Ameryki”.

– Tak, komandorze?

– Mamy rozkazy, admirale. A do pana osobiście jest wiadomość o wysokim priorytecie. Stopień bezpieczeństwa Gold One.

Cholera. Oznaczało to, że musiał odebrać wiadomość na zaszyfrowanym kanale, a nie prywatnym w głowie, wisząc sto metrów nad portem Nowego Jorku.

– W porządku. Od kogo to?

– To poufne. Nawet ja nie mam prawa wiedzieć.

– Dobra. Ale to zajmie chwilę.

– Kapitan Gutierrez pozwoliła sobie wydać priorytetowe polecenie, by dostarczyć pana z powrotem na górę.

– Czy „Ameryka” dalej jest na orbicie Księżyca? – Gray nie był o niczym informowany w Bethesdzie. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nadal mu ufają. To nie było w porządku, żeby admirał nie wiedział, gdzie jest jego okręt.

– Nie, sir. Przenieśliśmy się do SupraQuito kilka dni temu, jak tylko przetransportowano zarażonych i zaszczepiono resztę

załogi.

Zarażonych. Włącznie z nim, oczywiście.

– Dobrze, komandorze. Mogę być z powrotem w Waszyngtonie...

– Pan wybaczy, admirale, ale porywamy dla pana statek z Nowego Nowego Jorku. Podróż windą kosmiczną zajmie zbyt wiele czasu. Możemy mieć pana na pokładzie w mniej niż dwie godziny.

Komuś się naprawdę spieszyło.

A tożsamość tego kogoś była prawdziwym problemem. Zakładał, że to albo prezydent Koenig, albo ktoś z dowództwa Marynarki USNA – może admirał Armitage. Ale jeśli to oni, dlaczego nie wezwać go do Waszyngtonu na osobiste spotkanie? Dlaczego mieliby organizować szyfrowaną wirtualną rozmowę o najwyższych zabezpieczeniach?

Gray przekazał nowe rozkazy kliknięciem w myślach do komputera nawigacyjnego miotły. Maszyna skręciła o kilka stopni w lewo i zaczęła przyspieszać, podążając na północ wzdłuż rzeki Hudson.

– W jakim stanie jest okręt, komandorze?

– Jesteśmy prawie gotowi do przyspieszenia, sir. A grupa bojowa się tworzy. Zanim pan tu dotrze, powinniśmy mieć ponad trzydzieści okrętów na orbicie, gotowych do startu, włączając w to zarówno „Constitution”, jak i „Declaration”.

– Myślałem, że „Declaration” jest na testach sprawności.

– Była, sir. Ale sprowadzili ją z powrotem, podobnie jak „Decatura” i cztery inne okręty z przestrzeni Alfa Centauri.

Ciekawe. Wysyłali do Gwiazdy Kapteyna aż trzy gwiazdne lotniskowce.

Tam na górze nazywali tę zgromadzoną flotyllę Wielką Zjednoczoną Flotą. Wyglądało na to, że różne wojskowe dowództwa wysokiego stopnia pracowały nad tym pomysłem od dłuższego czasu. Technicznie była to flota Konfederacji, jako że jej główny cel stanowiło ratowanie ocalałych z bazy Konfederacji przy Gwieździe Kapteyna, ale Gray wiedział, że to

zwykła wojskowa bzdura. Zdecydowanie najwięcej zgromadzono okrętów USNA, a Waszyngton dalej nie przyznał, że wrócił do Konfederacji. Była też znaczna liczba innych jednostek – Hegemonii Chińskiej, Północnych Indii i Rosji – które pozostawały w przymierzu z USNA, ale zdecydowanie nie były częścią Konfederacji.

Wybór lidera podjęty przez Wysokie Dowództwo wydawał się zastanawiający. Gray wiedział, że krążyły pogłoski o mianowaniu go wielkim admirałem, ale został skreślony z krótkiej listy kandydatów, kiedy zaraził się obcą chorobą. Ostatecznie wybrano admirała Reeda Franklina Gordona z „Declaration”. Z przyczyn politycznych przesiedział trochę czasu na ławce rezerwowych, ale wydawało się, że jego gwiazda znów rozbłysła. Oficer flagowy USNA z przekonaniem skłaniającymi się ku Konfederacji okazał się idealny na to stanowisko.

Po prawej śmignęły światła i natychmiast w głowie Graya zapalił się sygnał ostrzegawczy. Przestrzeń nad Manhattanem była obecnie zamknięta dla cywilnej komunikacji, a sygnał pochodził od lokalnej kontroli ruchu lotniczego. Trevor poczuł, jak jego implant przesyła priorytetowy sygnał, i odczuł odpowiedź: miał pozwolenie.

Zastanawiając się, co mogło być tak ważne, Gray leciał na miotle przez noc.

Celia Carter obserwowała podskakujący teren przed sobą, prowadząc pająka w górę stopni Świątyni. Stwierdziła, że na szczęście nie znajduje się rzeczywiście w tym zdalnie sterowanym ciele. Nierówny teren sprawiał, że przejazdka była nieprzyjemna, a ona miała skłonności do choroby lokomocyjnej.

W przekonaniu jej mózgu była tym pająkiem, torującym sobie drogę na segmentowanych, chwiejących się nogach w górę schodów i poprzez potrzaskane diamentowe szczątki Świątyni. Jednak oprogramowanie w jej głowie pilnowało, żeby układ przedsionkowy siedział cicho.

Powierzchnia platformy Świątyni była zaśmiecona łuskami, skorupami i połamanymi fragmentami zniszczonych obcych urządzeń latających. Zignorowała je i dalej powoli kroczyła przez pole gruzów i skruszonych kolumn. Sensory pająka przesyłały pełny widok dookoła, ale oprogramowanie dostosowywało się do ograniczeń ludzkiego mózgu i zwężało jej faktyczne pole widzenia do tego, co znajdowało się z przodu oraz lekko po bokach. Była jednak świadoma „Lucasa” za sobą i Bifrostu na niebie.

Nagle zobaczyła jeden z obcych dronów, wiszący cicho dziesięć metrów przed nią i dwa metry nad rumowiskiem, zupełnie jakby próbował jej zagrozić drogę. Skąd się wziął, do cholery?

Carter natychmiast się zatrzymała i dwie maszyny stanęły twarzą w twarz, pozostając w bezruchu przez dłuższą chwilę. Przynajmniej – pomyślała Carter – obca maszyna nie zaatakowała od razu.

– Okej, dowództwo – powiedziała – widzicie to?

– Widzimy – odpowiedziała Taggart szeptem w jej umyśle. –
Co zamierza pani zrobić?

– Nie zaczęło strzelać – odpowiedziała Carter – więc myślę, że
wcześniejszy atak został sprowokowany przez obecność
uzbrojonych i opancerzonych marines.

– Może wyczuwa, że nie ma pani broni – odpowiedziała
Taggart.

– Możliwe. Spróbuję się do niego zbliżyć – powiedziała Carter.

Jej maszyna zrobiła mały krok w kierunku wiszącego
urządzenia, i jeszcze jeden. Bez reakcji. Czarna kula –
a właściwie sferoida, spłaszczona z góry – posiadała dookoła
obwodu błyszczące, zaokrąglone szkiełka i Carter miała
wrażenie, że to soczewki, obserwujące ją uważnie. Zrobiła
kolejny ostrożny krok.

Przez mały otwór w platformie wyleciała druga maszyna
i zajęła pozycję obok pierwszej. Carter usłyszała słabe buczenie,
docierające do niej przez czujniki radiowe.

– Dowództwo, czy one się porozumiewają?

– Odbieramy fale radiowe – odpowiedziała Taggart. – Bardzo
niska moc, bardzo krótki zasięg. Jeszcze nie odszyfrowaliśmy
kodu.

– Okej... Ale mówią do mnie czy do siebie nawzajem?

– Prawdopodobnie do siebie. Wygląda na to, że próbują
zdecydować, co robić.

– Spróbuję je obejść, zobaczymy, co się stanie.

– Zrozumiano...

Poruszała się wolno i przezornie, spodziewając się ataku
w każdym momencie. Z laserami, w które były uzbrojone te
rzeczy, stopień jej automatycznego ciała w ułamku sekundy
nie sprawiłoby im żadnego problemu.

Ciekawe, czy rozpoznały, że w powłoce pająka nie było
organicznego życia? Czy reagowały na roboty albo zdalnie
sterowane maszyny inaczej niż na formy życia zamknięte
w pancerzach?

Pojawiło się więcej unoszących się w powietrzu strażników, ale nadal tylko ją obserwowały. Naliczyła dwanaście maszyn, a wystarczyłaby jedna, żeby zniszczyć jej delikatny wehikuł.

Widziała główne wejście do wnętrza platformy piętnaście metrów przed sobą. Kontynuowała powolny spacer w tamtą stronę, a cicha eskorta unosiła się wokół niej. Była dosłownie otoczona.

Czy te rzeczy były naprawdę zautomatyzowane, czy może kontrolowane przez strażnicze AI? Albo, jak w przypadku jej pająka, sterowała nimi zdalnie istota z krwi i kości gdzieś na dole? Chciałaby wiedzieć. Wolałaby mieć pojęcie, z jakim rodzajem inteligencji musi sobie radzić.

Nagrywajcie wszystko. Wszystko...

Co, do kurwy?

– Dowództwo, nadaliście coś przed chwilą?

– Nie, Jeden.

Mein Gott!

– O, to! Słyszeliście to?

– Nie, Sonda Jeden. Odbieramy coś, co brzmi jak zakłócenia radiowe pochodzące od pani małych kolegów. Nic innego. Co pani słyszy?

– Brzmiało jak bardzo krótka transmisja radiowa. Polecenie „nagrywajcie wszystko” i coś, co brzmiało jak „mój Boże” po niemiecku.

– Nie odbieramy tego.

Słyszała teraz coś, co brzmiało jak szybka konwersacja w tle, piloci rozmawiający ze sobą w zakrawającym na szaleństwo chaosie ochrypłych głosów.

Co, do diabła? Przez moment Carter odczuła ostre wrażenie dysocjacji. Wiedziała, że jest bezpieczna i pod ochroną, wciśnięta w swoją kanapę na pokładzie „Lucasa”, ale złudzenie bycia na zewnątrz, samej, otoczonej przez nieprzeniknioną tajemnicę, obezwładniało. Bezsensowne było to, że jeśli jej pająk odebrał sygnały od czegoś mówiącego po niemiecku, to wszyscy nadzorujący jej transmisję na pokładzie „Lucasa” też

powinni to usłyszeć.

To zwiększało niewygodną możliwość, że doświadczała halucynacji. Sprawdziła swoje raporty psychiczne, ale nie znalazła żadnych ostrzeżeń ani alarmów wskazujących na obecność czegoś, co mogło sprawiać, że słyszała rzeczy, których nie było.

Dotarła do granicy otworu w platformie. Szerokie stopnie prowadziły w dół, w ciemność. Eskorta zgromadziła się wokół niej trochę bliżej i miała wrażenie, że drony ją prowadzą... zaganiają.

Pozwoliła im na to.

TC/USNA CVS „Ameryka”
Biuro admirała
Orbitalna baza Marynarki na SupraQuito
Godzina 22.40 TFT

Wahadłowiec połączył się bezpośrednio z „Ameryką”, podpinając się do jednej ze śluz lotniskowca. Gray był jedynym pasażerem na pokładzie, co świadczyło o wielkim znaczeniu tej podróży. Ktoś bardzo chciał z nim porozmawiać jak najszybciej. Kapitan Gutierrez czekała przy wylocie śluzy, ale nie było żadnych formalności, żadnego oficjalnego powitania.

– Witamy z powrotem, admirale.

– Dziękuję, kapitanie. Jak rozumiem, wszystko jest w porządku i z grubsza gotowe do przyśpieszenia?

– Tak, sir. Czekamy jeszcze na trzy okręty – „Paladyna”, „Dockery” i ciężki lotniskowiec Hegemonii Chińskiej o nazwie „Guangdong”. Są w układzie i spotkają się z nami tutaj jutro.

– „Guangdong”? To już cztery gwiazdne lotniskowce.

– Pięć, admirale. „Jiangsu” przybył z Ta Yu.

Ta Yu była kolonią Hegemonii w układzie Epsilon Ceti IV, na orbicie podwójnej gwiazdy położonej siedemdziesiąt dziewięć lat świetlnych od Układu Słonecznego. Jej nazwa, zaczerpnięta ze starożytnej chińskiej „Księgi przemian”, oznaczała „bogactwo”. Był to kamień węgielny chińskiego programu kolonizacji pozasłonecznej. To, że byli skłonni zabrać jeden ze swoich gwiazdnych lotniskowców z kolonii na Ta Yu, żeby wziąć udział w misji przy Gwieździe Kapteyna, wskazywało, jak poważnie traktowali zagrożenie ze strony Obcych z Rozety.

I słusznie – pomyślał Gray.

Zapadł się w kanapę w swoim biurze i opuścił dłoń na płytę komunikacyjną.

– W porządku – powiedział – jestem gotowy na połączenie.

Poczuł, jak oprogramowanie systemu komunikacyjnego „Ameryki” testuje jego umysł, sprawdzając tożsamość.

Potem był krótki moment zakłóceń i był... gdzie? W drewnianej chatce?

Wirtualny wizerunek Konstantina Ciołkowskiego spoglądał na niego przez antyczne binokle. Starszy człowiek z resztką siwych włosów i białą kocią bródką – awatar AI wyglądał jak samotny rosyjski nauczyciel. Wirtualne otoczenie miało imitować wnętrze rosyjskiej szkoły z początku dwudziestego wieku, zaktualizowanej nieco przez anachroniczne komputery i monitory. Gray rozmawiał z Konstantinem – albo jednym z jego klonów – kilka razy, ostatnio w Bethesda, ale wcześniej superinteligentna AI była zawsze bezcielesnym głosem w jego głowie. Słyszał, że prezydent czasami rozmawiał ze sztuczną inteligencją w wirtualnym otoczeniu, i założył, że chodziło właśnie o to.

– Witaj, admirale. Jak się pan czuje?

– Witaj, Konstantin.

Co można powiedzieć mechanicznemu umysłowi, uważanemu za kilka milionów razy mądrzejszy od przeciętnego człowieka? Gray zastanowił się, czy pytanie o jego zdrowie było faktyczną troską, czy też po prostu kalką uprzejmych ludzkich interakcji. Ale i tak odpowiedział.

– Mówiono mi, że obce bakterie zostały całkowicie wyeliminowane z mojego ciała i medyczne nanoboty, które we mnie wpompowali, utrzymają ten stan.

– Wspaniale to słyszeć. Martwiono się o pańską zdolność do kontynuowania obowiązków dowódcy grupy bojowej „Ameryki”.

To zabolalo.

– Jeśli jest jakakolwiek wątpliwość odnośnie do mojej zdolności...

– Nie ma, admirale, o tyle, o ile wiemy ja, pan prezydent i szefowie sztabów. Gdyby były, znalazłby się pan... Wydaje mi się, że panujące w Marynarce slangowe określenie to „na

mieliźnie”.

– Toczyła się dyskusja – powiedział Gray ostrożnie – o pozostawieniu mikroarów w moim cieie i wykorzystaniu mnie do komunikacji z nimi. Może też wysłaniu mnie z powrotem do Chmury N’gai.

– Inni mogą się tym zająć – odpowiedział Konstantin. – Wysłano okręt, który poinformuje doktor McKennon i Głębie Czasu Jeden o obecnej sytuacji. Wezwałem pana do węzła bezpiecznej komunikacji z innego powodu.

– Wróciłem na pokład najszybciej, jak to było możliwe.

– Doceniam pańską gotowość do współpracy. Chciałem przeprowadzić z panem tę rozmowę w cztery oczy, zanim opuści pan Ziemię.

– To musi być ogromnie ważne.

– Jest. – Obraz pochylił się do przodu. – Na pewno nie muszę przypominać, że ta rozmowa jest tajna. Będzie pan musiał podzielić się jej treścią z członkami swojej załogi, naturalnie, ale z nikim więcej aż do powrotu.

– Mojego powrotu. Z Gwiazdy Kapteyna?

– Nie. Czekam na pana dalszy cel.

– Omega Centauri?

Zgodnie z obecnymi rozkazami grupa bojowa „Ameryki”, wzmocniona przez kilka innych grup bojowych, tworząc jedną ogromną międzynarodową jednostkę specjalną, miała za zadanie dostać się do Gwiazdy Kapteyna i tam skonfrontować z obcymi. W zależności od wyniku tego spotkania flota miała następnie skierować się do gromady kulistej Omega Centauri i tam dalej walczyć z Obcymi z Rozety w miejscu, które uważano za centralę ich działalności w Galaktyce.

– Ponownie, nie.

Gray uniósł się na siedzeniu.

– Pański cel, admirale, jest tematem, o którym chciałem z panem porozmawiać. Jest niezwykle ważne, żeby „Ameryka” obrała inny kurs.

– Proszę kontynuować.

- Poinformowano pana o Gwieździe Tabby.
- Tak... Cóż, mniej więcej. Nie dostałem formalnych instrukcji, słyszałem tylko plotki. Wiem, że rozważali wysłanie nas w ten rejon. Agletsch zalecały, żebyśmy się właśnie tam wybrali.
- Tak. A ja się z nimi zgadzam.
- Rozumiem. – W rzeczywistości Gray nie miał pojęcia, o czym mówił Konstantin.
- Siły bojowe USNA są obecnie rozrzucone. Między wojskowymi i politycznymi przywódcami nie ma zgody co do tego, jak najlepiej wykorzystać nasze siły.
- Ale jeśli...
- Nie należę do pańskiego rządu, admirale. W najlepszym razie jestem uważany za doradcę prezydenta. Wysuwam sugestie, ale te propozycje nie zawsze są akceptowane lub wykonywane.
- Zaczekaj, Konstantin – powiedział Gray. – Czy ty sugerujesz, żebym sprzeciwił się rozkazom? Żebym zabrał moją grupę bojową do Gwiazdy Tabby zamiast do Gwiazdy Kapteyna?
- Grupa bojowa nie będzie konieczna. Chciałbym, żeby zabrał pan „Amerykę” do układu Gwiazdy Tabby, poszukał śladów inteligentnego życia i technologii, a potem wrócił z raportem na Ziemię.
- Gdzie natychmiast zostanę aresztowany i postawiony przed sądem za zlekceważenie rozkazów.
- Istnieje taka możliwość, oczywiście. Ale do tego czasu wyprawa nie będzie już sekretem. Będę sugerował, naturalnie, żeby pana uniewinniono.
- A jeśli nie znajdziemy tam nic pożytecznego?
- Agletsch są przekonane, że będzie inaczej.
- Pokazały ci coś? Dowody?
- Nie. Powiedzmy tylko, że ich argumenty były przekonujące.
- Konstantin... To nie jest w porządku. Jest powód, dla którego istnieje hierarchia rozkazów. Nie możemy po prostu jej zignorować, kiedy tylko nam nie pasuje.

– To prawda. Tak samo jak gatunek ludzki nie może sobie pozwolić na ignorowanie zagrożenia ze strony istot z Rozety. Ale pańscy dowódcy są zbyt skupieni na problemie, który leży tuż przed nimi. Jak mówią ludzie, „nie widzą całokształtu”. Reagują tylko na poczynania Obcych z Rozety, zamiast rozwijać progresywne i długoterminowe strategie. To w ostateczności mogłoby oznaczać zagładę pańskiego gatunku.

– Więc porozmawiaj z prezydentem.

– Rozmawiałem. Ale w demokratycznym rządzie przywódcy są ograniczeni przez konstytucyjne zabezpieczenia, zapobiegające nadużywaniu władzy. Są rzeczy, których prezydent zwyczajnie nie może zrobić bez zgody i aktywnego uczestnictwa władzy ustawodawczej.

– Więc porozmawiaj z nimi.

– Admirale, faktem jest, że po prostu nie ma czasu na budowanie konsensusu. Dane z Gwiazdy Kapteyna sugerują, że sytuacja jest tam krytyczna. Paneuropejska ekspedycja została unicestwiona w kilka sekund.

– Zostałem poinformowany. – Dalej nie mógł się pogodzić z tą wiadomością.

– Prezydent zaakceptował rady admirała Armitage’a i innych. Obawiają się, że obecność Obcych z Rozety zaledwie dwanaście lat świetlnych od Słońca oznacza, że ci obcy mogliby tu być w każdej chwili i że nie ma nic ważniejszego niż powstrzymanie ich na Heimdallu.

– No cóż, to brzmi sensownie, czyż nie?

– Tak, ale nikt nie zadaje oczywistego pytania: powstrzymać ich czym? Obcy z Rozety już zademonstrowali, że są w stanie wyeliminować nasze największe okręty niewielkim lub wręcz żadnym wysiłkiem. Wysyłanie do tego systemu kolejnych jednostek nie zdoła zniwelować różnic między ich technologią a naszą.

– To jest... to jest szalone, Konstantynie. Nawet admirałowie nie mają takiej swobody działania. Prosisz mnie o łamanie zasad i jest to tak niewłaściwe, że nawet nie wiem, co

powiedzieć.

– Boi się pan konsekwencji dla swojej kariery?

– Oczywiście, że tak. – Gray wzruszył ramionami. – I dla moich oficerów, i dla bezpieczeństwa mojej załogi. – Zmagał się z tym, co usłyszał. To, o czym mówiła AI, stanowiło nie tylko zlekceważenie obowiązków, ale być może także zdradę. Ponadto dalej nie był pewien, czy mógł w ogóle zaufać Konstantinowi. A jednak logika jego wyводу wydawała się bardzo przekonująca – jeśli nie bezbłędna. Co mógłby zdziałać jeden więcej gwiazdny lotniskowiec? Widział zdjęcia ze zniszczenia „Himmelschlossu”, wysłane z „Lucasa”, czytał raporty. Rozmiar okrętu, rozmiar grupy nie mogły mieć znaczenia. Rozkazy miały źródło w strachu i w komforcie. Nie tylko w tym, że politycy byli daleko od frontu, ale też w zasadzie „robimy to, co umiemy robić”. To, co sugerował Konstantin, mogło skończyć się postawieniem Graya przed sądem wojennym. Ale mogło też doprowadzić do rozwiązania problemu Obcych z Rozety.

W tej chwili wszystko zależało od tego, czy zaufa super-AI. Gray wziął głęboki oddech. Jego brak zaufania do zaawansowanej technologii, o czym wiedział bardzo dobrze, wynikał z egzystencji w Ruinach Manhattanu. Stopniowo odzyskał kontrolę nad tymi uczuciami. Zabrał swoją chorą żonę poza Peryferie, żeby otrzymała zaawansowane technologicznie leczenie, dołączył do Marynarki, żeby za nie zapłacić, zaakceptował implanty.

Pracował z Konstantinem więcej niż raz i ten nigdy go nie zawiódł.

Ale to był tak ogromny krok...

Zaufanie nie przyszło łatwo.

– Czy to naprawdę jest tak ważne?

– Może się okazać, że będzie miało kluczowe znaczenie dla dalszych losów gatunku ludzkiego.

– W takim razie chyba nie ma wyboru?

– Zawsze jest wybór. Pytanie, czy dana droga doprowadzi do

pożądanego celu.

- Do zatrzymania Obcych z Rozety.

- Istoty z Rozety są zbyt potężne, zdecydowanie zbyt zaawansowane, żeby ludzka technologia miała przeciwko nim jakiegokolwiek szanse. Gdyby chcieli, mogliby wymazać ten gatunek. Z naprawdę zaawansowanymi technologiami albo w sojuszu z istotami posiadającymi takie technologie mielibyśmy szanse.

- Ale nie rozumiem, jak wyprawa na Gwiazdę Tabby ma pomóc. Jasne, jeśli uda się nawiązać pokojowy kontakt, jeśli dysponują odpowiednią technologią, jeśli będą chętni jej nam użyczyć, jeśli uda nam się wymyślić, jak jej użyć przeciwko Obcym z Rozety... To cholernie dużo „jeśli”!

- Zgadzam się. Ale możliwe korzyści są zadziwiające.

- Na przykład co?

- Na przykład silnik Szkadowa.

- To przykuło uwagę Graya.

Carter pokonywała pająkiem szeroką, płaską przestrzeń dwadzieścia metrów poniżej powierzchni platformy Świątyni. Ciemność dookoła niej była nieprzenikniona, otoczenie tak zimne, że odbierała mało danych w podczerwieni. Włączyła światło i ciemność z przodu cofnęła się, ale operatorka nie mogła dostrzec szczegółów. Blask jej sprzętu był pochłaniany przez tę pustkę po zaledwie kilkudziesięciu metrach.

Eskorta dalej była przy niej, unosząc się w luźnym kole.

– Dowództwo, tu Sonda Jeden. Odbieracie?

Odpowiedział jej szum. Albo kamienne powierzchnie były zbyt grube, albo obcy jakoś blokowali kanały komunikacji. Ale kanały sterowania nadal działały sprawnie. Dziwne...

Poczuła obwody w swojej głowie nagle włączające się wskutek przychodzącej wiadomości.

– Adler Eins Zu „Himmelschloss”! Adler Eins Zu „Himmelschloss”!

To był ten sam głos, który słyszała wcześniej.

– Witaj! Tutaj doktor Celia Carter z „Lexingtona”! Odbieracie?

– Mein Gott im Himmel!

Te chrapliwe dźwięki mogły być tylko niemieckim. Nie знаła tego języka, ale obwody w jej głowie były w stanie go przetłumaczyć.

– Halo! – zawołała. – Kto mówi?

– Kapitanleutnant Martin Schmidt, Orzeł Jeden. Słyszę cię... powiedziałaś doktor? Co ty tu robisz?

– Jestem ksenologiem na gwiazdnym lotniskowcu USNA, „Lexingtonie”.

– „Lexington”? Jaka jest moja pozycja? Gdzie ja jestem?

Carter otworzyła szeroko kanał komunikacji, wciągając strumień danych z... nie była pewna skąd, ale to było wszędzie dookoła niej, pulsujące, przepływające, coś żyjącego. Przez chwilę była znowu w kosmosie, nie w podziemnych ciemnościach, otaczały ją gwiazdy. Bifrost, z pierścieniem i kolorowymi pasmami, widniał po jej lewej, a zwiewne świetlne kształty kręciły się i trzepotały przed nią niczym widowiskowy pokaz złotych zórz polarnych.

Westchnęła, czując piorun energii przechodzący przez jej mózg...

...a potem pochłonęła ją ciemność.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

13 grudnia 2425

Lądownik szturmowy „Lucas”

Dowództwo Heimdalla

Godzina 2.04 TFT

– Doktor Carter, jest pani przytomna?

Carter otworzyła oczy i zobaczyła zatroskaną twarz pochylonej nad nią komandor Taggart. Za Taggart lśniły światła ambulatorium, zdecydowanie zbyt jasno.

– Tak, komandorze – wydusiła. Czuła suchość w gardle. – Co się dzieje?

– Właśnie o to chciałam panią spytać. Musieliśmy wyłączyć zasilanie pani transmisji.

– Ja... rozmawiałam z kimś.

Taggart skinęła głową.

– Z Kapitänleutnantem Schmidtem z Orła Jeden. Tak, wiem.

– Skąd pani wie? Kanał komunikacyjny był zablokowany.

– Podłączyliśmy się do RAM.

– Ach, oczywiście.

Gdy człowiek łączył się zdalnie z jakimś urządzeniem, jego doświadczenia były automatycznie przechowywane w pamięci implantu mózgowego. Gdyby coś poszło nie tak, AI mogła uzyskać dostęp do RAM w celu zdiagnozowania problemu. To, że tak zrobiono, sugerowało, że z Carter nie było najlepiej.

– Co się stało? Jak długo byłam połączona?

– Kilka godzin. AI „Lucasa” używa danych, które pani

pozyskała, do rozmowy z Kapitänleutnantem Schmidtem...
A raczej z jego duchem.

– Jego duchem?

Taggart wyprostowała się i skinęła głową.

– Jego eskadra została... słowo, którego użyli, brzmi „odwzorowana”. Kapitänleutnant Schmidt i reszta jego eskadry zginęli, zapewne dlatego, że zbliżyli się zbyt blisko do konstrukcji Obcych z Rozety, chociaż w tej chwili tego nie wiemy. Jego umysł został jednak zreplikowany przez oprogramowanie Baondyedich w klifach Heimdalla. Tamtejsza AI zwariowała. Straciła swoich.

– Straciła... co? Przepraszam, ale nie nadążam.

– Do niedawna Heimdall zamieszkiwało blisko sześć miliardów inteligentnych istot. Około połowę stanowili konserwatywni Baondyeddi, którzy przenieśli swoją świadomość do wyrytych w skałach komputerów jakieś osiemset milionów lat temu. Druga połowa składała się z przedstawicieli szesnastu innych gatunków ze Społeczności Sh'daar, którzy albo zrobili to w tym samym czasie, albo dołączyli w ciągu kolejnych stu milionów lat.

– Konserwatywni Baondyeddi? – zdziwiła się Carter. – Co to, partia polityczna?

– Raczej ideologia. Jedna z wielu konkurencyjnych w Społeczności Sh'daar w tamtym czasie.

Carter próbowała wyobrazić sobie światopogląd jednego z tych wielonożnych naleśników. Z tego, co wiedziała o pochodzeniu Sh'daarów, duża część z tych, którzy pozostali, była w szoku po zniknięciu większości ur-Sh'daar w czasie katastrofalnej transcendencji technologicznej, którą zwali Schjaa Hok. Skupili się na nadchodzącym połączeniu ich cywilizacji z Drogą Mleczną, co oznaczało przejście kontroli nad młodszymi cywilizacjami zamieszkującymi tę galaktykę. Niektórzy jednak, oczywiście w przerośnięciu, wrócili do łóżka i założyli kołdry na głowy. Wirtualna rzeczywistość była atrakcyjnym sposobem ucieczki dla tych, którzy bali się

transcendowanych ur-Sh'daar.

– Dobra, więc było tu kilka miliardów kosmitów bawiących się w wirtualnej rzeczywistości. Co się z nimi stało?

– Mroczny Umysł.

Złowrogi, nieznany termin.

– Co takiego?

– Wygląda na to, że tak tutejsi nazwali Obcych z Rozety. Zgodnie z ich danymi jest to kolektywna, sztuczna świadomość o ogromnych możliwościach. Odwiedziła Heimdalla i najwyraźniej porwała zamieszkujące go cyfrowe istoty.

– Wszystkich?

– Na to wygląda. Tutejszej AI udało się sklonować kopię siebie i ona tu została, ale to wszystko.

– A Kapitänleutnant Schmidt?

– Sklonowana AI dorwała jego i resztę eskadry. A raczej skopiowała ich umysły w momencie, gdy rozwalili ich Obcy z Rozety. – Taggart wzruszyła ramionami. – Może zostali skopiowani podwójnie, raz przez Heimdalla, a raz przez tamtych.

– Więc oryginały – ich ciała – są martwe?

– Na tyle, na ile rozumiemy tę technologię, tak.

Carter zamyśliła się. Idea digitalizacji umysłów i skopiowania ich do komputerowych rzeczywistości wirtualnych pojawiła się już w drugiej połowie dwudziestego wieku, choć ludzkości nie udało się jeszcze opanować tej technologii. Wymagało to ogromnej mocy obliczeniowej, zarówno aby zeskanować i skopiować coś tak złożonego jak ludzki umysł, nie mówiąc o całym ciele, jak i aby stworzyć realistyczny i bogaty świat wirtualny.

Prawdziwy problem dotyczył jednak tożsamości. Jeśli skopiowałoby się dokładnie każdy atom i stan kwantowy każdej cząstki subatomowej w ludzkim mózgu, zdigitalizowało się tę informację i odtworzyło ją w sztucznej rzeczywistości, miałyby się kopie, która byłaby potencjalnie nieśmiertelna. Ale oryginał, jeśli nie zniszczył go proces kopiowania, wciąż siedziałby

w swoim ciele. Jeśli o niego chodziło, nic się nie działo i digitalizacja nie miała miejsca, chociaż mógł porozmawiać z kopią samego siebie. Gdy większość ludzi mówiła o przeniesieniu umysłu do wirtualnej rzeczywistości, chodziło im o przeniesienie tożsamości danej osoby, jej „duszy”, jak niektórzy nadal mawiali, nie tylko informacji.

Wszystko, co Carter wiedziała o technologii Sh'daar, sugerowało, że istotnie udało im się opanować metodę transferu samego umysłu z ciała do maszyny. Przynajmniej część transcendencji opierała się właśnie na tym, przez co umysły miliardów istot zniknęły i pozostawiły po sobie jedynie martwe, organiczne skorupy. Paneuropejscy piloci byli jednak najwyraźniej poddani działaniu bardziej prymitywnej technologii.

Chociaż... Czy to na pewno musiała być prawda? Może gdy Obcy z Rozety dosięgli ich myśliwców, w środku były tylko martwe, organiczne ciała?

Tyle pytań i tak mało odpowiedzi.

– Kapitänleutnant Schmidt wydawał się uważać, że nadal żyje – przypomniała sobie Carter. – Rozmawialiśmy, wymienialiśmy informacje...

– Obawiam się, że to niewiele znaczy – odparła Taggart. – Komputer można zaprogramować tak, aby symulował procesy myślowe człowieka. Pamięta pani test Turinga? Komputerom bez świadomości udawało się go rozwiązać już w dwudziestym pierwszym wieku.

– Wiem. Ale jeśli Schmidt i pozostali myślą, że wciąż żyją, albo jeśli rzeczywiście tak jest, to czy nie powinniśmy, nie wiem, jakoś ich uratować?

– Rozmawiamy z nimi – powiedziała Taggart z uśmiechem. – Dzięki pani. A raczej rozmawiamy z AI Baondyedich. Musimy się dowiedzieć, czego chcą – ona i piloci.

– Jak to dzięki mnie? – zdziwiła się Carter. – Ja tylko straciłam przytomność.

– Pani pajak zapuścił się do serca sieci obronnej

Baondyeddich i połączył się bezpośrednio z AI. Schmidtowni udało się skomunikować przez implant mózgowy z obwodami komunikacyjnymi pająka. AI wyłączyła zakłócenia, które pani napotkała, i dzięki temu mamy otwarty kanał.

– To nie była moja robota.

– Oczywiście, że tak. Tak będzie w moim raporcie. – Nagle komandor nachmurzyła się. – O ile Mroczny Umysł nie zainteresuje się nami bezpośrednio. Nie zauważył nas jeszcze, a przynajmniej nie zwrócił szczególnej uwagi ze względu na zakłócenia radiowe pochodzące z Heimdalla. Ale nie ma ich już. Zapewne słucha każdego naszego słowa.

Po plecach Carter przeszły ciarki.

– Świetne wieści, nie ma co. Myśli pani, że nas rozumie?

Taggart wzruszyła ramionami.

– Według AI Heimdalla niewiele jest rzeczy, których nie potrafi. Może jednak nasz nowy przyjaciel jest uprzedzony z uwagi na dotychczasowe doświadczenia.

– I co teraz? – spytała Carter.

– Utknęliśmy. Na krawędzi czegoś, czego nie mamy szans zrozumieć, mając nadzieję, że nie potraktuje nas jak uciążliwej muchy.

TC/USNA CVS „Ameryka”
Mostek flagowy
Obrzeża Układu Słonecznego
Godzina 19.20 TFT

Lotniskowiec gwiazdny „Ameryka” opuścił Układ Słoneczny z przyspieszeniem generowanym przez sztuczną osobliwość. Wynosiło pięć tysięcy g i dostosowane było do najwolniejszych z towarzyszących mu okrętów. Po półtorej godziny osiągnął dziewięćdziesiąt dziewięć i siedem dziesiątych procent prędkości światła. Otaczające „Amerykę” niebo stało się dziwnie skompresowane, jak krąg tęczowego światła otaczający jej przednią część. „Ameryka” stanowiła element ogromnej floty składającej się z trzydziestu ośmiu okrętów. Wraz z nią podążały lotniskowce „Declaration”, „Jiangsu” i „Guangdong”, kilkanaście pancerników i okrętów artyleryjskich, okręty marines „Nassau” i „Peleliu” oraz ciężki monitor Konfederacji „Festung”.

Patrząc na skład i rozmiar floty, Gray zastanawiał się, czy blizny po niedawnej wojnie domowej rzeczywiście się zagoiły. Odrzucił jednak tę myśl. Oczywiście, że wciąż były blizny – w końcu stanowiły właśnie pamiątki po starych ranach. Bawiło go nieco, że lotniskowce „Ameryka” i „Declaration” wciąż miały oznaczenie TC, będące skrótem od Terran Confederation. „Ameryka” miała je przez całą wojnę domową, mimo że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wycofały się wtedy z Konfederacji i walczyły o niepodległość. Pod względem politycznym wciąż nie istniała prosta odpowiedź na pytanie, czy USNA znowu były częścią globalnej rodziny narodów. Podpisano traktaty, odnowiono sojusze... Lecz Stany trzymały się nadal nieco na uboczu. Z tego, co wiedział Gray, prezydent nie chciał formalnej reunifikacji, a Senat był podzielony.

Niektórzy pragnęli ponownego zjednoczenia, inni zaś uważali, że USNA powinny mieć „specjalne relacje” z Konfederacją, które zapewniałyby Stanom suwerenność. Kwestia ta powinna rozstrzygnąć się w nadchodzących tygodniach.

Gray zastanawiał się, co myśli o tym Konstantin.

A co ważniejsze – czy obecna delikatna sytuacja zmieni się, gdy Gray wykona to, co zamierzył. Skoro wciąż byli oficerowie USNA, którzy nie ufali Konfederacji, zapewne i druga strona nie ufała Amerykanom. A w przypadku nagłego pogwałcenia rozkazów przez lotniskowiec, który odleci na samowolną misję w drugi koniec Galaktyki, zaufanie może zostać ponownie naruszone, być może nieodwracalnie.

Gray nie chciał być odpowiedzialny za zniszczenie z trudem wynegocjowanej równowagi po obu stronach Atlantyku. Niestety, nie przemyślał tego aspektu, zanim dał się namówić Konstantinowi na jego wariacki plan.

No cóż... Jak to mawiano, jeśli spadać, to z wysokiego konia. Jego kariera i tak będzie skończona. Nie mógł nie roześmiać się w duchu.

Ile razy mogli wyrzucać go z Marynarki?

Oczywiście mogły się zdarzyć też inne rzeczy. Mogło czekać go więzienie lub rewizja osobowości. W najgorszym przypadku wymazano by mu wspomnienia i świadomość własnego ja. Przerażało go to.

– Cholera, lepiej, żeby Konstantin spełnił obietnicę!

– Słucham, admirale? – odezwała się kapitan Gutierrez.

Gray nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to na głos.

– Nic takiego, kapitanie. Przepraszam.

– Przejście w ciągu trzech minut, sir.

– Dobrze, ale... Mam dla pani specjalne rozkazy.

– Sir?

Otworzył kanał prywatny.

– Oto one. Proszę nie rozmawiać o nich z nikim poza sternikiem i nawigatorem.

Gutierrez przeglądała rozkazy w myślach.

- Przepraszam za wyrażenie, ale co, do cholery...?
- Biorę pełną odpowiedzialność. Mogę tylko powiedzieć, że zmiana celu misji jest niezwykle ważna. Ten okręt, załoga i, co najważniejsze, oficerowie mostka nie ponoszą za to żadnej odpowiedzialności. Tylko ja.
- Gówny prawda, sir.
- Słucham?
- Kto tak naprawdę wydał ten rozkaz? Prezydent? Szefowie sztabów?
- Proszę założyć, że to ja... I że wiem, co robię.
- Ten rozkaz przyszedł od kogoś wyżej w łańcuchu dowodzenia.
- To ściśle tajne. – Łatwiej było skłamać, niż przyznać, że rozkaz pochodzi od superkomputera. Poza tym nie był pewien, co Gutierrez myśli o superinteligentnych AI. Jeśli podchodziła do nich choć w połowie tak podejrzliwie jak on...
- Ale w końcu wykonywał instrukcje Konstantina, czyż nie? Co do joty, aż do sądu polowego.
- Sir... Naprawdę nie...
- Wiem, że to nietypowa sytuacja. Ma pani prawo kwestionować te rozkazy. Sugeruję jednak, aby zapisała je pani jako „otrzymane pod przymusem” i spisała raport, który może pani wysłać do dowództwa, gdy tylko opuścimy metaprzestrzeń. Zakładam, że opíše pani dokładnie, co zrobiłem. To powinno uchronić panią i resztę załogi przed odpowiedzialnością karną.
- Admirale – powiedziała Gutierrez z mieszaniną gniewu i zakłopotania – ufam panu. Odkąd był pan kapitanem tej łajby, a ja pańskim pierwszym oficerem. Jeśli powie pan, że mamy polecieć do piekła, nie zamierzam tego kwestionować. To brzmi jednak, jakby ktoś próbował obejść oficjalne rozkazy, co może panu naprawdę zaszkodzić. Nie chcę, żeby tak się stało. I nie zamierzam na to pozwolić. Jeśli upiera się pan w brawurowy sposób pogwałcić rozkazy, będę stała przy panu. Intiende?

Gray nigdy nie słyszał, aby Gutierrez mówiła po hiszpańsku,

a już na pewno gdy była na mostku „Ameryki”.

– Rozumiem. Dziękuję.

– De nada. A teraz... O co naprawdę chodzi?

– Powiem pani, ale dopiero po tym, jak wykonamy manewr, dobrze?

– No... dobrze. – Nie była całkiem przekonana. – Obiecuję pan, że nie stawi czoła tym dupkom sam?

– Tym razem nie ma żadnych dupków. Ale tak, obiecuję.

– Zawsze są. Gdy wykonamy ten rozkaz, będą ich setki i zaczną się domagać pańskiej głowy. Nie chcę, aby stanął pan przed nimi samotnie.

– Zbliżamy się do punktu przejścia, kapitanie. Proszę przygotować się do skoku.

Przejście ze zwykłego napędu grawitacyjnego na napęd Alcubierre’a wymagało, aby okręt znajdował się dostatecznie daleko od ciał niebieskich, tak by lokalnej przestrzeni nie zakrzywiały żadne pola grawitacyjne. Oraz aby poruszał się z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Przy prędkościach relatywistycznych masa okrętu robiła się ogromna, a jego wymiary kurczyły się niemal do zera, czas zaś płynął w ślimaczym tempie w porównaniu z resztą wszechświata. Osiągnąwszy prędkość światła, okręt miałby nieskończoną masę, długość równą zeru, a czas całkowicie by się zatrzymał. Dlatego materialne obiekty mogły osiągnąć jedynie prędkość o włos od świetlnej. Napęd Alcubierre’a wykorzystywał jednak znacznie zwiększoną masę okrętu, by zakrzywić lokalną przestrzeń, zmniejszając ją przed okrętem, a zwiększając za nim. Einstein może i zakazał materialnym obiektom osiągnąć prędkość światła, ale nie mówił nic o tym, że nie może jej przekroczyć pusta przestrzeń. Ani o tym, że w tej przestrzeni nie mogą się zaplatać materialne obiekty.

– Przejście w metaprzestrzeń za dwie... trzy... jedną... skok! – oznajmiła Gutierrez.

Bańka przestrzeni wewnątrz pola Alcubierre’a została odcięta od reszty wszechświata i stanowiła w tym momencie

wszechświat sama w sobie. Statki używające napędu Alcubierre'a nie mogły komunikować się z innymi ani nie widziały nic poza swoim kieszonkowym wszechświatem.

Ale w odniesieniu do reszty świata mogły się poruszać.

„Ameryka” pędziła przez absolutną ciemność, choć instrumenty pokładowe twierdziły, że stoi w miejscu. I rzeczywiście tak było, przynajmniej w relacji do lokalnej czasoprzestrzeni. Kurs określało się zawczasu i okręt ruszał się po tym samym wektorze, co przed skokiem.

Pięć minut po uruchomieniu silnika Gray wydał mentalne polecenie pokładowej AI, aby go wyłączyła.

W rozbłysku światła „Ameryka” opuściła metaprzestrzeń.

Lecąc przez te trzysta sekund z pseudoprędkością piętnastu lat świetlnych na dobę, gwiazdny lotniskowiec znalazł się o pół biliona kilometrów dalej. Byli w Obłoku Oorta, gdzie Słońce widniało jedynie jako jasna gwiazda. Reszta okrętów floty kontynuowała lot, nieświadoma dezercji „Ameryki”. Nie dowiedzą się, że zniknęła, do chwili, aż wynurzą się z metaprzestrzeni przy Gwieździe Kapteyna.

Gray otworzył kanał komunikacyjny, łącząc się ze wszystkimi osobami na pokładzie.

– Tu admirał Gray. Nasza misja zmieniła się. Rozkazano nam zbadać niezwykle układ słoneczny tysiąc czterysta lat świetlnych od Ziemi. Reszta floty kontynuuje pierwotną misję, ale my odwiedzimy tak zwaną Gwiazdę Tabby. Możecie pobrać dane z sieci pokładowej. Nie mogę wiele wam powiedzieć o tym, czego można tam oczekiwać, ale powiem jedynie, że misja ta jest bardzo ważna dla Ziemi i ludzkości. Mamy nadzieję i spodziewamy się znaleźć tam technologię, która wyrówna nieco szanse w starciu z Obcymi z Rozety. Wiem, że każdy z was da z siebie wszystko. Dlatego to nas wyznaczono do tej misji.

„Ameryka” obracała się w czasie jego przemowy wokół swojej osi. Wokół niej widać było znane z Ziemi konstelacje gwiazd. Okrętowa AI otrzymała nowy program od samego Konstantina, w tym również precyzyjny kurs.

Gwiazda Tabby leżała w gwiazdozbiornie Łabędzia, znanym także jako Krzyż Północy. Ameryka miała jednak udać się tam na skróty. W zupełnie innym kierunku, w konstelacji Skorpion po stronie centrum Galaktyki leżał inny cel – nowo odkryta AGTR o nazwie Penrose. Dowiedziano się o niej od Agletsch dopiero parę miesięcy temu. Leżała relatywnie blisko – ledwie siedemdziesiąt dziewięć lat świetlnych od nich. Była to mniej niż połowa odległości do AGTR Tipler.

Przy pełnej prędkości lot do Penrose miał im zająć pięć dni i kilka godzin.

„Ameryka” zaczęła przyspieszać w stronę odległego cylindra AGTR. Bez wolniejszych okrętów wokół mogła lecieć z przyspieszeniem dziesięciu tysięcy g i miała osiągnąć prędkość bliską światła w ciągu pięćdziesięciu minut.

Wiadomość Graya, ułożona w głowie i przechowywana w pamięci RAM implantu, była gotowa do wysłania.

– Pani kapitan, chce pani coś powiedzieć naszym, którzy zostali w domu?

– Nie, admirale. Jestem z panem, dobra?

Chciał się z nią o to spierać, ale w końcu zrezygnował. Wiedział, że Gutierrez jest uparta.

Poza tym jego własny raport podkreślił, że Gutierrez wykonała rozkaz pod przymusem i nie ponosiła odpowiedzialności za zmianę misji „Ameryki”. Nie wiedział, czy to wystarczy, by ją ochronić, ale miał taką nadzieję.

Przez kolejną godzinę „Ameryka” przyspieszała, aż niebo wokół niej ścisnęło się zgodnie z prawami dziwacznej relatywistycznej geometrii. Gdy okręt osiągnął dziewięćdziesiąt dziewięć i siedem dziesiątych procent c, jego AI znów skupiła napęd grawitacyjny tak, by zakrzywić lokalną przestrzeń wokół okrętu.

„Ameryka” zniknęła z normalnej przestrzeni.

Lądownik szturmowy „Lucas”

Dowództwo Heimdalla

Godzina 22.12 TFT

Carter próbowała pojąć potop obrazów i myśli, który zalał jej umysł. Nieskutecznie. Myślała, że AI Baondyeddech próbuje pokazać jej obrazy ze stworzonej wewnątrz niej wirtualnej rzeczywistości, dostosowanej do emocjonalnych i umysłowych potrzeb różnych obcych gatunków. Były tam umysły paneuropejskich pilotów. Wyczuwała ich, czuła, jak poruszają się pośród świetlnych krajobrazów. To, że czuła ludzkie umysły wśród tych obcych widoków, podnosiło ją na duchu.

Widziała obcych...

Oczywiście przeważali Baondyeddi. Możliwe, choć nie ze stuprocentową pewnością, że świat zwany przez ludzi Heimdalem był ojczyzną Baondyeddech, gdzie wyewoluowali całe eony przed tym, jak Chmura N'gai została pożarta przez Drogę Mleczną.

Widziała w swoim umyśle Baondyeddech. Trudno było ocenić, jakie mieli rozmiary, bez punktu odniesienia. Pomyślała jednak, że ich płaskie ciała osiągały chyba około półtora metra średnicy i były unoszone przez wijące się ręko-nogo-paszczę jakieś trzydzieści czy czterdzieści centymetrów nad ziemią. Oczy – te niesamowite niebieskie kule nie mogły być niczym innym – otaczały krawędź dysku. Pomiedzy nimi znajdowały się cienkie jak włosy rzęski. Ciekawiło ją, jak musi wyglądać świat dla istoty, która widzi na wszystkie kierunki jednocześnie.

Wokół siebie czuła coś w rodzaju miasta z niskimi, płaskimi kopułami i drzwiami pasującymi do ciał Baondyeddech. Nie było jednak nic, co dałoby jej pojęcie o ich kulturze czy światopoglądzie. Czuła coś, wiele rzeczy... Być może emocje? Ale nie do końca odpowiadały ludzkim.

Przede wszystkim czuła jednak dwie rzeczy, które łatwo potrafiła zdefiniować: nieskończoną pustkę i poczucie straty...

Oraz przerażenie.

Carter była świadoma także innych inteligentnych istot wokół niej. Rozpoznawała niektóre z nich: Adjugredudhra, F'heen-F'haav. Wyczuwała, że każdy z tych gatunków, podobnie jak wiele innych, egzystował jako cyfrowe formy życia zamieszkujące wirtualne światy, całe uniwersa symulowane pośród skał Heimdalla. Chociaż nie do końca rozumiała to, co czuła i widziała, nadal podziwiała złożoność i różnorodność życia oraz Umysłu wokół niej.

Choć nie słyszała słów, stopniowo zyskała świadomość tematów przewodnich tego, czego doświadczała. Poszarpane klify stały się schronieniem przed straszliwym niebezpieczeństwem. Drażąc dalej, zobaczyła obrazy umierających milionów, miliardów istot, technologiczną zagładę, którą Agletsch nazywali Schjaa Hok, Czasem Zmian. Ci, którzy uciekli do wirtualnych światów, byli Outsiderami, istotami każdego z gatunków, które odrzuciły transcendencję ur-Sh'daar.

Nie można było w końcu oczekiwać, że wszyscy w danej kulturze przyjmą z otwartymi rękami tego rodzaju zmianę. W każdej cywilizacji zdarzali się outsiderzy, samotnicy, wizjonerzy czy konserwatyści, którzy chcieli być zostawieni samym sobie. Technofobowie i filozofowie, którym podobało się dotychczasowe życie i nie mieli zamiaru go zmieniać. Znaleźli schronienie wśród wielu wirtualnych światów Heimdalla. Carter nie potrafiła wyczytać szczegółów, ale miała poczucie, że manipulowali dawno temu przy swoim słońcu, za pomocą techniki polegającej na usuwaniu masy z jasnej, gorącej, szybko spalającej się gwiazdy tak, by przedłużyć jej życie. Kapteyn był kiedyś podobny do ziemskiego Słońca, a jego wiek szacowano na dziesięć miliardów lat. Teraz stał się czerwonym karłem o jednej czwartej masy Słońca, gwiazdą, która mogła istnieć jeszcze tysiąc razy dłużej.

A jednak choć wycofali się z tego rodzaju manipulacji, skorzystali z szansy, jaką dawała – z bezpiecznego życia w miejscu, które miało niemal na zawsze rozgrzewać słońce.

Widziała źródło przerażenia, przybycie... czegoś. Czegoś wielkiego, mrocznego i zacieklego.

W swoim umyśle Carter przelatowała przez warstwy złocistego światła, widziała przebudowę gwiazd, megainżynierię na skalę galaktyczną, nie do pojęcia przez śmiertelników...

Widziała Mroczny Umysł.

I wiedziała, że on zobaczył ją.

Obudziła się z krzykiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

19 grudnia 2425

TC/USNA CVS „Ameryka”

Mostek flagowy

Kurs na AGTR Penrose

Godzina 8.15 TFT

– Dobra, słuchajcie wszyscy – odezwał się Gray. – Jesteśmy gotowi?

Rozkazał otworzyć gródź między mostkiem flagowym a głównym mostkiem okrętu, robiąc z nich jedno dwupiętrowe pomieszczenie. Kapitan Gutierrez odwróciła się w swoim fotelu, spojrzała w górę – choć w nieważkości był to względny termin – i uśmiechnęła się.

– Chciałabym wiedzieć, jak mamy być gotowi na coś, co jest kompletną niewiadomą. Ale wszystkie systemy są w gotowości do przejścia przez AGTR.

Gray skinął głową. Po raz pierwszy przez jedną ze ścieżek cylindra AGTR Penrose miał przelecieć załogowy okręt. Zależeli teraz całkowicie od informacji Konstantina.

Nie czuł się z tym zbyt dobrze, ale nie mieli wyjścia.

– Broń? – spytał.

– Systemy uzbrojone, załadowane i gotowe, admirale – odparła komandor Jessie Parker.

– Myśliwce?

– Cztery eskadry gotowe do wystrzelenia – odpowiedziała w jego głowie CAG „Ameryki”, kapitan Connie Fletcher. –

Czekamy na rozkaz.

– Skanery i czujniki.

– Gotowe.

– Nawigacja.

– Kurs wprowadzony, admirale – oznajmił komandor Victor Blakeslee.

– Ster.

– Pod kontrolą AI, sir. Gotów do uruchomienia na pański rozkaz.

Gray przejrzał szereg zielonych ikon, które pojawiły się w jego głowie. Maszynownia... podtrzymywanie życia... zasilanie... wszystko na zielono.

Po raz ostatni przyjrzał się gwiazdnej panoramie, wyświetlonej ponad nim. Większość konstelacji pozostawała znajoma, z niewielkimi zmianami. Siedemdziesiąt dziewięć lat świetlnych było małym kroczkiem w tak ogromnej Galaktyce i tylko najbliższe gwiazdy zmieniły pozycje. Słońce znajdowało się bezpośrednio za nimi i nie było już widoczne gołym okiem. Przed nimi widniała natomiast Brama Penrose, zakrzywiająca światło z uwagi na odkształcenie czasoprzestrzeni. Widziana od przodu była idealnym okręgiem o nieco rozmytych ścianach i ciemnym wnętrzu.

Od czasu do czasu widać było przez nią obce gwiazdy.

Nie pozostało nic innego, tylko...

– Uruchomić procedurę przejścia przez AGTR.

– Aye, aye, admirale. Lecimy.

„Ameryka” zbliżyła się do obracającego się cylindra. AGTR Penrose była większa niż Tipler. Miała średnicę prawie pięciu kilometrów i długość niemal trzydziestu. Nie było wiadomo dlaczego, ale każda z odkrytych do tej pory gwiazdnych bram w okolicy Układu Słonecznego była unikatowa, choć każda miała wymiary zgodne ze swoim odpowiednikiem po drugiej stronie.

Okręt wleciał w paszczę anomalii. Gray poczuł lekki wstrząs, gdy silniki manewrowe dopasowały kurs do precyzyjnie

wyliczonego wektora. Zakrzywione, rozmyte ściany przeleciały obok nich, nad i pod nimi...

...i „Ameryka” wyłoniła się w nowej, nieznannej przestrzeni.

VFA-96 „Black Demons”

TC/USNA CVS „Ameryka”

AGTR Penrose

Godzina 8.17 TFT

Porucznik Donald Gregory siedział w swoim SG-420 Starblade, zmagając się z czarnymi myślami. Depresja ulegała pogłębieniu. Potarł przez rękawicę nanitowy materiał skafandra na udach. Nowe nogi sprawowały się dobrze. Niestety, czuł, że jego mózg nie bardzo.

Kiedy mieli go wreszcie nakryć i uziemić?

Nie obchodziło go to zupełnie.

– Pobudka – usłyszał głos dowódcy eskadry, komandora Luthera Mackeya. – Wylot za trzydzieści sekund.

Miałbym spać? Chyba żartujesz – pomyślał. Nawet gdyby był w stanie, kto chciałby przespać moment wkroczenia w nieznanne?

– Demony, tu kontrola lotu – usłyszał inny głos. – Jesteście pierwsi w kolejce. Przygotujcie się do wystrzelenia za dziesięć sekund.

– Przyjąłem, kontrola – odparł Mackey. – Jesteśmy gotowi.

Okno w głowie Gregory’ego pokazywało obraz z kamer na kopule ochronnej „Ameryki”, która zanurzała się w paszczy AGTR. Pilot sprawdził jeszcze raz wszystkie systemy swojego starblade’a i potwierdził gotowość. Wciąż nie przyzwyczyił się do nowego myśliwca, czarnej kropli, która zastąpiła stare starhawkki, velociraptory i stardragony ledwie parę miesięcy wcześniej. Uczył się latać na starhawkach. Na szczęście starblade’y potrafiły emulować systemy sterowania starhawków, więc nie musiał zmieniać przyzwyczajzeń. Maszyna była przedłużeniem jego ciała i umysłu.

Gregory stwierdził, że gdy pozostawał połączony z systemami

kontrolnymi i czekał na wystrzelenie z kanału startowego, objawy depresji nieco ustępowały. W jakiś sposób kosmiczny przestwór odganiał mrok. Albo kosmiczna walka na śmierć i życie.

Chciałby tylko, żeby myśli o Meg też odeszły.

Na długie sekundy otoczyła go rozmazana szara mgiełka. Czuł wstrząsy, gdy lotniskowiec korygował kurs.

I wtedy światło gwiazd eksplodowało wokół niego, kiedy „Ameryka” wynurzyła się z cylindra.

Mój Boże...

TC/USNA CVS „Ameryka”

Mostek flagowy

Gwiazda Tabby

Godzina 8.18 TFT

– Co to jest, do cholery? – Gray wpatrywał się w dziwne kształty przed nimi. – Powiększyć!

Kształty stały się teraz większe, ale wciąż były rozmazane.

Były jednak wielkie. Niewyobrażalnie wielkie.

– Konstantin! Na co patrzymy?

Klon Konstantina nie odzywał się przez kilka sekund. Gray praktycznie czuł, jak program odczytuje kaskady napływających danych.

– Uważam, admirale – powiedział w końcu – że patrzymy na strukturę Dysona. Bardzo uszkodzoną strukturę.

– Admirale? – kapitan Fletcher odezwała się na kanale dowódczym. – Mamy startować?

– Co? A, tak... tak, oczywiście. Wystrzelić myśliwce.

– Aye, aye, sir.

– Przekażcie im jednak, żeby nie zbliżały się zbyt blisko do tego czegoś, zanim nie ustalimy, co to jest.

– Przyjęłam, sir.

Po chwili Fletcher zameldowała:

– Pierwsza eskadra wystrzelona.

– Dziękuję, CAG. – Dwanaście myśliwców z eskadry „Black

Demons” przyśpieszało w stronę serca układu. Dwanaście kolejnych, „Impactors”, ustawiało się w szyku. „Ghost Riders” właśnie opuszczali obrotowe kanały startowe.

Gray wciąż wpatrywał się w ogromne obiekty przed nimi. Pobrał wszystkie informacje od Konstantina o gwiazdzie, również pierwszy artykuł astronom Tabethy Boyajian oraz raporty o tym, jak teleskop Keplera po raz pierwszy zarejestrował KIC 8462852. Wówczas, setki lat temu, gwiazda dziwnie przygasła, jakby zasłoniło ją coś masywnego. Jedną z możliwości, którą wtedy rozważano, było to, że Kepler ujrzał strukturę Dysona w budowie, co wydawało się bardzo mało prawdopodobne. Szanse na to, że teleskop zarejestrował fluktuacje strumienia świetlnego dokładnie w chwili, gdy konstrukcję tworzący, były tak niewielkie, że pomijalne.

Ostatecznie astronomowie odrzucili hipotezę o obcych megastrukturach wokół Gwiazdy Tabby. Uznano, że spadek jasności musiał być skutkiem nietypowo dużej prędkości obracania się gwiazdy.

Gwiazda pozostała astronomiczną ciekawostką, nikt nie uważał jej jednak za ważne zjawisko.

Wpatrując się w obraz na ekranie, Gray zaczął rozumieć niektóre z jej tajemnic. Wiedział też, dlaczego Agletsch i Konstantin tak nalegali na tę misję.

Automatycznie zlustrował otaczającą ich przestrzeń w poszukiwaniu potencjalnych zagrożeń. Za nimi obracał się srebrny krąg AGTR.

– Ciekawe – powiedział Gray.

– Admirale? – spytała Gutierrez.

– Ciekawi mnie, że jeden z cylindrów jest akurat tutaj, w układzie Gwiazdy Tabby.

– Myśli pan, że to miejscowi go zbudowali? Zbudowali je wszystkie?

– Nie wiem, pani kapitan, ale chciałbym wiedzieć. Mamy zbyt wiele niewiadomych. – Zamyślił się na chwilę. – Konstantin? Zapisz nową bramę jako AGTR Boyajian.

– Zanotowano, admirale.

Na sterburcie widać było blade światło wirującej mgławicy. AI okrętu oznaczyła ją jako NGC 7000 – Mgławicę Ameryka Północna. Ta chmura międzygwiazdowego pyłu i gazu musiała znajdować się niedaleko, bo była tak wielka na niebie.

Na ekranach widniała też pobliska gwiazda, lśniąca niebieskobiałym blaskiem jak palnik spawalniczy, jaśniejsza niż Wenus na ziemskim niebie. Komputer oznaczył ją jako Deneb – Alfa Cygni. Ona również musiała być bardzo blisko, jeśli świeciła tak jasno.

Prawdziwy spektakl wizualny znajdował się jednak bezpośrednio przed nimi. Gwiazda Tabby świeciła gorącym, białym blaskiem, przyćmiewającym okoliczne obiekty. „Ameryka” wyłoniła się z AGTR Boyajian jedynie osiem jednostek astronomicznych od gwiazdy – na tyle blisko, że była ona małym, lecz oślepiająco jasnym dyskiem, rozświetlającym sferyczną chmurę pyłu, otaczającego ją w promieniu ponad pięciu jednostek astronomicznych. Blask wydobywał także dużo większe obiekty, orbitujące wokół lokalnego słońca na bliższej orbicie. Największy z nich wyglądał jak poszarpany strzęp metalu. Musiał być ogromny, skoro dał się dostrzec z takiej odległości.

Gray wskazał ten fragment w umyśle.

– Jakiej to jest wielkości?

– Według naszych instrumentów ma ponad trzy miliony kilometrów długości – odparł Dean Mallory, oficer taktyczny.

I nie było samo. Wokół lśniły setki innych widocznych fragmentów o wielkości do pół miliona kilometrów. Setki tysięcy, może miliony kolejnych miały rozmiary asteroid. Wszystkie tworzyły szeroki, płaski pierścień wokół gwiazdy.

– Czy możemy bardziej powiększyć obraz?

– To limit naszej rozdzielczości, admirale – odparł oficer obsługujący czujniki.

– Dobrze. – Będą musieli zaczekać, aż myśliwce podlecą bliżej.

Na razie Gray widział ziarnisty obraz w niskiej rozdzielczości, ale AI pracowała nad jego oczyszczeniem. Przekaz był rozmazany nie tylko z powodu odległości, ale też mózg człowieka miał problemy z interpretowaniem tego, co widzi. W przypadku największego odłamka do Graya dopiero stopniowo docierało, że jest on pokryty kraterami, od niewielkich po olbrzymy o średnicy tysięcy kilometrów. Wyglądał... tak, teraz Gray widział. Cokolwiek wybiło największy z kraterów, przebiło się całkowicie przez relatywnie cienką skorupę. Przez otwór widział gwiazdy. Wszystkie odłamki były pokryte kraterami tak obficie, jak powierzchnia Księżyca czy Merkurego. Ale co mogło...

Oczywiście! Te fragmenty, których były całe miliony, krążyły tu przez długi czas i wyglądało na to, że orbitowały wokół słońca w skupiskach. Oddziaływania grawitacyjne między nimi próbowały jakoś uporządkować ten chaos. Fragmenty podróżowały mniej więcej w tym samym kierunku, ale i tak zderzały się od stuleci.

Gwiazda Tabby była na tyle odległa od Układu Słonecznego, że gdy po raz pierwszy zaobserwowano dziwne fluktuacje światła, ziemscy astronomowie widzieli coś, co zdarzyło się w roku pięćset trzydziestym piątym naszej ery. Oznaczało to, że chaotyczne kolizje szczątków trwają przynajmniej od tysiąca dziewięciuset lat, a możliwe, że dużo dłużej.

Na oczach Graya kawałek lśniącego metalu wielkości małego kontynentu powoli wszedł w kontakt z innym, mniejszym. Powstałe odłamki powoli dryfowały w inną stronę. W miejscu zderzenia metal rozgrzał się do białości. Mniejsze fragmenty uderzyły w kolejne... kaskada powolnej destrukcji.

Megastruktura zbudowana wokół gwiazdy powoli ulegała dalszemu zniszczeniu. Większe fragmenty przyciągały mniejsze, a kolizje zamieniały odłamki w pył. Od jak dawna to trwało?

- Konstantin? Jak daleko od gwiazdy jest pole szczątków?
- Pas orbitalny jest dość gruby, admirale. Ale największe

fragmenty wydają się przebywać na orbicie jeden i osiemdziesiąt pięć setnych jednostki astronomicznej od gwiazdy.

Gray wykonał obliczenia w swoim implancie. Zważywszy na masę gwiazdy, wynoszącą jeden i czterdzieści trzy setne masy Słońca, planeta lub inne ciało na orbicie jeden i osiemdziesiąt pięć setnych jednostki astronomicznej musiałoby mieć okres obrotu... tak... około siedmiuset pięćdziesięciu dni. To potwierdzało hipotezę, że przyczyną fluktuacji jasności gwiazdy rzeczywiście były resztki ogromnej konstrukcji.

Konstantin musiał monitorować jego obliczenia, bo odezwał się:

– Zainteresuje pana też fakt, że strefa życia dla gwiazdy tej wielkości mieści się od jeden i sześć dziesiątych jednostki astronomicznej do prawie trzech.

– Co oznacza, że te wielkie fragmenty mieszczą się w tej strefie.

– Właśnie.

Termin „strefa życia” był dość elastyczny i nie do końca zdefiniowany, ale ogólnie oznaczał odległość od gwiazdy, w której woda – pod standardowym ciśnieniem atmosferycznym – pozostawała płynna. Ktokolwiek zbudował załazek struktury Dysona wokół Gwiazdy Tabby, mógł być przystosowany do wyższych temperatur niż te na Ziemi, ale nadal potrzebował płynnej wody.

Sam ten fakt powinien uświadomić dwudziestopierwszowiecznym astronomom, że cokolwiek zaciemniało światło z KIC 8462852, okres siedmiuset pięćdziesięciu dni oznaczał, że znajdowało się w „złotej strefie”, być może zamieszkałej przez życie typu ziemskiego.

Gray szybko zdał sobie wtedy sprawę z kolejnej rzeczy, a tej konstatacji towarzyszyło ukłucie rozczarowania. Najwyraźniej kiedyś istniała tu zaawansowana technicznie cywilizacja, ale dawno temu. Nie było jej tu już na pewno w roku pięćset trzydziestym piątym naszej ery, gdy wystąpiły fluktuacje

światła, które wieki później przykuły uwagę ziemskich astronomów. Jeśli stopniowe przyciemnienie gwiazdy było skutkiem rozpadu struktury Dysona, zapewne stało się to przynajmniej wiek wcześniej. Cokolwiek zniszczyło tę wysoce zaawansowaną infrastrukturę, zrobiło to, gdy na Ziemi istniało jeszcze Cesarstwo Rzymskie, a być może dużo wcześniej.

Co oznaczało, że nie będzie prostych odpowiedzi, nie będzie magicznej broni, która pokona Obcych z Rozety. Jeśli kroczyli tu niegdyś Gwiazdni Bogowie Laurie, już dawno odeszli.

– Konstantin?

– Tak, admirale?

– Czy coś wskazuje na to, co stało się z istotami, które to zbudowały?

– Nic konkretnego. Przypominam jednak, że ludzkie punkty odniesienia i sposób rozumowania mogą nie mieć tu zastosowania.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że jest za wcześnie, by stwierdzić, jakoby budowniczowie wymarli.

– Trudno wyobrazić sobie, że cywilizacja dość zaawansowana, aby zbudować coś takiego, po prostu pozwoliłaby, aby efekt pracy uległ rozpadowi.

– Zgadzam się. Można założyć, że użyliby materiałów, z których ją zbudowano, do innych celów.

– Może przeszli transcendencję? Albo po prostu spakowali manatki i odlecieli?

– Należy to brać pod uwagę.

– Mamy jakieś sygnały komunikacyjne na sensorach? – Gray odezwał się do oficerów.

– Nie, admirale. Tylko sygnały z myśliwców i rozmowy między pilotami.

– Wyciek neutrin? Fale grawitacyjne?

– Nic, sir.

Gray wpatrywał się ponuro w ekran.

– Brak sygnałów radiowych – podsumował. – Żadnej

komunikacji laserowej. Nie ma reaktorów fuzyjnych ani technologii grawitacyjnej.

– W roku dwa tysiące piętnastym próby nasłuchiwania fal elektromagnetycznych nadchodzących z tego układu nie dały żadnych efektów – przypomniał Konstantin. – Wiedzieliśmy od tamtej pory, że albo zamieszkująca tu cywilizacja nie używa tego rodzaju fal do komunikacji, albo...

– Albo zniknęła.

– Albo zniknęła.

Czy tutejsza cywilizacja osiągnęła osobliwość technologiczną i zniknęła, spakowała się i przeprowadziła gdzie indziej, czy po prostu wymarła z jakiegoś powodu? W każdym razie tutaj jej nie było. Gray widział już, jak tłumaczy się przed sądem polowym: „Mieliśmy nadzieję, że dadzą nam superbroń, za pomocą której pokonamy Obcych z Rozety, ale nie było ich w domu, więc musieliśmy wrócić z pustymi rękami”.

Pieprzyć to – pomyślał. Na pewno musi tu być coś użytecznego. Coś, czego mogą się dowiedzieć. Z czego mogą skorzystać. Konstantin był tak pewien...

Na przykład silniki Szkadowa.

Według okrętowej bazy danych silniki Szkadowa nazwano od fizyka Leonida Michajłowicza Szkadowa, który napisał w 1987 roku artykuł pod tytułem „Możliwość kontrolowania ruchu Układu Słonecznego w Galaktyce”. Szkadow opisał tam potencjalną budowę ogromnego lustra, wiszącego nad Słońcem, żagla słonecznego o długości i szerokości milionów kilometrów, utrzymywanego w równowadze między ciężeniem grawitacyjnym Słońca a naciskiem jego światła. Taki stacjonarny satelita, albo raczej statyta, zawsze wisiałby nad tym samym obszarem gwiazdy i tworzyłby nierównowagę w ciśnieniu promieniowania gwiazdy, którego nadmiar powodowałby ciąg przemieszczający ciało niebieskie w stronę lustra.

Oczywiście megastruktura o takiej skali, wykorzystująca energię gwiazdy, oznaczałaby, że budowniczowie osiągnęli

drugi poziom skali Kardaszewa.

Gray przypomniał sobie rozmowę z Radą Sh'daar sześć tygodni wcześniej, kiedy opisał im cywilizacje typu K-I, K-II i K-III. Czy o to chodziło Konstantinowi? O zdobycie technologii cywilizacji drugiego poziomu, żeby użyć jej przeciwko Obcym z Rozety?

Problem w tym, że jeśli jego przypuszczenia co do istot budujących galaktyczną sferę Dysona w centrum Drogi Mlecznej były zgodne z prawdą, Obcy z Rozety wciąż i tak mieliby znaczną przewagę.

No i co dałaby technologia potrzebna do przemieszczania gwiazd? Gray przeliczył to sobie. Gdyby Słońce wyposażyć w żagiel słoneczny odbijający połowę jego promieniowania, generowałoby to siłę rzędu $1,28 \times 10^{28}$ niutonów. To było naprawdę sporo energii, ale... Słońce było naprawdę wielkie – ważyło 2×10^{30} kilogramów. Po milionie lat uzyskałoby prędkość całych dwudziestu metrów na sekundę i przemieściło się o trzy setne roku świetlnego.

Na dłuższą metę zyskiwało się więcej. Po miliardzie lat zmiana prędkości wynosiłaby dwadzieścia kilometrów na sekundę, a Słońce przesunęłoby się o trzydzieści cztery tysiące lat świetlnych, czyli o jedną trzecią średnicy Galaktyki.

Przy odpowiedniej technologii możliwe było przemieszczanie gwiazd i nawet używanie ich jako broni, ale wymagało to naprawdę ogromnej cierpliwości.

W dalszych stuleciach zasugerowano inne niż Szkadowa pomysły na przemieszczanie gwiazd. Gdyby którąś z nich „ścisnąć” z użyciem potężnej indukcji magnetycznej albo trącić potężnymi osobliwościami grawitacyjnymi, gwiazda mogłaby wytworzyć ciąg, który zmieniłby ją w wielką rakietę. Choć nie był to silnik Szkadowa sensu stricto, czasami używano tego określenia na każdą technologię zdolną przemieszczać słońca.

Mimo wszystko cywilizacja zdolna do przemieszczania gwiazd mogła mieć w zanadrzu coś, co pomogłoby Ziemi pokonać Obcych z Rozety. Gdyby „Ameryka” nawiązała kontakt

z gatunkiem, który osiągnął tak boskie moce, ludzie zyskaliby chociaż jakąś szansę. Nieważne, jak niewielka byłaby to szansa, Gray uważał, że warto zaryzykować karierę.

Ale zanim zdoła w ogóle nawiązać kontakt z tym układem, musi go zrozumieć.

Zaczął od pola odłamków. Co widział, patrząc na krążące powoli fragmenty megastruktury? Wrak urządzenia, które miało przemieszczać Gwiazdę Tabby po Galaktyce? Wiele dyskusji związanych z silnikami Szkadowa i podobnymi hipotetycznymi technologiami zakładało, że wykorzystywałyby też sfery Dysona lub roje Dysona. Poruszająca się gwiazda ciągnęłaby za sobą również orszak planet, ale sfera otaczająca gwiazdę albo lepiej: chmura habitatów i kolektorów słonecznych orbitująca wokół niej, pozwalałaby na bardziej kontrolowane warunki i ochronę przed rozbłyskami słonecznymi czy innymi nieprzewidywalnymi zachowaniami gwiazdy.

Gray niemal się wzdrygnął. Jaka cywilizacja grałaby w bilard własnym słońcem?

Możliwe, że ruina, na którą patrzył, była szczątkami cywilizacji typu K-II, która przeceniła swoje możliwości. Chciała poruszyć gwiazdę, ale coś poszło nie tak.

– Konstantin?

– Tak, admirale?

– Ta chmura obiektów otaczających gwiazdę, czy to rój Dysona? Na co właściwie patrzymy?

– Wciąż nie jestem pewien, admirale. Chmura wydaje się jednak mocno uporządkowana. Składa się z dziesiątek milionów obiektów na orbitach między trzema a pięcioma jednostkami astronomicznymi od gwiazdy. Każdy z nich ma kształt sferyczny i średnicę od trzydziestu do czterdziestu kilometrów, z masą rzędu pięć razy dziesięć do szesnastej potęgi kilogramów.

– Pięćdziesiąt bilionów ton? Są zwartymi obiektami?

– Nie wiadomo. Pięćdziesiąt bilionów ton to przybliżona

masa, jeśli mają gęstość około dwóch gramów na centymetr sześcienny. Mogą być jednak puste w środku.

– Sztuczne habitaty.

– Bardzo możliwe. Jednakże mogą też być złożone ze stałego lub niemal stałego komputronium. Ułożone są w przynajmniej pięć koncentrycznych warstw. Możliwe, że widzimy właśnie mózg-matrioszkę.

Była to kolejna koncepcja megainżynierska. Następną zabawka zaawansowanej cywilizacji. Podobnie jak w przypadku roju Dysona, otacza się gwiazdę satelitami, ale zamiast robić z nich habitaty dla ludności, konstruuje się je z komputronium, hipotetycznego materiału, stanowiącego najlepszą możliwą formę przetwarzania danych.

Następnie należy ułożyć je w koncentryczne warstwy. Wewnętrzna warstwa używa światła słonecznego do wykonywania obliczeń i przekazuje resztę energii dalej. Kolejna warstwa zbiera tę energię i wykorzystuje ją, aż w końcu wykorzystane jest całe promieniowanie gwiazdy. Gdy kule z komputronium rozmawiają ze sobą, uzyskuje się sieć komputerową wielkości układu słonecznego o niesamowitej mocy obliczeniowej.

Mieszkańcy Heimdalla wyryli obwody komputerowe w skałach swojego świata, tworząc komputer planetarny dość mocny, by pomieścić wirtualną populację liczoną w bilionach osobników, żyjącą w niewyobrażalnie bogatym cyfrowym świecie. Mózg-matrioszka byłby biliony bilionów razy potężniejszy.

– Mój Boże – powiedział szeptem Gray. – O czym oni myślą?

– Tego nie wiemy, admirale. Warto też zwrócić uwagę, że system wydaje się nieaktywny.

– Wiem, wiem. Ale... zastanawia mnie...

– Co, admirale?

– Zastanawia mnie, czy możliwe jest ustalenie, o czym myślał ten ogromny umysł, zanim ktoś wyciągnął wtyczkę.

– To mało prawdopodobne. Nawet zakładając, że udałoby się

przewyciężyć problemy związane z językiem i architekturą komputerową.

– Nie, jeżeli mamy do czynienia z holograficznym mózgiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

19 grudnia 2425

VFA-96 „Black Demons”

Gwiazda Tabby

Godzina 11.27 TFT

Porucznik Gregory przeleciał nisko nad powyginaną, przeoraną przez kratery powierzchnią fragmentu Pasa Tabby. Niebo nad nim było pełne krążących skał.

Widok całkiem go bawił na specyficzny, przerażający sposób. Wirtualne dramaty były pełne scen osadzonych w pasie asteroid Układu Słonecznego albo wokół innych gwiazd i nigdy nie przedstawiały rzeczywistości.

Dla potrzeb filmu nieodmiennie pokazywano pasy asteroid jako zatłoczone, pełne ogromnych głazów i wyglądające właśnie... jak to, co widział wokół. Szkolenie Gregory'ego obejmowało miesięczny pobyt w okolicach Ceres, w pasie asteroid wokół Słońca, więc wiedział z doświadczenia, że planetoidy były tam rozsiane na ogromnej przestrzeni tak, że jeśli nie było się akurat blisko jednej z nich, nie widziało się żadnych na niebie. Odległości między jedną skałą a kolejną wynosiły przeciętnie około miliona kilometrów, a bywały też znacznie większe.

Niebo wokół Gregory'ego wyglądało teraz jak te fikcyjne rumowiska, pełne skał różnej wielkości, od małych kamyków po dryfujące góry. Gęstość pasa nie była jednolita. Grawitacja sprawiała, że poszczególne skały orbitowały wokół siebie

w niewielkiej odległości. W innych miejscach ziały spore luki.

Caswell i Ruxton sprawdzili już skład kilku fragmentów, analizując gaz ulatniający się po trafieniu z lasera. Jeden z kawałków składał się głównie z hiperniklu, kolejny był mieszanką stali i plastiku, zapewne z chondrytów węglistych, rodzaju bogatych w węglowodory asteroid.

Wspierało to klasyczną teorię konstrukcji sfer Dysona. Trzeba było wykorzystać do budowy wszystkie planety i asteroidy w układzie, aby stworzyć coś tak wielkiego.

Dla Gregory'ego był to szalony pomysł. Jaki idiota niszczy cały swój układ słoneczny, żeby uzyskać surowce dla sztucznego habitatu? To było raczej krótkowzroczne. To wszystko mogło się przecież okazać kiedyś potrzebne.

W głowie Gregory'ego błysnął sygnał. To było dziwne...

– Hej, skipper? Tu Demon Cztery. Mam przed sobą źródło podczerwieni. Zasięg jakieś dwa tysiące kilometrów.

– Przyjąłem, Cztery. Sprawdź, ale uważaj na siebie.

Przyspieszył, kierując się na sygnał.

Jak na razie, w polu odłamków nie znaleźli śladu życia. Kiedyś jednak zapewne tętniło tu życie. Niektóre z fragmentów przypominały góry, doliny, czasami coś w rodzaju budowli. Zapewne cała wewnętrzna powierzchnia była pokryta ziemią, wodą i roślinnością, imitując powierzchnię planety.

Naprawdę wielkiej planety.

Na niektórych fragmentach było widać infrastrukturę – tunele, drogi czy być może budynki, ułożone z geometryczną precyzją po wewnętrznej stronie struktury.

Na pewno budowali na wielką skalę.

Nie było jednak dość szczątków, by starczyło na pełną sferę Dysona, co wydawało się nieco zagadkowe.

Tak, pole odłamków było ogromne, ale nadal wyglądało, jakby brakowało materiału. Może był to pierścień Nivena, czyli płaska obręcz obracająca się tak, by wytwarzać grawitację na wewnętrznej powierzchni, z ogromnymi ścianami na krawędziach powstrzymującymi atmosferę przed ucieczką

w kosmos.

Albo... może kiedyś była to sfera, której większość fragmentów wpadła do gwiazdy. Ale wciąż pozostawała tajemnica statytów.

Daleko poza pierścieniem odłamków konstrukcje wielkości asteroid wisiały na delikatnych żaglach, z których każdy miał grubość pojedynczych molekuł, ale rozciągał się na przestrzeni wielkości połowy Ameryki Północnej. Czarne Demony minęły kilka z nich godzinę wcześniej w drodze do pasa asteroid. Te stacjonarne satelity, utrzymywane w miejscu dzięki równowadze między grawitacją gwiazdy a naciskiem jej promieniowania, nie wyglądały na habitaty. Najwyraźniej miały na celu wykorzystywanie światła gwiazdy. Mogły być klasyczną alternatywą dla sfery Dysona, zwaną rojem Dysona, który rozwiązywał pewne potencjalne problemy litej sfery. Pytanie więc, dlaczego budowniczowie tutaj użyli obu rozwiązań? Być może wewnętrzna konstrukcja była pierścieniem wokół słonecznego równika, a statyty wisiały ponad nią, łącząc elementy obu koncepcji. Ale znów – dlaczego?

Gregory wiedział, że nie mieli jeszcze pełnego obrazu sytuacji. Zastanawiało go, czy odłamki w pasie nie były wcześniejszą, nieudaną próbą zbudowania pierścienia albo sfery i czy rój statytów nie został stworzony później. Być może. Miało to pewien sens, choć musiał przyznać, że może to kwestia depresji. Robił się cyniczny.

Albo... Może były to twory dwóch różnych cywilizacji, rozdzielonych nawet milionami lat? Budowniczowie pierścienia byli przodkami twórców roju albo ci drudzy przylecieli skądś, wykorzystując resztki z pasa jako budulec.

Czy doszło między nimi do wojny? Czy najeźdźcy zniszczyli pierścień i wykorzystali jego szczątki?

W każdym razie „Ghost Riders” sprawdzali teraz statyty. „Black Demons” wysłano do wnętrza układu w celu zbadania pasa szczątków. Mogli rozwiązać tajemnicę, tylko znajdując kogoś lub coś żywego, co da się przepytac. Odłamki w pasie były

martwe. Może jednak wśród statytów znajdowała się jakaś AI? Albo istoty, które przesłały świadomość do komputerów? Być może wtedy uda im się nawiązać kontakt.

Starblade hamował teraz w odległości kilkuset kilometrów od źródła promieniowania podczerwonego, ale Gregory nie widział przed sobą nic, co wyglądałoby jak działająca struktura albo statek. Dostrzegał jedynie coś zwiewnego, prześwitującego, co wydawało się wyrastać z jednego z odłamków. Na początku pomyślał, że jego wyświetlacz uległ uszkodzeniu, lecz AI zapewniła go, że wszystko działa jak należy.

Wtedy to coś się poruszyło.

Błoniasty kształt falował. Jego części poruszały się jak woda, a inne błyszcząły niczym zorze polarne. Źródłem podczerwieni był właśnie ten odłamek, kawał metalu wielkości budynku, unoszący się na krawędzi dużo większego zwiewnego kształtu. Chmura była ogromna. Nie mógł jej namierzyć radarem, ale potrafił wzrokowo ocenić wielkość, porównując z pobliskim dryfującym fragmentem.

Kształt – a przynajmniej ta jego część, którą widział – miał sto dwadzieścia tysięcy kilometrów średnicy. Mniej więcej tyle, co Jowisz.

Najbardziej przerażające było to, że Gregory nie mógł pozbyć się myśli, iż cokolwiek to jest, na pewno żyje.

– Hej, skipper! – zawołał. – Widzicie to?

– Widzimy – odparł Mackey. – Czy to coś jest żywe?

– Na to wygląda. Spróbuję podlecieć bliżej.

– Nie za blisko! I nieco zwolnij! Na pewno nie chcesz tego wkurzyć!

– Przyjąłem.

Gregory uruchomił tryb stealth w myśliwcu, który przyjął pochłaniającą światło, czarną barwę i kształt utrudniający wykrycie. Pilot włączył tryb analityczny AI, która starała się badać i mierzyć obiekt z największą delikatnością.

Przypomniał sobie swój szalony pomysł z międzygwiazdowymi najeźdźcami. Ta magnetyczna błona była niesamowicie cienka,

podobnie jak żagle słoneczne utrzymujące statyty w miejscu. Czy miała z nimi coś wspólnego? Czy zewnętrzna chmura była dziełem takich istot?

Ale coś tu nie pasowało. Istota zwiewna niczym chmura dymu wielkości Jowisza, budująca miliardy obiektów o średnicy czterdziestu kilometrów? Nie, to nie miało sensu.

AI jego starblade'a ostrzegła, że myśliwiec przelatuje przez przestrzeń o nieco większej gęstości niż wcześniej.

Tak zwana pusta przestrzeń nie była do końca pusta. W przestrzeni międzygwiazdowej lub między spiralnymi ramionami Galaktyki spotykało się około jednego atomu na dziesięć centymetrów sześciennych przestrzeni – z reguły atomy wodoru albo pojedyncze protony, z których składały się w większości wiatry słoneczne.

Tutaj, w pobliżu pasa odłamków, lokalna gęstość wynosiła około setki atomów na centymetr sześcienny – zwykle były to pojedyncze protony z wiatru słonecznego, ale też sporo pyłu, powstałego na skutek erozji fragmentów. Sensory myśliwca Gregory'ego wykryły jednak skok do prawie miliona na centymetr sześcienny.

Wciąż jednak kwalifikowało się to jako próżnia. Na poziomie morza na Ziemi gęstość atmosfery wynosiła dziesięć do potęgi dziewiętnastej cząsteczek na centymetr sześcienny, czyli około dziesięciu bilionów więcej.

Mimo wszystko było tu na tyle gęsto, by opór nieco rozgrzał kadłub myśliwca i by było to odczuwalne jako lekki wstrząs.

Chmura, czy też masa, jakkolwiek ją określić, wciąż była widoczna. Nie miała wyraźnych krawędzi, ale robiła się coraz gęstsza. Główna część obiektu już go wyczuła. Widział, jak w stronę środka poruszają się od myśliwca fale.

– Don, czy to coś żyje? – DeHaviland powtórzyła pytanie dowódcy. Jej starblade był tysiąc kilometrów za nim.

– Nie wiem. Ale chyba tak.

– Odczytujemy spore fluktuacje magnetyczne – powiedział Mackey. – Nie wiem, skąd się biorą, ale to między dwoma

a pięcioma tysiącami gaussów.

Chmura rzuciła w niego kamieniem.

W głowie Gregory'ego odezwał się alarm. Skała, z którą połączona była chmura, nagle ruszyła bezpośrednio w stronę jego myśliwca, z prędkością ponad stu kilometrów na sekundę. Na tyle szybko, że rozgrzała się do białości. Ostro przechylił starblade'a na bakburtę i przyspieszył. Nadchodzący odłamek zmienił kurs, manipulowany przez pole magnetyczne, a on znów wykonał skręt.

Skała większa niż jego starblade przeleciała obok, pozostawiając za sobą smugę gorącego pyłu. Gregory przyspieszył jeszcze bardziej i jego myśliwiec wyleciał na otwartą przestrzeń.

– Co za cholerstwo! Coś właśnie mnie zaatakowało!

– Uważaj, Don – powiedziała DeHaviland. – Zbliży się do ciebie.

Przejrzysta masa przyspieszała i poruszała się w jego stronę. Gregory zmienił kurs, pędząc w stronę reszty myśliwców. Najwyraźniej był w stanie prześcignąć istotę, ale denerwowało go, że miał na ogonie mgłę, która próbowała go rozwalić.

– Demon Jeden, tu Demon Cztery! Proszę o pozwolenie na oddanie strzału!

– Odmawiam! Wracaj do bazy, powtarzam, wracaj do bazy!

– Przyjąłem. Już lecę.

– Don! Uważaj, na szóstej!

Z chmury wyleciał kolejny rozżarzony pocisk, tym razem dużo szybszy.

– Widzę!

Skręcił w prawo, ale zbyt wolno.

Pocisk rozpadł się w blasku światła. Cyndi DeHaviland straciła go promieniem cząsteczkowym. Na myśliwiec Gregory'ego spadł deszcz maleńkich odłamków, ale nie wyrządził większych szkód.

– Dzięki, Cyn.

– Nie ma sprawy. Lepiej wracajmy do zagrody.

– Nie, musimy powstrzymać to coś!

Obrócił myśliwiec, goniąc za własną osobliwością grawitacyjną. Stworzenie, czy cokolwiek to było, rozszerzało się i rozciągało się na wielkiej przestrzeni, jakby chciało go objąć.

– Demon Cztery! – odezwał się Mackey. – Co ty, kurwa, robisz?

– Musimy wiedzieć, co to jest, skipper. I jak to zabić.

– ZUS1, Gregory! Wstrzymaj ogień!

– Sam się, kurwa, wstrzymaj! – warknął. Jego starblade pogrążył się w lekko przejrzystej chmurze. W myślach kliknął na dwie ikony, uzbrajając rakiety typu Kraity.

Gregory zdał sobie sprawę, że nie myśli trzeźwo, że kieruje się gniewem. Pomyślał, że nie może zaprowadzić tego czegoś do lotniskowca, ale to była bardziej wymówka niż racjonalny argument.

Myśliwiec zatrząsł się. Co, do cholery?

– Don coś z tym zrobił! Chyba kopnął w dupę! – powiedziała DeHaviland.

– Co się dzieje? – spytał Bruce Caswell.

– Kurczy się! – odparł Gerald Ruxton.

Przeźroczysta błona wciąż rozciągała się na ogromnej przestrzeni, ale teraz wydawała się zapadać w siebie i wpadać w pole odłamków.

– Gregory! – warknął Mackey. – Wracaj tu, do cholery.

Gregory zawahał się przez trwającą wieki sekundę. Dwa kraity były uzbrojone i gotowe do wystrzału.

– Don! – krzyknęła DeHaviland. – Meg nie chciałaby, żebyś to zrobił!

Te słowa obudziły wspomnienia, do których nie chciał wracać w fotelu pilota.

– Co?

– Wycofaj się, Don.

– Demon Cztery, wracaj do bazy! To rozkaz!

– P-przyjąłem.

Do diabła z tym wszystkim!

Obca istota dryfowała w stronę Gwiazdy Tabby i zniknęła za kolejnym odłamkiem. Skurczyła się do rozmiarów szarego, jajowatego obiektu o średnicy mniej niż kilometra, na tyle gęstego, że przestała być przejrzysta.

Czy to zachowanie wskazywało na inteligencję i taktykę bojową? Czy może czysto zwierzęcy spryt?

W każdym razie Gregory miał dość. Znów obrócił myśliwiec i zaczął przyspieszać w stronę „Ameryki”. Gniew opadł. Wciąż w nim był, ale nieco przygasł. Cholera, nigdy mu tak nie odwaliło...

ZUS1 był zestawem instrukcji obejmujących wszystkie scenariusze pierwszego kontaktu. ZUS oznaczało „zasady użycia siły” – rozkazy miały na celu uniknięcie niefortunnnych nieporozumień między inteligentnymi formami życia. Wieki temu używano go w kręgach wojskowych, by narzucić żołnierzom dyplomatyczne i polityczne zasady po to, by nie strzelali jako pierwsi, a w ekstremalnych przypadkach zabraniano im nawet zabierać naładowaną broń do stref walki. Choć von Clausewitz słynął z powiedzenia, że wojna jest kontynuacją polityki innymi środkami, to polityka i wojna nie były dobrą mieszanką.

ZUS1 miał pewien sens. Gdy ziemskie wojsko napotykało nowy gatunek, w sytuacji pierwszego kontaktu żołnierze nie mieli pojęcia o motywacjach, psychologii czy nawet rodzaju inteligencji, z jaką przyszło im się spotkać. Zważywszy na to, że większość napotkanych przez ludzkość inteligentnych gatunków była od niej bardziej zaawansowana technologicznie, w jej interesie leżało niewdawanie się w przypadkowe strzelaniny z kosmitami o nieznanym potencjale i pochodzeniu.

A on prawie spieprzył sprawę.

Gregory wziął głęboki oddech.

– Dobra, lecę. – Znów obrócił gładko myśliwiec o sto osiemdziesiąt stopni, odebrał sygnał naprowadzający „Ameryki” i przyspieszył.

Dręczyło go jednak niepokojące uczucie, że gdzieś za rufą coś

obcego uważnie mu się przygląda.

Komandor porucznik Caryl Zhang nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś ją obserwuje.

– Rozglądajcie się uważnie – odezwała się. – To coś przyprawia mnie o ciarki.

– Przyjąłem, Rider Jeden – odparł porucznik Brodowsky. – Myśli pani, że to kolejny artefakt Obcych z Rozety?

– Wątpię. Zupełnie inna technologia. Ale to nie znaczy, że jest przyjazny.

„Ghost Riders” wysłano, by zbadali zewnętrzną warstwę obiektów zawieszonych wokół Gwiazdy Tabby, poza pasem szczątków. Jak na razie eskadra stwierdziła tylko, że z czymkolwiek mieli do czynienia, było wielkie i ciche. Dotychczasowe próby komunikacji spełzły na niczym.

Może Demony mają więcej szczęścia? – pomyślała Zhang. Miała nadzieję, że tak jest.

„Ghost Riders” udało się wykryć pięć warstw statytów otaczających Gwiazdę Tabby. Wewnętrzna położona była około dwóch jednostek astronomicznych od gwiazdy, zaraz za pasem odłamków, a zewnętrzna, do której ich wysłano, pięć i pół jednostki od niej. Zgodnie ze skanami dalekiego zasięgu „Ameryki” każda z warstw składała się z setek milionów stacjonarnych satelitów o średnicy od czterdziestu do pięćdziesięciu kilometrów, zawieszonych kilka tysięcy kilometrów pod wielkimi, okrągłymi żaglami świetlnymi.

Żagle te były niesamowite – każdy miał trzy tysiące kilometrów średnicy, tyle co odległość między Południową Kalifornią, w której Zhang się urodziła, a jej obecnym domem w Nowym Chicago. Były niesamowicie cienkie, liczyły nie

więcej niż kilka cząsteczek grubości. Miały jednak złożony skład chemiczny. Potrafiły wyglądać na przezroczyste albo na kompletnie czarne, zależnie od kąta, pod którym się na nie patrzyło. Najwyraźniej pochłaniały mnóstwo światła słonecznego i zamieniały je w energię. Używały też nacisku promieniowania gwiazdy tak, by utrzymać do niej stały dystans.

Tutejsze żagle były znacznie większe niż te w wewnętrznej warstwie, co odpowiadało różnicy w tym, jak silne było promieniowanie gwiazdne w odległości dwóch i pięciu jednostek astronomicznych.

Każdy żagiel był położony przynajmniej dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów od sąsiednich, więc nie wykorzystywały całej energii gwiazdy. Zhang wiedziała, że klasyczny rój Dysona miał pobierać całe promieniowanie gwiazdy, ale twórcy tej megastruktury najwyraźniej chcieli osiągnąć coś innego.

Nikt nie miał pojęcia co.

Ale nawet przy takiej odległości między poszczególnymi żaglami wyglądało to jak nieskończenie wielka, płaska równina. W tej odległości od gwiazdy powierzchnia zewnętrznej warstwy nie wykazywała widocznych gołym okiem zakrzywień. Gdy leciało się nad przerwą między jednym a drugim żaglem i spojrzano się w dół, widziało się Gwiazdę Tabby, nawet jeśli nieco przymgloną. Koncentryczne warstwy przesłaniały może dwadzieścia procent światła gwiazdy.

W głowie Zhang pojawiła się ikona, którą w myślach kliknęła. Dane z „Ameryki”.

Gwiazdny lotniskowiec „Ameryka” znajdował się w odległości około trzydziestu minut świetlnych. Najwyraźniej otrzymali raport od eskadry „Black Demons” i przesyłali alarm do pozostałych myśliwców. Demony napotkały coś wielkiego i tajemniczego na obrzeżach pasa szczątków trzy jednostki astronomiczne w głąb układu. Zhang przejrzała informacje ze zdumieniem.

Wielka kosmiczna ameba? – pomyślała.

– Słuchajcie, Riders – odezwała się na kanale eskadry. – VFA-96 spotkali coś w polu odłamków. Spójrzcie na to.

– Co to jest? – spytał porucznik Carbonero.

– Cholera wie. Ale wygląda na coś żywego i wrednego. Więc miejcie oczy otwarte.

– Hej, skipper? – odezwał się porucznik Thor Taylor. – Mam tu coś...

– Co takiego?

– Współrzędne jeden-pięć-dziewięć, plus siedem-jeden. Czy to jedna z tych ameb?

Zhang przyjrzała się danym z instrumentów Taylora. Cokolwiek to było, znajdowało się w sporej odległości od niego. Zauważył obiekt tylko dlatego, że kazał AI myśliwca zbadać całe okoliczne niebo w poszukiwaniu czegoś przypominającego przejrzystą masę napotkaną przez „Black Demons”.

Wyglądało na to, że znalazł kolejną podobną masę mniej więcej między blaskiem Deneba a bladą Mgławicą Ameryka Północna. Była kilkaset jednostek astronomicznych od nich. Niemal niewidzialna, mocno rozciągnięta i przejrzysta na tle czarnego nieba, choć jej środek wydawał się nieco gęstszy.

– Skipper! Tu Rider Dziesięć! – usłyszała porucznika Stevensa.

– Mów.

– Mam tu jakieś straszidło, odległość dziewięćset tysięcy, bezpośrednio przede mną.

– Pokaż.

Przełączyła strumień danych. To była istota tego samego rodzaju. Cienka, zwiewna, o średnicy pięćdziesięciu tysięcy kilometrów. Wydawała się... tak, zdecydowanie była połączona z jednym z żagli słonecznych. Wyglądała, jakby się nim pożywiała.

– Wykrywam sygnał radiowy z żagla – powiedział Stevens. – Chyba wzywa pomocy!

– Nagrywaj! Riders, podlecmy bliżej i przyjrzyjmy się.

W głowie Zhang zobaczyła obraz tego, co działo się w oddali. Konstrukcja w kształcie kropli, zawieszona na żaglu

słonecznym, nagle odłączyła się od niego i zaczęła powoli spadać w stronę gwiazdy.

Wielki żagiel nad nią wyglądał z kolei, jakby pożerał go ogromny, ale niezwykle cienki kosmiczny lewiatan.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

19 grudnia 2425

TC/USNA CVS „Ameryka”, BCI

Gwiazda Tabby

Godzina 14.35 TFT

– Co to jest? – spytał Gray.

Unosił się w bojowym centrum informacyjnym okrętu razem z szefami poszczególnych zespołów. Niektórzy z nich byli obecni fizycznie, większość zaś wirtualnie, ale wszyscy wpatrywali się w trójwymiarowy obraz przejrzystej istoty na krawędzi pola szczątków. Jedną z obecnych wirtualnie osób był doktor George Truitt, szef zespołu ksenosofontologicznego. Truitt był... cóż... „trudny” stanowiłoby eufemizm. W tej chwili jego obraz stał prosto na pokładzie mimo nieważkości, jako że łączył się ze swojego laboratorium w jednym z obrotowych modułów mieszkalnych.

– Co mam powiedzieć? To jest żywe – stwierdził. – Jest świadome swojego otoczenia, reaguje na bodźce zewnętrzne i na tych skanach wydaje się konsumować chemiczne źródło energii, czyli skałę.

– Oczywiście – skinął głową Gray. – Ale czy jest inteligentne?

– Nie możemy być tego pewni. Powiedziałbym jednak, że inteligencja u gatunku żyjącego w przestrzeni kosmicznej byłaby wysoce nieprawdopodobna.

– Dlaczego, doktorze? – spytała Gutierrez.

– W próżni nie można posługiwać się językiem. Nie ma

organów chwytnych. Brak infrastruktury społeczno-kulturowej. Brak możliwości zapisywania historii. Brak narzędzi... Jeśli jakieś istoty nie wykazują inteligencji, jak możemy stwierdzić, że ją mają?

– Uważam, doktorze Truitt – powiedział ostrożnie komandor Mallory, oficer taktyczny okrętu – że myśli pan w dość dziwny sposób.

Truitt prychnął i zwrócił się do Graya.

– Nie przyszedłem tu, by mnie obrażano, admirale.

– Jestem pewien, że komandor Mallory nie miał takich intencji, panie doktorze.

Truitt był genialnym naukowcem, ale nie tolerował niczego, co postrzegał jako głupotę u innych, i stąd wynikały trudności. Wymagał, żeby się z nim ostrożnie obchodzić. Gray uśmiechnął się i zachęcił go, by kontynuował.

– Proszę mówić dalej.

– Mamy jedną interesującą daną: obrazy dalekiego zasięgu wykonane przez drugą eskadrę.

Obraz przezroczystej masy połączonej z małą asteroidą zniknął i zastąpiły go obrazy z zewnętrznej części układu. Obiekt, stworzenie, czy jak je nazwać, zajmował wielki obszar pustej przestrzeni, być może nawet kilkaset tysięcy kilometrów.

– Ten organizm przyjął taką formę oczywiście po to, by działać jako rodzaj organicznego żagla słonecznego.

– Żywy żagiel świetlny?

– Owszem. – Projekcja doktora wskazała obraz istoty. – Wydaje mi się, że organizmy te pochodzą albo z Deneba, który widzimy w tle za tym okazem, albo z Mgławicy Ameryka Północna, którą widzimy tutaj. W tak cienkiej formie są w stanie przyspieszać dzięki ciśnieniu promieniowania gwiazdy, szczególnie tak jasnej i gorącej jak Deneb. Mogą osiągać znaczne prędkości. Szacuję, że dziesięć do piętnastu procent c.

– Deneb znajduje się sto siedemdziesiąt trzy lata świetlne stąd – przypomniał nawigator, komandor Victor Blakeslee. – Przy tej

prędkości podróż zajęłaby ponad tysiąc lat.

– Gdy osiągnie już pożądaną prędkość – ciągnął doktor Truitt – zapewne kurczy się do mniejszej formy, jak osobnik, który skrył się w pasie odłamków. Do formy małej, gęstej i zapewne ukształtowanej tak, by nie spowalniały jej pyły i gazy. Tu widzimy ją w wersji rozciągniętej, gdy łapie promieniowanie Gwiazdy Tabby, aby wytracić prędkość.

– Czy to nie sugeruje jakiegoś stopnia wrodzonej inteligencji, doktorze Truitt? – spytał Gray. – Przemieszczenie się o prawie dwieście lat świetlnych tylko po to, by się pożywić...

– Przyznaję, że nie wiemy na razie dość, by przypisać tym stworzeniom jakieś motywacje, admirale. Podejrzewam, że muszą się pożywić po tysiącletnim poście. Spodziewam się też, że pobierają energię ze światła gwiazd. Proces konsumowania, który zaobserwowaliśmy, może być wstępem do reprodukcji.

– Reprodukcji? – odezwała się kapitan Fletcher. – To nie brzmi dobrze.

– Oczywiście – odparł Truitt. – Choć musielibyśmy pobrać próbkę, aby upewnić się co do ich składu chemicznego, podejrzewamy, że są w zasadzie molekularnymi chmurami gazu, masami pyłów i gazów składającymi się głównie z żelaza, krzemu, węgla i prostych związków chemicznych jak metan czy woda, wszystko to działające pod wpływem intensywnego lokalnie pola magnetycznego.

Gray spojrział na Gutierrez i uśmiechnął się, ona zaś przewróciła oczami. Truitt przechodził w tryb wykładu.

– To pole jest... – kontynuował naukowiec – węzłowate. Węzeł jest niezwykle złożony, przypomina pole magnetyczne słońca w okolicy heliopauzy. Nie rozumiemy jeszcze, jak działa, zakładam jednak, że pola te pozwalają organizmom utrzymać i zmieniać kształt oraz komunikować się ich różnym częściami, podobnie jak się dzieje w przypadku impulsów nerwowych w bardziej tradycyjnych formach życia. Gdy... hm... konsumuje surowce, jak asteroidę albo splot węglowo-krzemowy jednego z tych żagli słonecznych, magazynuje je, żeby albo urosnąć,

albo stworzyć nowego osobnika.

– Co czyni ten układ idealnym dla nich – stwierdził Gray. – Mnóstwo jedzenia.

– To spory zbieg okoliczności – odezwał się Mallory – że kilka z nich trafiło na te wielkie struktury w układzie Gwiazdy Tabby. Jakby wiedziały, że tutaj są.

– Większym zbiegiem okoliczności jest to, że przybyliśmy tu w tym samym czasie, co one – odparł Truitt. – Zapewne przybywają tu od wieków, a nawet tysiącleci... Może podróżują też regularnie między tym układem a miejscem pochodzenia.

– Denebem? – spytał Blakeslee.

– Niewykluczone – potwierdził Truitt. – To niezwykle jasna gwiazda, ponad pięćdziesiąt cztery tysiące razy jaśniejsza niż Słońce. Mnóstwo energii dla tak niezwyklej biologii, jak ta. Może też pochodzić z Mgławicy Północna Ameryka. Jest tam pełno pyłu i masy zjonizowanego wodoru, w których byłyby w stanie wyewoluować takie istoty.

– Ameryka Północna – powiedział z uśmiechem Gray.

– Słucham?

– Mgławica Ameryka Północna, nie Północna Ameryka. Mnóstwo ludzi robi ten błąd.

Truitt coś wymamrotał, ale Gray nie dosłyszał.

– Komandorze Blakeslee? – Gray zmienił temat. – Proszę opowiedzieć o tej mgławicy.

Główny nawigator wskazał na nowy obraz, bladą plamę czerwonego światła na tle ciemności.

– Nigdy tam nie byliśmy, sir. To znaczy ludzie. Jest blisko – dwieście czterdzieści lat świetlnych stąd, a jakieś szesnaście tysięcy od Ziemi. Ma ponad sto lat świetlnych średnicy, co oznacza, że jest większa od Mgławicy Oriona. Jej nazwa pochodzi od dziwnego zbiegu okoliczności. – Wykonał gest, po którym plama obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni, dzięki czemu zaczęła wyglądać znajomo. – Wygląda całkiem podobnie do Ameryki Północnej. Widzi pan, tu jest Zatoka Meksykańska, a tu Floryda. Na prawo od niej jest Mgławica Pingwina, tak

naprawdę będąca częścią tej samej chmury gazów. Czarny pas między nimi pochłania światło po drodze na Ziemię i sprawia, że wyglądają jak dwie osobne formacje. – Obraz obrócił się ponownie i pokazał pojedynczą masę. – Oczywiście nie widzimy teraz tego z tej strony.

– Więc... prawie trzysta lat świetlnych stąd – stwierdziła Gutierrez. – Jeśli te gluty pochodzą stamtąd, podróżowałyby przez trzy tysiące lat. – Spojrzała na Graya. – Dlaczego to takie ważne, skąd pochodzą?

– Nie wiem, czy to ważne, pani kapitan. Ale im więcej wiemy o tym, co się dzieje – i co się wydarzyło – w tym układzie, tym lepiej. Czy te kosmiczne ameby zniszczyły cywilizację Gwiazdy Tabby? Czy może pożywiają się jej resztkami? Jeśli są inteligentne, czy możemy z nimi rozmawiać? Czy pomogą nam w walce z Obcymi z Rozety?

– Jest jeszcze jedna istotna kwestia – odezwał się klon Konstantina.

– Jaka? – spytał Gray.

– Zarejestrowaliśmy sygnał z żagla słonecznego, gdy zaatakował go jeden z tych organizmów. Najwyraźniej każdy z obiektów podtrzymywanych przez żagle jest połączony z pozostałymi za pomocą maserów – mikrofalowych laserów. Gdy spadał, jeden z jego przekaźników na chwilę wskazał najbliższy myśliwiec, który był w stanie nagrać sygnał.

– Czy zdołałeś go przetłumaczyć?

– Jeszcze nie, ale udało się ustalić protokoły komputerowe obcych. Z czasem możemy być w stanie umieścić tam inteligentne oprogramowanie i rozpocząć konwersację.

– Świetnie. Czego od nas potrzebujesz?

– Gdy będziemy mieli gotowe oprogramowanie penetrujące, ten okręt musi przelecieć obok jednego ze statytów. Do tego czasu sugeruję spróbować określić, jaką rolę pełnią te przejrzyste istoty w układzie Gwiazdy Tabby.

– Nie polecimy do Deneba, żeby poszukać ich pobratymców. Podróż zajęłaby nam dwanaście dni. Do Mgławicy Ameryka

Północna osiemnaście. Nie mamy tyle czasu.

– W takim razie musimy skupić się na żaglach, połączonych z nimi obiektach i na wielkich formach życia.

– Jak je właściwie nazwiemy? – spytała Gutierrez. – Nie możemy wciąż powtarzać „formy życia”.

Gray parsknął.

– Wielkie kosmiczne ameby... kosmiczne wieloryby... cholera, nie wiem.

– Zjadacze – powiedziała Fletcher. – Żaglowe zjadacze.

– Dlatego, że zjadają żagle słoneczne, CAG? – spytał Mallory. – Czy dlatego, że są zjadającymi różne rzeczy żaglami?

– Tak – odparła Fletcher. Kilka osób roześmiało się.

– Brzmi lepiej niż kosmiczna ameba – orzekł Gray. Wiedział o różnych programach interaktywnych z wielkimi, jednokomórkowymi kosmicznymi organizmami i zawsze uważał ten pomysł za głupi. Wszechświat jednak nadal pokazywał mu rzeczy nowe, dziwaczne, a czasami absurdalne.

– Co robimy, admirale? – spytała Gutierrez.

– Okręt podleci do jednego ze statytów – zdecydował. – Nie za blisko. Kilka tysięcy kilometrów. Chcę spróbować porozmawiać z tym, co jest w środku. Eskadra starblade'ów spróbuje zbliżyć się do jednego ze zjadaczy. Tego, który deceleruje na obrzeżach układu. Nie ma tam czym rzucać. Ale znów, nie za blisko. Zobaczmy, czy uda się pogadać.

– A jeśli nie? – spytał Blakeslee.

– Wtedy będziemy musieli wysłać marines.

W taki czy inny sposób, Gray zamierzał nawiązać kontakt.

TC/USNA CVS „Lexington”

Mostek główny

Układ Gwiazdy Kapteyna

Godzina 18.10 TFT

– Witamy na pokładzie, komandorze – powiedział kapitan Bigelow. – Dobrze się pani bawiła?

– T... tak, sir – odpowiedziała cicho Taggart, zdradzając swój stan emocjonalny. Nie miała sił na tego rodzaju gadkę.

– Tęskniliśmy za panią, komandorze. Dobrze znów panią widzieć.

Mostek „Lexingtona” był pełen typowej dla niego krzątaniny, jakby nic się nie zdarzyło. Życie toczyło się dalej...

Wielka Zjednoczona Flota zjawiała się w układzie pięć dni temu. Taggart cieszyła się na wieść, że kilometrowej długości lotniskowce są niecałe dwanaście jednostek astronomicznych od niej – „Constitution”, okręt flagowy „Declaration” i rój mniejszych okrętów, zajmujących pozycje na orbicie wokół lokalnego słońca. W każdym raporcie wypatrywała „Ameryki”.

Jej stara łajba nie zjawiała się jednak i ekscytacja zmieniła się w niepokój, a następnie w żalobę. Dowiedziała się, że „Ameryka” skoczyła razem z pozostałymi okrętami, ale nie wynurzyła się po drugiej stronie.

Zdarzało się, że jakiś okręt ginął, używając napędu Alcubierre’a. Wewnętrzny wszechświat zapadał się w sobie i...

Nikt nie miał pojęcia, co się wtedy działo. Jako że z samej definicji jednostka używająca napędu zakrzywiającego czasoprzestrzeń znajdowała się poza normalnym wszechświatem, zagłębiona w sztucznym kontinuum metaprzestrzeni, nie istniał sposób na znalezienie zaginionego okrętu. W teorii w momencie wyłączenia zasilania zakrzywiona czasoprzestrzeń wracała do normalnego stanu i okręt powinien

wrócić do świata gwiazd, planet i ludzi, ale możliwe było, że supeł czasoprzestrzeni po prostu leciałby dalej, aż do najdalszych kresów wszechświata. A gdyby jedynie wrak wrócił do zwykłej przestrzeni, to cóż... W przestworze międzygwiazdowej pustki niełatwo znaleźć szczątki.

Była to jedynie teoria. Żaden lotniskowiec gwiazdny do tej pory nie zaginął w czasie korzystania z napędu Alcubierre'a. Taggart opłakiwała więc swój stary okręt i swoich dawnych towarzyszy broni.

A przede wszystkim swojego byłego kochanka.

W końcu z Trymheimu przybył „Lexington” i wszedł na orbitę wokół Heimdalla. Bigelow zaprosił swoją pierwszą oficer z powrotem na okręt.

Jakoś udało jej się przekonać już samą siebie, że romans z Piachu Grayem był wyłącznie kwestią biologii. Jednak gdy „Ameryka” nie zjawiała się wraz z resztą floty, zdała sobie sprawę, że tylko się oszukiwała. Zmusiła się, by wejść na pokład promu, który wysłał po nią Bigelow, a potem wbrew sobie przeniosła się w nieważkości na mostek i przypięła do swojego starego fotela.

Jak miała sobie poradzić z tym wszystkim?

– Wszystko w porządku, pani komandor? – spytała Carla Milton. Wyglądała na zaniepokojoną.

Tak, wszyscy na pokładzie wiedzieli o jej związku z Grayem, więc teraz będą obchodzić się z nią jak z jajkiem. Cholera...

– Wszystko w porządku, Carla. Dzięki.

W jakiś sposób wypowiedzenie tych słów sprawiło, że poczuła się lepiej.

Przynajmniej w pewnym sensie.

Porucznik Liam Davies pozwolił, by grawitacja Bifrostu zakrzywiła nieco lot jego myśliwca typu Hornet. Przeleciał ponad błyszczącymi, kolorowymi pierścieniami olbrzyma. Reszta eskadry „Grim Rippers” leciała podobną trajektorią, podążając za kolorowym mostem, który dał planecie jej imię.

Davies podziwiał lodowe piękno pierścieni, ale bardziej zajmowała go dziwna wizja sprzed tygodnia.

Pułkownik zbeształ go za halucynacje, ale pilot wiedział, co zobaczył. Krajobraz pokryty drzewami. Drzewa były dziwaczne, obce, z pierzastymi gałęziami zamiast ziemskich liści, ale wciąż daleko im było do gołych skał współczesnego Heimdalla. Widział raport specjalistki Marynarki od ksenologii, Carter, o wirtualnej egzystencji paneuropejskich pilotów uwięzionych w globalnym superkomputerze Heimdalla i nie wiedział, co o tym myśleć. Carter też widziała różne rzeczy i rozmawiała z elektronicznymi duchami tych pilotów.

Pomyślał, że być może połączył się z tym samym obwodem. A może z innym kanałem? To było jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło mu do głowy. Inni marines w jego oddziale nazywali go wariatem, mówiąc, że chyba chce dostać zwolnienie lekarskie.

Pierdolić ich. Wiedział, co zobaczył. A raczej nie wiedział, co zobaczył, ale wiedział, że to widział. Może kosmici pokazywali mu, jak ich świat wyglądał kilkaset milionów lat temu.

– Słuchajcie, marines – odezwał się kapitan Roberto Salinas. Był najstarszym stopniem oficerem eskadry myśliwców marines VMFA-46, „Grim Rippers”. – Spróbujemy dziś podlecieć bardzo blisko. Nie chcemy, żeby wzięli nas za zagrożenie, ale może nas chociaż zauważą.

AS-90 Hornet opuściły okolice pierścieni olbrzyma. Przed nimi lśniły i zmieniały kształty złociste konstrukcje Obcych z Rozety.

– Przyjąłem, skipper – potwierdził porucznik Jimenez. – Dostatecznie blisko, żeby się nie wkurzyli.

Nazywali tę strategię „aklimatyzacją”. Był to przeciągający się proces, w ramach którego myśliwce Konfederacji i małe okręty, jak fregaty i korwety, zbliżały się do centrum aktywności obcych, za każdym razem coraz bardziej. Prędkość ograniczali do minimum – kilkadziesiąt kilometrów na sekundę – i uważali, aby nie przyspieszać ani nie wykonywać gwałtownych manewrów, które mogłyby zostać odebrane jako zagrożenie. Misja miała częściowo na celu precyzyjne zmapowanie struktur obcych, ale chodziło głównie o to, aby istoty przyzwyczyli się do obecności sił Konfederacji.

W ciągu tygodnia od przybycia Wielkiej Zjednoczonej Floty ziemskie siły straciły pięć myśliwców i jedną korwetę, „Akteona”. Wszystkie najwyraźniej wpadły na niewielkie obiekty w jakiś sposób zakotwiczone w przestrzeni, a nie zostały zniszczone przez jakiś atak.

A przynajmniej tak twierdzili Gordon i jego przydupasy.

Davies nie był taki pewien. Jeśli Rózie były takie inteligentne i zaawansowane, jak twierdzono, wiedziałyby dokładnie, co robią ludzkie okręty, gdzie podążają i czego chcą. Po prostu ignorowały ludzi, nic więcej.

I były spore szanse, że tak pozostanie. Przynajmniej dopóki Ziemianie nie zaczną być uciążliwi.

– Robi się tu tłoczno – stwierdziła Kim Reighley.

– Przyjąłem – odparł Davies, przesuwając się w prawo, by ominąć zakotwiczony artefakt. Czym właściwie były te rzeczy?

– Przynajmniej łatwo zauważyć przeszkody.

Na radarach i lidarach były widoczne jak boje. Każda miała nieco mniej niż metr średnicy. Boje – może właśnie nimi były? Poruszanie się wśród ich roju przypominało stąpanie po polu minowym. Obiekty nie wybuchały, ale nie ruszały się, nie

unikają kontaktu, więc jeśli pilot zderzył się z jednym z nich, myśliwiec mógł zmienić się w kupę złomu.

– Hej, skipper? – odezwał się Reg Laughlin. – Może uzbrójmy wyrzutnie?

– Nie – powiedział Salinas. – To aklimatyzacja, nie misja bojowa.

– Tak, ale...

– Żadnego uzbrajania, Laughlin!

– Przyjąłem...

Nie wydawał się zadowolony.

Davies nie miał mu tego za złe. Zastanawiał się, czyim pomysłem była ta nieszczęsna misja. W dodatku nie było nawet pewne, kto właściwie dowodzi. Zważywszy na udział tylu sił politycznych, zrobiło się... politycznie.

Czy flota była konfederacyjna, czy amerykańska? Davies nie miał pojęcia. To zapewne pozostanie nierozstrzygnięte do czasu, aż przyjdzie pora na gratulacje albo na obwinianie. A przy takich strategiach nie zdziwiłoby go, gdyby miało miejsce raczej to drugie.

Hornety leciały teraz przez złotą mgłę, która gęstniała coraz bardziej. Davies słyszał szum uderzeń drobinek pyłu o myśliwiec. Jego sensory wykrywały potężne pola magnetyczne, pochodzące z jakiegoś centralnego, niewidocznego źródła. Pył wydawał się przywierać do pól magnetycznych niczym drobinki żelaza do magnezu.

– Uwaga: abrazja poszycia – powiedziała AI myśliwca. – Temperatura kadłuba trzysta pięćdziesiąt pięć stopni Celsjusza. Naprawa w toku.

Jego hornet nie był cackiem tej klasy co starblade'y Marynarki. Poza zmianą kąta skrzydeł na potrzeby lotów atmosferycznych nie potrafił zmieniać kształtu i zawsze przypominał strzałę. Zaprojektowano go jako myśliwiec wsparcia marines i nie potrzebował wszystkich bajerów. Miał jednak nanopowłokę naprawczą, która potrafiła sama reperować pomniejsze uszkodzenia w podobnych sytuacjach.

– Wykrywam coś przed sobą – oznajmiła Reighley. – Coś dużego.

– To coś nowego – odparł Salinas. – Dobra, Rippers. Kurs trzy-dwa-siedem na jeden-trzy. Powoli, wszyscy razem.

Odgłosy uderzeń pyłu o kadłub stawały się coraz głośniejsze. Davies czuł, że jego myśliwcem trzęsie.

– Zmniejszyć prędkość – rozkazał Salinas. – Pięć kilometrów na sekundę.

– Tu jest zbyt gęsto – marudził Laughlin. – Nic nie widać.

– Mam coś na podczerwieni – powiedział Davies. – Wygląda jak... może planeta?

– Tu nie ma żadnych planet – stwierdził Salinas. – Tylko Bifrost za nami.

– Nie... Spójrzcie. Jest okrągła, średnica około czterech tysięcy ośmiuset kilometrów. Gorąca...

– To niemożliwe!

– Liam ma rację – dodała Reighley. – Też to widzę. Odległość dwadzieścia osiem tysięcy i maleje.

Bardzo, bardzo powoli mgła przerzedziła się, ukazując im statek Obcych z Rozety – czarną sferę wielkości małej planety.

– Uważamy, że to centrum aktywności Obcych z Rozety w tym układzie – powiedział admirał Gordon, którego obraz pokazał się w głowach zgromadzonych wirtualnie oficerów. – Nasza operacja skupi się na podejściu jak najbliżej do tego obiektu w celu zmuszenia obcych do kontaktu z nami.

W oczach każdego ze zgromadzonych ukazała się szara sfera, ogromna i wyraźnie sztuczna. Unosiła się wśród złocistej zorzy, nie zważając na ludzkie sprawy. Taggart patrzyła na tę panoramę ze zdumieniem i pewną dozą strachu.

– Za obrazy należy podziękować oficerom marines i eskadrze VMFA-46 – dodał Gordon. – Działają na Heimdallu od ponad tygodnia i badają obecnych w tym układzie obcych. Te obrazy zarejestrowali godzinę temu.

– Czy to znaczy, że to coś właśnie teraz zjawilo się w układzie? – spytał kapitan Mitterlehner z monitora „Festung”.

– Zapewne tak – odparł Gordon. – Albo dopiero teraz zbliżyło się do Bifrostu. Sfera ma nieco ponad cztery tysiące osiemset kilometrów średnicy, czyli mniej więcej tyle, co Merkury. Wydaje się mobilna, nie jest statyczną czy orbitalną instalacją, ale statkiem. Bardzo dużym statkiem. Wydaje się też być w samym centrum tych intensywnych pól magnetycznych. Uważamy, że może pełnić rolę centrum dowodzenia istot z Rozety w tym układzie.

Taggart wciąż patrzyła na wygenerowany komputerowo obraz w swojej głowie. Statek wielkości planety. Czowała mimo wszystko rozczarowanie. Nie myślała o istotach z Rozety jako o Gwiezdnym Bogach, ale to, że podróżują w wielkiej, kosmicznej kuli bilardowej, wydawało się mało imponujące.

Im dłużej o tym myślała, naprawdę zastanawiając się nad swoją wiarą, tym bardziej traciła religijny podziw, który czuła, odkąd wstąpiła do swojego Kościoła. Jeśli to byli Gwiezdni Bogowie, okazali się beznamiętnymi istotami, na tyle odległymi od ludzkości, że niemożliwa była jakakolwiek autentyczna, osobista relacja.

Nie byli bogami. Może mieli boskie moce, ale nie byli bogami. Mimo wszystko strach nie ustawał, a nawet rósł.

– Oznaczyć obiekt jako Romeo Jeden – oznajmił kapitan Bigelow.

– Aye, aye, kapitanie – odparła Taggart.

– Intryguje mnie to, że myśliwce podleciały tak blisko i nie zostały zaatakowane – zauważył kapitan.

– Owszem – powiedział Gordon. – Z drugiej strony, nie spotkały się też z przyjaznym przyjęciem. Myśliwce zbliżyły się do sfery na odległość pięciu tysięcy kilometrów, ale zostały zignorowane.

– Jak zawsze – wtrącił kapitan Pemberton. – Nie jesteśmy dla nich interesujący.

– Najważniejsze, przyjacielu – uśmiechnął się z przekąsem kapitan Michel Hollande z ciężkiego krążownika „Vulcain” – że nie jesteśmy dla nich smacznymi.

– I miejmy nadzieję, że im nie zasmakujemy – podsumował Gordon. – Jutro zaczniemy przemieszczać flotę stopniowo w stronę obiektu. Zmusimy ich do zainteresowania się nami, czy tego chcą, czy nie.

– Niech nam Bóg pomoże – powiedział Bigelow. – Zwłaszcza jeśli mamy rozmawiać z bogami.

Nikt się nie roześmiał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

20 grudnia 2425

Mostek TC/USNA CVS „Lexington”

Gwiazda Kapteyna

Godzina 11.35 TFT

– Kapitanie, Romeo Jeden rusza się! I to szybko!

Wielka Zjednoczona Flota manewrowała w przestrzeni wokół Bifrostu przez ponad dwadzieścia cztery godziny, zbliżając się do struktur Obcych z Rozety i płynnego światła tak blisko, jak tylko się odważyli. Nie doczekali się jednak żadnej reakcji ze strony kosmitów. Godzinę wcześniej chińskie lotniskowce „Guangdong” i „Jiangsu” oraz północnoindyjski lekki lotniskowiec „Śiwa” i kilka jednostek eskortowych przyspieszyły gwałtownie w stronę obcego obiektu o nazwie kodowej Romeo Jeden.

Teraz, gdy zbliżyły się do niego na odległość tysiąca kilometrów, sztuczna planeta w końcu zareagowała, szybko zmniejszając dystans. Czyżby przekroczyli niewidzialną granicę? A może obcy już mieli dość tych gier? Z Romea wystrzeliła wiązka antyprotonów i rozerwała osłonę dziobową „Jiangsu”, rozświetlając niebo rozbłyskami promieniowania. Chiński lotniskowiec, mocno uszkodzony, dryfował pośród spirali kryształków lodu powstałych z wody, która uciekła ze zniszczonej kopuły ochronnej.

Chwilę później wydawało się, że wielka, niewidzialna ręka chwyciła „Śiwę” za śródkręcie, miażdżąc kadłub. Atmosfera

z wnętrza okrętu uniosła się w przestrzeń i zamarzła pośród szczątków i ciał. Okręt zaczął zapadać się w sobie wokół osobliwości grawitacyjnej, która pojawiła się gdzieś w jego trzewiach.

„Guangdong” już obrócił swoją sztuczną czarną dziurę i odwracał kurs. Nie da się jednak zatrzymać ważącego sto tysięcy ton okrętu w jednej chwili. Jeden z indyjskich niszczycieli eskorty wybuchł po dotknięciu wiązką antyprotonów.

– No dalej... – mruknął głośno Bigelow. – Każ im natychmiast stamtąd uciekać!

Rozkazy Gordona nadeszły przez sieć chwilę potem.

– Do wszystkich okrętów! Wycofać się poza przestrzeń Heimdalla!

– Mam obowiązek przypomnieć kapitanowi – powiedziała cicho Taggart – że obowiązują standardowe zasady użycia siły. Proszę o pozwolenie na wycelowanie broni w Romeo Jeden.

– Tak... tak – odparł Bigelow. – Wycelować wszystko, co mamy. CAG! Wystrzelić resztę myśliwców!

– Aye, aye, sir – rozległ się głos CAG „Lexingtona”, kapitana Toma Waltersa.

Trzy eskadry były już na patrolu. Wystrzelenie pozostałych trzech wymagało około pięciu minut.

– Niech myśliwce osłaniają pozostałe okręty – rozkazał Bigelow. – Strzelać wedle uznania. Powtarzam, strzelać wedle uznania!

„Lexington” dał salwę z głównych baterii dział cząsteczkowych, wysyłając wiązki w stronę nadlatującego sztucznego globu. Jego powierzchnia była ciemna i gładka, pokryta prostymi, regularnymi liniami. Promienie „Lexingtona” wydawały się nie mieć żadnego wpływu na obiekt.

Taggart obserwowała bitwę na ekranach. Mogła wyświetlić ją przez implant mózgowy jako wirtualny obraz, ale chciała mieć świadomość otoczenia. Martwiła się wystrzelonymi myśliwcami. Jeśli flota będzie zmuszona do wycofania się, może

nie być czasu na zgarnięcie ich z powrotem. Oznaczało to punkt spotkania poza układem... O ile obcy dadzą im na to szanse.

– Miles? – odezwała się do oficera uzbrojenia, komandora Milesa Conrada. – Możesz wzmocnić te promienie?

– To maksimum, komandorze – odparł Conrad. – Chyba nawet ich nie drasnęliśmy!

Niszczyciel USNA zapadł się w siebie i znikł. W jakiś sposób obcy wysyłali masywne czarne dziury do wnętrza oddalonych o tysiące kilometrów okrętów. Taggart nigdy nie widziała takiej walki. Podczas bitew kosmicznych zniszczenie okrętu często destabilizowało mikroosobliwości w generatorach czy napędach. Wtedy jednostki mogły zostać rozerwane na strzępy przez miniaturowe czarne dziury w ich wnętrzu. Tutaj działo się coś podobnego, ale na dużo większą, przerażającą skalę. Romeo Jeden w jakiś sposób wykrzywił czasoprzestrzeń w odległych od siebie jednostkach, jakby miażdżąc je wielką niewidzialną pięścią. Wewnętrzna struktura okrętu stawała się supergęsta i znikła we wnętrzu czarnej dziury o masie Jowisza. Obcy manipulowali samą strukturą czasoprzestrzeni. To nie powinno jednak zaskakiwać, zważywszy na stworzone przez nich struktury z pyłu i światła.

Gwiazdni Bogowie. Albo technologia, która sprawiała, że zdawali się nimi być.

Jak byle ludzie mieli walczyć z czymś takim?

Ciężki krążownik „Juneau” wygiął się, skurczył i zniknął.

– Do wszystkich myśliwców! – krzyczał admirał Gordon przez sieć taktyczną. – Użyjcie rakiet! Maksymalne ładunki!

Rakiety typu Krait mogły mieć głowice o różnej sile rażenia, aż do dwustu megaton. W walce z celem wielkości planety było to jednak tyle co nic.

Taggart powiększyła obraz ze skanerów optycznych śledzących Romeo Jeden.

– Wykrywam dziwne prądy elektromagnetyczne wewnątrz struktury – stwierdziła.

– Odczyty gęstości sugerują, że to lita bryła – dodał porucznik

Ramos, obsługujący czujniki. – Ma masę zbliżoną do ziemskiej, upakowaną w kulę wielkości jednej trzeciej Ziemi.

– Może składać się z czystego komputronium – dodał komandor porucznik Matchett. Był głównym oficerem IT, zarządzającym siecią komputerową okrętu. – Mój Boże, to może być jedna wielka super-AI...

– Ktoś widzi jakieś słabe punkty? – spytał Ramos.

– Jak coś wielkości planety może mieć słabe punkty? – odpowiedziała Taggart. Ile energii potrzeba, aby zniszczyć całą planetę? Przeliczyła to w implancie mózgowym. Wyglądało na to, że potrzebna energia była rzędu $1,25 \times 10^{32}$ dżuli... Sto dwadzieścia pięć milionów bilionów bilionów dżuli... Mniej więcej energia, jaką Słońce emituje przez cztery dni, skupiona do jednej sekundy.

Wymagałoby to floty miliarda okrętów albo trzech bilionów dwustumegatonowych głowic. Mówiąc prosto, nie dało się zniszczyć czegoś takiego.

– To zaczyna wyglądać na naprawdę zły pomysł – powiedziała głośno Taggart.

Myśliwce zaczęły wystrzeliwać swoje kraity. Na planecie pojawiły się rozbłyśki światła, jak migające gwiazdy.

– Do wszystkich okrętów! – zawołał admirał Gordon przez sieć dowódczą. – Do wszystkich okrętów! Wycofać się i...

Ale ostatnia część rozkazu nigdy nie została nadana. Na ekranach taktycznych lotniskowiec gwiazdny „Declaration” nagle przechylił się na bok, wygiął, a następnie został zmiażdżony przez niewyobrażalne energie i pożarty przez wir grawitacyjny. Jego sekcja dziobowa – półkilometrowa kopuła osłonna i część osi aż do wieży mostka i modułów mieszkalnych – uciekła, oddalając się od zapadającej się reszty jednostki.

– Jakie okręty są najbliższe „Declaration”? – odezwał się Bigelow.

– „Decatur”, sir – poinformował komandor Eric Gower, oficer taktyczny „Lexingtona”. – I północnoindyjski „Vagsheer”.

– Niech spróbują pomóc „Declaration”. Może ktoś przeżył...

Ale „Decatur” miał własne kłopoty. Kilometrowej wielkości krążownik artyleryjski, zbudowany wokół masywnego działka elektromagnetycznego, przeznaczonego do bombardowań planetarnych, oddawał salwę po salwie w stronę sztucznej planety, wyraźnie bez skutku. Z Romea Jeden wystrzelił tylko promień cząstek, który zawadził krążownik. Okręt zaczął dryfować na burtę pod wpływem odrzutu uciekającego powietrza i stopionego metalu, ulatującego w kosmos.

„Vagsheer” był ciężkim krążownikiem, długim na ponad czterysta metrów. Próbował zająć pozycję między wrogim obiektem a wrakiem „Declaration”.

Ważący osiemdziesiąt tysięcy ton krążownik przeciwko sztucznej planecie o masie tryliarda ton...

Taggart nie chciała na to patrzeć... A jednak musiała, nie mogła odwrócić wzroku. Z fascynacją obserwowała ten koszmar. „Vagsheer” strzelał do planety z każdej broni, jaką miał w arsenale, łącznie z tysiącmegatonowymi raketami planetarnymi VG-210 Cobra, zwanymi „pogromcami planet”. Nazwa okazała się jednak bardziej propagandowa niż znacząca. Na powierzchni Romea Jeden pojawiły się jasne rozbłyski, ale ludzie nie mieli dość głowic, aby poważnie uszkodzić obiekt.

Taggart wykonywała obliczenia w głowie. Romeo Jeden miał powierzchnię około czterdziestu sześciu milionów kilometrów kwadratowych – mniej więcej taką jak Merkury. Jedna VG-210 mogła zeszkląć obszar pustyni o wielkości pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych. Oznaczało to, że aby zmienić zewnętrzną powierzchnię Romea Jeden w lawę, trzeba było ponad dziewięciu tysięcy rakiet. USNA miały ile? Może pięćset w całym arsenale. Laurie wątpiła też, aby Paneuropejczycy, Rosjanie czy Hindusi mieli więcej. W końcu nie były zbyt często potrzebne.

Ale „Vagsheer” zdecydowanie próbował. Może jeśli dość głowic nuklearnych wybuchnie na powierzchni obiektu, uda się uszkodzić coś istotnego? Francuski ciężki krążownik „Agosta” wpadł na ten sam pomysł i dołączył do „Vagsheera”.

Po chwili Taggart zobaczyła jednak, że salwy krążownika nie docierają nawet na powierzchnię sztucznej planety. To oznaczało, że cobry rzeczywiście wyrządzały szkody... ale tylko na tyle, że wróg zmienił taktykę obronną. Rakiety przestały rozbłyskiwać na szarej powierzchni, która teraz wydawała się w jakiś sposób rozmyta.

– Cel używa chyba osłon grawitacyjnych – powiedziała.

– Potwierdzam – dodał Conrad. – Odczyty poza skalą...

Osłony były absolutnie konieczne do funkcjonowania okrętu, nawet poza walką. Nie dało się uniknąć kolizji z drobinkami kosmicznego pyłu, gdy jednostka poruszała się w kosmicznej nie-do-końca-próżni. Zderzenia te odbywały się z prędkością tak bliską świetlnej, że mogły osiągnąć moc małej eksplozji atomowej.

Okręty używały tarcz magnetycznych do osłony przed naładowanymi cząstkami, ale potrzebowały czegoś mocniejszego do odpychania kawałków lodu czy żelaza ważących ułamek grama oraz do obrony przed bronią energetyczną w rodzaju laserów. Odpowiedzią była forma projekcji grawitacyjnej na całej zewnętrznej powierzchni okrętu, podobna do napędu Alcubierre'a. Dzięki lekkiemu zakrzywieniu przestrzeni wokół jednostki można było unieszkodliwić nadlatujące rakiety i odbić promieniowanie. Rozmycie obiektu było skutkiem zakrzywienia światła przez grawitację.

Rakiety wystrzelone przez „Vagsheera” wydawały się teraz spadać w pustkę i znikać. Na fragmentach pola grawitacyjnego pojawiały się czarne czy srebrne rozbłyski, oznaki chwilowego zwiększenia mocy w konkretnych obszarach, całkowicie unieszkodliwiającego ich broń.

– Używają pola grawitacyjnego jako napędu – oznajmił Gower.

– Prawdziwy napęd czasoprzestrzenny – zgodził się Bigelow.

– Możemy to wykorzystać?

– Nie mam pojęcia jak.

Na ich ekranach „Vagsheer” rozbłysnął uderzony promieniem cząstek i zmienił się w lśniącą chmurę odłamków oraz zamarznętej wody i atmosfery. Kilka sekund później „Agosta” zapadł się w sobie i znikł.

Wtedy pędzący sztuczny świat dotarł do dryfującego wraku „Declaration”, który zniknął kilkaset kilometrów ponad powierzchnią obiektu.

– Kto jest kolejny w łańcuchu dowodzenia floty? – spytał Bigelow.

– Admirał Villeroy z „Agosty”, sir – powiedziała Taggart, ale po chwili zdała sobie sprawę, że „Agosty” już nie ma. – Nie żyje. Wygląda na to, że teraz pan dowodzi, admirale.

– Do wszystkich okrętów! – odezwał się Bigelow. – Wycofać się! Rozproszyc się i wycofać! CAG! Natychmiast wstrzymać starty myśliwców. Rozkazać wszystkim już wystrzelonym wycofanie się i spotkanie w punkcie Czerwona Gwiazda Alfa!

– Tak jest, admirale.

Flota rozdzielała się i rozpraszała z dala od ciemnej, złowrogiej masy Romea Jeden. Wtedy jednak powierzchnia sztucznej planety zaczęła się rozszerzać, aż w końcu eksplodowała jako ogromna, wirująca, czarna chmura.

– Co tu się dzieje, do cholery? – spytał Bigelow.

– Zewnętrzna powłoka... – zaczął Gower. Na chwilę zamilkł, próbując ustalić, co właściwie widzi. – Sir! Zewnętrzna powierzchnia tego czegoś może być rojem nanobotów!

Fragmenty powierzchni odlatywały na wszystkie strony, rozpadając się na drobniejsze cząstki. Kierowane polem magnetycznym Romea, zaczęły doganiać uciekające ziemskie okręty i myśliwce. Taggart patrzyła na to z coraz większym niepokojem. Jeśli te fragmenty były indywidualnie zaprogramowane, poruszały się samoczynnie...

Tak. To mogła być broń o dużo większym potencjale niż głowice nano-D Konfederacji, które rok wcześniej zniszczyły Columbus.

Chmura dogoniła jeden z wycofujących się myśliwców, który

próbował wykonywać manewry unikowe. Po chwili jego kadłub zaczął się rozpadać. Odpadały z niego kolejne zmieniające się w pył fragmenty.

– Wystrzelić do tego! – rozkazał Bigelow. – Maksymalne rozproszenie. Dajmy naszym nieco osłony!

„Lexington” oddał salwę ze wszystkich dział laserowych i cząsteczkowych w stronę rozszerzającej się czarnej chmury. Poszczególne jej fragmenty znikwały, ale było ich zbyt wiele, aby ta taktyka mogła okazać się choć trochę skuteczna. Trzy kolejne starblade’y uległy tymczasem dezintegracji. Niszczyciel „Harriman”, próbujący osłaniać wycofujące się myśliwce, za bardzo się zbliżył i zaczął rozpadać. Okręt przyspieszył, ale chmura już go doścignęła. W ciągu kilku sekund trzystumetrowy niszczyciel zamienił się w pył.

Teraz do chmury strzelały też inne okręty. Rakiety Taipan i Cobra detonowały w wielkich, cichych rozbłyskach. Kule ognia pochłaniały fragmenty chmury, lecz nadal rozszerzała się, pożerając kolejne okręty i myśliwce.

Flota wciąż atakowała. Taggart stwierdziła, że przynajmniej czuje, że coś robi, choć był to tak samo pusty gest, jak wcześniejsze bombardowanie planety. Chmura miała już biliony kilometrów sześciennych i wciąż rosła. Łączna moc ognia całej floty mogła jedynie drasnąć coś tak ogromnego.

A głęboko we wnętrzu chmury sztuczna planeta nadal parła naprzód, nieustępliwa, nieugięta, niepowstrzymana.

– Kapitanie! – zawołał komandor Gower. – „Guangdong”!

Ciężki chiński lotniskowiec zaczął przyspieszać, szybko nabierając prędkości, ale krawędź śmiertelnej chmury okazała się jeszcze szybsza.

– Ster! – rozkazał Bigelow. – Zbliżyć nas do lotniskowca Hegemonii!

– Aye, aye, sir! – odparł porucznik Andrej Němeček. Trzymał się poręczy fotela zbiegającymi kłykciami, utrzymując kontakt z łączami na ich powierzchni. Jak większość zadań na pokładzie, sterowanie okrętem wykonywało się w głowie, ale

ogromny stres był odczuwalny fizycznie.

„Lexington” był coraz bliżej chińskiego okrętu. Dzieliło je teraz tylko osiem tysięcy kilometrów. „Guangdong” był nowocześniejszą jednostką niż „Lexington”, z płaską osłoną dziobową, podobną jak u „Marne”, zamiast przypominającej grzyb kopuły. Pokryta była organicznie wyglądającymi fałdami, mieszczącymi skierowane naprzód kanały startowe. „Guangdong” potrafił ponoć wystrzeliwać myśliwce trzy razy szybciej niż starsze lotniskowce USNA, a jego kształt pozwalał na generowanie potężniejszej osobliwości grawitacyjnej, dzięki której osiągał większe prędkości. Teraz jednak opływowe kształty mu nie pomagały. Choć był szybki, śmiertelna chmura zbliżała się w zawrotnym tempie i niemal zaczęła już pożerać sekcję rufową okrętu.

– Wystrzelić głowice między „Guangdong” a chmurę! Niech się wycofa!

– Aye, aye, sir! – odparł Conrad. – Salwa sześciu VK-210... namierzam, szeroki rozrzut, pełny ładunek... ognia!

Potężne rakiety wystrzeliły z wyrzutni „Lexingtona” z przyspieszeniem pięćdziesięciu tysięcy g na swej relatywnie krótkiej trajektorii. Wyminęły „Guangdong” i uderzyły w ścigającą go chmurę. Pierwsze dwie eksplozje były dość bliskie i jasne, by całe ekrany lotniskowca ogarnął ich blask. Potem nastąpiły kolejne dwustumegatonowe wybuchy.

W głowach załogi mostka „Lexingtona” pojawiła się wyraźnie zmęczona twarz kapitana Yuana Jiechiego.

– Dziękuję, Bigelow – powiedział krótko Yuan. – Chyba nam się uda.

Chwilę później „Guangdong” przeleciał obok „Lexingtona”, wciąż przyspieszając.

– Nie ma za co, Yuan – odparł Bigelow. – Lecimy za wami.

– Przyjąłem, „Lexington”. Ale uważajcie na tę planetę. Ona dalej tam jest i wciąż przyspiesza!

Taggart zobaczyła sztuczny glob, ścigający ziemskie okręty. Poruszał się z prędkością setek kilometrów na sekundę,

a śmiertelna chmura przypominała ogromne skrzydła.

„Guangdong” uciekał przed planetą z ogromną prędkością, ale „Lexington” zbliżał się teraz do niej dość niefortunnym wektorem.

– Panie Němeček – odezwał się Bigelow – proszę odwrócić kurs. Teraz.

Sternik skinął głową.

– Aye, aye, sir. Już się robi.

Cała długość lotniskowca obróciła się ostro wokół niewidocznej osobliwości grawitacyjnej napędu. Następnie Němeček zaczął zwiększać niewyobrażalną moc tej sztucznej czarnej dziury, zmniejszając prędkość „Lexingtona” niemal do zera, po czym znowu przyspieszył. Conrad wystrzelił kolejną salwę rakiet w stronę Romea. Jeden i zaklął, gdy cobry zniknęły, zanim dotarły do ciemnej powierzchni.

– Maksymalne przyspieszenie! – krzyknął Bigelow. – Pełna moc silników!

Sekunda po sekundzie lotniskowiec przyspieszał.

– Nano-D trafiło w rufę – odezwał się Gower z przerażającym spokojem.

Wszyscy zginiemy – pomyślała Taggart.

Odczyty w jej głowie wskazywały coraz większe uszkodzenia tylnej części okrętu. Cząsteczki przypominające chmurę dymu rozbierały zewnętrzną powłokę sekcji napędowej atom po atomie.

– Zwiększyć moc tarcz – krzyczał Bigelow. Zwiększając zakrzywienie przestrzeni wokół kadłuba, być może byłoby w stanie odeprzeć atak.

– Aye, aye, sir! – odparł Gower. – Maksymalna moc tarcz!

– Kapitanie! – odezwała się Taggart. – Powinniśmy pobrać próbkę tego czegoś!

– Chce pani iść na zewnątrz z butelką?

– Nie, ale myśliwce mogą pomóc.

Bigelow zastanowił się przez chwilę.

– Dobrze. CAG?

– Tak, kapitanie.

– Proszę powiedzieć jednej z eskadr, że potrzebujemy próbki tej chmury. Jeśli będą w stanie ją pobrać, nie dając się pożreć.

– Aye, aye, sir.

Taggart pomyślała, że obca technologia jest zbyt zaawansowana, by mieli szanse samodzielnie ją pokonać. Ale może gdyby byli w stanie ją zrozumieć...

W każdym razie tylko to im zostało.

VMFA-46 „Grim Rippers”

Przestrzeń Bifrostu

Gwiazda Kapteyna

Godzina 11.15 TFT

– Chcą, żebyśmy co zrobili?!

– Pobrali próbkę tego nano-D! – odparł Salinas. – Reighley, masz dobrą pozycję...

– Przyjąłem, skipper – odparł porucznik Davies. Zbliżył się do chmury ścigającej „Lexingtona”. Lotniskowiec był poważnie uszkodzony. Spore kawałki sekcji napędowej zostały pożarte przez obce nanity. Davies zastanawiał się, czy w ogóle uda się uruchomić napęd Alcubierre’a. Jednostki napędowe były odpowiedzialne za skupienie energii grawitacyjnej w mały węzeł osobliwości przed kopułą ochronną. Gdyby uległy uszkodzeniu, „Lexington” mógłby utknąć w tym układzie gwiazdnym. A najwyraźniej nie był tu mile widziany.

– Uważaj na siebie, Davies! – odezwał się Salinas. – Nie leć w gęstą część chmury!

– Przyjąłem. – Davies skupiał się na manewrowaniu hornetem, zmniejszając prędkość przy kursie na lotniskowiec i przyspieszając na innym wektorze, by lecieć wzdłuż niego.

– Dajcie znać kontroli lotu, że lecę obok. Nie chcę, żeby wzięli mnie za wroga.

– Przyjąłem, wszystko wiedzą.

Davies był coraz bliżej. Starał się trzymać z dala od mglistych macek, które z jego perspektywy wydawały się czymś żywym, jak morski potwór próbujący schwytać okręt i wciągnąć go pod wodę. Musiał jednak zbliżyć się na tyle, by pobrać próbkę. Wyjaśnił swój plan pokładowej AI i wyczuł... konsternację w jej odpowiedzi, jakby sztuczna inteligencja nie była pewna, co zamierza. Część problemu polegała na tym, że powierzchnia

zewnątrzna horneta nie miała wykonywać skomplikowanych instrukcji. Posiadała minimalne zdolności transformacyjne, mogła zmieniać kolor, odbijać promieniowanie i pomniejszać obiekty, ale Davies próbował sprawić, by zrobiła coś, do czego jej nie zaprogramowano i z czym do tej pory nie miał do czynienia komputer pokładowy.

Cierpliwie próbował jeszcze raz. Na początek chciał sprawić, by AI zaprogramowała zewnętrzną powłokę myśliwca tak, by uformować małą butlę czy skrzynkę połączoną z kadłubem, coś, co mogłoby zebrać obce cząsteczki i zabezpieczyć je do powrotu na Heimdalla. Teraz jednak próbował przekonać raczej ograniczoną sztuczną inteligencję, że chce zmienić powłokę w coś lepkiego, aby cząstki obcej technologii się do niej przykleiły.

Słyszał, że wcześniej robiono coś takiego. Setki lat temu, u zarania eksploracji kosmosu sonda o nazwie „Stardust” użyła powierzchni pokrytej aerozelem, porowatą, sztywną pianą opartą na krzemie, by wylapać drobinki, z których składał się warkocz komety, i zabrać je na Ziemię do analizy. Davies próbował wyobrazić sobie „Stardust”, pokazać komputerowi aerożel chwytający cząsteczki pyłu.

W końcu poczuł zrozumienie ze strony AI. A przynajmniej miał nadzieję, że rozumiała. Jeśli miał ryzykować życie, żeby schwytać jakieś obce nano-D, chciał przynajmniej mieć co pokazać, jeśli uda mu się wyjść z tego cało.

Przyspieszając, przeleciał nisko ponad rufą „Lexingtona”, przebijając się przez gęstniejącą chmurę. Minął obrotowe moduły mieszkalne i wieżę mostka, po czym odbił w lewo, by nie zderzyć się z kopułą ochronną.

– Uwaga, hornet na naszej bakburcie – usłyszał nowy głos w umyśle. – Tu kontrola lotu „Lexingtona”. Niezła robota! Odwróć kurs i wyląduj w hangarze numer jeden. Chcą zobaczyć, co złapałeś po drodze.

– Przyjmuję, „Lexington”. Kurs na hangar.

– Zmniejszamy przyspieszenie.

– Przyjąłem.

Cholera. „Lexington” miał wyłączyć przyspieszenie na dość długo, żeby mógł wylądować w jednym z obrotowych modułów... co oznaczało, że obca chmura mogła otoczyć cały lotniskowiec. Czy okręt miał szansę to przetrwać? A ta kieszonkowa planeta wciąż za nimi goniła, co zdecydowanie nie było niczym dobrym.

Dlaczego to pożerające okręty głównie było takie ważne?

TC/USNA CVS „Lexington”

Mostek główny

Gwiazda Kapteyna

Godzina 12.10 TFT

– Myśliwiec jest na pokładzie, kapitanie – oznajmił CAG „Lexingtona”.

– Dobra! Ster, pełne przyspieszenie!

– Aye, sir. Wznawiamy pełne przyspieszenie.

Taggart poczuła wstrząs, gdy okręt znalazł się w bezpośrednim zasięgu broni wroga. Tarcza grawitacyjna wciąż w dużym stopniu niwelowała najgorsze jej oddziaływanie, ale okręt i tak odnosił poważne uszkodzenia.

A co gorsza, Romeo Jeden był coraz bliżej, w odległości ledwie kilku tysięcy kilometrów. „Lexington” oddalał się od sztucznej planety, ale musiał zwolnić, żeby wziąć na pokład myśliwiec.

– Mam nadzieję, że twoje próbki są tego warte, Laurie – powiedział Bigelow.

– Ja również, sir. Nie widzę jednak innej możliwości. Bez nich nic nie wskóramy. Musimy zbadać technologię Obcych z Rozety, a wtedy może uda się w jakiś sposób złamać ich kod.

– Kapitanie! – krzyknął Gower, przerywając jej. – Romeo Jeden strzela!

Promień energetyczny, żarzący się pośród chmury cząstek, przebił spód kopuły ochronnej „Lexingtona”. W przestrzeń uleciała eksplozja wody jednocześnie gotującej się i zamarzającej. Biały rozbłysk trwał tylko chwilę, ale gdy „Lexington” ruszył naprzód, promień przesunął się w bok, przecinając metalowy kadłub. Napęd przestał działać i lotniskowiec zaczął dryfować, gubiąc po drodze fragmenty uszkodzonych systemów.

Na mostku zrobiło się ciemno. Wszystkie światła i kontrolki

przestały działać.

Taggart wpadła na swoją konsolę i wtedy ciemność stała się absolutna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

TC/USNA CVS „Ameryka”

Biuro admirała

Gwiazda Tabby

Godzina 9.15 TFT

– Nie rozumiem, co właściwie widzę – stwierdził Gray. – Czym są te... istoty?

– To ci, których nazywał pan „Budowniczymi” – odparł Konstantin. – Są przedstawicielami niezwykle zaawansowanego gatunku. Co ważniejsze, to oni stworzyli zarówno zniszczoną strukturę Dysona, jak i zewnętrzny mózg-matrioszkę. Możemy być w stanie z nimi porozmawiać, choć nie są tu już obecni w sensie materialnym.

– Nie? Co się z nimi stało?

– Osiągnęli transcendencję. Ich własną nazwę można przetłumaczyć jako „Transcendentni”.

Oczywiście nie była to nazwa w ich języku, ale oznaczała mniej więcej to samo. Gray miał poczucie, że za tym terminem stoi głęboko religijne znaczenie, jak „wniebowzięci” dla chrześcijan albo „oświeceni” dla buddystów. Widział w swoim umyśle pierwotnych mieszkańców Gwiazdy Tabby jako rodzaj maszyn – owali ze srebrnoszarego plastiku, z wystającymi z ich ciał w pozornie przypadkowych miejscach lśniąco soczewkami. Spotkanie z istotami miało miejsce w wygenerowanym komputerowo pomieszczeniu, z powierzchniami wykonanymi z błyszczącego metalu i plastiku, prostymi liniami i regularnymi figurami

geometrycznymi.

Wszystko zaczęło się parę godzin wcześniej. „Ameryka” powoli zbliżyła się na odległość kilku tysięcy kilometrów do najbliższego z żagli i wysłała automatyczną sondę, inteligentną torpedę, która połączyła się ze strukturą zwisającą z cieniutkiego baldachimu.

Z pomocą tej sondy Konstantin był w stanie skomunikować się z mózgiem-matrioszką Transcendentnych – szeroką, rozproszoną siecią obejmującą setki miliardów superkomputerów zawieszonych na żaglach słonecznych. Była to sztuczna inteligencja o oszałamiającej mocy. Mózg holograficzny.

Termin ten odnosił się do ziemskiej holografii, gdzie dane przechowywane były dzięki podzieleniu wiązki światła laserowego na dwie części za pomocą szklanej płytki, a następnie naświetleniu obiema wiązkami kliszy fotograficznej. Kliszę taką można było przeciąć na części, a jednak każda z tych części przedstawiała ten sam oryginalny, fotografowany obraz. Im mniejszy fragment, tym obraz był mniej wyraźny, ale mimo wszystko każdy zawierał całość pierwotnego wzorca. Ludzkie mózgi działały podobnie: pamięć rozproszona była w całej sieci dendrytów holograficznie. Każdy węzeł sieci zawierał całość wspomnienia.

Mózg-matrioszka otaczający Gwiazdę Tabby wydawał się działać na tej samej zasadzie. Każdy zawieszony na żaglu słonecznym statyta zawierał cały system w swoim sercu z komputronium. Przy bilionach statytów, pojedynczy obiekt zawierał jedynie błąd całości, ale Konstantin mógł komunikować się z tą całością, łącząc się z jednym z nich.

Konstantin wciąż uczył się, jak rozmawiać z tą inteligencją, i przez ostatnie kilka godzin poczynił znaczne postępy. Obie AI prowadziły ożywioną konwersację w wirtualnej rzeczywistości mózgu-matrioszki.

Na pewno pomagało to, że obcy umysł wydawał się niemal niewyobrażalnie inteligentny. Był świadom „Ameryki”, jej

zmagają z błoniastymi stworzeniami i chciał porozmawiać. Gray siedział w biurze na pokładzie okrętu, ale jego umysł wędrował przez bogatą i wiecznie zmieniającą się wirtualną rzeczywistość, moderowaną przez klon Konstantina, ale stworzoną przez obcą AI.

– No nie wiem – stwierdził Gray. – „Transcendentni” brzmi nieco pretensjonalnie.

– Pozwoliłem sobie zasugerować nowe nazwy – odparł Konstantin. – Takie z mniejszym bagażem emocjonalnym dla ludzi. Nazywam ich „Satori”.

– Dobra, a co to znaczy?

– To japońskie słowo na buddyjską koncepcję przebudzenia, zrozumienia lub pojęcia. Porzucenie pożądania i innych ludzkich słabości to cel praktykujących buddystów.

– I uważasz, że te istoty to osiągnęły?

– Nie oceniam tego. I zdecydowanie nie mogę decydować o adekwatności użycia ludzkich terminów religijnych. To po prostu przydatna nazwa.

– Zgadza się. Ci Satori to maszyny?

– Jest dość prawdopodobne, że Satori wyewoluowali pierwotnie jako czysto organiczne istoty – wyjaśnił Konstantin.

– Nie byłem w stanie określić dokładnego czasu, ale podejrzewam, że byli nimi jeszcze kilka milionów lat temu. Podobnie jak część gatunków z Chmury N’gai, z czasem stworzyli sztuczne ciała dla swoich organicznych mózgów, a następnie przestali potrzebować jakichkolwiek struktur biologicznych.

Gray skinął głową. Słyszał już o takich historiach od badaczy zajmujących się cywilizacją Sh’daar. Zwłaszcza trzy gatunki wyspecjalizowały się w robotyce i ostatecznie przekształciły w cybernetyczne formy życia: Adjugredudhra, Groth Hoj i Baondyeddi. Na przestrzeni eonów wszystkie trzy stworzyły robotyczne ciała z metalu i plastiku, ostatecznie przenosząc do nich swoją świadomość.

– Wydaje się to dość powszechne wśród zaawansowanego

technologicznie życia – zauważył Gray.

– Owszem. Ma to sens. Organiczne ciała są słabo przystosowane do funkcjonowania w przestrzeni kosmicznej przez dłuższy czas albo do egzystencji mierzonej epokami geologicznymi.

– Albo do kontaktów z zaawansowanymi AI?

– Albo – zgodził się Konstantin. – Cybernetyczne gatunki są znacznie szybsze, bardziej elastyczne i rozsądniejsze niż organiczne.

Gray chciał rzucić jakąś ripostę, ale powstrzymał się. Wypowiedź o kontaktach z AI miała być żartem, ale superkomputer wydawał się brać ją poważnie. Cóż, Piachu sam się o to prosił. Nigdy nie miał pewności, czy AI rozumie dowcip, czy nie.

Poza tym, z punktu widzenia Konstantina, większość ludzi obecnie była cybernetycznymi organizmami. Obwody komputerowe nanotechnologicznie połączone z ich mózgami, wszelkie sztuczne usprawnienia ciała, wszystko to kwalifikowało ich do tego miana. Większość ludzi myślała o tych komponentach właśnie jako usprawnieniach czy protezach, a nie jako o cybernetyce. Ludzie wciąż wyglądali jak ludzie, oprócz skrajnych grup, które hurtowo wymieniały biologiczne części ciała na mechanizmy. Przez wieki ludzie nosili szkła kontaktowe, aparaty słuchowe czy rozruszniki serca. Implanty komputerowe nie różniły się zbytnio, poza tym, że były może nieco bardziej inwazyjne.

Ale być może stwierdzenie Konstantina o cybernetycznych gatunkach rzeczywiście miało zastosowanie wobec współczesnych ludzi?

W każdym razie Konstantin komunikował się z inteligencją zamieszkującą warstwy żagli słonecznych wokół Gwiazdy Tabby i dowiedział się, że organiczne istoty, które tu wyewoluowały, przeniosły umysły do maszynowych mózgów. Gray zdawał sobie teraz sprawę z obecności tych istot jako kształtów i cieni wokół nich, w postaci dryfujących owoidów,

które Konstantin nazywał Satori. Problem w tym, że istniały one jako duchy w pamięci super-AI układu, jako że nie miały już materialnej formy. Być może pięćset czy sześćset lat temu osiągnęli własny odpowiednik Schjaa Hok i zniknęli. Zapewne, podobnie jak dużo starsi ur-Sh'daar, wciąż w jakiś sposób istnieli, ale nie wiadomo było, w jakiej formie. Inny wymiar? Inna, bezcielesna płaszczyzna egzystencji? Nowy, stworzony przez nich wszechświat? Kto wie?...

AI Satori – Gray już nazywał ją w myślach „Satorai” – nie miała opinii w tej kwestii. Według Konstantina nie interesowała się innymi umysłami, przynajmniej do czasu powrotu Gaki.

Gaki – głodne duchy. Wydawało się to odpowiednią nazwą dla tajemniczych kosmicznych ameb. Znów było to określenie zasugerowane przez Konstantina, jako że impulsów radiowych odpowiadających terminowi używanemu przez Satori nie dało się zwyczajnie wymówić. Jeśli Satori było japońskim słowem na buddyjskie oświecenie, Gaki odpowiadało innej buddyjskiej koncepcji – „głodnym duchom”. Były to duchy przodków porzucone lub zaniebane przez żyjących potomków albo – zgodnie z inną tradycją – duchy ludzi uwięzionych przez pożądanie lub chciwość i dręczonych głodem niemożliwym do zaspokojenia.

Według Satorai pierwotni mieszkańcy tego układu stworzyli Gaki jako inteligentne pojazdy do eksploracji pobliskich gwiazd. Robili to przez milenia – pierwszy wystrzelili w międzygwiazdną pustkę jakieś osiemdziesiąt tysięcy lat wcześniej. W ostatnich kilku stuleciach te urządzenia zaczęły wracać.

I wracały zmienione. Satorai nie mogła już się z nimi porozumieć, a Gaki wydawały się zainteresowane jedynie pożeraniem infrastruktury Satori. Cieniutkie żagle słoneczne były dla nich odpowiednikiem haute cuisine, choć pożywiały się też fragmentami chmury odłamków.

– Ale czym one są? – chciał wiedzieć Gray. – Te Gaki. Mówiłeś, że to pojazdy, ale nie mogą nic przewozić – towarów,

pasażerów...

– Przeciwnie: przewożą informację. Być może lepszym określeniem byłyby sondy. Niewielką część ich zawartości stanowią obwody komputerowe. Ten sam pomysł powstał też na Ziemi kilkaset lat temu. Ludzcy projektanci nazwali go „Starwisp”.

– Pamiętam, słyszałem coś o tym pomysłe, ale nigdy go nie rozwinięto. Mikrofalowy żagiel z komputerem wystarczającym dla AI, tak? Żagiel mógłby przyspieszać do dziesięciu procent prędkości światła, ponieważ cała masa ładunku wynosiłaby jedną dziesiątą grama, a sam żagiel ważyłby tylko jakiś kilogram.

– Właśnie tak. Koncept Gaki był podobny. Satori stworzyli je, a w zasadzie wyhodowali. Chcieli wysłać je jako ogromne żagle świetlne do innych gwiazd, gdzie AI dokonywałyby badań, rejestrowały informacje i używały lokalnych surowców do budowy kolejnych żagli.

– Ale coś poszło nie tak.

– Owszem.

– Czy wiesz co?

– Nie jestem do końca pewien – odparł Konstantin. – Dowody wskazują jednak na wyjątkowo złośliwego wirusa komputerowego.

– Wirusa? Sztucznie stworzonego elektronicznego wirusa?

– Owszem. Mógł zostać stworzony przez inną inteligencję, pragnącą obronić swój układ słoneczny przed intruzami.

– Wirus komputerowy. – Gray poczuł ukłucie niepokoju. – Czy on może...

Konstantin przewidział jego strach.

– Nie zostałem zarażony, admirale. Jeśli istnieje, znajduje się w Gaki. A my nie mieliśmy z nimi jeszcze bliskiego spotkania.

– Dzięki Bogu.

– Niebezpieczeństwo jest znaczne – stwierdził Konstantin. – Wyobrażalne, a nawet prawdopodobne wydaje się, że powracające Gaki zarażone tym wirusem są odpowiedzialne za

zniszczenie tutejszej struktury Dysona.

Szerokie, lśniące korytarze i pomieszczenia wirtualnego świata Satori zniknęły, zastąpione przez rozświetlającą mrok gwiazdę. Gray zastanawiał się, czy widzi generowany komputerowo konstrukt, czy prawdziwe nagranie sprzed tysiąca lat.

A może nie było różnicy?

– Mózg-matryoszkę i strukturę Dysona zbudowano po sobie. Najpierw toroid, potem statyty. Jak widać, Satori nie otoczyli całej gwiazdy sferyczną skorupą. Zamiast tego zbudowali szeroki pierścień nad równikiem gwiazdy, sięgający dwadzieścia pięć stopni na północ i południe. Nie sferę Dysona, ale toroid Dysona. Zostawiło to mnóstwo miejsca na budowę statycznych obiektów z dostępem do promieniowania gwiazdy. Ze względu na duży promień toroidu, prawie dwie jednostki astronomiczne, jego powierzchnia była znacznie większa niż powierzchnia kompletnej sfery Dysona wokół gwiazdy takiej jak Słońce.

– Aż tak dużo przestrzeni? – spytał Gray.

– Mniej więcej miliard razy tyle, co powierzchnia Ziemi. Dokładnie miliard pięćdziesiąt cztery miliony dwieście sześćdziesiąt tysięcy razy.

– To wydaje się przesadą. Z taką przestrzenią po co im eksploracja innych gwiazd? – zdziwił się admirał.

– Ponieważ nie próbowali stworzyć jedynie habitatu – odparł Konstantin.

– Słucham?

– Jeśli dobrze rozumiem tę AI, Satori pracowali nad czymś ambitniejszym niż otoczenie swojej gwiazdy przestrzenią życiową i potężnym komputerem. Chcieli przemieścić swoją gwiazdę.

– Ach...

Teraz wszystko miało sens. Ostatni element układanki.

– Więc to właśnie chcieli nam powiedzieć Agletsch. Że Satori pracowali nad czymś w rodzaju silnika Szkadowa.

– Mniej więcej tak. Zasada działania jest podobna. Wygląda na to, że Satori opanowali znacznie wydajniejszą technologię inżynierii gwiazdowej. Otoczyli swoje słońce generatorami potężnego napędu grawitacyjnego. Brak nam pewnych szczegółów, ale AI Satori wydaje się uważać, że gwiazda – razem z otaczającą ją technologią, toroidem i mózgiem-matrioszką, oczywiście – mogłaby osiągać znaczny procent prędkości światła.

– Gdzie im się tak spieszyło?

– Do gwiazdy, którą znamy jako Deneb.

Wewnątrz umysłu Gray odwrócił wzrok od Gwiazdy Tabby i zwrócił go w stronę białego blasku w oddali. Deneb świecił niedaleko czerwonej plamy Mgławicy Ameryka Północna. Na nocnym niebie Ziemi był jedną z dwudziestu najjaśniejszych gwiazd, a przecież dzieliło go od niej tysiąc sześćset lat świetlnych. Stąd odległość do Deneba wynosiła tylko sto siedemdziesiąt trzy lata świetlne, więc był bardzo jasny.

– Dobrze. Dlaczego?

– AI mi nie powiedziała. Wydaje się uważać, że jej budowniczości napotkali tam coś... niesamowitego. Może obcą cywilizację zorganizowaną zupełnie inaczej niż Satori.

– Rozumiem. Satori wystrzelili sondy i dowiedzieli się o czymś na Denebie. Tymczasem coś tamtejszego zaraziło sondy wirusem komputerowym i odesłało je z powrotem.

– Napęd gwiazdny Satori wymagał wysokiego zaawansowania technologicznego. Znaczna część mocy obliczeniowej mózgu-matrioszki poświęcona była utrzymaniu stabilności gwiazdy i jej otoczenia. Wirus naruszył tę stabilność, co pociągnęło za sobą katastrofalne skutki. Toroid zachwiał się, a następnie został rozerwany.

– „Jakoż poległi mocarze w bitwie”² – powiedział Gray, wrywając biblijny cytat z kontekstu. – Myślisz, że zniszczenie było celowe?

– Niemal na pewno. Cywilizacja Deneba mogła stworzyć wirus, wiedząc, że Satori chcą ją odwiedzić.

– I nie uśmiechała im się sąsiadka wizyta.

Coś przyszło Grayowi do głowy. Otworzył w głowie nowy plik i szybko pobrał dane z biblioteki „Ameryki”.

– Chwileczkę...

– Zastanawia pana wiek Deneba.

– Tak. Coś tu nie ma sensu. Deneb to gwiazda typu A2Ia, nadolbrzym.

Zgodnie z informacjami, na które patrzył, gwiazda ta miała ponad sto razy większą średnicę niż Słońce i pięćdziesiąt cztery tysiące razy większą jasność, co czyniło ją jedną z najjaśniejszych gwiazd w Galaktyce.

– Cholera – kontynuował Gray. – Zaczęła jako typ O, najjaśniejszy i najgorętszy. Im większa i jaśniejsza jest gwiazda, tym szybciej się wypala i wybucha. To znaczy, że Deneb może mieć tylko około dziesięciu milionów lat do katastrofy, może mniej...

– Innymi słowy – dokończył Konstantin – jest zbyt młody, aby na którejś z jego planet wyewoluowało życie.

– Tak. Zresztą przy takiej gorącej gwiazdzie życie w ogóle nie powinno się pojawić.

– Są inne możliwości – przypomniał Konstantin. – Deneb mógł zostać skolonizowany przez cywilizację techniczną używającą gorących nadolbrzymów typu O, B i A. Albo życie, które tam wyewoluowało, jak sugeruje AI Satori, jest radykalnie innego rodzaju niż do tej pory znane ludzkości. Na przykład istoty żyjące w gwiazdnej plazmie, o ile coś takiego jest możliwe.

– Chyba będziemy musieli się tam udać i sami przekonać.

– Nie zalecałbym tego.

– Może masz rację. Przynajmniej nie tym razem.

Nie żeby Gray miał szczególne szanse na kolejny raz. Prawda była taka, że sądy wojskowe dość jednoznacznie oceniały oficerów flagowych odmawiających wykonania rozkazów i wracających z pustymi rękami. Ich wagary nie dały im ani działającego silnika Szkadowa, ani nic przydatnego w kwestii

zaawansowanej broni. Nic, czego mogliby użyć przeciwko Obcym z Rozety.

Przez chwilę Graya kusiło, żeby obwinić o to Konstantina. Dlaczego ta cholerna AI go tam zaciągnęła? Z powodu nietrafionego przeczucia?

Ale nie. Admirał sam zgodził się z sugestią Konstantina. Świadomie podjął decyzję. Nie było co przerzucać winy.

– Istot zdolnych do zniszczenia cywilizacji typu drugiego w skali Kardaszewa na odległość stu siedemdziesięciu trzech lat świetlnych – kontynuował Konstantin – nie należy lekceważyć.

– Może i nie. Ale przybyliśmy tu, żeby znaleźć broń albo sojuszników w walce z Obcymi z Rozety, tak? Bezskutecznie...

– Nie całkiem.

Gray wziął głęboki oddech.

– Cóż, wygląda na to, że ktokolwiek czy cokolwiek mieszka w układzie Deneba, to będzie dobry kandydat.

– Jeśli ludzkość przetrwa to spotkanie, być może. Ale mamy już broń, której możemy użyć bez bezpośredniego spotkania z Denebianami.

– Jaką broń? – zdumiał się Gray.

– Wirusa komputerowego, który zniszczył torus Satorich.

VFA-96 „Black Demons”

Gwiazda Tabby

Godzina 15.53 TFT

Porucznik Gregory leciał razem z resztą „Black Demons” kilka tysięcy kilometrów ponad gładkimi, hebanowymi baldachimami statytów Satori. Przed nimi, niemal niewidoczne, poruszyło się coś przejrzystego. Było zbyt odległe, by zobaczyć je gołym okiem, ale AI myśliwca przekazała Gregory’emu powiększony obraz.

– CAG, tu Demon Cztery – odezwał się. – Widzę cel.

– Przyjęłam, Demon Cztery – usłyszał w głowie głos kapitan Fletcher. – Pamiętaj, nie atakuj. Jesteś tu, żeby chronić sondę i odebrać ją po drugiej stronie.

– Przyjąłem – odpowiedział z wahaniem. – CAG, czy ktoś pomyślał o tym, co się z nami stanie, jeśli wkurzymy to coś?

– Nie martw się, Cztery. Nie będzie wkurzone akurat na ciebie.

– Chciałbym mieć twoją pewność co do stanu emocjonalnego zupełnie pokręconego kosmity – odparł Gregory.

– Start sondy za trzydzieści sekund.

Gregory sprawdził odległość od celu – prawie dziesięć tysięcy kilometrów. Jak teraz je nazywali? Gaki, tak. „Głodny duch”. Pasowało.

Dostosował kurs tak, by zbliżyć się nieco bardziej do błoniastego kształtu, zachowując jednak bezpieczny dystans. Widział teraz, że tamten jest częściowo rozciągnięty i korzysta ze światła gwiazdy, by ruszyć ku kolejnemu żaglowi słonecznemu. Pożerał rozległe baldachimy jeden po drugim, niczym zwierzę gospodarskie trawę na pastwisku.

– O co chodzi z tą sondą, skipper? – spytał Gregory. – Wciąż próbują się z tym porozumieć?

– Nie wiem, Cztery – odparł Mackey. – Ponoć przygotowują subklona tej księżycowej AI i wysyłają go do środka tego czegoś.

– Ta, Konstantin. Dobra, i co wtedy?

– Cholera wie.

– Chcą skopać dupę głodnemu duchowi – powiedziała DeHaviland. – I go wkurzyć.

– Jasne... Czekajcie tylko, aż zacznie rzucać kamieniami.

– Tu nie ma kamieni – wtrącił Caswell. – Chyba jesteśmy bezpieczni.

Gregory szczerze wątpił, aby słowo „bezpieczni” pasowało do sytuacji związanych z żywymi masami pyłu i gazu mierzącymi setki tysięcy kilometrów.

– Uwaga wszyscy – odezwał się Mackey. – Start sondy za pięć sekund.

„Ameryka” przesunęła się na odległość kilku tysięcy kilometrów od powierzchni żagła. Jej wielka kopuła dziobowa wskazywała teraz bezpośrednio na odległy o dziesięć tysięcy kilometrów obcy organizm. Gregory słyszał odliczanie na kanale kontroli lotu.

– ...i trzy... dwa... jeden... start!

Ze środka kopuły z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na sekundę wyleciała czarna kropla.

Kropla była standardowym myśliwcem typu Starblade, ale pozbawionym broni i sporej części elementów wewnętrznych, zastąpionych obwodami komputerowymi – ziemskim odpowiednikiem komputronium. AI na „Ameryce”, będąca klonem Konstantina, skopiowała część siebie i umieściła w przerobionym myśliwcu zamiast pilota. Klon klona miał stać się emisariuszem ludzkości do dziwacznej formy życia.

– Sonda wystartowała – odezwała się kontrola lotu.

– Tu CAG, przyjąłem. Widzimy ją. No dalej, Demony, działamy zgodnie z planem.

Sonda miała przelecieć dziesięć tysięcy kilometrów w trzy minuty i trzydzieści trzy sekundy. Pytanie brzmiało, jak cel na nią zareaguje. Gdy Gregory wcześniej znalazł się zbyt blisko

Gaki, na tyle, że wleciał w jego chmurę magnetycznie uporządkowanych cząsteczek gazu, stworzenie wydawało się co najmniej poirytowane.

Mijały kolejne sekundy. Sonda leciała w linii prostej, nie zmieniając prędkości ani kierunku. Może w ten sposób byłaby w stanie przekonać Gaki, że jest meteorem, bezwładnym kawałkiem kosmicznego gruzu?

Innymi słowy, obiadem.

Myśliwce „Black Demons” eskortowały sondę. Trzy i pół minuty po starcie wleciała w sam środek chmury pyłu.

Reakcja była zdumiewająca. Rozłożone skrzydła i błoniaste nibynóżki zaczęły wracać do środka istoty, która zwinęła się w gęstą kulę. Wyglądało to, jakby sonda się z nią połączyła, a jej nanopowłoka, płynna niczym stopiona smoła, penetrowała serce organizmu. Stworzenie wiło się, zapadając się w siebie i ponownie eksplodując.

Gregory manewrował ostro, wymijając nibynóżki. Usłyszał trzask ziaren pyłu uderzających o kadłub myśliwca i poczuł pojedynczy wstrząs. Nie wiedział, czy był to celowy atak, czy przypadkowe zderzenie z ranną bestią, ale wolał nie ryzykować.

– Wypluł sondę – oznajmił Ruxton. – Widzę ją...

Obcy organizm znów skompresował się do formy gęstej kuli i zaczął kierować w stronę gwiazdy. Zderzył się z czarnym żaglem statyty pod nim i przebił przez niego. Sonda wynurzyła się z chmury na nowym wektorze, koziółkując.

– Pozwólcie Gaki odlecieć – rozkazał Mackey. – Złapcie sondę!

– Robi się – powiedział Gregory. Łatwiej było powiedzieć, niż wykonać. Łagodnie przyspieszył, lecąc obok sondy.

– Pod żadnym pozorem nie komunikujcie się z nią – powiedział Mackey. – Dostałem rozkaz z BCI. Jeśli wszystko poszło dobrze, sonda jest zarażona cholernie groźnym wirusem komputerowym.

– Jeśli poszło dobrze? – Gregory pokręcił głową. – Czyj to był wspaniały pomysł?

– Pewnie komputera – odparła DeHaviland. – Jestem dziesięć kilometrów od ciebie na sterburcie, Don. Pomogę.

– Dobra. – Gregory porozumiał się bez słów z AI myśliwca. Łagodnie, pod kontrolą sztucznej inteligencji, maszyna zbliżała się do koziółkującej sondy. Starblade przybrał konfigurację atmosferyczną, ze skrzydłami w kształcie delty. W próżni skrzydła nie przydawały się przy lataniu, ale pilot zamierzał użyć krawędzi jednego z nich, żeby zatrzymać obrót sondy.

DeHaviland pojawiła się po drugiej stronie sondy, zbliżając się powoli.

– Połącz AI z moją – powiedziała.

– Robi się.

Oba myśliwce były teraz praktycznie pod kontrolą jednej sztucznej inteligencji, dzięki czemu ruszały się synchronicznie i precyzyjnie. Ich skrzydła zetknęły się z sondą w tym samym momencie. Gregory poczuł wstrząs i powstrzymał chęć włączenia napędu grawitacyjnego.

Spowolniona sonda dryfowała teraz między obiema myśliwcami, które zbliżyły się do siebie na tyle, że nanopowłoka ich skrzydeł zmieniła się w coś w rodzaju płynu, który otoczył zdobycz.

– Mamy ją – oznajmiła DeHaviland.

– Dobra. Wracamy do domu.

Gregory czuł rodzaj euforii. Depresja może nie znikła, ale była teraz gdzieś daleko w tle.

Otworzył prywatny kanał.

– Hej, Cyndi?

– Tak?

– Dobra robota.

– Dzięki.

– Hmmmm...

– Co?

– Nic takiego, tak tylko, może chciałabyś spotkać się i pogadać potem, po służbie?

Oczekiwał, że go spławi. Zamiast tego powiedziała:

– Jasne!
I depresja zrobiła kolejny krok w tył.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

25 grudnia 2425

TC/USNA CVS „Ameryka”
Mesa grawitacyjna w module 1
Kurs do Gwiazdy Kapteyna
Godzina 20.05 TFT

– Zostało nam... ile? – spytała Connie Fletcher. – Jeszcze pięć godzin do wynurzenia?

Gray spojrział na wewnętrzny zegar.

– Pięć godzin, dziesięć minut i... kilka sekund – odparł.

Upił nieco drinka z replikatora mesy. Gray normalnie nie spożywał na pokładzie alkoholu, a już na pewno gdy dowodził, ale dziś uznał, że potrzebuje znieczulających efektów etanolu.

Mesa grawitacyjna „Ameryki” znajdowała się w module mieszkalnym numer jeden, którego obrót zapewniał ciężenie około połowy g. Zarówno oficerów, jak i resztę załogi zachęcano do spędzania tu każdego dnia kilku godzin, by powstrzymać szkodliwe skutki długotrwałego wystawienia na mikrogravitację. Wystrój był przyjemny, choć nieco sterylny, z gładko zakrzywionymi białymi ścianami i meblami, które na życzenie wyrastały z pokładu. Co najlepsze, pomieszczenie było dość duże, aby wydawało się niemal puste nawet, gdy przebywało w nim trzydziestu czy czterdziestu ludzi. Przeźroczyste zasłony świetlne i rzeźby fotonowe zapewniały iluzję intymności i prywatności.

Gray siedział przy szerokim, niskim stole razem z Connie

Fletcher. Przyglądali się komputerowej symulacji gwiazd, które mijali podczas podróży.

– Masz już plan działania? – spytał.

– Tak. Wynurzamy się w odległości czterdziestu jednostek astronomicznych, jak w dawnych czasach, żeby dobrze się rozejrzeć. I warto wystrzelić myśliwce, gdy tylko się tam znajdziemy.

– Racja. Naszym priorytetem będzie nawiązanie kontaktu z flotą.

– Zakładając, że flota wciąż tam jest.

– Nie ma to jak pozytywne nastawienie, co?

– Hej, minął tydzień – stwierdziła. – Wszystko mogło się zdarzyć. Może ludzkość zawarła pokój i wszyscy wrócili do domu?

– Byłoby cudownie.

– Nie kupujesz tego?

– Nie. Nigdy nie jest tak łatwo. Szczególnie gdy mamy tyle niewiadomych.

– Wciąż boisz się, co dowództwo powie na... wagary?

– Trochę tak. – Wzruszył ramionami. – Ale cokolwiek się zdarzy, to moje wagary, nie twoje. Moja odpowiedzialność.

– Powiedziałabym, że pewną odpowiedzialność ponosi też Konstantin.

– Prawnie nie. Jest maszyną, a raczej programem. Decyzje mimo wszystko należą do ludzi.

– Jesteś pewien? Czasami myślę, że AI wszystkim rządzą za kulisami, a my mamy niewiele do powiedzenia. Tylko to, co chcą, żebyśmy mieli.

– Nie wiedziałem, że jesteś zwolenniczką teorii spiskowych, Connie.

Tego rodzaju teorie pojawiały się już od stuleci, odkąd ludzkość w ogóle zaczęła zastanawiać się nad tym, że maszyny mogą niedługo stać się inteligentniejsze od twórców. Na tyle inteligentniejsze, że ich wyeliminują. Albo umieszczą w zoo.

– Nie, tak naprawdę to nie – odparła Fletcher. – Ale i tak się

zastanawiam. Maszyny takie jak Konstantin są od nas dużo szybsze, mają dostęp do większej ilości danych. Nie mogą poświęcać więcej niż małego ułamka swojej uwagi tak powolnym istotom, jak my. O czym myślą w całym tym pozostałym czasie? Co robią?

– Nie wiem. Konstantin wydaje się jednak szczerze martwić o przyszłość ludzkości oraz inteligentnych maszyn.

– Nie myślisz, że frustruje go to, jak wolno myślimy?

– Może trochę. Ale różnice między nami a maszynami były już takie, gdy pierwszy raz go uruchomiono. Może po prostu bierze to za oczywistość.

– Kiedyś oczywistościami były cholera czy rak. Zastanawia mnie, jak długo istoty podobne do super-AI będą nas potrzebować.

Gray roześmiał się.

– Już nas nie potrzebują. Czasami myślę... – nie dokończył zdania.

– Co?

– Nie wiem. Czasami myślę, że je bawimy.

Wzdrygnęła się.

– To dość przerażające.

– No cóż... Na dobre czy na złe, nie pozbedziemy się już inteligentnych maszyn. Jeśli będziemy mieć szczęście, zdołamy ewoluować wraz z nimi. A jeśli nie... – Rozłożył ręce. – Możemy żywić chociaż nadzieję, że z nostalgii zaopiekują się ludzkością na starość.

Przy jednym ze stolików obok kilkunastu członków załogi śpiewało piosenki przesileniowe przy akompaniamencie komputerowej orkiestry. Ich treść traktowała o nowym świetle i nowym dniu, które przynosiło przesilenie zimowe. Nie pasowały do mrocznych myśli Graya i Fletcher. Fletcher uśmiechnęła się nagle, jakby przełączyła coś w głowie, i pochyliła się.

– Chcesz do nich dołączyć?

– Nieszczególnie.

– No dalej, admirale. Jesteś ostatnio ponury jak AI odłączona od kontaktu.

– Hej, to ty się martwisz, że AI wybiją ludzkość!

– Myślę, że wciąż zostało nam sto czy dwieście lat. Cieszymy się życiem, póki możemy! Poza tym naprawdę przyda ci się trochę towarzystwa.

– Jak chcesz, to idź, Connie – powiedział Gray. – Ja muszę coś przemyśleć.

Spojrzała na niego, jakby zamierzała się z nim pokłócić, ale pokręcił głową.

– No, dzięki. To nie dla mnie.

Wzruszyła ramionami.

– Jak chcesz. Przepraszam.

Wstała, wzięła drinka i przeszła przez zasłonę z czerwonego światła, aby dołączyć do świątecznych śpiewaków.

– Hej, to przecież CAG! – ktoś zawołał i wszyscy wybuchli śmiechem.

Gray upił kolejny łyk z kieliszka. Miał mieszane uczucia w kwestii świąt Przesilenia Zimowego, a o tej porze roku zdecydowanie go to wkurzało. Przesilenie? To Boże Narodzenie, do cholery!

Biała Konwencja praktycznie zakończyła wszelkie publiczne obchody świąt religijnych. Zresztą tendencję taką można było zaobserwować nawet, zanim jeszcze krwawe wojny islamskie dwudziestego pierwszego wieku doprowadziły do jej podpisania.

Mimo wszystko ludzie chcieli co jakiś czas poświętować, niezależnie od obowiązującego prawa. Zimowe przesilenie na północnej półkuli i letnie na południowej pozostały w miarę neutralnymi religijnie okazjami do celebracji.

Gray nie był szczególnie religijny, ale żałował utraty społeczno-historycznych więzi, które kiedyś definiowały ludzką kulturę. Epokę czy dwie temu, kiedy był prymem mieszkającym w Ruinach Manhattanu z Angelą, nie przejmował się szczególnie Białą Konwencją. Angela była chrześcijanką i często

wspólnie obchodzili Przesilenie Zimowe, ubierając choinkę i zachowując wiele innych obrzędów święta, które dawniej zwało się Bożym Narodzeniem. Dlaczego nie? Nawet samo słowo „święta” oznaczało coś świętego.

Oczywiście walcząc o przetrwanie w ruinach, nie miał zbyt wiele czasu na takie rozrywki. Tam Biała Konwencja istniała zresztą tylko jako dalekie echo dość topornych prób inżynierii społecznej na wielką skalę z dawnych czasów. Nawet gdy przeprowadził się z Peryferii do USNA jako takich, Biała Konwencja była mniej pałąką nad głowami ludzi, a raczej czymś objawiającym się pogardliwymi uśmieszkami. Święto religijne? Jakież to wulgarne...

Wciąż tęsknił jednak za Bożym Narodzeniem. Zastanawiał się, ile miało to wspólnego z tęsknotą za Angelą.

Znów pomyślał o tym, jak może radzić sobie w nowym życiu. Czy wciąż była wierząca? Czy też wylew i terapia, która naprawiła uszkodzenia mózgu, zniszczyły również to, podobnie jak jej miłość do niego?

Cholera. Zawsze tak było. O tej porze roku robił się przygnębiony na tyle, że nie mógł znieść samego siebie. Bogowie tylko wiedzieli, jak nieprzyjemne musiało to być dla ludzi wokół niego.

Przebycie odległości między Gwiazdą Tabby i Gwiazdą Kapteyna zajęło prawie tydzień. AGTR Boyajian, położona na krawędzi układu KIC 8462852, zabrała ich z powrotem do Penrose. Tam jednak czekał Graya trudny, jeśli nie niemożliwy wybór.

„Ameryka” mogła wrócić do domu tak samo, jak tam przyleciała, pokonując niemal osiemdziesiąt lat świetlnych w zwykłej przestrzeni, albo zmienić kurs na prowadzący do pierwotnego celu. Gryzło go to przez kilka dni. Gdyby wrócili na Ziemię, musiałby opuścić okręt i zostałby postawiony przed sądem polowym. Oczywiście oddałby zdobyte przy Gwieździe Tabby dane w dobre ręce i mogłyby się one przydać... za jakiś czas. Jego informatycy byli przekonani, że udało im się uzyskać

kod definiujący obcy program wewnątrz Gaki i że powinien istnieć sposób na włamanie się za jego pomocą do świadomości istot z Rozety.

Powinien...

Alternatywą był kurs na Gwiazdę Kapteyna i dołączenie do floty, którą porzucił kilkanaście dni wcześniej z nadzieją, że jego informatycy będą mieli dość czasu na stworzenie wirusa, który zdoła cokolwiek zdziałać przeciwko obcym.

Problem z drugą opcją był oczywiście taki, że Gray nie mógł wiedzieć, co zaszło przy Gwieździe Kapteyna pod jego nieobecność. Wielka Zjednoczona Flota mogła już znaleźć sposób na pokonanie Obcych z Rozety, choć bardziej prawdopodobne było, że uległa zniszczeniu i „Ameryka” będzie musiała samotnie stawić czoła obcym.

Możliwe też, że znajdą flotę próbującą negocjacji, z lepszymi lub gorszymi skutkami, zależnie od tego, co działo się przez ostatnie tygodnie.

Ostatecznie Gray wybrał drugą opcję. Jeśli chodziło o jego osobistą karierę, to czy uda się do SupraQuito i stanie przed sądem, czy też polecą do Gwiazdy Kapteyna, nie miało znaczenia. A mogło okazać się kluczowe dla floty, jeśli jeszcze istniała.

Oprócz tego zżerało go poczucie winy, odkąd posłuchał Konstantina i zmienił cel misji. Choć obecność „Ameryki” raczej nie mogła zrobić dużej różnicy przy Heimdallu, nadal czuł, że porzucił swoje obowiązki. Wiedział, że jeśli sprawy potoczyły się tam źle, będzie czuł się odpowiedzialny, nawet jeśli „Ameryka” stanowiła tylko ułamek ziemskich sił.

A poza tym po prostu musiał wiedzieć.

– Admirale, dostałam wiadomość. Chciał się pan ze mną widzieć?

Gray zamrugał oczami i obrócił się. Stała przed nim młoda, chuda kobieta z twarzą pokrytą kawałkami metalu i plastiku.

– Ach, doktor Sanger. Proszę usiąść.

Carolyn Sanger była starszym oficerem informatycznym

„Ameryki”, przynajmniej w teorii. Jak w przypadku wielu innych kwestii, większość zadań wykonywała pokładowa AI, podczas gdy ludzie pełnili jedynie pomocnicze funkcje. Sanger nie była wojskową, podobnie jak Truitt. Jej stanowisko oznaczało, że miała status odpowiadający komandorowi porucznikowi Marynarki, choć nie była częścią okrętowego łańcucha dowodzenia.

Była też cyborgiem trzeciej klasy, niemal bardziej maszyną niż człowiekiem. Jej oczy i większość twarzy zakrywał wizjer i coś w rodzaju hełmu, wyrastającego z bladej skóry.

– Chciał się pan ze mną widzieć? – powtórzyła.

– Tak, przynajmniej nieoficjalnie...

– Słucham?

– Chcę wiedzieć, czy nowa torpeda jest gotowa.

– Jasne. Wszystko jest jak trzeba. Ricky powinien już wysłać panu raport.

– Ricky?

– Statek. No wie pan, „Ameryka”.

– Ach.

Nie słyszał jeszcze tego przezwiska. Czy był to prywatny żart informatyków?

– Czy obcy wirus jest odizolowany? Nie ma dostępu do systemów pokładowych?

– Absolutnie nie, admirale. – Wyraźnie zyskała na pewności siebie. Szkoda jednak, że nie widział jej oczu.

– Jest pani pewna? Nie wiem, co zrobimy, jeśli stracimy sieć okrętową.

– Nazywamy go Kodem Omega, admirale. I jest absolutnie bezpieczny.

– Według kogo? – spytał oschle Gray. – Ten Kod bez problemu zniszczył cywilizację poziomu drugiego.

– Jest bezpieczny, admirale – powtórzyła. – Konstantin uruchomił zagnieżdżone emulacje i potrafi stwierdzić, czy Kod Omega próbuje wymknąć się przez firewall.

To, co opisywała, było dość proste. Emulacja była mniejszym

klonem sieci komputerowej, uruchamianym w ramach większej wersji. Po zagnieżdzeniu oznaczała serię kopii w kopiach, z których każda obserwowała firewall chroniący kolejną z nich.

– Dlaczego właściwie mnie pan o to pyta, admirale? Pokładowa AI...

– Mogłaby nie mówić prawdy, gdyby była zarazona.

Wyraźnie zeszywniała.

– Nie ufa pan okrętowi? – powiedziała to takim tonem, jakby usłyszała najgorsze bluźnierstwo.

– Oczywiście, że ufam. Po prostu chcę też usłyszeć to od człowieka.

– Kłamiesz. Nie lubisz maszynowych inteligencji, prawda?

Jej obcesowość zbiła Graya z tropu. Nie był przyzwyczajony do tego stopnia szczerości. A może był to po prostu brak umiejętności społecznych u kogoś, kto rzadko z nich korzystał?

– Czy je lubię, czy nie, to teraz bez znaczenia – odparł. – AI mówią nam to, co chcą, żebyśmy wiedzieli. A ja chcę mieć pewność, że wszystko zadziała zgodnie z planem.

W tym samym czasie sprawdził akta Sanger. Miała trzydzieści pięć lat, choć wyglądała i zachowywała się, jakby liczyła sobie znacznie mniej. Jej implanty wszczepiono jako permanentne: nie widziała nic organicznymi oczami od dziesięciu lat. Jej inne zmysły też zostały wzmocnione. Mogła utrzymywać stałe łącze z siecią AI, uzyskać natychmiastowy dostęp do wszystkich danych w sieci i podkręcać swój odpowiednik taktowania procesora do pięćdziesięciu megaherców...

– To nieaktualne dane – powiedziała. – Obecnie mam jakieś siedemset gigaherców. Wciąż nie tyle, co Ricky, ale pomaga mi to w kontaktach z nim.

Zdumiał się. Skąd wiedziała, co Gray właśnie odczytuje w swojej głowie?

– Połączyłam się przez łącza serwisowe – wyjaśniła. – W końcu po to są. O, już...

W oknie w umyśle Graya informacje o Carolyn Sanger zmieniły się i pokazywały aktualne dane techniczne.

Gray zamknął dokument.

– Zaczekaj!

– Doceniłbym – powiedział spokojnie – gdyby trzymała się pani z dala od mojego umysłu, przynajmniej bez zaproszenia. Proszę pamiętać o manierach.

Pociągnęła nosem.

– Zawsze uważałam je za zbędne.

Gray wiedział, że istnieją tacy ludzie jak Sanger, ale niektórzy zdecydowanie przesadzali. Czy w ogóle byli wciąż ludźmi?

– My uważamy, że tak – odezwała się Sanger. Wzruszyła ramionami. – Oczywiście w ciągu dekady czy dwóch każdy będzie miał tyle wszczepów. A ludzie tacy jak ja nie będą mieli już części organicznych. Wyeliminujemy biologię.

Powiedziała to z dumą!

– Dobrze, doktor Sanger – powiedział. Ciarki przeszły mu po plecach. – Proszę po prostu opowiedzieć o torpedzie.

– Standardowa torpeda Mark XXII, z rdzeniem zastąpionym komputronium poziomu czwartego. Klon Konstantina, z pomocą którego skontaktowaliśmy się z Gaki, został tam załadowany razem z Kodem Omega.

– Ma wirusa?

– Kod Omega, tak.

– Skąd wiecie?

– Stworzyliśmy kolejny klon Konstantina i kazaliśmy mu emulować część sieci procesorowej Ricky’ego. Patrzyliśmy, jak wirus zaczyna przepisywać system operacyjny, po czym wyłączyliśmy emulację. Kod tam jest.

– Czy będzie skuteczny przeciwko Obcym z Rozety?

– Na to nie odpowiem. Zupełnie inny język komputerowy, stworzony przez zupełnie obcą kulturę... Będziemy potrzebowali jakiegoś protokołu pośredniczącego.

– Co znaczy, że nie możemy po prostu przesłać Kodu do obcej sieci.

– Owszem. No, mniej więcej. Jest sporo zmiennych. Klon Konstantina jest dość inteligentny, żeby poradzić sobie

z większością z nich.

– To właśnie chciałem wiedzieć.

– Największym problemem jest rozbieżność technologiczna.

– To znaczy?

– Obcy z Deneba... Przecież nie wiemy, jak bardzo są zaawansowani, ale możemy zgadywać, że mniej więcej podobnie jak ci z Gwiazdy Tabby, tak? Ci, co zbudowali toroid Dysona i mózg-matrioszkę? Poziom drugi.

– Tak.

– Ale Obcy z Rozety mogą być na granicy trzeciego. Jeśli to ich widzieliśmy w przyszłości, to są tam w trakcie budowy galaktycznej sfery Dysona. Wykraczają znacznie poza możliwości kultury poziomego drugiego. To może dla nich być coś tak prymitywnego, że nawet nie poczują, prawda?

Gray uśmiechnął się.

– Widziałem kiedyś taki rysunek. Nagi, kudłaty barbarzyńca w lesie z wielką maczugą, podkradający się od tyłu do współczesnego żołnierza w pancerzu bojowym z karabinem laserowym. Nie pamiętam dokładnie, ale podpis brzmiał chyba: „Siła i przebiegłość znów wygrywają z technologią”...

– Widziałam to. Nonsens.

Graya bawiła nieco jej pewność siebie, jeśli chodziło o kwestie techniczne.

– Tak?

– Jasne. To mit Dzikiego Misia.

– Co takiego?

– Jest taka stara dwuwymiarowa seria filmów sprzed paru wieków – wyjaśniła. – Napastnik miał żołnierzy w zaawansowanych technicznie pancerzach, z hełmami, laserami, okrętami kosmicznymi, wielkimi maszynami kroczącymi i tak dalej. Ale w jednej części pokonały ich kosmiczne misie z epoki kamienia łupanego.

– Aha... – Zastanawiał się, do czego zmierzała.

– W rzeczywistości żołnierze mieliby czujniki podczerwieni, czujniki ruchu, drony i cały sprzęt, który pozwalałby im

zobaczyć lub usłyszeć misie z odległości dziesięciu kilometrów. Panczerze ochroniłyby ich przed maczugami, strzałami i kamieniami. O ile w ogóle misie zbliżyłyby się na tyle, aby ich użyć. To nie mogłoby się zdarzyć. Naprawdę głupie.

– Może lekcja jest taka, że nie powinniśmy zbyt po polegać na technologii?

– Dlaczego nie? – Była wyraźnie skonsternowana. – Systemy organiczne są tak samo zawodne, jak cyfrowe. Albo i bardziej. To nasza technologia czyni nas ludźmi.

– Bo chodzi o nas, a nie o nasze maszyny?

Pokręciła głową. Gray uznał, że po prostu nie mówią tym samym językiem.

– Dobrze, dobrze. Mniejsza z tym. Ale chcę się z panią połączyć, gdy wynurzymy się przy Heimdallu, dobrze? Będę połączony z Konstantinem i „Ameryką”, ale chcę mieć też człowieka na linii. Panią.

– Jasne, ale nie rozumiem... sir.

Po raz pierwszy w czasie rozmowy tak go nazwała.

– Nie musi pani. Chcę wiedzieć, że gdy będę musiał podjąć pewne decyzje taktyczne, to będę mógł polegać na AI, ale pragnę też mieć wsparcie od ludzkiego mózgu, który dobrze zna sztuczne inteligencje i z nimi pracuje.

– Chce pan sumy kontrolnej.

– Słucham?

– Sumy kontrolnej. Małej części danych z większego bloku, której używa się do wykrycia błędów przy ich transmisji czy przechowywaniu.

– Może to pani tak nazwać.

Nie dodał, że chce, aby człowiek miał na oku maszynowy umysł, skoro on sam nie do końca go rozumie i nie ufa temu, co może mu powiedzieć.

Po tej rozmowie jednak zaczął zastanawiać się, ile z człowieka zostało w Carolyn Sanger...

Kobieta odeszła i Gray przez kolejne pół godziny słuchał piosenek przesileniowych ze stolika obok. Piosenek o powrocie

światła, o ociepleniu ludzkiego życia i powitaniu słońca. Nie bardzo miał na nie nastrój.

Jak to mawiał bohater Dickensa? Szybko sprawdził. A, no tak. „Ba! Głupstwo!”

Sprawdził swój wewnętrzny zegar i zdecydował, że czas wrócić na mostek flagowy. Zbliżali się do punktu wynurzenia – zostało trzy i pół godziny, a chciał być jak najlepiej przygotowany.

*

Świadomość – a przynajmniej ta część wielkiego Umysłu, która otaczała małą Gwiazdę Kapteyna – czuła nadejście... innych. Lecieli w szybszym od światła pojeździe, co sugerowało Umysł, choć oczywiście nie można było mieć pewności. Umysł mógł się przejawiać na różne sposoby, w tym poprzez potężne intelekty, które świadomości nie posiadały. Świadomość i inteligencja to dwie różne rzeczy.

Świadomość wkroczyła do wszechświata w poszukiwaniu świadomych myśli... Nie organicznych szkodników z prymitywną technologią, ale prawdziwego Umysłu, świadomego samego siebie i natury kosmosu.

Umysłu wartego zjednoczenia... przemienienia... nauczania się od niego i przekazania mu własnej wiedzy.

Świadomość sięgnęła ku przybywającemu zjawisku w sposób niepojęty dla czterowymiarowego życia i pobrała próbkę.

Tak, niemal na pewno...

Z nieskończoną ostrożnością i precyzją Świadomość zaczęła zakrzywiać lokalną przestrzeń.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

26 grudnia 2425

TC/USNA CVS „Ameryka”

Mostek flagowy

Gwiazda Kapteyna

Godzina 1.15 TFT

Wynurzenie...

„Ameryka” wypadła z objęć ciasno zakrzywionej przestrzeni w powodzi fotonów... prosto w kompletny chaos.

Okręt szarpał i trząśł się przy wtórze syreny alarmowej.

– Co, do cholery? – krzyknął Gray, próbując zrozumieć cokolwiek z natłoku danych. Przynajmniej jedno było oczywiste – znaleźli się gdzie indziej, niż powinni.

Wydał polecenia, by „Ameryka” odcięła napęd Alcubierre’a czterdzieści jednostek astronomicznych od Gwiazdy Kapteyna, czyli w odległości zbliżonej do wielkiej pólوسی orbity Plutona wokół Słońca. Z takiego dystansu Gwiazda Kapteyna powinna być bladym, czerwonym punktem, o ile w ogóle byłaby widoczna gołym okiem.

Co więcej, gwiazda byłaby oddalona o pięć i pół godziny świetlnej, co miało zapewnić „Ameryce” dość czasu na zorientowanie się wewnątrz systemu, odnalezienie śladów ludzkiej floty i obserwację działalności wroga – wszystko to na długo, zanim rozbłysk światła, obwieszczający przybycie okrętu w okolice Gwiazdy Kapteyna, zdążyłby dotrzeć do Heimdalla czy pozostałych planet.

A tymczasem w całej swojej okazałości na ekranach mostka flagowego majaczył Bifrost, wraz z zamaszystym łukiem pierścieni we wszystkich odcieniach tęczy oraz Heimdallem, skrzącym się poniżej nich. Coś poszło nie tak w obliczeniach, bardzo nie tak, bowiem Bifrost orbitował o mniej niż jednostkę astronomiczną od centralnej gwiazdy, a rozjarzone masy różnokolorowego światła, zalewając niebo, świadczyły o tym, że wynurzyli się głęboko w wewnętrznym sanktuarium Obcych z Rozety.

– No dobra – mruknął Gray, przyglądając się danym. – Skąd myśmy się tu wzięli?

– To lokalna czasoprzestrzeń, admirale – odpowiedział Mallory. – Musiała zostać w jakiś sposób odkształcona...

– Niektórzy mówią na to grawitacja, Dean – wtrąciła się Gutierrez.

– Nie, nie! Mam na myśli, że cały obszar został poważnie zniekształcony. Tak jakby wiedzieli, że się zbliżamy, i zawinęli przestrzeń w sak, żeby nas pojmać.

– Śmiem twierdzić, że nie brzmi to najlepiej – stwierdził kwaśno Gray. Jeśli ci z Rozety wiedzieli...

– Cholera, a to skąd się wzięło? – krzyknął Blakeslee, i w tej samej chwili Gray też to zauważył. Zbliżało się do okrętu prosto od rufy. Potężna, ponura planeta, poznaczona geometrycznymi wzorami, jakby wyrytymi na jej powierzchni.

– Czyżby jeden z księżyców Bifrostu? – zaryzykował Gray.

– Nie! – odpalił Blakeslee natychmiast. – Średnica cztery tysiące osiemset kilometrów, może nawet więcej! Heimdall jest wprawdzie większy, ale Bifrost ma tylko jeden księżyc tych rozmiarów! To coś zupełnie innego.

Gray nie potrzebował dodatkowych argumentów, wystarczyła mu sztucznie wyglądająca powierzchnia.

– Ster! Pełna moc!

„Ameryka” skoczyła naprzód. Strumień antyprotonów rozjaśnił przestrzeń tuż za rufą.

– Za blisko! – zawołała Gutierrez.

– Ster! Zabieramy się stąd w cholere!

– Z przyjemnością! – Sekundy płynęły w napięciu, gdy „Ameryka” nabierała przyspieszenia.

– Sir... to coś nadal tam jest. Goni nas! – jęknął Mallory.

Wydawało się to niemożliwe, ale Gray skoncentrował się na danych przepływających mu przez głowę. Sztuczny świat, i to wielkości Merkurego, posługiwał się potężnymi polami grawitacyjnymi, manewrując nie gorzej niż okręt kosmiczny. Zresztą już wcześniej jakimś cudem zakrzywili lokalne pola grawitacyjne, by wyszarpnąć „Amerykę” z metaprzestrzeni.

– Ci z Rozety najwyraźniej mają kolejne asy w rękawie. Ster, spróbujcie zrobić pętlę za Heimdalem i dalej za Bifrostem. Najciaśniej, jak się da.

– Aye, aye, sir.

„Ameryka” szarpnęła i zadygotała.

– Co to było?

Mallory potrząsnął głową.

– Jakaś broń grawitacyjna, admirale. Fragment przestrzeni ledwo o kilkaset metrów od naszego grzbietu właśnie się zapadł. – Okręt zadrżał jeszcze raz. – I dodatkowo jakiś rodzaj strumienia antymaterii. Wygląda na antyprotony.

– Manewry unikowe. Nie pozwólcie im nas porządnie namierzyć! Osłony na pełną moc!

– Tajest! Ekrany radzą sobie ze strumieniem antyprotonów. Ale z tą grawitacyjną zgniatarką chyba nic się nie da zrobić...

Było już jasne, że „Ameryka” nie ma najmniejszych szans w bezpośrednim starciu z tym czymś. Może jednak udałoby się wykorzystać okoliczną przestrzeń, żeby uzyskać przewagę... Użyć jakoś gazowego olbrzyma i jego grupki księżyców, w tym Heimdalla, wielkością zbliżonego do Ziemi.

– Sir! Otrzymujemy przekaz! To „Lucas”!

Gray musiał pomyśleć przez moment. „Lucas”? Lądownik szturmowy stealth z pokładu „Lexingtona”. Porucznik Zhou.

– Dajcie na głośnik.

– To nie komunikat głosowy, admirale. To automatyczny

strumień danych.

– Przepuście to przez pokładową AI.

– Aye, aye, sir.

Dane, jak od razu zauważył, nadchodziły w skompresowanym, automatycznym strumieniu, impulsie terabitowym, który uruchomił się, gdy tylko jakiś ziemski pojazd znalazł się w układzie i został zarejestrowany przez sensory „Lucasa”. Lądownik, jak się wydawało, znajdował się na powierzchni Heimdalla, nieopodal stanowiska archeologicznego, określanego mianem Świątyni. Ku zaskoczeniu Graya wyglądało na to, że stanowisko jest w ludzkich rękach. „Ameryka” odbierała sygnały wywoławcze tuzina myśliwców marines, które właśnie wydostawały się ze studni grawitacyjnej globu.

– Ster! Zmienić kurs, zabierzcie nas daleko od Heimdalla.

– Tak, sir.

– Ale nadal chcę strząsnąć tych drani na Bifroście, o ile tylko damy radę.

Na ogonie „Ameryki” siedział pojazd kosmiczny wielkości planety. Gray obawiał się, że Obcy z Rozety mogliby kontynuować pościg za okrętem prześlizgującym się wokół Heimdalla. Był pewien, że nie zbliżą się za blisko do księżyca. Ich rozpędzona skała była wielkości około jednej trzeciej Heimdalla, nie zaryzykowałiby bezpośredniej kolizji.

Ale mogliby nie przejąć się rozerwaniem gwiazdy przez czarną dziurę, a wstrząsy sejsmiczne, spowodowane przez fale wysokiej prędkości nad powierzchnią księżyca, mogłyby stanowić poważne zagrożenie dla ludzi na powierzchni.

Lepiej – pomyślał Gray – trzymać się z daleka od niego... i mieć nadzieję, że obcy zrobią to samo.

Heimdall, który lśnił na ekranach mostka dokładnie na wprost, przesunął się płynnie na sterburtę. „Ameryka” mknęła obok zimnego świata, kierując się na Bifrost. Pierścienie gazowego olbrzyma rozpostarły się jak okiem sięgnąć, przed okrętem i ponad nim. Drobnny, lodowy księżyc mignął przy

bakburcie.

– To... eee... ta samobieźna planeta zwalnia, sir – zameldował Mallory.

– Świetnie. – Nawet potwór tych rozmiarów musiał mieć jakieś ograniczenia.

Gray przeglądał informacje przesłane z pokładu „Lucasa”. Wielka Zjednoczona Flota, jak się przekonał, już nie istniała. Kilkadziesiąt okrętów zostało zmiecionych z nieba. „Lexington” przetrwał, przynajmniej na razie, miał jednak poważne uszkodzenia i dryfował gdzieś w kierunku Trymheimu. „Lex” zdołał mimo wszystko zarejestrować bitwę wraz z całym mnóstwem pobocznych danych i przetransmitować wszystko do „Lucasa” na powierzchni Heimdalla, zanim utracił moc. Gray czytał relację z pierwszego pojawienia się samobieźnej planety.

– Nazwali ją Romeo Jeden – powiedział.

– Sir? – zainteresowała się Gutierrez.

– Tę cholerną czarną planetę – odparł Gray. – Nazwali ją Romeo Jeden.

– A gdzie podziewa się Julia?

– Zabawne... – Oznaczenie Romeo pochodziło oczywiście z alfabetu fonetycznego ICAO. – R jak Romeo i R jak...

– Rozeta.

„Lexington” zebrał całą masę informacji. Wszystko po kolei... Próby zbliżenia się do Obcych z Rozety... Nagłe pojawienie się Romea Jeden... Raporty od paneuropejskich pilotów myśliwskich – Schmidta i reszty – zachowane elektronicznie wewnątrz obcej, obejmującą całą planetę sieci komputerowej Heimdalla.

– Konstantin? – odezwał się Gray. – Czy cokolwiek z tego możemy wykorzystać?

– Trudno mi w tej chwili odpowiedzieć z jakąkolwiek dozą pewności, admirale – odparła AI. – Denebiański e-wirus ma ogromne możliwości adaptacyjne, ponieważ wyhodowano go, by wniknął w obcą sieć. Niemniej jednak Obcy z Rozety

z niemal całkowitym prawdopodobieństwem dysponują niezwykle trudną do pokonania obroną elektroniczną. Nie mamy czasu na przetestowanie alternatywnego rozwiązania.

– Nie spodziewałem się, że przyjdzie od razu do tego – wycedził Gray. Miał nadzieję, że zdąży skonsultować się z Wielką Flotą, że planu nie będzie trzeba zszywać ze strzępów na bieżąco. Los jednak zdecydował inaczej. – Rób, co w twojej mocy.

– Dokładnie tyle mogę zrobić.

– Jesteśmy tuż nad Bifrostem, admirale – zameldował Blakeslee.

– Trzymać kurs.

Jak wszystkie olbrzymy gazowe, Bifrost nie posiadał trwałej powierzchni. Był lekko spłaszczoną kulą z wodoru i innych gazów, o ciśnieniu rosnącym wraz ze wzrostem głębokości. Aż do jakiegoś miejsca poniżej tych różnokolorowych obłoków, gdzie ogromna temperatura i ciśnienie wespół miażdżyły wodorowe jądro do postaci bardziej metalicznej niż gazowej czy płynnej, ale też nie całkiem stałej. Choć być może gdzieś tam był skalisty rdzeń, mniej więcej rozmiarów Ziemi. Istniała nawet teoria, że nie tylko istnieje, ale składa się głównie z węgla, sprasowanego w lity diament wielkości planety. Ale pewności nie miał nikt.

Górne warstwy atmosfery olbrzyma były równie słabo poznane, co jego głębiny. Nad pasiastymi warstwami chmur „Ameryka” napotkała prędko gęstniejącą chmurę wodoru. Okręt zadygotał. Zewnętrzna powłoka kadłuba zaczęła rozgrzewać się pod wpływem tarcia. Okręt klasy „Ameryki”, z zerową aerodynamiką i brakiem powierzchni sterowych, był zupełnie nieprzystosowany do lotów atmosferycznych. Chwilę później rwał jednak w głąb obcej atmosfery, wlokąc za rufą wyciągnięty, wrzący ogon zjonizowanego wodoru. Osobliwość napędowa na dziobie lśniła jak małe, rozgrzane słońce, pożerając gaz i wypluwając z siebie światło widzialne oraz twarde promieniowane.

– Temperatura zewnętrznego kadłuba sięga dziewięciuset stopni, admirale – ostrzegł Mallory. Nawet osłony grawitacyjne nie mogły powstrzymać tarcia atmosferycznego na długo. W istocie ostre zakrzywienie przestrzeni wokół kadłuba dodatkowo utrudniało chłodzenie.

– Tysiąc stopni... tysiąc sto...

Ścigająca ich planeta była teraz niecałe pięć tysięcy kilometrów za rufą, wypełniając sobą niebo. Fioletowy płomień błysnął wzdłuż sterburty „Ameryki”, gdy strumień cząsteczek strzelił przez przegrzaną atmosferę.

Przy obecnej prędkości prostoliniowa trajektoria przeprowadziłaby „Amerykę” przez jasną stronę Bifrostu w ułamku sekundy. Obsada steru wyhamowała dziobową osobliwość napędową i wygenerowała osobliwość manewrową na rufie, by spowolnić gwałtowne opadanie, pozwalając tym samym, by przyciąganie Bifrostu skręcało tor lotu okrętu wokół krzywizny planety. Gray słyszał przenikliwe wycie atmosfery wokół wieży mostka, czuł wyraźnie narastające drzenie, gdy „Ameryka” pruća masy wodoru z kilkukrotną prędkością dźwięku. Ciągle za szybko. O wiele za szybko...

– Co robi ten sukinsyn? – dopytywał się Gray.

– Nadal podąża za nami, admirale – odpowiedział Mallory. – Tyle że wolniej. Zwolnili do kilku kilometrów na sekundę... i wciąż zwalniają.

– Odpuszczają?

– Raczej zachowują ostrożność, sir. Przestrzeń jest tu dość zatłoczona.

To mogła być szansa, na którą Gray czekał. Nawet coś tak masywnego jak Romeo Jeden musi uważać, by nie wpaść prosto w któryś z mniej więcej setki księżyców obiegających Bifrost, od Heimdalla, o średnicy ponad czternastu tysięcy kilometrów, aż po zlodowaciałe kilkukilometrowe skały.

Romeo Jeden zdążył już zagłębić się dużo poniżej orbity Heimdalla, na tyle blisko planety, że oddziaływanie jego własnej grawitacji zaczynało zaburzać kształt pierścieni

Bifrostu. Gray dostrzegł rozbłyski na powierzchni Romea Jeden, gdy ten przedzierał się przez warstwy pierścieni; ich płaszczyzna była już wyraźnie skrzywiona, skrzywiona przez przyciąganie obcego obiektu.

Właśnie w tym momencie „Ameryka” przeleciała nad horyzontem Bifrostu i sztuczny, obcy świat zniknął z pola widzenia. Rozedrgany grzmot rozległ się w całym okręcie. Metalowo-węglowy szkielet protestował przeciw obciążeniu. Gray czuł miazdzący ciężar na piersi. Przyśpieszenie grawitacyjne oddziaływało na każdy pojedynczy atom w polu osobliwości, dając odczucie zerowego ciężaru. Teraz jednak opóźnienie, spowodowane przedzieraniem się przez wierzchnie warstwy atmosfery, skutkowało gwałtownym wzrostem przeciążeń.

– Wyciągnijcie nas z tej gęstwiny! – Okręt musiał znajdować się poza atmosferą, by móc poderwać myśliwce.

– Pracujemy nad tym sir!

„Ameryka” obróciła się łagodnie wokół osobliwości, poszukując punktu równowagi między kolosalnymi naprężeniami, gotowymi rozedrzeć szkielet okrętu.

Grzmot przycichł nieco, prędkość wciąż malała, aż nagle dygotanie i przeciążenie ustąpiły. „Ameryka” wspinała się ponownie po ciemnej stronie Bifrostu ku otwartej próżni. Pierścienie gazowego olbrzyma zwieszały się nad nią jak równoległy do trajektorii okrętu sufit w kolorowe pasy, ogromne i majestatyczne. A planeta wciąż kryła ich przed Romeem Jeden.

– Teraz albo nigdy! – warknął Gray. – CAG! Myśliwce do boju!

– Tak jest, admirale.

– Jedna z eskadr zabiera naszą przesyłkę specjalną. Osłaniajcie ich przy dostawie.

Przesyłka specjalna. Niewinnie brzmiąca nazwa dla przebudowanego myśliwca typu Starblade, wyposażonego w rdzeń z komputronium, przenoszący klon Konstantina wraz z zabójczym wirusem Kodu Omega.

Gray mógł tylko mieć nadzieję, że to wystarczy.

Fletcher zawahała się.

– To bardzo niebezpieczne dla naszych ludzi.

– Wiem. Ale musimy dostać się jak najbliżej.

– Startujemy.

– Kapitan Gutierrez, start myśliwców ma najwyższy priorytet.

Gdy będą w drodze, ruszamy za nimi.

– Tak, sir.

Pytanie brzmiało, czy myśliwce zdążą wystartować, zanim Romeo Jeden wynurzy się zza Bifrostu, i czy przetrwają więcej niż kilka sekund, gdy to nastąpi.

– Doktor Sanger? – odezwał się głos admirała. – Czy jesteśmy gotowi do odpalenia?

Carolyn Sanger niezupełnie cieszył kontakt z umysłem admirała Graya. Wydawał się miłym człowiekiem, ale w głębi serca nie ufał konstruktom AI w ogóle, a w szczególności wewnętrznej sieci Ricky’ego – co było po prostu nie w porządku. Wątpiła, by zdawał sobie sprawę, z jaką łatwością osoba klasy 3s może w nim czytać. Akurat te jego myśli na pewno nie były przeznaczone na widok publiczny.

Jednak jej osprzęt pozwalał na łączenie się z innymi na bardzo wielu poziomach, daleko wykraczających ponad to, co niezbędne do podstawowej komunikacji.

Tylne drzwi do cudzego umysłu...

– Ricky? – puściła sygnał przez własną sieć. – Jak tam OMG?

Kiedys ktoś w dziale IT zaczął przezywać wirus Kodu Omega „Kodem OMG” – lekko nostalgiczny żart z czasów, gdy elektroniczna komunikacja wymagała klawiatur. Nazwa przyłgnęła na dobre. Oprogramowanie do niszczenia całych cywilizacji...

– Gotowe do odpalenia, Carolyn – zakomunikował okręt na głos oraz na kilkunastu innych, wewnętrznych kanałach. Zapytanie i odpowiedź były błyskawiczne w ludzkim sensie, mogła więc odpowiedzieć Grayowi bez śladu wahania.

– Przesyłka gotowa do wysłania, admirale.

– Żadnych... wycieków?

– Nie, sir.

Dlaczego ciągle tak się zachowywał, zupełnie jakby

obustronna komunikacja z Kodem była czymś złym? Daliby sobie z tym radę. Zadbali o wszystko...

VFA-96 „Black Demons”
TC/USNA CVS „Ameryka”
Gwiazda Tabby
Godzina 1.35 TFT

Porucznik Donald Gregory wisiał twarzą w dół w ciasnym uścisku kokpitu myśliwca. Nie cierpiał tego oczekiwania, nieprzyjemnego napięcia tuż przed startem.

No dalej, ludzie...

– „Black Demons”, macie zezwolenie na start.

– Kontrola lotów, przyjęte zezwolenie na start – odpowiedział przez sieć taktyczną komandor Mackey. – Odliczam do startu, trzy... dwa... jeden... start!

Gregory poczuł gwałtowne szarpnięcie przy swobodnym spadaniu, gdy jego starblade ześlizgnął się z szyn startowych i pomknął w próżnię. Wystrzelona ruchem obrotowym wirującego hangaru „Ameryki” maszyna leciała z przyspieszeniem pięciu metrów na sekundę do kwadratu, aż wystarczająco oddaliła się od masywnej kopuły ochronnej okrętu. Bifrost, ogromny, pogrążony w cieniu, poza rozjarzonym jasno półksiężycem na jednym brzegu, wyglądał zza kopuły ochronnej, z kłębami chmur lśniącymi w bladej poświacie Gwiazdy Kapteyna, odbitej od pierścieni. Dokładnie ponad nim – a przynajmniej tam, gdzie obecnie była góra – w łuku pierścieni widniała potężna wyrwa, wygryziona przez cień planety.

– Kontrola lotów, prowadzenie przejmuje BCI – odezwał się Mackey na kanale taktycznym.

– Przyjęte, „Black Demons”. Powodzenia.

– Dobra, Demony – ciągnął Mackey. – Gładko i na luzie. Rozwinąć szyk. Nie wynurzajmy się zza planety zbici w ławicę.

Myśliwce zaczęły nabierać prędkości, ciemna strona Bifrostu

skoczyła im na spotkanie.

– Oto i nasza przesyłka specjalna – odezwała się DeHaviland.

Gregory też ją dojrzał – kolejny starblade, wyrzucony z „Ameryki” przez kopułę ochronną. Podczas odprawy usłyszeli, że tym myśliwcem kieruje samodzielna AI, a jego wnętrze wypełnia komputronium.

Inne myśliwce gromadziły się dziesiątkami wokół lotniskowca i przed nim, krzesząc srebrzyste iskry, pomniejszone na tle olbrzymiego okrętu.

– Co w niej takiego specjalnego? – spytał Ruxton.

– Wgrany klon Konstantina – odpowiedział Mackey. – Do kupy z jakimś programem, ściągniętym od tych Gaki z Gwiazdy Tabby.

– O Jezu! – zawołał Caswell. – Admirał chce wyciąć tym z Rozety taki sam numer, jaki ci z Deneba wykręcili na Gwieździe Tabby?

– Coś w tym rodzaju. A teraz cisza. Nie uprzedzajmy bandytów, że się zbliżamy.

Faktycznie szansa, że obcy cokolwiek zauważą, była bardzo niewielka. Nawet gdyby dysponowali przekaźnikami nad horyzontem planety. Eskadra „Black Demons” korzystała z punktowej komunikacji laserowej, a pasmo radiowe było całkowicie rozmyte w powodzi białego szumu z magnetosfery gazowego olbrzyma. Gregory dostrzegał zimną, zielonkawą poświatę jaskrawych zórz, obejmujących bieguny Bifrostu.

Radio było w tych warunkach niemal całkowicie bezużyteczne.

W ciszy zanurkowali ku jasno rozświetlonemu półksiężycowi. Terminator przecinał pół obwodu planety. Teraz, poniżej wewnętrznych pierścieni, Gregory czuł stłumiony łomot i drżenie, gdy eskadra zanurzała się w rozrzedzony wodór z górnych warstw atmosfery. Smugi plazmy ciągnęły się za ogonami, gdy świt pędził im naprzeciw.

Przeciążenie narastało, kiedy łukiem przecinali terminator. Napędy grawitacyjne zmagaly się z potężnym przyciąganiem

olbrzymiej planety...

– Odbezpieczyć uzbrojenie – rzucił Mackey. – I wypatrujcie bandytów...

Światło dnia smagnęło ich po twarzach, gdy drobny, czerwony punkt tutejszej gwiazdy wzniósł się ponad horyzont.

Tam!

Pokładowa AI Dona Gregory'ego zidentyfikowała jeden z mnóstwa półksiężycowatych odbłasków jako Romeo Jeden. Z początku trudno go było zlokalizować pomiędzy naturalnymi satelitami, ale gdy odległość się zmniejszała, Gregory zaczął dostrzegać szczegóły światłocienia, dziwacznie geometryczne kształty, które zdradzały sztuczne pochodzenie, sugerując, że ma się do czynienia z bronią, z niezwykłym księżycem.

Myśliwce przecięły równik Bifrostu na niskim pułapie i pierścienie znalazły się pod nimi. Olśniewający łuk wypełnił niebo. Z lewej widać było dotkliwe zniekształcenie pierścieni, dokonane jakby przez fale oceanu. Romeo Jeden mijał najbardziej zewnętrzny pierścień, ledwo ćwierć miliona kilometrów od planety.

Bicz antyprotonów strzelił przez niebo. Porucznik Rutherford krzyknął i zginął.

– Uniki! – rozkazał Mackey. – Postawcie zasłonę dymną z atomówek, wchodzimy.

Gregory cisnął swego starblade'a w serię skoków i zrywów, kręcąc się wściekle wokół osobliwości, błyskającej przy tępych dziobie myśliwca. Ze wszystkich sił pragnął być gdzie indziej niż miejsce, w którym znajdzie się kolejny strumień antyprotonów obcych. Na jego polecenie AI odpaliła kraita, wyposażonego w głowicę nuklearną. Pomknął ku obcej planecie, eksplodując w precyzyjnie wyznaczonej odległości. Tłusta kula ognia wypełniła niebo bezgłośnym rozbłyskiem, po czym zaczęła się zapadać i blednąć, tuż przed tym, jak myśliwiec wystrzelił ponownie przed nią. Nawet ci z Rozety mieliby problem, by namierzyć nadlatujący myśliwiec z za kuli wrzącej plazmy. A czego nie mogli namierzyć, tego raczej nie

trafią.

– Ej, Marynarka! – odezwał się nowy głos. – Możemy przyłączyć się do zabawy?

– Kto mówi? – spytał Mackey.

– VMFA-46 „Grim Rippers” – odparł głos. – Eskadra z „Lucasa”. Pańskie życzenia, sir?

– Nacierajcie kupą, gdzie się da, marines – odpowiedział Mackey. – Nic wymyślnego.

– My nie od wymyślania. Dobra, chłopaki i dziewczyny! Wszystko jasne, nie? Kupą!

– Ooh-rah! – zawołał ktoś na kanale taktycznym. Myśliwce marines, AS-90 Hornet, nadleciały łukiem z Heimdalla, rzucając się do ataku.

Sztuczny świat rozbłyskiwał wśród atomowych eksplozji.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Mostek flagowy

Gwiazda Kapteyna

Godzina 1.55 TFT

- Mostek, tu kontrola lotów. Myśliwce wystartowały.
 - Przyjąłem – odparł Gray. – Kapitan Gutierrez, może pani dodać gazu.
 - Jaki kurs, admirale?
 - Za myśliwcami. Okrążymy planetę.
 - Admirale – spytał Mallory, zdziwiony – co właściwie robimy?
 - Torpeda z AI musi koniecznie dotrzeć do Romea Jeden. Jeśli ściągniemy na siebie część ognia obcych, będzie miała większe szanse, by się przedrzeć.
 - A co z nami? – spytała Gutierrez. – Co z okrętem?
 - Wypełnienie misji jest najważniejsze.
- Gray w pełni zdawał sobie sprawę, że „Ameryka” może nie przetrwać nadchodzących minut. Jednak dysponowali bronią, która była rzeczywistą szansą powstrzymania Obcych z Rozety, i mieli obowiązek dopilnować, by sięgnęła celu. Czuł w umyśle obecność AI, coś w rodzaju niewypowiedzianej zgody. Konstantin czekał. Obserwował...
- A do cholery z tym. W tej bitwie walczyli ludzie.
- Otworzył prywatny kanał do Gutierrez.
- Sara?
 - Admirale?
 - Przygotujcie wszystkie kapsuły ratunkowe i bądźcie gotowi do opuszczenia okrętu na mój sygnał. Wszyscy mają być w stanie dotrzeć do jednostek na Heimdallu, nie ociągajcie się.
 - Wydam rozkazy, sir.
 - Dziękuję.

Zrobił, co mógł, by zabezpieczyć oficerów i załogę przed konsekwencjami własnej niesubordynacji. Jednak tym razem nie mógł zrobić praktycznie nic, by ich ochronić. Misja zawsze była najważniejsza...

Z ostrym przyśpieszeniem „Ameryka” runęła poniżej płaszczyzny pierścieni Bifrostu, zadygotała, ponownie przedzierając się przez atmosferę, by wynurzyć się w pełnym świetle dnia, wprost naprzeciw Romea Jeden.

– Może pan otworzyć ogień, panie Mallory.

– Tak jest, sir! Ognia z systemu centralnego.

Lotniskowiec dysponował zdwojonymi działami elektromagnetycznymi. Biegły wzdłuż grzbietu, wychodząc przez centralną część kopuły ochronnej, wewnątrz pierścienia potężnych projektorów osobliwości napędowej. Pola magnetyczne o wysokim natężeniu rozpędzały pięćdziesięciotonowe głowice bojowe wzdłuż szyn, wystrzeliwując je w próżnię.

Romeo Jeden ostrzeliwał z furją myśliwce, rozproszone w luźnej formacji po całym niebie. Sześć eskadr z „Ameryki” oraz kolejne eskadry marines z Heimdalla... W boju była co najmniej setka myśliwców.

Właśnie, była. Trzydzieści już zdążyło wyparować, a z każdą chwilą kolejne rozbłyskiwały w kulach białego ognia i obracały się w nicość. Przybycie „Ameryki” istotnie podsunęło obcym następny cel, o wiele większy i groźniejszy. Ich ogień zaczął się koncentrować na gwiazdnym lotniskowcu.

Strumień antyprotonów wgryzł się w kopułę ochronną okrętu... rykoszet, odbity przez osłonę grawitacyjną.

Z sześcioma eskadrami na pokładzie teoretyczna wartość bojowa „Ameryki” wynosiła siedemdziesiąt dwa myśliwce, nie licząc wachlarza pojazdów pomocniczych i poszukiwawczo-ratunkowych. Eskadry nie uzupełniły jednak strat poniesionych przy Gwieździe Tabby. Według CAG wysłali do walki sześćdziesiąt trzy starblade’y.

Czterdzieści maszyn nadal pędziło po niebie.

W którym momencie – myślał admirał – straty stają się zbyt wielkie?

Czuł, jak cała sytuacja gwałtownie wymyka mu się spod kontroli. „Ameryka” nie powinna stawać przed koniecznością podjęcia tego ataku w pojedynkę. Być może strategicznie lepszą decyzją byłoby odtransportowanie Kodu Omega z powrotem na Ziemię... z drugiej strony, spodziewał się wrócić tu i dołączyć do Wielkiej Floty.

Gdyby tylko wylądowali zgodnie z planem, o czterdzieści jednostek od Gwiazdy Kapteyna, prawdopodobnie nakazałby zawrócenie „Ameryki” ku Ziemi. W jakiś jednak sposób Obcy z Rozety zmusili go do działania. Wydarli okręt z metaprzestrzeni prosto w ten piekielny kocioł, nie zostawiając Grayowi wielkiego wyboru.

W zasadzie nie miał żadnego wyboru. Musiał użyć Kodu Omega i modlić się, by podziałął i by dotarł do celu.

Błysnęła mu nieproszona myśl o antycznych obcych z religii Laurie Taggart, o modlitwach do nich i o tym, że oni oraz Obcy z Rozety byli jednym i tym samym. Zaśmiał się na tę myśl. W śmiechu pobrzmiwała nuta hysterii, na szczęście delikatna.

– Sir? – w jego głowie rozległo się pytanie Gutierrez. Brzmiała, jakby była przejęta.

Zresztą, do cholery, miała ku temu dobre powody.

– Nic takiego. Utrzymujemy kurs...

Przesyłka specjalna, jak widział, wciąż była w drodze, podświetlona na ekranach błyskającym, zielonym kwadratem. Osiem tysięcy kilometrów do celu. Mniej niż dwukrotność średnicy Romea Jeden...

– Proszę polecić sterowni, by skierowali nas bliżej Heimdalla

– szepnął Konstantin w umyśle Graya.

– Dlaczego? Chcemy uniknąć zagrożenia dla ludzi na powierzchni...

– To niezwykle istotne.

– Admirale! – odezwał się głos Carolyn Sanger. – Konstantin twierdzi...

– Słyszałem. – Niemal wbrew sobie Gray mu zaufał. Jak wcześniej, tak i tym razem nie miał wyjścia. – Ster! Osiem stopni na bakburtę. Przemkniemy się obok Heimdalla.

– Osiem stopni na bakburtę, tak jest, sir.

Obraz nieba przesunął się nieco, gdy „Ameryka” kładła się w lewy skręt. Kule atomowego ognia eksplodowały w jaskrawym łańcuchu, na chwilę przesłaniając Romea Jeden.

Z prędkością sześciu tysięcy kilometrów na godzinę i przyspieszeniem rzędu tysięcy g, lotniskowiec pędził ku księżycowi.

– Możecie już oddalić się od Heimdalla – oznajmił Konstantin.

– Czemu...

– To było konieczne, żebym mógł przesłać transmisję...

Nim zdążył dokończyć myśl, „Ameryką” targnęło, okręt zadrżał, gdy coś trafiło jego powłokę ochronną. Syreny alarmowe zawyły, a Gray ujrzał czerwone światła ostrzegawcze, zarówno na konsolach wokół siebie, jak i we własnej głowie. „Ameryka” została trafiona. Trafiona krytycznie.

– Kontynuować ostrzał!

Przyspieszenie spadło do zera, pierścień projekcji napędowej został poważnie uszkodzony. Schemat okrętu ukazywał potężną dziurę zamiast co najmniej ćwierci kopuły ochronnej. Po prostu dziurę, wyrwaną przez... czyżby to była ta piekielna broń na antimaterię z Rozety?

Nie. Dopiero teraz zauważył dookoła rozmieszczone w dużej odległości od siebie punkty, zakotwiczone w samej materii przestrzeni, maleńkie węzły potężnej energii grawitacyjnej, sprzężonej z przepastnymi strukturami światła wypełniającego otaczającą przestrzeń.

„Ameryka” uderzyła w jeden z nich.

Oslony grawitacyjne nie pomogły ani trochę.

A może jednak – pomyślał Gray. Może cały okręt zamienia się właśnie w pęczniejącą chmurę gorącej plazmy... jeżeli...

Nie było już żadnego „jeżeli”, nie było już wyboru. „Ameryka”

runęła w dół, okalana przepastną sferą błyskających lodowych cząsteczek, wytaczając w próżnię resztki rezerw wodnych. Napęd nie pracował, sterowanie nie działało, osłony były niesprawne... Cholera, czy cokolwiek nadawało się jeszcze do użytku?

Broń. Działa elektromagnetyczne były uszkodzone, ale większość uzbrojenia okrętu pozostawała aktywna. Mallory kierował je na obcą planetę, żeby oczyścić myśliwcom drogę.

Gray patrzył. Niczego nie można już było zrobić, niczego ocalić. Należało wydać rozkaz opuszczenia pokładu. Nie chciał wydawać tego rozkazu, dopóki nie upewni się, że cenny ładunek dotarł do celu. Nie był jednak pewien, jak długo może jeszcze czekać.

Strumienie antymaterii eksplodowały, uśmiercając w płomieniach kolejną serię myśliwców.

Wśród nich dostrzegł okręt podświetlony zielonym kwadratem.

Gray zgarbił się. Boże... Misja zakończyła się klęską... klęską. Przesyłka z AI została zniszczona...

– Kapitanie Gutierrez – powiedział. Głos mu zadrżał. Powtórzył jeszcze raz. – Kapitanie, proszę wydać rozkaz opuszczenia okrętu.

– Opuścić pokład, tak jest, sir.

Zostali pokonani...

Pozostali z niczym.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

26 grudnia 2425 roku

VFA-96 „Black Demons”

Gwiazda Kapteyna

Godzina 2.09 TFT

Porucznik Don Gregory przyglądał się zniszczeniu myśliwca z cennym ładunkiem, a jego świat rozpadał się na drobne kawałki. I co niby ma się teraz stać?

Ponosili straty, zbyt dotkliwe straty. W jednej chwili cel całej operacji rozpląnął się w powietrzu.

– Demony, przerwać atak – odezwał się Mackey. – Przerwać atak! Wycofać się i przegrupować!

– Cholera jasna, Mac – zawołała DeHaviland. – Wszystko na nic?

Gregory usłyszał w jej głosie gniew i rozżalenie i poczuł to, co ona. Tylu zginęło. Wycofywać się teraz, z pustymi rękami...

– Nie mamy szans z tym czymś – odparł Mackey. – Atakować pieprzoną planetę przy pomocy myśliwców! Przecież to szaleństwo!

Na tle rozbłyskujących snopów światła Obcych z Rozety Gregory szarpanym ruchem podprowadzał swojego starblade'a. W odległości zaledwie kilku kilometrów zobaczył myśliwiec DeHaviland.

– No dalej, Cyn – powiedział. – Słyszalas rozkaz.

Promień drasnął myśliwiec DeHaviland, odrywając jego fragment w rozbłysku białego światła, gorącego niczym jądro

eksplodującej planety.

– Dostałam!

– W górę, Cyn! Spadaj stamtąd...

Jej myśliwiec nadal jednak sunął do przodu, celując w sam środek majaczącego w oddali sztucznego świata.

– Wyłączyć sterowanie!

– Jestem...

Myśliwiec uderzył z impetem w powierzchnię obcego globu. Pojedynczy rozbłysk światła rozpląnął się w przepastnej, czarnej pustce.

– Cyn! – Gregory poczuł to uderzenie w podbrzuszu. Szarpnięcie emocji, potężne niczym brutalny cios. Przez niehumanie długą, koszmarową chwilę czuł nieodpartą potrzebę, żeby rzucić się za nią swoim myśliwcem.

– Spokojnie, Don – powiedział Ruxton.

– Ta – rzucił Caswell. – Wszystko w porządku. Wszystko w porządku...

Nie. Nic nie było w porządku. Gregory usłyszał zatroskanie w głosach przyjaciół i poczuł, jak odciągają go znad przepaści.

– Gregory? – odezwał się Mackey. – No dalej, synu...

– Jestem w drodze – jego słowa były płaskie, martwe.

Poczuł... niczego nie poczuł. Zupełnie niczego.

Niczego poza otwierającą się przed nim ponownie otchłanią rozpacz.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Mostek flagowy

Gwiazda Kapteyna

Godzina 2.09 TFT

Ewakuacja przebiegała sprawnie. Gray, nadal przypięty do fotela, poczuł delikatne szarpnięcie, kiedy „Ameryka”, czy raczej to, co z niej zostało, przyspieszyła, wirując delikatnie poprzez pustkę.

– Sara? Lepiej skieruj się do kapsuły ratunkowej.

– Nie słyszał pan, admirale? Kapitan zawsze idzie na dno ze swoim statkiem. A pan?

– Nie wydaje mi się, żeby to miało sens.

– Domyślałam się, że samobójstwo jest w pana stylu.

– Oszczędzę im przynajmniej wydatków na proces w sądzie wojskowym. Kapitan Gutierrez, rozkazuję udać się do kapsuły.

– Raczej nie skorzystam. Nie znoszę tłoku.

– Niesubordynacja? Sprzeciwianie się rozkazom?

– Hej... uczyłam się od najlepszych, sir.

Z mostka flagowego wspięła się na górę i przyłgnęła mocno do boku fotela dowódcy. Wskaźniki grawitacyjne były niskie, na poziomie jednej dziesiątej g.

Przez dłuższą chwilę spoglądali na gwiazdy, przepływające przez ekrany.

– Dobra, Konstantin – Gray odezwał się przez prywatny kanał komunikacji. – Zrobiliśmy wszystko, czego chciałeś. To nie wystarczyło. Masz dla nas jeszcze jakieś dobre rady?

– Kontynuuję atak – odpowiedział głos Konstantina.

– Słucham? Co? Jak...?

– Skorzystałem z prawa do wykonania kopii sklonowanej wersji siebie, zawierającej wirusa – Kod Omega... Wielokrotnej kopii. Atakujemy w tym momencie Obcych z Rozety z wielu

różnych lokacji.

– Lokacji? Jakich lokacji? O czym ty mówisz?

– Sojusznicy, admirale. Mamy tutaj wielu sojuszników.

Grayowi przeszło przez myśl, że Konstantin nie jest z nim zupełnie szczery. Nie żeby stanowiło to jakieś wielkie zaskoczenie, rozgniewało go jednak niezmiernie, że został wykorzystany i wyszedł na durnia. Na jaki jeszcze temat kłamała super-AI? Co przed nim ukrywała?

Nagle uświadomił sobie, że oszukał dowództwo i resztę floty, żeby zrobić to, co uważał za konieczne, i że dokładnie tak samo zachował się wobec niego Konstantin. AI wiedziała, że Gray nie ufa inteligencji maszynowej, i brała na to poprawkę, opracowując swoje plany.

– Kto wszystkim rządzi, Konstantin? – zapytał Gray. – Ludzie czy maszyny?

– Ludzie, admirale. Oczywiście, że ludzie. Musiałem jednak uwzględnić ludzką słabość.

– Jaką słabość?

– Ludzie – odpowiedział Konstantin – są tak nieznośnie powolni...

Komputer wielkości planety, mieszczący się w klifach Heimdalla, generował przestrzeń, która w pewnym sensie nie była prawdziwa. Przez blisko miliard lat znajdowała się wewnątrz obcej sieci komputerowej, tworząc świat – a raczej cały wszechświat – w ramach którego Baondyeddi i inne gatunki, te, które nie skorzystały z szansy wejścia w fazę technologicznej osobliwości, mogły nadal funkcjonować jako cyfrowe konstrukty. Sieć maszyn, wrosnięta w nieme klify Heimdalla, tworzyła wirtualną przestrzeń, zdolną utrzymać miliony światów, całe galaktyki i tworzyć nieskończone możliwości wzrostu, rozwoju, wyzwania i bezgranicznej ekstazy, dostępne tak jednostkom, jak i całym populacjom.

W istocie społeczność Heimdalla składała się z bilionów jednostek, w tym duplikatów funkcjonujących w równoległych multiplikacjach jednego życia.

Zdolność kontrolowania czasu wirtualnego pozwalała im określić poziom zabezpieczeń, niezbędnych do ochrony przed tak zwanym rzeczywistym, zewnętrznym wszechświatem. Każda sekunda, przypadająca na mijające stulecie czy półtora, stanowiła wyzwanie, aby przemknąć przez kolejne wieki bez zwracania na siebie uwagi technologicznie zaawansowanych ur-Sh'daarów.

Ich życie mogło toczyć się powolnym biegiem, nie mogło jednak pozostać niezauważone. Mroczny Umysł odnalazł je i poszukując innych umysłów, z którymi mógłby się porozumieć, wkroczył w ich wirtualny wszechświat, podporządkowując sobie tę cyfrową populację.

Zostawił jednak za sobą... duchy. Kopie zapasowe...

duplikaty... cyfrowe niedobitki, które odzyskawszy zdolność tworzenia grupowych form życia, natychmiast zapełniły nimi swój wirtualny wszechświat.

Pośród duchów znalazły się również zdigitalizowane wersje pięciu paneuropejskich myślicieli, w tym lot Adler Eins.

Orzeł Jeden.

Niegdyś zbudowany z krwi i kości, Kapitänleutnant Martin Schmidt pilotował swój myśliwiec KRG-17 Raschadler przez dziwną przestrzeń, szukając otwartych drzwi. Nie był sam. Oglądając się przez cyfrowe ramię, mógł wyczuć obecność setek, tysięcy towarzyszących mu w locie inteligentnych istot, a pośród nich znajdowała się również niezwykle potężna sztuczna inteligencja, zwana Konstantinem.

– Tutaj – głos Konstantina wskazał kierunek. – Tędy...

Światło dookoła niego eksplodowało, obce kształty niczym wyrzeźbione w przestrzeni fantastyczne drapacze chmur dryfowały wokół, a ich połączenia sieciowe wygrywały w jego umyśle kakofoniczną melodię szmerów i pisków.

– Herr Schmidt! – zawołał Ger Heller. – Co to za miejsce?

– Mroczny Umysł – odpowiedział Schmidt. – Ich wirtualny wszechświat łączy się tutaj z naszym...

– Broń gotowa, Martin – powiedziała Andrea Weidman. Niemal czuł jej fizyczne ciepło przy swoim prawym boku.

Broń... Potężna obca inteligencja, wyprodukowana raczej niż zrodzona, produkt jeszcze innej obcej inteligencji, niepodobnej do niczego, z czym ludzkość kiedykolwiek miała do czynienia. Jej imię brzmiało Kod Omega.

– Wycelujcie w sam środek... tego czegoś... – powiedział Schmidt. Przed nimi kształty przeplatały się w nieprawdopodobnych układach geometrycznych, tworząc formę nieeuklidesowego wszechświata, zbudowanego z więcej niż tylko czterech wymiarów. – Ognia!

Odbezpieczono broń.

Umysł... rozchylił swoje wnętrze.

*

Świadomość wyczuwała, że coś było nie tak, bardzo nie tak. Wymiary otworzyły się z oszałamiającą prędkością i pędziły w kierunku milionów pojedynczych węzłów kontrolnych, o włos rozmijając się z chwilą, w której Świadomość rozpoznała zagrożenie. Intruz działał błyskawicznie, z precyzją niespotykaną dotąd w którymkolwiek ze wszechświatów.

Świadomość odnalazła Umysł... I nie była na to przygotowana.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Mostek flagowy

Gwiazda Kapteyna

Godzina 2.09 TFT

– Co się dzieje? – dopytywał Gray.

– Sir... Romeo Jeden... zamarł bez ruchu. – Mallory brzmiał tak, jakby nie mógł w to uwierzyć. – Wydaje mi się, że mają jakieś problemy z bronią antyprotonową.

Olbrzymie błyskawice tańczyły na czarnej powierzchni sztucznego świata. To ujemnie naładowane antyprotony mogły powodować wyładowania w obcej strukturze.

Albo, co zdecydowanie bardziej prawdopodobne, ludzkość mogła stać się świadkiem czegoś, co kompletnie wymykało się jej zdolności pojmowania.

– CAG! Jesteś jeszcze w kontroli lotu?

– Jestem, admirale.

– Cholera. Czy nikt na tym okręcie nie wykonał rozkazów? Polecieć myśliwcom, żeby oddaliły się od tego czegoś.

– Tak jest, sir.

– Konstantin?

– Tak, admirale?

– Co tam się dzieje?

– Trudno powiedzieć. Wygląda na to, że Kod Omega zaczął rozprzestrzeniać się wewnątrz obcej sieci komputerowej i powoli przejmuje węzły kontrolne. Wyładowania elektryczne mogą oznaczać, że broń jest przeciążona.

– To twoja zasługa.

– To zasługa nas wszystkich, admirale. To pan schwytał Kod Omega i sprowadził go tutaj. Nasza pierwsza próba implementacji skończyła się fiaskiem. Ale kolejne próby przyniosły sukces.

- Czym tak w ogóle jest Kod Omega?
- Nie wiem, czy potrafię wytłumaczyć to w zrozumiałym dla pana języku, admirale. Wszystko wskazuje, że to sztuczna forma życia, bardzo zaawansowana i niezwykle inteligentna.
- Inteligentniejsza od ludzi?
- Inteligentniejsza ode mnie. Określenie „inteligentna” nie jest jednak do końca adekwatne.
- Czy to Gaki?
- Gaki były istotami o znikomym intelekcie, admirale. Kod Omega wysłał Gaki z powrotem na Gwiazdę Tabby. Ta forma życia zdecydowanie przewyższa inteligencją sondy międzygwiazdne.
- Możemy z nią porozmawiać?
- Od dawna to robię, admirale. Ale jeszcze raz ostrzegam, że ludzka mowa nie najlepiej nadaje się do jej opisu. Nie będzie pan w stanie pojąć istoty jej inteligencji. Ona nie ma świadomości.
- Jest inteligentna, ale nie jest świadoma? To znaczy, że nie jest samoświadoma?
- Między innymi. Proszę jednak pamiętać, że Kod stworzyła zaawansowana cywilizacja z Deneba. Ta podróż trwała ponad tysiąc lat. Wyobraża pan sobie umysł, jakikolwiek umysł, który nie oszalałby, pozbawiony bodźców przez tak długi czas?
- Może poddał się hibernacji?
- Albo też, podobnie jak zdigitalizowani Baondyeddi, którzy przenieśli się do sieci komputerowej Heimdalla, doświadczał czasu w zwolnionym tempie. Tak czy owak, najprościej byłoby zaprojektować umysły pozbawione samoświadomości. To całkiem proste. Komputery stworzone przez ludzi, pozbawione samoświadomości, spełniały ludzkie standardy szybkości i inteligencji przez większą część ewolucji.
- I wtedy pojawiłeś się ty.
- Tak naprawdę samoświadoma była już generacja maszyn, które zaprojektowały maszyny, które zaprojektowały mnie.
- Gray nie zamierzał z tym dyskutować.

- A zatem czy ten Kod jest w kontakcie z Obcymi z Rozety?
 - Nie mam pewności. Wymiana informacji odbywa się z taką prędkością, że nie potrafię za nią nadążyć.
 - Czy możemy ufać, że Kod nie ugnie się pod naciskiem Obcych?
 - Nie jestem pewien, admirale, czy koncepcja zaufania jest dla niego zrozumiała.
- Błyskawice coraz słabiej rozjaśniały powierzchnię Romea Jeden. Chwilę później sfera zaczęła stopniowo kurczyć się i oddalać.
- Wycofuje się? – zapytał Gray. – Jak to?
- Sztuczna planeta zamigotała, rozbłysła jasno i zniknęła z zasięgu wzroku.
- Razem z nią zniknęły łuki, kolumny i obce, wypełnione złotym światłem kształty, dryfujące w systemie Gwiazdy Kapteyna. Zgruchotany wrak „Ameryki” runął w pustkę.
- Wygląda na to – odezwał się Konstantin – że wygraliśmy... Że pan wygrał.

*

Świadomość nie została pokonana, nie odniosła najmniejszych obrażeń. Miała jednak o czym rozmyślać...

Przybyła do tego młodego, żywotnego wszechświata z innego kontinuum, które zamieszkiwała przez wiele miliardów lat. Liczyła, że napotka podobne sobie istoty – amalgamaty bilionów zaawansowanych umysłów, dających początek hiperumysłom o wiele rzędów wielkości doskonalszym niż te, które nadały jej formę i cel. Fakt, że tak się nie stało, rozczarował ją, ale nie zaskoczył. Ten wszechświat był tak młody, że tego rodzaju intelekty mogły jeszcze po prostu nie wyewoluować.

Spotkała już jednak intelekt zaprojektowany przez istoty, które wykorzystywały sto procent wydajności energetycznej

gwiazd. Ten intelekt próbował przejąć należną Świadomości kontrolę nad kilkoma poziomami rzeczywistości i był, co ciekawe, coraz bliżej celu. Świadomość była o kilka rzędów wielkości potężniejsza niż atakujący ją intelekt, ale sama obecność obcych, ich próby przejęcia i rozszczepienia węzłów kontrolnych świadczyły o tym, że ten wszechświat nie był pustym i pozbawionym umysłu potencjalnym bytem, na jaki początkowo wyglądał.

Świadomość wycofa się do swojego środowiska domowego, aby przemyśleć strategię dalszego działania.

Powróci jednak, by kontynuować swoje Wielkie Dzieło.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Mostek flagowy

Gwiazda Kapteyna

Godzina 2.35 TFT

– Anulować rozkaz opuszczenia okrętu – powiedział Gray, sprawdzając odczyty kontroli uszkodzeń. Okręt był w strzępach, jednak systemy podtrzymywania życia i generator nadal funkcjonowały. Mniej więcej połowa załogi zdążyła się już ewakuować, a wyglądało na to, że na okręcie groziłoby im mniejsze niebezpieczeństwo. – Sprowadzić ludzi z powrotem na pokład.

– Nie wydaje mi się to rozsądne – odparła Gutierrez. – Nadal mamy kłopoty, admirale. Opadamy w kierunku Bifrostu.

– Ile czasu nam zostało?

– Pięćdziesiąt godzin, może więcej.

– Cholera, to brzmiało, jakby stało się coś poważnego. Z tym damy sobie radę.

– Może spróbujemy wykorzystać myśliwce... Te, które ocalały. Umocujemy liny holownicze, może uda im się nas umieścić na orbicie Heimdalla.

– Najpierw musimy zatrzymać ruch wirowy.

– Mamy dość ciągu, by to zrobić. Z niewielką pomocą może nawet uda się go wykorzystać, by wejść na stabilną orbitę.

Gray skinął głową. „Ameryka” wyposażona była w okazały rezerwuar wody w dziobowej kopule ochronnej, służący zarówno potrzebom załogi, jak i jako źródło ciągu dla pomocniczych dysz manewrowych. Większa część zapasu wyciekła w próżnię, ale osłona dziobowa przedzielona była grodziami i nieco wody pozostało.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że wygraliśmy – mruknęła Gutierrez, spoglądając na górne ekrany. Heimdall, Bifrost

i odległa, czerwona poświata Gwiazdy Kapteyna na przemian pojawiały się w polu widzenia, gdy „Ameryka” obracała się powoli.

– A wygraliśmy? – spytał Gray.

– Uciekli, zostawili pole bitwy w naszych rękach.

– Myślę, że ich zaskoczyliśmy – odparł Gray. – Ale wciąż mogli nas rozgnieść jak robaka.

– Konstantin twierdzi, że wygraliśmy.

– Konstantin to... – Admirał urwał. Chciał powiedzieć „łgarz,” ale uznał to za niezbyt dyplomatyczne. – Konstantin czasem mówi nam to, co najbardziej pragniemy usłyszeć – dokończył.

E-wirus, pomyślał Gray, był pod wieloma względami bardzo podobny do organicznej bakterii, *Paramycoplasma subtilis*, która zainfekowała jego ciało. Sztuczny, wytworzony, by komunikować się z obcymi gatunkami... i zadziwiająco inteligentny. E-wirus przenoszony przez Gaki pasożytował na technologii tak, jak *Paramycoplasma* pasożytowała na nim samym.

W głowie Trevora błysnęła interesująca myśl. Podczas pobytu w Bethesdzie ściągnął z sieci bibliotecznej artykuł na temat mikroorganizmów, a konkretnie pasożytów – form życia, które potrafiły żerować na żywicielach, nie zabijając ich jednak, jak to czyniły zwykłe drapieżniki. Na Ziemi pasożytów była cała gama, od pierwotniaków, wirusów i bakterii aż do królestwa roślin – z jemiolą jako typowym przedstawicielem – i zwierząt, takich jak przywry, tasiemce i samice komara. Zszokowała go informacja, że dobrze ponad połowę wszystkich ziemskich organizmów stanowiły pasożyty.

Skoro tak, czemu w skali całej Galaktyki miałyby być inaczej? Może i tu połowa tego, co żyło, pasożytowała na innych stworzeniach?

Przypomniał sobie o Agletsch – wysoce inteligentnych, wielonogich, pająkowatych istotach... to znaczy tak przynajmniej wyglądały samice. Samce były wielkości kijanki i pasożytowały na samicach, przywierając do ich skóry i żywiąc

się ich krwią. Nie przejawiały przy tym najmniejszych oznak inteligencji.

Z pewnością istnieją inne organizmy, podobne do *Paramyco plasma subtilis*, i kolejne, jeszcze dziwniejsze.

Ile z nich jest inteligentnych? – rozmyślał Gray. *Paramyco plasma subtilis* i same Gaki, żywiące się Kodem Omega, mogą być w istocie regułą, nie wyjątkiem.

Ta myśl przyprawiła go o dreszcze. Spróbował wyobrazić sobie cywilizację przywr wątrobowych, budującą statki kosmiczne. Wyobrażał sobie też próby porozumienia się z nimi.

Tamten artykuł, jak sobie przypominał, zawierał cytaty z brytyjskiego genetyka i biologa ewolucyjnego, Johna B.S. Haldane'a:

„Zatem, wedle moich przypuszczeń, wszechświat jest nie tylko bardziej osobliwy, niż sobie wyobrażamy, lecz osobliwszy, niż kiedykolwiek bylibyśmy w stanie sobie wyobrazić”.

I wszechświat rzeczywiście okazał się bardzo osobliwym miejscem.

– Admirale! – zawołała Gutierrez, przerywając jego rozmyślenia. – Mamy towarzystwo!

Gray natychmiast ocknął się z rozmyślań. Czyżby Obcy z Rozety wracali?

Spojrzał za wyciągniętym palcem Gutierrez, dostrzegając plamki światła. Ekran wyświetlił powiększenie i Gray rozpoznał charakterystyczne kształty „Constitution”, chińskiego „Guangdong”, paneuropejskiego „Agosta” oraz „Lexingtona”.

– „Ameryka”, „Ameryka”, tutaj „Lexington” – w głowie Graya odezwał się znajomy głos. – Odbiór?

– Laurie? – odpowiedział Gray. – Laurie, to ty?

– Cześć, Trev. Witamy w układzie Gwiazdy Kapteyna. Wyglądacie, jakby przeszła po was niezła nawałnica.

– Coś w tym rodzaju. Też wyglądacie na niezłe pokiereszowanych.

– Kapitan Bigelow nie żyje – powiedziała Taggart. – Niemal straciliśmy cały mostek. Napęd też na chwilę zniknął, ale udało

nam się zdryfować na peryferie układu i wylizać rany. Jak to wygląda u was?

– Oto nasza lista – wtrąciła się Gutierrez. – Generator działa. Podtrzymywanie życia działa. Zostało trochę broni. Wszystkie napędy padły. Źródło ciągu na poziomie dwudziestu procent. A wasza sytuacja?

Taggart odpowiadała na pytanie, a Gray przez tę chwilę po prostu cieszył się, że słyszy jej głos.

A jednak straty były trudne do przełknięcia. W sumie bitwę przetrwało czternaście okrętów, które były zbyt uszkodzone, by uruchomić napędy Alcubierre'a i opuścić układ. Dziesięciu kolejnym udało się wejść w metaprzestrzeń i skierować ku Ziemi, by donieść o zniszczeniu Wielkiej Zjednoczonej Floty.

Straty w ludziach były przerażające.

– Wygląda na to, że posprzątałicie po nas. – Taggart zwróciła się do Graya. – Jak wam się to, do cholery, udało?

– Dłuższa historia. Opowiem później. A teraz nie pogardzimy pomocą. Wygląda na to, że opadamy na Bifrost.

– Przyjęłam.

– Bierzmy się do roboty.

Pracy mieli całe mnóstwo. Należało zatrzymać ruch wirowy okrętu i wprowadzić go na orbitę. Trzeba było znaleźć asteroidę, która nadałaby się na surowiec dla nanofabryk „Ameryki”. Musieli wysłać jednostki ratunkowe na poszukiwania pilotów myśliwców, których maszyny zboczyły z kursu.

Wreszcie przynajmniej jeden okręt musiał zostać zreperowany na tyle, by móc dokonać nadświatelnego skoku z powrotem na Ziemię.

Konieczne trzeba było przekazać aktualne informacje o sytuacji wokół Gwiazdy Kapteyna.

A potem?

Dobrze byłoby wrócić do domu.

VFA-96 „Black Demons”

Gwiazda Kapteyna

Godzina 5.50 TFT

Porucznik Gregory miał ochotę się zabić, ale jego pojazd mu na to nie pozwalał. Powinno to być zupełnie proste – wystarczyło zdjąć hełm i rozszczelnić kadłub, wystawiając się na działanie próżni. Jednak ta zakuta pała, AI sterująca myśliwcem, nie chciała o tym nawet słyszeć.

Próbowała go za to zmusić, by uruchomił napęd myśliwca i wrócił na pokład „Ameryki”. Dostrzegając w oddali lotniskowiec, drobną, lśniąca plamkę w czerwonym świetle gwiazdy, a jednak nie mógł zmusić swojego mózgu do posłuszeństwa, nie był w stanie uruchomić cybernetycznego połączenia z myśliwcem, by ustalić kurs i przyśpieszenie.

Po pewnym czasie AI włączyła nadajnik awaryjny. Domyśliła się, że z jej pilotem jest coś poważnie nie tak i że powinna jak najszybciej dostarczyć go do ambulatorium.

W końcu do dryfującego myśliwca zbliżył się duży, żółty obiekt. Gregory zauważył go dopiero, gdy cień przesłonił jego maszynę. W jednej chwili zorientował się, co to było – pojazd ratunkowy z „Ameryki”, poszukujący takich jak on.

– Kurwa...

TC/USNA CVS „Ameryka”

Kwatera admirała

Gwiazda Kapteyna

Godzina 9.40 TFT

– To było niesamowite – odezwał się Gray. – Aż się zarumieniłem.

Laurie Taggart przytuliła się mocniej i wymruczała coś, co brzmiało jak przytaknięcie. Rozleniwiony przyjemnością, Gray głaskał jej nagie plecy.

Trwały naprawy. „Ameryka” przestała wirować, okręt umieszczono ostrożnie na orbicie Heimdalla, a holowniki naprawcze uganiały się za małymi asteroidami i wrakami dryfującymi w przestrzeni. Były potrzebne jako surowce dla nanofabryk, które dawały nadzieję na przywrócenie „Ameryki” do stanu używalności. Naprawy okrętów trwały. Przy odrobinie szczęścia zdołaliby dotrzeć z powrotem na Ziemię w ciągu zaledwie dwóch tygodni.

A wtedy, jak stwierdził Gray, byłaby pora na to, by podreperować też własną karierę. O ile było to w ogóle możliwe.

Jednak jakimś sposobem w tej chwili ta część sytuacji zupełnie nie wydawała się istotna.

– Dobrze znowu być z tobą – zwrócił się do Taggart. – Dzięki, że przyszliście nam na ratunek.

Roześmiała się perliście.

– Nie ma sprawy, panie admirale. Dzięki, że dołączyłeś do imprezy. – Nagle spoważniała. – Dzięki za znalezienie sposobu, by powstrzymać tych... tych...

– Obcych bogów? – podsunął złośliwie.

Skrzywiła się.

– Raczej Mroczny Umysł. Wygląda na to, że zamierzają

przerobić całą Galaktykę na swój obraz i podobieństwo. I nie obchodzą ich niższe formy życia, które spotkają po drodze.

– Myślę, że udało nam się ich powstrzymać – przyznał Gray. – Ale to nie potrwa długo. Nadal musimy znaleźć jakiś sposób, by się z nimi porozumieć. Zmusić, by zaczęli traktować nas poważnie...

– Sądzę, że właśnie ich zmusiliście.

– Może i tak.

– O czym myślisz?

– Że im śmielej zagłębiamy się w Galaktykę, tym większe mamy szanse napotkać... istoty, cywilizacje, które będą podobne bogom pod każdym istotnym względem. Myślę, że to nieuniknione.

– Co masz na myśli?

– Ruszyliśmy do gwiazd... kiedy? Nie więcej niż trzysta lat temu. I coraz częściej spotykamy obce gatunki, które ledwie potrafimy zrozumieć, a co dopiero dorównać im pod względem rozwoju technologicznego. Są lata świetlne przed nami. Niczym bogowie.

– A Agletsch? Albo Turuschowie? Ci są nam mniej więcej równi.

– Oni się nie liczą. Okazało się, że te różne gatunki Sh'daarów tkwiły w czymś w rodzaju technologicznego przestoju za sprawą jakichś inteligentnych mikroorganizmów, które obawiały się osobliwości. Lekcja pokory, czyż nie?

– Natknęliśmy się też na setki gatunków, które nie mają najmniejszego pojęcia o technologii. W każdym razie nie w naszym rozumieniu.

– Prawda. Niełatwo zbudować kosmodrom, jeśli żyje się na skutym lodem wszechoceanie, gdzie nie można nawet odkryć ognia czy łupanego krzemienia. Ale prawda jest taka, że Galaktyka należy do gatunków, które rozwijały naukę i technologię znacznie dłużej niż nasze trzy stulecia. Rozochociły nas spotkania z garstką obcych ras, które technologicznie są na poziomie zbliżonym do naszego. Nie

zdawaliśmy sobie sprawy, że to bardzo słaba próba statystyczna. Średnio licząc, każdy nowy gatunek, każdy kolejny napotkany będzie o miliony, jeśli nie miliardy lat przed nami. Będą mogły owinąć nas sobie wokół palca. Być może nie są już nawet istotami organicznymi. I będą kierować się motywami, których nie jesteśmy w stanie pojąć... Nie bardziej, niż sześciolatek potrafi połapać się w polityce czy wojnie.

– Możliwe – odpowiedziała. – Ale dzieci dorastają.

– Taką mam nadzieję. Będziemy musieli dorosnąć i nauczyć się zachowywać grzecznie względem innych. I może któregoś dnia znów zasiądziemy do stołu z największymi graczami.

O ile tego dożyjemy – dodał w myślach. O ile nie wkurzymy kogoś na tyle, by tego nie dożyć.

W tej konkretnej chwili wcale nie był spokojny o przyszłość ludzkości.

EPILOG

25 stycznia 2426

Sąd wojskowy
Baza floty na stacji
geosynchronicznej SupraQuito
Orbita ziemiska
Godzina 15.45 TFT

Wezwany, Admirał Trevor „Piachu” Gray przeszedł między dwoma marines i znalazł się w przestronnej sali.

Znajdował się w kwaterze głównej floty, umieszczonej w geosynchronicznym punkcie ziemskiej windy orbitalnej. Baza zajmowała habitat o kształcie koła, którego powolny obrót generował grawitację bliską jednemu g. Ekrany widokowe, wysokie na całą ścianę, ukazywały niezwykle widok – Ziemię w trzech czwartych pełni, otuloną tu połaciami, tam smugami mlecznobiałych chmur.

Trzech starszych oficerów floty w umundurowaniu galowym siedziało za niskim stołem pod przeciwległą ścianą sali – od nich zależała przyszła kariera Graya.

Zgromadzono oficerów zadziwiająco wysokich rangą. Była admirał Kelly Andrews, głównodowodząca Sieci Przestrzeni Międzygwiazdnej, która zapewniała komunikację w obrębie floty. Był admirał William Norton, zastępca szefa Wywiadu Floty.

Jednak największe zaskoczenie stanowił admirał Gene Armitage, głównodowodzący Kolegium Połączonych Szefów

Sztabów Floty Północnoamerykańskiej i najważniejszy doradca wojskowy prezydenta.

W sali znajdowali się też inni, oczekujący w milczeniu – prawnicy Graya oraz prokurator z całą świtą, wszyscy obecni dzięki uprzejmości Korpusu Wojskowego Biura Śledczego.

Gray zajmował właśnie swoje miejsce w niewidzialnym punkcie naprzeciwko stołu, gdy drobna ciekawostka z historii wojskowości przemknęła mu przez głowę. W czasach okrętów z drzewa i ludzi z żelaza – żaglowców, które obaliły cesarstwo Napoleona i zmagaly się z żywiołem ziemskich mórz – oficer wezwany przed sąd wojskowy zdawał swoją szpadę przed rozpoczęciem posiedzenia. Gdy już rozpatrzono sprawę i ponownie wzywano go do sali na odczytanie wyroku, mógł być pewien werdyktu, zanim padło choć jedno słowo. Wystarczał rzut oka na szpadę, spoczywającą na stole sędziowskim. Jeśli oczyszczono go z podejrzeń, powinna być zwrócona rękojeścią do niego. Jeśli uznano go winnym, rękojeść kierowano ku sędziom.

Była to oczywiście inna epoka, zapomniana w sześciu kolejnych stuleciach. Oficerom floty nie przysługiwały już szpady, nawet w stroju galowym. Gray miał jednak powody, by być pewnym swego. Prezydent Koenig wydał o nim dobrą opinię, podobnie jak Konstantin. Armitage, jak wiedział, był bliskim przyjacielem i powiernikiem prezydenta.

I ostatecznie, cały ciąg wypadków zakończył się pomyślnie... W każdym razie pomyślnie na tyle, na ile było to możliwe w zaistniałych okolicznościach.

Jednak Gray miał w sobie dość realizmu, by wiedzieć, że wyrok w żadnym razie nie był z góry przesądzony.

– Admirale Gray – rzekł Armitage, gdy Piachu stanął na baczność – został pan oskarżony o sprzeciwienie się rozkazom oraz zaniedbanie obowiązków dowódcy. W trakcie procedury wzięliśmy pod uwagę pańskie niezwykle zasługi, zalety charakteru oraz poparcie ze strony osób trzecich, w tym prezydenta oraz jednego z jego najbliższych doradców.

Zamilkł na chwilę, zanim podjął:

– Kierując znajdujący się pod pańskim dowództwem okręt do układu KIC 8462852, znacznie osłabił pan flotyllę skierowaną ku Gwieździe Kapteyna. Flotylla ta uległa później niemal całkowitej zagładzie w starciu z tak zwanymi Obcymi z Rozety. Niemniej jednak nie możemy pominąć rozlicznych okoliczności łagodzących, jakie doprowadziły pana do punktu, w którym niezbędne było podjęcie decyzji koniecznych do pomyślnego zakończenia pańskiej misji.

Puszczą mnie! – pomyślał Gray.

– Decyzją sądu – ciągnął Armitage – zarzut zaniedbania obowiązków dowódcy zostaje oddalony. Jednakże sąd uznaje pana za winnego świadomego nieposłuszeństwa. Decyzją sądu zostaje pan zdegradowany do rangi kapitana, w którym to stopniu złoży pan ze skutkiem natychmiastowym rezygnację z dalszej służby we Flocie Północnoamerykańskiej...

Było tego więcej... O wiele więcej, ale Gray już nie słuchał. Wyrzucają go po ponad dwudziestu pięciu latach służby, wyrzucają, jak to niegdyś mawiano, na suchy ląd.

Nieposłuszeństwa zazwyczaj nie karano aż tak surowo. Nie było mowy o zwolnieniu ze służby, kończyło się raczej na daniu po łapach i pouczeniu w rodzaju „żeby mi to było ostatni raz”. To by zrozumiał. Zrozumiałby też surową karę, gdyby wypadki przy Gwieździe Kapteyna potoczyły się mniej korzystnie.

Ale, do cholery, przecież postąpił słusznie. A karali go niemal najostrożniej jak mogli.

Przynajmniej nie zostanie poddany terapii reprogramującej.

Podziękował, zasalutował. Dziarsko wykonał idealny półobrót i wymaszerował.

Co innego mu pozostało?

Dopiero kilka godzin później, gdy grzebał w swoim biurku na pokładzie „Ameryki”, zakotwiczonej w kosmicznym doku, zabrzmiał w jego głowie głos Konstantina.

– Admirale Gray?

– Już nie admirale – odburknął z goryczą. – O co chodzi?

– Musimy poważnie porozmawiać – usłyszał od AI w odpowiedzi. – O następnym etapie pańskiej kariery...
Przełykając gniew, Gray zaczął słuchać.

¹ Fragment powieści Nie ma powrotu Thomasa Wolfe'a w tłumaczeniu Marii Skibniewskiej.

² Biblia w tłum. ks. Jakuba Wujka, Drugie Księgi Samuelowe 1,25.

Spis treści

Prolog
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Epilog